

JULIE GARRATT

BADŹ  
ze MNA

Przełożyły  
Teresa Komłosz i Bożena Kucharuk



Wydawnictwo Da Capo  
Warszawa

List z Anglii dotarł do Bostonu dokładnie dwadzieścia cztery godziny po tym, jak dyrektor szkoły Paisley Junior's zaproponował Amy posadę, na której ogromnie jej zależało.

- O, nie!
- Co się stało?

Amy przesunęła bladoniebieski kartonik papeterii w stronę siedzącej po drugiej stronie stołu Kate Weldon, Amerykanki o tycjanowskich włosach, która dwanaście lat temu została jej przybraną matką.

- Przeczytaj to, Kate. - Słowa więzły Amy w gardle. - Nie mógł przyjść bardziej nie w porę.

- To od Lizzie Abercrombie, gospodyni szwagra Gifa. - Kate zrobiła kwaśną minę, szybko przebiegła pismo wzrokiem, po czym głęboko zaczerpnęła tchu i jęknęła. - Rzeczywiście nie mógł przyjść w gorszej chwili. I co ty teraz zrobisz?

- Lizzie pisze, że wujek Gif czuje się naprawdę bardzo źle.

- Przecież to tylko zapalenie oskrzeli. - Kate Weldon lekceważąco machnęła ręką. - Marty mówi, że jego brat choruje na to każdej zimy. Myślę, że to wszystko przez ten chłód i wilgoć w górach Derbyshire.

- A jednak wujek Gif musi być poważnie chory, skoro Lizzie uznała, że powinna mnie powiadomić.

- I poprosić, żebyś przemierzyła Atlantyki i odwiedziła tego starego diabła w jego zamczysku!

- Nie darowałabym sobie, gdybym zlekceważyła jego poważną chorobę... a poza tym on wcale nie jest starym diabłem, Kate, po prostu czasami bywa drażliwy.

- Cóż za łagodne określenie! - Kate wybuchnęła śmiechem. - Droga Amy, czy wiesz, jak zareagował tak jak zareagował, kiedy dowiedział się, że jego brat chce się ze mną związać? Szkoda, że nie widziałaś listu, który wysłał do Marty'ego. Zagroził, że wyrzeknie się go i wydziedziczy, jeżeli Marty zdecyduje się opuścić Anglię i rodzinę... tu ten stary sknera oczywiście miał na myśli siebie. To się po prostu nie mieści w głowie... Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Chyba nie oceniał cię aż tak źle, skoro pozwolił mi zamieszkać z tobą i z Martym po śmierci moich rodziców.

- Podejrzewam, że zrobił to, bo nie chciał zawracać sobie głowy wychowywaniem dziecka... dziewczynki.

Amy uśmiechnęła się; pomyślała, że pomimo dużej różnicy wieku - Kate była starsza o trzydzieści lat - traktują się raczej jak siostry, a nie jak matka i córka. Kate miała pięćdziesiąt cztery lata, lecz przyznawała się jedynie do czterdziestu

dziewięciu. Od pięciu lat niezmiennie brakowało jej jednego roku do „pięćdziesiątki”, której najwyraźniej nie miała zamiaru przekroczyć.

- No i co ty na to? - zapytała Kate, sięgając po papierosy.

- Nie masz ochoty zganić mnie za to, że ośmieliłam się tak o nim wyrazić?

- Co cię tak niepokoi, Kate? - zapytała Amy, wiedząc, że Kate sięga po papierosy w chwilach zdenerwowania.

Jej przybrana matka zaciągnęła się papierosem, przechyliła głowę tak, że wspaniałe włosy opadły na jedno ramię, wydmuchnęła dym i zapatrzyła się w jego smużkę.

- Skąd ci przyszło do głowy, że coś mnie niepokoi? To, że rano lubię sobie zapalić, nie oznacza jeszcze, że dokuczają mi nerwy.

- Powinnaś rzucić palenie. Marty cię zabije, kiedy się dowie, że nie rzuciłaś, chociaż uroczyście mu obiecałaś, że to zrobisz.

- Uroczyste obietnice zupełnie do mnie nie pasują i Marty doskonale o tym wie. W każdym razie powinien wiedzieć. Jesteśmy już małżeństwem tak długo, że musi dobrze mnie znać. No cóż, ale w tej chwili nie ma go tutaj, a pasta do mebli powinna zabić zapach dymu. Gdybym nie miała swoich papierosów, byłabym skazana na jedzenie słodczy... a wtedy za bardzo bym przytyła. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Czego Marty nie widzi...

Amy zaśmiała się cichutko.

- Mówisz tak, jak gospodyni wujka Gifa. Pamiętam, że często powtarzała te słowa, kiedy mieszkałam w Wydale te kilka miesięcy, zanim przyjechałam do was.

- Chcesz powiedzieć: zanim Gif Weldon się ciebie pozbył? Zanim wysłał cię do Stanów, żebyś zamieszkała z Martym i ze mną? - poprawiła ją Kate, celowo dobitnie akcentując słowa.

- Mówisz tak, jakby wujek Gif sprzedał mnie jak niewolnicę.

- Przecież nie miał pojęcia, jaka jestem. Nigdy mnie przedtem nie widział. Nie widział mnie zresztą do tej pory! Nie raczył mnie nawet zaprosić do Anglii, żebym mogła zobaczyć jego ponure, zimne zamczysko w Highlands w Derbyshire.

- To Derbyshire Peak District, nie Highlands - sprostowała Amy, krztusząc się ze śmiechu. - Highlands jest w Szkocji.

- Tak czy owak to Wielka Brytania. A cała ta wyspa to jedynie mały punkcik na mapie. Highlands, Peaklands... Co za różnica?

Amy dopiła sok owocowy.

- Kate, a więc nie poznałaś osobiście wujka Gifa? - zapytała.

- Nie, kochanie. Poznałam Marty'ego, kiedy przyjechał do Stanów na jakąś wymianę międzyszpitalną, w latach sześćdziesiątych. Po jakimś czasie powiedział mi, że jego brat wpadł w furję, kiedy go powiadomił, że ma zamiar ożenić się z rudowłosą dziewczyną ze Stanów i zamieszkać wraz z nią w Bostonie.

- Ale przecież wujek Gif koresponduje z Martym.

- Tak, ale nie wspomina mnie ani słowem w swoich listach. - Kate Weldon zmarszczyła nos, niezadowolona. - Możesz mi wierzyć... Gifford Weldon to podła kreatura. Nie lubię mówić źle o ludziach, dobrze o tym wiesz, ale ten człowiek budzi we mnie wściekłość. Może to dobrze, że go nie spotkałam i mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie, bo chyba bym go uderzyła za to, jak potraktował Marty'ego.

- To niemożliwe, żeby was nie lubił. Przecież zgodził się, żebyście mnie adoptowali.

- Jak już ci mówiliśmy, kochanie, Gif nie ma najmniejszego pojęcia o tym, jak się wychowuje dzieci. Na pewno bał się, że w jego zamczysku zapanuje bałagan.

- Wydałę Hall to nie zamek. Owszem, dom jest bardzo duży, stary i zbudowany z kamienia, pamiętam również, że

było tam zimno i hulały przeciągi, ale wcale nie jest taki ogromny... W niczym nie przypomina królewskich pałaców w Windsorze czy Balmoral.

- Spędziłaś tam tylko kilka miesięcy. Tyle czasu, ile Gif potrzebował, by spakować twoje rzeczy i wysłać cię do nas.

- Myślę, że wujkowi Gifowi trudno byłoby się mną zajmować, był przecież chirurgiem i większość czasu spędzał w Londynie. - Amy czuła, że powinna jakoś usprawiedliwić postępowanie opiekuna, mimo iż nawet teraz, po tak wielu latach, często zastanawiała się, dlaczego Gif Weldon ją odtrącił. Przecież rodzice powierzyli ją jego opiece, i chociaż nie była z nim w żaden sposób spokrewniona, od wczesnego dzieciństwa nazywała go wujkiem Gifem.

Ojciec był chirurgiem tak jak Gif. Łączyła ich także przyjaźń. Nie należało więc się dziwić, że w tej sytuacji wuj Gif i jego ówczesna żona, Barbara, zostali jej rodzicami chrzestnymi. Amy nie pamiętała żony Gifa. Jedyny dowód na to, że jest jej matką chrzestną, stanowiła pożółkła karta okolicznościowa z nazwiskiem Barbary Weldon. Kiedy Amy miała pięć albo sześć lat, zapytała matkę o żonę wujka Gifa, lecz otrzymała jedynie wymijającą odpowiedź, że ciotka Barbara musiała wrócić do swojej ojczystej Szkocji.

- Ale dlaczego, mamusiu? - zapytała wtedy.

- Tego nie wiemy, kochanie. To sprawa pomiędzy wujkiem Gifem a ciotką Barbarą. Nie powinniśmy zadawać takich pytań.

Amy zadała wówczas to pytanie nie dlatego, że było ono dla niej niezmiernie istotnie; powodowała nią zwykła ciekawość. Nie знаła Barbary Weldon, więc nie drażyła już więcej tematu, wręcz zupełnie zapomniała o istnieniu „cioci”. Dopiero po latach, wkrótce po tym, jak została sierotą, przypomniała sobie o Barbarze Weldon. Amy stała wtedy przed ogromnym marmurowym kominkiem w Wydale Hall i wpatrywała się w olejne malowidło.

Portret Barbary Weldon przedstawiał ciemnowłosą i ciemno-

oką piękność w czarnej aksamitnej sukni na tle różowo-fioletowych wrzosowisk. Amy była wtedy w wieku, w jakim dziewczynki łatwo poddają się wrażeniom, i z wy piekami na twarzy zaczytywała się w powieściach sióstr Bronte. Wydawało jej się, że z malowidła spogląda na nią Katarzyna Heathcliffa z *Wichrowych wzgórz*, kiedy indziej znów, przy nieco innym oświetleniu, kobieta z portretu przywodziła jej na myśl obłąkaną żonę Rochestera z *Dziwnych losów Jane Eyre*. W każdym razie, w ciągu kilku miesięcy, które spędziła w Wydale Hall, leżąc w łóżku wsłuchiwała się we wszystkie skrzypnięcia starego domostwa, a słysząc głuchoe pojękiwania wiatru chowała się pod kołdrę, by duch Barbary Weldon nie mógł jej znaleźć.

Wydale okazało się jedynie krótkim przystankiem dla Amy. Ledwie zdążyła oswoić nieco się z nowym otoczeniem, wuj Gif oznajmił, że wysyła ją do Nowej Anglii w Ameryce, by tam „pobyła jakiś czas” z jego młodszym bratem Martynem, ożenionym z Amerykanką. Powiedział jej, że Martyn ma syna, Kipa, więc będzie miała towarzystwo. Po przybyciu do Stanów Amy przekonała się jednak, że Kip jest prawie osiemnastoletnim młodzieńcem - nieomal mężczyzną - i doszła do wniosku, że na pewno nie będzie chciał zawracać sobie głowy dziewczyną, która dopiero niedawno stała się nastolatką...

Głos Kate przywrócił ją do rzeczywistości.

- Gif Weldon znalazł wyjście z trudnej sytuacji, kochanie. Proszę, nie zrozum mnie źle... dobrze wiesz, że pokochaliśmy cię od pierwszej chwili. A Kip...

Amy zauważyła, że wargi Kate drżą.

- Kip był bardzo szczęśliwy, że ma młodszą siostrzyczkę - powiedziała cicho Amy. - A młodsza siostrzyczka była bardzo szczęśliwa, że ma brata, i szczerze go podziwiała.

Kate głęboko zaciągnęła się papierosem, po czym powoli

wypuściła dym. Spojrzawszy na Amy spod półprzymkniętych powiek, wyznała niemal szeptem:

- Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że go nie ma... Chyba nigdy w to nie uwierzę.

- Nie...nie... - Amy delikatnie pogładziła Kate po rękę.

- Myślisz, że to nienormalne?

- Nie... ale to już tyle czasu...

- Dwa i pół roku temu wysłano go do Anglii. Dwa i pół roku temu ostatni raz widziałam mojego syna. A teraz Gif Weldon chce, żebyś tam przyjechała. Jakby mało było, że straciłam jedno dziecko.

- Nic mi się nie stanie!

- Kipowi też nawet nie przyszło do głowy, że coś mu się może stać, dziecinko!

Amy zamrugała, by powstrzymać łzy cisnące się do oczu,

- Ostatni raz nazwałam mnie tak chyba sto lat temu.

- Utracę cię tak, jak utraciłam syna, jeżeli pojedziesz do tego zakichanego kraju!

Serce Amy ścisnęło się żalem.

- Nie, Kate - wyszeptała. - Na pewno mnie nie utracisz. Wrócę. Obiecuję ci, że wrócę.

- Kip także powinien był wrócić. Nie powinien był zostać tam, w jakiejś głębokiej, zimnej rzece. A swoją drogą, co też wyprawiała tam nasza prześwietna armia... dlaczego pozwolono chłopcom jeździć w środku nocy? Szesnastotonowy transporter! Pytam cię: czy w Anglii drogi, którymi jeżdżą szesnastotonowe transportery, zawsze położone są przy brzegach rzek?

Amy potrząsnęła głową, usiłując oddalić wyobrażenie tego, co przytrafiło się Kipowi.

- Nie wiem, Kate. Chyba nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi. Przecież powiedziano nam, że to czysty przypadek, że to się zdarzyło na moście.

- I czysty przypadek, że był środek nocy, że padał śnieg



z deszczem, że była wichura i oblodzone drogi. Obwiniam amerykańską armię za to, że wysłała tych chłopaków w taką pogodę.

- Ale w Anglii często pada, Kate... bardzo często, podobnie jak i u nas, w Ameryce. Przecież w Bostonie też miewamy okropne zimy. Ten wypadek równie dobrze mógł się zdarzyć tutaj.

Kate wysunęła rękę z dłoni Amy i rozpostarła ramiona, rozsypując przy tym popiół po całym stole.

- Mimo wszystko Anglia musi być wyjątkowo paskudnym krajem, skoro deszcz ze śniegiem, wichury i lód na drogach występują tam równocześnie.

Amy ześliznęła się z wysokiego stołka i okrzyknęła stół.

- Nie musisz mnie pocieszać. - Kate kolejny raz zaciągnęła się papierosem.

- Nie miałam zamiaru wpadać w kliwy ton - zastrzegła się Amy. - Chciałam tylko wytrzeć stół.

- Czyżbyśmy zaczęli dbać o wygląd domu? - Kate próbowała ukryć przygnębienie pod maską ironii.

Amy dobrze wiedziała, jak wielkim ciosem był dla Kate wypadek, na skutek którego Kip wpadł do rwącej rzeki w Lincolnshire w Anglii. Jeszcze trudniejszy do zniesienia był fakt, że nie znaleziono jego ciała. Kate i Marty nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo Amy kochała Kipa.

Kochała?

Ścierając popiół ze stołu, Amy ze zdumieniem stwierdziła, że oto po raz pierwszy od wypadku pomyślała o swym uczuciu do Kipa w czasie przeszłym. Podobnie jak Kate, przez dwa lata miała nadzieję, że Kip da znać, że skontaktuje się z nimi jakiś przedstawiciel armii amerykańskiej i powiadomi, że zaszła pomyłka i Kip żyje. Lecz dwa lata to zbyt wiele czasu na podsycanie nadziei. Zbyt wiele, by nadal wierzyć, że Kip ocalał... i gdzieś sobie żyje! Gdyby znaleziono ciało, Kate i Marty mogliby przynajmniej należycie opłakać

syna, pograżyć się w żałobie. A tak pozostali w nieutulonym żalu, ciągle towarzyszył im smutek...

- Gdybyśmy chociaż mogli odnaleźć dziewczynę, która była z nim w ciąży... - Kate zdusiła niedopałek w popielniczce i natychmiast sięgnęła do paczki po kolejnego papierosa.

Amy westchnęła głęboko, gdy zapalniczka Kate błysnęła ogniem.

- Twoje westchnienia nie zdadzą się na nic, kochanie. Ilekroć przyjdzie mi ochota zadymić sobie płuca, możesz być pewna, że to zrobię.

- Byłoby dużo lepiej, gdybyś jadła słodycze, a nawet znacznie przytyła. - Amy wrzuciła papierowy ręcznik do wiadra na śmieci i włożywszy dłonie do kieszeni dzinsów, w skupieniu przyglądała się Kate.

- Nie znamy nawet nazwiska tej dziewczyny, więc nie mamy szans jej znaleźć - powiedziała.

- Kitty! Miał zamiar się z nią ożenić, a my znaleźliśmy tylko to cudaczne imię.

Kip i Kitty! Amy nie potrafiła myśleć o dziewczynie Kipa, nie odczuwając przy tym piekającej zazdrości. Przyszło jej do głowy, że to bardzo niestosowne uczucie, zważywszy że żadnej z nich nie dane było teraz mieć Kipa. Był gdzieś na dnie głębokiej rzeki... albo został zabrany do morza. To było aż nadto oczywiste. Podpułkownik z oddziału Kipa osobiście napisał do nich o tym, co się stało. List był bardzo krótki: „...wezvano ekipę nurków... ustalono miejsce, w którym spoczywa wrak transportera... wyłowiono trzy ciała...” Lecz do rzeki wpadł transporter z czterema żołnierzami...

- Coś mi się wydaje, że nawet gdybym cię błagała na kolanach, żebyś nie jechała do Anglii, to i tak nic nie pomoże...

Amy posłała Kate wymowne spojrzenie.

- Dlaczego myślisz, że już podjęłam decyzję? - Wzruszyła ramionami w geście bezradności. - Na co tak naprawdę mogę się przydać wujkowi Gifowi?

- Ta Abercrombie uważa, że on po prostu chce cię mieć przy sobie przez jakiś czas. A ja cię dobrze znam, moja droga, jeszcze nigdy nie odmówiłaś nikomu bez ważnego powodu. Więc skoro ten staruch chce, żebyś przyjechała, sądzę, że do niego pojedziesz. Czyżbym się myliła?

- Kate! - Amy rozłożyła ręce. - Kate... co powinnam zrobić? Mam zacząć pracę, o której marzyłam. Dobrze wiesz, jak bardzo chcę pracować z dziećmi w Paisley Junior's. I nagle otrzymuję taką wiadomość. - Zwiesiła głowę, lecz po chwili potrząsnęła nią energicznie i przeczesła palcami gęste jasne włosy. - Boże, co za zamieszanie!

- Będę za tobą tęsknić.

Amy wpadła w buntowniczy nastrój.

- Przecież wcale nie muszę tam jechać!

- Powinnaś. - Kate zdusiła niedopałek z niespotykaną u niej gwałtownością. Podeszła do Amy i położyła jej ręce na ramionach. - To starszy człowiek. A ja jestem wstrętą egoistką i od trzydziestu lat nie potrafię darować mu urazy. Powinnam się tego wstydzić.

Amy zarzuciła ręce na ramiona Kate. Wpatrując się w nią z uwagą, zrozumiała, że stojąca przed nią zadbana, szczupła kobieta jest przede wszystkim jej prawdziwą amerykańską matką.

- Wróć - powiedziała cicho. - Mówiłam ci już, Kate, że na pewno wróć.

- Żyjemy w dziwnym świecie. Ledwie człowiek pomyśli, że dobrze mu się układa, a wszystko zaczyna się walić.

- Ale ja na pewno wróć.

- Taak... Musisz wrócić. Będziemy na ciebie czekać, Marty i ja. Czy mogę cię o coś prosić, kochanie?

- Możesz mnie prosić o wszystko, Kate.

- Spróbuj odnaleźć tę Kitty... i dziecko, którego oczekiwała, dobrze? - Oczy Kate zwilgotniały. Energicznie przetarła je dłonią i powiedziała schrypniętym nagle głosem: - Och! Co

ja plotę. Jakież ja mam prawo mieć takie tęsknoty? Coś musi być nie tak z moimi hormonami.

- Tęsknoty, Kate? - spytała Amy z uśmiechem.

- Tęsknoty! Właśnie! Mam tęsknoty. Jestem szalona. Ale straciłam syna, a tam gdzieś, tysiące mil stąd, pozostała jakaś jego część. Ta Kitty nosiła mojego wnuczka albo wnuczkę, kruszynę, która teraz musi mieć jakieś dwa lata. Nie mogę się otrząsnąć z tej tęsknoty do bycia babcia... więc odszukaj ją dla mnie, dziecinko. Obiecasz mi, że spróbujesz? Znajdź Kitty i to dziecko, to może wspomnienie Kipa przestanie mnie prześladować.

John Graham, szofer Gifforda Weldon, rozpoznał dziewczynę od razu. Lekko przechylona na bok jasna głowa, śmiała i otwarte spojrzenie szarych oczu; stary Weldon dał mu zdjęcie, żeby wiedział, kogo ma oczekiwać. W sali przylotów panował tłok, lecz ona rzucała się w oczy - elegancka i pewna siebie. Był zimny, nieprzyjemny grudniowy dzień, ale robiła wrażenie osoby nie zwracającej uwagi na pogodę. Miała na sobie kurtkę z wielbłądziej wełny, a pod nią kaszmirową garsonkę, wytworną, choć skromną. Nie spodziewał się, że będzie ubrana na brązowo; na fotografii była w niebieskim podkoszulku, więc - zupełnie bezsensownie, jak sobie uświadomił - spodziewał się, że z samolotu wysiądzie dzieciak w takim niebieskim ubraniu.

Wcale nie była już dzieckiem. A kiedy rozpromieniła się na jego widok, gnuśny grudniowy dzień wydał mu się nagle środkiem lata. Podeszła do niego bez wahania.

- Witamy w domu, panno Weldon... - odezwał się czując dziwne dławienie w gardle. Zawsze sobie pochlebiał, że nie jest hipokrytą, jak więc mógł się do niej zwrócić w ten sposób, z tym przyklejonym do ust uśmiechem? „Witamy w domu”, też coś. Gdyby tylko mógł, poradziłby jej, żeby zawróciła na

pięcie i wracała do Nowej Anglii. W głębi duszy jednak wiedziała, że i tak by go nie posłuchała.

- Jest pan kierowcą mojego wuja? - spytała wyciągając do niego rękę.

Skrzywił się bezwiednie na dźwięk jej nosowego jankeskiego akcentu. Doszedł do wniosku, że będzie potrzebowała przyjaźni; mocnym uściskiem dłoni starał się dać jej do zrozumienia, że może na nim polegać. Aż go skręcało ze złości na starego Weldona i przeklinał go za to, że kazał jej przyjechać.

Gdyby została w Ameryce, nigdy by się nie musiała dowiedzieć prawdy o swoim opiekunie. A w tej sytuacji, wcześniej czy później - raczej wcześniej - będzie musiała poznać sekrety Wydale Hall. Tajemnice tego starego, rozpadającego się domostwa, które stało się bliźną... nie, nie tyle bliźną, co ziejącą raną na wzgórzu nad rzeką. Góry Pennińskie i szerokie doliny Derbyshire były nieskończenie piękne, lecz Wydale utraciło wszystkie swoje uroki. Niegdyś to miejsce mogło być przedmiotem dumy, ale Gifford Weldon doprowadził je do żałostnego upadku.

Biedne dziecko! Jonh Graham puścił wreszcie dłoń Amy. Zdecydował, że na razie nie będzie jej o niczym uprzedzał. Starał się utrzymać jowialny ton.

- Czyż to nie zadziwiające, że tak od razu się rozpoznał? -

Przytaknęła radośnie.

- Lizzie... to znaczy pani Abercrombie, gospodyni wuja, opisała mi pana w liście. Domyślam się też, że wujek Gif pokazał panu moje zdjęcie?

- Zgadza się, panienko. - Graham zmrugał oczy w uśmiechu.

- Wie pan, co powinnam teraz zrobić, panie Graham?

- Proponuję, żeby zajęła pani miejsce w samochodzie. Potem wrócę po pani rzeczy. Zaprowadził ją do czarnego samochodu i otworzył tylne drzwi.

- Czy będzie panu przeszkadzało, jeżeli usiądę obok pana?
- spytała. - Na tylnym siedzeniu będę się czuła samotna.
- Wcale mi nie będzie przeszkadzało, panno Weldon
- zapewnił z uśmiechem. - Będzie to dla mnie miłą odmianą...  
móc z kimś porozmawiać.

Zsunawszy z ramion grubą kurtkę, wśliznęła się na przednie siedzenie dla pasażera i usadowiła się na nim wygodnie.

Kiedy John Graham zostawił ją, a sam udał się po bagaż, Amy oparła głowę o podgłówek, uwalniając się wreszcie od napięcia, jakie towarzyszyło jej w samolocie. Nienawidziła startów i lądowań, ale w czasie długiego lotu udało jej się trochę przespać.

Wróciła myślami do Bostonu, do Nowej Anglii, do Kate i Marty'ego Weldonów. Miała nadzieję, że nie będą za nią tęsknić zbyt mocno, choć, prawdę mówiąc, sama już za nimi tęskniła! Dwanaście lat to wystarczająco długo, by stać się częścią rodziny, która była prawdziwą rodziną, dopóki nie nadeszła wiadomość o zaginięciu Kapa.

Wspomnienie Kipa wzbudziło ból i nieutulony żal.

- Kip - mruknęła niecierpliwie - czy już nigdy się od ciebie nie uwolnię?

Westchnęła skupiając uwagę na otoczeniu, na ożywionym ruchu dokoła. Dziwiło ją, że wszystko wydaje jej się obce. Przypomniała sobie jednak, że dwanaście lat temu była właściwie jeszcze dzieckiem. Poczowała kołysanie i obróciła się na siedzeniu. John Graham układał jej rzeczy w kufrze samochodu. Kufer! Czy to właściwe określenie, zastanawiała się przez chwilę, marszcząc czoło. Nie! Miała wrażenie, że ktoś nazywał to zupełnie inaczej ale jak?

Ciemnoniebieski uniform przesłonił boczne okno, John Graham otworzył drzwi od strony kierowcy i usiadł za kierownicą.

- Zaopiekowałem się wszystkim - zażartował, zerkając na nią przelotnie. - Jednym kufrem, jedną brązową walizką i jednym dywanem, wszystko zapakowane do bagażnika.

- Bagażnik! No tak. Właśnie sobie próbowałam przypomnieć, jak to nazywacie tu, w Anglii. Oczywiście: miejsce na bagaż. Pewnie następne pół roku będę musiała spędzić ze słownikiem w rękę, żeby poprawić swoje słownictwo, panie Graham.

Zatrzasnął drzwi, a potem podnosząc do góry palec rzekł:

- Panno Weldon, w Wydale jestem znany jako po prostu Graham. Wolałbym, żeby mnie pani nie nazywała panem Grahamem.

- Po prostu Graham... to brzmi tak sztywno i nieprzyjaźnie.  
- Skrzywiła się z dezaprobatą, ale szofer już uruchomił silnik i skupił całą uwagę na włączeniu się do ruchu.

- Ile zajmie nam droga do Wydale, panie Graham?

- Powinniśmy zdążyć na podwieczorek, panienko.

- Jak długo pracuje pan u mojego wuja? Nie wiedziałam, że postarał się o kierowcę. Dawniej zawsze sam prowadził samochód.

Graham zerknął do wstecznego lusterka, nim odpowiedział.

- Jestem w Wydale już od pięciu lat. Odkąd lekarz pana Weldona zakazał mu prowadzenia samochodu, po stwierdzeniu problemów z sercem.

- Ale wujek Gif jest teraz zdrowy, prawda?

- Musi się oszczędzać. - John Graham skoncentrował się na wjeździe na główną drogę. - Nie wolno mu się denerwować - dodał po chwili.

Amy przekrzywiła głowę z zaciekawieniem.

- Nie sądzi pan chyba, że ja go będę denerwować?

- Nie, jeżeli szybko się pani nauczy mówić królewską angielszczyzną.

- O Boże! Jak pan myśli, czy to możliwe w ciągu półtorej godziny?

- Na pani miejscu bym się nie martwił.

- Przecież nie mogę się zmienić w mgnieniu oka. - Zamilkła na chwilę, zagryzając dolną wargę. - W końcu mieszkałam z amerykańską rodziną przez dwanaście lat, ukończyłam amerykańską szkołę i otrzymałam dyplom uprawniający do nauczania amerykańskich dzieci. Zostawiłam w Nowej Anglii amerykańskich przyjaciół. Do licha! To chyba normalne, że nabrałam amerykańskiego sposobu mówienia?

- Jestem pewien, że pani wuj okaże zrozumienie, panienko.

Amy nie była tego taka pewna. Do tej pory ani razu nie przyszło jej do głowy, że nagle zacznie się bać powrotu do Wydaleń Hall.

- Mieliśmy tu amerykańskich żołnierzy podczas wojny, panienko.

- Taak! Tyle że wojna się skończyła ponad pięćdziesiąt lat temu, panie Graham, a mogę się założyć, że wuj Gif, unikał towarzystwa Jankesów jak tylko się dało. - Wyjrzała przez szybę. Jechali z dużą szybkością po autostradzie.

- Będę chyba zwracać na siebie uwagę jako odmieniec? - Zmarszczyła nos.

- Będzie pani miłym powiewem świeżego powietrza, panienko... tak mi się przynajmniej wydaje.

Wyczuła szczerłość w jego głosie i podniosło ją to na duchu.

Panował duży ruch. Nie zdawała sobie sprawy, że angielskie drogi są tak zatłoczone. Przez dłuższy czas siedziała w milczeniu; John Graham włączył radio, żeby posłuchać komunikatów o sytuacji na drogach i prognozy pogody. Zbliżali się do skrzyżowania. Zgasił radio i skręcił w lewo.

- Nie zostajemy na autostradzie? - zdziwiła się.

- Nie, panienko. Korzystamy z nich tylko przy dłuższych trasach... i nazywamy je w Anglii drogami szybkiego ruchu, nie autostradami. - Mrugnął do niej przyjaźnie.

- Będę musiała pana zatrudnić jako tłumacza, panie Graham.



- Bez tego „pana”, proszę, panno Weldon. Proszę spojrzeć, jesteśmy już prawie w Derbyshire. Wolałbym, żeby pani mnie tak nie nazywała, kiedy znajdziemy się już w Wydale.

- W takim razie, jak mam pana nazywać? Czy może być John?

- Nie, panienko. Po prostu Graham wystarczy. Pani wujowi by się nie spodobało, gdyby pani nazywała mnie inaczej niż po prostu Graham.

Uniosła wysoko brwi.

- Nie wydaje mi się to właściwe, panie Graham.

- Kierowcy są prostymi ludźmi, panienko. Kierowcy to służba.

- No cóż, myślę, że prostota może cechować nie tylko kierowców. - Zrobiła śmieszny minę. - Czyż nie pasuje do mojej gapowatości, rozczochranych płowych włosów... nie mówiąc już o garbatym nosie, który wciąga mnie w nieustanne tarapaty, kiedy wtykam go tam, gdzie nie trzeba?

- Tarapaty, panienko? - Spojrzył na nią z ukosa i spytał z udawanym zdziwieniem: - A co to są te tarapaty?

- Teraz mnie pan nabiera, - powiedziała przeciągając głoski. - Wszyscy wiedzą, co to są tarapaty.

- Owszem, panienko, żartowałem! Bywam w kinie i widziałem mnóstwo amerykańskich filmów, ale jeśli się pani spodziewa, że wuj zrozumie pani słownictwo, to chyba wymaga pani trochę za wiele.

- Chryste! - Przestraszyła się nie na żarty. - Jest aż tak źle? Mam na myśli moje słownictwo?

- Nie powiedziałem, że jest złe, panienko. - Graham nagle stracił chęć do rozmowy o jej wuju; wyprostował się uważnie manewrując pojazdem na wąskiej uliczce przecinającej małą wioskę.

- Do licha - mruknęła Amy pod nosem - do czego ja wróciłam.

- Wróciła pani do ludzi, którym leży na sercu pani dobro - rzekł ostro. - Niech pani w to nie wątpi, panno Weldon. Choćby pani Abercrombie... nie może się pani doczekać.

- Naprawdę brakowało mi Lizzie. - Oczy jej zwilgotniały. - Pisywała do mnie, wie pan? Przez całe dwanaście lat. To coś znaczy.

- Wydałę by się zawaliło bez pani Abercrombie.

- Ona jest istnym smokiem, Po Prostu Grahamie! Do tej pory musiał pan sam to odkryć?

Kaçiki ust kierowcy uniosły się, lecz nie powiedział ani słowa.

- Ale kochanym, dobrym smokiem - dodała Amy.

Graham roześmiał się głośno.

- Wuj Gif chyba nie zmienił się w zrzęde? - spytała.

- Nie wiem, co pani ma na myśli, panienko.

- Sam pan mówił, że obdarłby pana ze skóry, słysząc, jak się do pana zwracam! O to mi chodzi - stwierdziła bez ogródek.

Znów nie odpowiedział, ale po tym, jak nagle zeszywniał, domyśliła się, że John Graham nie lubi jej wuja. Poczula się nieswojo, bo pamiętała wuja Gifa jako miłego staruszka. Z tego, co pamiętała, był tylko może trochę oschły i staroświecki z wyglądu. Nie miała jednak pojęcia o tym, że Gif Weldon był tyranem jako pracodawca i często wzbudzał postrach u służby.

- Wuj Gif jest dobrym człowiekiem - upierała się.

- Tak, panienko. - Graham skupił się bez reszty na zmianie biegu przed wjazdem na strome zbocze.

Przez dłuższą chwilę się nie odzywała, podziwiając przez okno urodę oszronionych żywopłotów i niewielkich domków z wysokimi dymiącymi kominami. Na horyzoncie widziała odległe szczyty, których wierzchołki ginęły we mgle.

Wciągnęła głęboko powietrze, żeby uspokoić mocno bijące serce, które ożywiło się na widok znajomego krajobrazu.

- To już Peak District, panie Graham. - W głosie Amy słychać było rozpieszczającą radość.

- Przed nami jeszcze kawał drogi, panienko. Najpierw musimy przejechać przez Blackthorn Pass... a to może być trudne przy takiej mgłę i mrozie, jaki mamy dzisiaj.

Zadrżała, nie ze strachu, lecz w niecierpliwym oczekiwaniu tego, co miało nadejść.

- Pamiętam, jak wujek Gif pierwszy raz zabrał mnie przez przełęcz tym swoim małym kabrioletem. Czułam się wtedy, jakbym wjeżdżała na szczyt świata.

Zignorował wzmiankę o wuju.

- Ja się bardziej przejmuję zjazdem, panienko. Jest tam parę ostrych zakrętów, parę urwisk i skalnych przepaści.

- Ale to cudowne przeżycie, panie Graham, widzieć całe Derbyshire rozpostarte u swoich stóp.

.- Owszem, panienko. - Najwyraźniej nie był spragniony tego rodzaju przeżyć. - Ale przejazd przez przełęcz dziś rano nie należała do łatwych. Mgła była gęsta jak ryżowy pudding.

Odchyliła się na oparcie fotela; serce się uspokoiło. Ziewnęła. Uświadomiła sobie, że jest na nogach od świtu, ale nie chciała zamykać oczu, by nie przegapić wspaniałego widoku szczytów. Wróciła myślą do rozmowy z Johnem Grahamem sprzed paru minut, przerwanej okrzykami zachwytu nad wzgórzami Derbyshire. Zrodziło się w niej przecucie, że podczas jej nieobecności w Wydaleń musiały zajść duże zmiany. John Graham wyraźnie nie chciał mówić o jej wuju. Czuła, że najlepszym wyjściem będzie jasne postawienie sprawy. Wiedziała, że wuj Gif był jej wybawicielem.

- Wie pan, tak naprawdę on nie jest moim wujem.

- Wiem, panienko.

Graham zrobił się jakiś obcy. Amy zależało na tym, by powrócił wcześniejszy cień zażyłości. Czuła, że musi szoferowi dokładniej wyjaśnić sytuację.

- Moi rodzice nie żyją. Wujek Gif jest moim ojcem chrzestnym.

- Naprawdę, panienko? - Teraz wydawał się wręcz znużony. Jego ton zniechęcał do jakiegokolwiek dalszej rozmowy o Giffordzie Weldonie.

- Mój ojciec był lekarzem.

Graham znów zmienił bieg; samochód nabrał prędkości.

- Byli z wujem Gifem kolegami. Pracowali w tym samym szpitalu. Wuj Gif był chirurgiem.

Graham milczał.

- Nie chce pan się niczego więcej o mnie dowiedzieć? Amy zaczynała się niecierpliwić.

- To nie moja sprawa, panienko.

Blackthorn Pass wywarła na niej takie samo wrażenie jak wówczas, gdy była dzieckiem. Wkrótce potem czarny samochód opuścił drogę biegnącą doliną i wjechał na krętą prywatną drogę prowadzącą do Wydaleń. Dom, jak zawsze, ukryty był pośród drzew. Można go było ujrzeć dopiero za ostatnim zakrętem, gdzie kamienny most przecinał rzekę Eston.

Amy pamiętała te wszystkie szczegóły, co tylko wzmagало jej podekscytowanie. Wychyliła się do przodu na fotelu. Rzeka była wezbrana; lśniła ciemną powierzchnią wody w słabym przedwieczornym świetle.

John Graham zaśmiał się cicho.

- Cieszy się pani, że pani wróciła?

Pokiwała głową, niezdolna do wypowiedzenia choćby jednego słowa. Coś ją uwierało w gardle. Nie spodziewała się, że tak to przyjmie. Pamięć to dziwne zjawisko. A poza tym, Wydaleń przyjęło ją wówczas, przed łaty, kiedy jej świat się zawalił.

Dom wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała; przysadzisty, z kwadratowymi wieżyczkami, głęboko cofniętymi witrażowymi oknami i wysokimi, bogato zdobionymi kominami. Z mostu na Eston Wydaleń robił wrażenie średnio-

wiecznej twierdzy, mocno osadzonej na zboczu jednego ze wzgórz Derbyshire.

Czarny samochód wspiał się na wzniesienie i wjechał przez otwartą bramę na wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec. John Graham zahamował płynnie przed głównym wejściem, gdzie zeschłe pnącza róż i kapryfolium oplatały wielki łukowaty ganek ocieniający drzwi domu.

Amy rozpięła pas bezpieczeństwa i wciągnęła głęboko powietrze, żeby się uspokoić. Z cienia ganku szła ku niej męska postać... ku resztkom dziennego światła.

Z początku go nie poznała. Gif Weldon się zmienił; był teraz starym człowiekiem. John Graham wysiadł i obszedł samochód, żeby otworzyć jej drzwi. Amy wcale się to nie podobało; z powodzeniem mogła otworzyć je sama. Położyła już rękę na klamce, ale uprzedził ją, stając niemal na baczność. Kiedy wysiadłszy mijała go, obdarzył ją ledwie zauważalnym uśmiechem.

Wuj Gif szedł powoli w jej stronę. Jego wygląd niemile ją zaskoczył. Dwanaście lat temu Gif Wełdoń był wysokim, smukłym mężczyzną. Teraz był zapadnięty w sobie, przygar-

biony; mimo grubego tweedowego płaszcza, którym był okryty, widać było, że niepokojąco wychudł. Wprawdzie nigdy nie miał zbyt wiele ciała, ale dawniej czerstwa twarz nosiła wyraz dobroduszości. Teraz jej rysy się wyostrzyły i ściągnęły, a zawsze dość rzadkie włosy zanikły prawie zupełnie, odsłaniając sieć niebieskich żył na czaszce i czole; brązowe starcze przebarwienia odcinały się wyraźnie na bladej skórze.

Jedynie głos pozostał taki jak kiedyś, choć stał się nieco drżący.

- Amy! Moja droga, kochana Amy! Ależ ty urosłaś! Ale i tak wszędzie bym cię poznał.

Otworzył przed nią ramiona, lecz jakoś nie potrafiła rozbudzić w sobie chęci, by się w nich znaleźć. Zbyt długo trwała rozłąka, a i Gif Weldon nigdy nie należał do osób wylewnych. Od czasu do czasu zdarzało mu się pogłaskać ją po głowie i były to jedyne przejawy serdeczności, jakich od niego zaznała.

Kiedy teraz stanął przed Amy, zdobyła się jednak na to, by podać mu obie dłonie i nie cofnąć ich zaraz przed jego zimnym, zaborczym dotknięciem. Miał skórę cienką jak papier, czuła każdą kosteczkę. Odniosła wrażenie, że wita się ze szkieletem.

- Wujku Gifie... - Brakowało jej słów. Cóż mogła mu powiedzieć? Wyglądał tak staro, tak mizernie... Uświadomiła sobie, że z bliska wydaje jej się niemal obcy.

- Rad jestem, Amy, że zdecydowałaś się przyjechać.

- Martwiłam się. Lizzie pisała mi w liście, że jesteś chory.

- Nawet w jej własnych uszach te zwroty brzmiały sztucznie, jak zdawkowe uprzejmości.

- Choroba minie. Wszystko mija.

Zadrżała. Cieszyła się, że puścił jej ręce. Tam, w Nowej Anglii, z Kate i Martym Weldonami, łatwo było się wyzbyć brytyjskiej powściągliwości, w jakiej wyrosła. Jednak tu,

w Anglii, sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej, jakby czas się cofnął. Przypomniała sobie, że kiedyś jako dziecko, nim zmarli rodzice, wdrapała się na kolana wuja Gifa, żeby mu podziękować za prezent urodzinowy. Był wtedy zakłopotany, delikatnie postawił ją z powrotem na podłodze i trzymał na odległość...

- Zszedłem po południu aż do mostu, żeby was wyglądać. Spodziewałem się, że przyjdziecie wcześniej.

Zorientowała się, że mówi nie do niej, lecz do stojącego za jej plecami Johna Grahama. Z jego głosu przebijało rozdrażnienie.

- Lot był opóźniony, wujku Gifie - odezwała się łagodnie.

- Nic nie mogliśmy na to poradzić.

- Mogłeś zadzwonić i mnie powiadomić. - Znow zwracał się bezpośrednio do kierowcy.

- Próbowałem, sir. Telefon był zajęty.

- Bzdura! - Stary człowiek dyszał ciężko; kłótnia stanowiła dla niego duży wysiłek.

Graham zauważył niepokojące objawy i nie chciał jeszcze bardziej denerwować pracodawcy. Powiedział więc szybko:

- Przykro mi, sir.

- Ja też żałuję.

Protekcjonalny ton, jakim wuj zwracał się do kierowcy, wydał się Amy niestosowny. Jako uczennica w Nowej Anglii z całym przekonaniem występowała przeciw nierównościom między ludźmi, ze szczerym zaangażowaniem brała udział w debatach na temat bezklasowego społeczeństwa. Teraz złapała się na tym, że porównuje swoje życie w Ameryce z tym, do jakiego wróciła. Różnica pomiędzy swobodnymi w obejściu Weldonami a wujem Gifem stawała się coraz wyraźniejsza. Marty Weldon w niczym nie przypominał starszego brata i Amy dziękowała za to Opatrzności.

Odwrociła się na pięcie. Wuj był jej drogi, ale wiedziała,



że nie może się rozstać z Johnem Grahamem bez podziękowania. Podeszła do kierowcy i chwyciwszy jego dłoń obciągniętą skórzaną rękawiczką, uściśniła ją mocno.

- Dziękuję za troskliwą opiekę. - Uśmiechnęła się. - Bardzo mi była potrzebna.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Weldon.

Wróciła do wuja; zrobiło jej się go żal. Był taki chudy i słaby... i nie kochany. Bez słowa usunął się na bok i dał znak, by weszła przed nim do domu.

- Jest stanowczo za zimno, żeby tu sterczeć. Ten piekielny mróz trzyma od czterech dni, moje dziecko. - Z trudem oddychał wchodząc za nią do środka; odwracając się, by zamknąć drzwi, dodał: - Nie było potrzeby dziękować Grahamowi, moja droga Amy. Ten człowiek jedynie wykonał pracę, za którą jest należycie wynagradzany.

- Ten człowiek? - Wychwyciła w jego głosie ostrą nutę, której nigdy wcześniej nie słyszała. - Czy tak właśnie traktujesz Johna Grahama? Jak człowieka?

Przyjrzał jej się uważnie.

- Mam nadzieję, że Amerykanie nie wciskają ci do głowy jakichś nonsensów.

- To zależy, co uznajesz za nonsensy - odparła, siląc się na lekki ton, choć nie pasował wcale do jej słów.

- To całe gadanie o wolności, równości... całą tę paplaninę, którą Amerykanie tak uwielbiają.

- Ale Stany Zjednoczone zostały stworzone na zasadach wolności i równości, wujku Gifie...

Otworzył kolejne drzwi, które prowadziły do wielkiego, prawie pustego pomieszczenia; poczuła ogarniający ją chłód.

- Jest wolność i wolność - rzekł ze zniecierpliwieniem. - Tak jak równość i równość. - Zaśmiał się szorstko, co zapewne miało złagodzić wymowę jego słów, po czym mówił dalej: - Powiada się, moja droga, że wszyscy ludzie są równi.

Ale jedni są równiejsi niż drudzy. Rozumiesz, co mam na myśli?

Amy nie chciała być nieuprzejma, ale krew jej się niebezpiecznie wzburzyła.

- Thomas Jefferson ustalił, że wszyscy ludzie mają prawo do życia, wolności i poszukiwania szczęścia...

Ziemista cera Gifa Weldona nabrała nieco koloru, gdy odpowiedział ostro:

- Chciałabyś się podzielić tym wszystkim, co posiadasz, z jakimiś włóczęgami? Przyjęłabyś pod swój dach nędzarza, złodzieja, prostytutkę?

Nie mogła uwierzyć, że mówi do niej w ten sposób. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek ukochany wuj Gif podniósł na nią głos. Opuściła wzrok na kamienną posadzkę wielkiego hallu. Słabo oświetlony, wyłożony boazerią pokój robił przygnębiające wrażenie. Na surowych ścianach z kamienia wisały żelazne kaganki na olej, dające migotliwy poblask. Powrót do domu zaczynał przybierać postać sennego koszmaru!

Mimo to Amy zastanawiała się, czy przypadkiem nie była zbyt szczerą i zbyt pochopną w osądach. Bezradnie uniosła głowę i spojrzała na pochyloną, lecz stanowczą w wyrazie postać wuja.

- Przepraszam - rzekła cicho. - Wujku Gifie, tak się cieszyłam, że tu wracam. Nie chciałam, żeby tak się rozpoczął mój pierwszy dzień tutaj.

Twarz natychmiast mu złagodniała.

- Dziecko! Nie wyobrażasz sobie, czym były dla mnie te ostatnie lata.

Nie znajdowała w sobie odpowiedzi. Przecież to on ją odesłał, a teraz mówił tak, jakby to ona porzuciła go z własnej woli.

Minął ją poklepując przelotnie po ramieniu. Wsunęła ręce głęboko do kieszeni kurtki i podeszła razem z nim do

wielkiego marmurowego kominka, w którym z trzaskiem palił się ogień. Wuj stał zapatrzony w skaczące niskie płomienie, trzymając ręce wyciągnięte w stronę ognia.

Amy i tym razem nie mogła oderwać wzroku od portretu Barbary Weldon, ale wuj jakby nie zauważał mocno zakurzonego wizerunku byłej żony. W świetle ognia widać było, jak niedbale jest ubrany. Amy poczuła się przykro zaskoczona, gdy dostrzegła, że jego ubranie jest wprawdzie czyste, ale jeden rękaw płaszcza jest zacerowany, a kołnierzyk koszuli postrzępiony. Gdy spuściła wzrok, ujrzała buty o koślawych obcasach, ze śladami przetarcia wyzierającymi spod warstwy pasty. Dawniej wuj Gif za nic nie włożyłby zniszczonych butów, prędzej by je spalił.

Ogarnęła ją fala złych przeczuć. Patrząc na oliwne kaganki powiedziała:

- Te lampy są bardzo oryginalne.
- Elektryczność jest doprowadzona tylko do głównych pomieszczeń, moja droga. - Odwrócił się do niej. Najwyraźniej zapomniał o jej wcześniejszych słowach. - Rozumiesz, to przez ten generator. Został zainstalowany w latach czterdziestych i od razu był za słaby, żeby zaopatrzyć w energię cały dom, Ale to, co jest, wystarczy.

Zaniepokoiła ją nuta gorczy w jego głosie. Dawniej zawsze cechował go patriotyzm i duma. A ona tak długo żyła w innym świecie, że zapomniała już, jak ważnym wynalazkiem jest elektryczność.

- Myślę, że znów się przyzwyczaję - odezwała się miękko.
- W Stanach łatwo uznać pewne rzeczy za oczywiste.
- W tym cały problem z ludźmi - mruknął. - Daj im palec, a będą chcieli całej ręki. Dziś nie mogą żyć bez odbiorników telewizyjnych i muzyki odtwarzanej mechanicznie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.
- Takie rzeczy są niezbędne w latach dziewięćdziesiątych, wujku Gifie.

- Telewizja? Niezbędna? - Spiorunował ją spojrzeniem.  
- Sądziłam, że ci się spodoba... bo mieszkasz tak daleko od świata.

- Nie wpuściłbym jej do domu - warknął.

- Nie masz telewizora? - Nie mogła uwierzyć.

Machnął ręką lekceważąco.

- Lizzie Abercrombie ma przenośny czarno-biały odbiornik. Z pewnością pozwoli ci oglądać, skoro musisz.

- Ale numer!

Zauważyła, że skrzywił się słysząc te słowa; John Graham nie bez powodu próbował ją ostrzec. Będzie musiała odtąd panować nad językiem i zdecydowanie wystrzegać się żargonowych wyrażeń. Przypomniawszy sobie o Johnie Grahamie, obejrzała się ku drzwiom, zastanawiając się, dokąd trafił jej bagaż.

Gif Weldon jakby czytał w jej myślach.

- Graham zabrał twoje rzeczy na górę tylnymi schodami.

- Tylnymi schodami? - zdumiała się. - Przecież one są po drugiej stronie domu. Szedł taki kawał drogi z ciężkimi manelami?... - Urwała przygryzając wargę. Manele! Czemuż, ach, czemuż nie pomyślała i nie powiedziała „z bagażami”, jak przystało na dobrze ułożoną angielską dziewczynę?

Gif Weldon znów niecierpliwie machnął ręką.

- Służba nie wchodzi głównym wejściem, Amy. Służący korzystają z tylnych schodów. I, na litość boską, dziewczyno, staraj się używać poprawnej angielszczyzny. „Manele” to nie jest słowo, którego użyłaby dama.

Gdyby serca naprawdę pękały, w tamtej chwili serce Amy byłoby w prawdziwym niebezpieczeństwie. Na szczęście, od strony długiego korytarza z boku dobiegł odgłos człapiących kroków i ukazała się kobieta zmierzająca wyraźnie w ich stronę. Amy zastygła w bezruchu.

- Lizzie! - zawołała radośnie, podnosząc dłonie do ust,

kiedy krocząca zamasyżuje Lizzie Abercrombie stanęła tuż przed nią.

Nie zmieniła się ani trochę! Wysoka na sześć stóp sylwetka jak zawsze emanowała pewnością siebie. Kręcone siwe włosy sterczały na wszystkie strony wokół pociągłej twarzy. Kościste nadgarstki wystawały z rękawów czerwonego wełnianego swetra, który był za krótki, za obcisły i po prostu za mały. Amy została porwana z miejsca i niemal uduszona, gdy Lizzie energicznie przygarnęła ją do swych płaskich piersi.

Wtulona w czerwony sweter, jakby był kamizelką ratunkową na niespokojnych falach, Amy załamała się i wybuchnęła nieopanowanym szlochem.

- Och, Lizzie... - Włókienka wełny łaskotały ją po nosie; teraz już obie, wprost zalewały się łzami.

Amy nie wiedziała, jak długo tak stoją. Jedna kurczowo trzymała się drugiej wymieniając w zawrotnym tempie pytania i odpowiedzi, dopóki Lizzie nie nabrała pewności, że żadna krzywda nie spotkała jej dawnej podopiecznej, a Amy w końcu uwierzyła, że pod jej nieobecność przynajmniej jedno pozostało bez zmian - niezmiernie uczucie, jakim darzyła ją Lizzie.

W końcu gospodyni odsunęła się od dziewczyny na odległość ramienia i, wciąż jeszcze pociągając nosem, stwierdziła:

- Stary sobie poszedł. Chyba się zamknął w swoim gabinecie.

Amy przetarła oczy dłonią i rozejrzała się po hallu.

- Do licha! Jeszcze sobie pomyśli, że mi na nim nie zależy.

- I dobrze mu tak. Słyszałam, jak z tobą rozmawiał. Ledwie wróciłaś do domu, już udziela ci pouczeń na temat poprawnego wystawiania się. Powinien się wstydzić. Co innego, gdyby cię wysłał do Francji zamiast do Ameryki i gdybyś przywiozła stamtąd jakiś dziwaczny paryski akcent.

Amy zdusiła w sobie śmiech.

- Nie miał pod ręką brata we Francji, Lizzie.  
- Taak - mruknęła gospodyni. - Choć, jak sądzę, naprawdę miał na sercu twoje dobro, kiedy cię wysyłał do Jankesów.

- Chciałabym go kochać, Lizzie. Nie chcę go ranić.

- Wiem, kwiatuśku. On jest po prostu dziwny pod pewnymi względami. Nie znosi okazywania uczuć i tego typu rzeczy. No i wszystko musi być u niego zapięte na ostatni guzik.

- Powinnaś go dobrze znać, Lizzie. Jesteś z nim od dawna.

- Taak! Przyzwyczaiałam się do jego grymasów. Często zdarza mi się powiedzieć mu coś do słuchu.

- Powinien się z tobą ożenić. Byłby wtedy bardziej ludzki - wpadła na pomysł Amy.

Lizzie spojrzała na nią z ukosa, a w jej oczach pojawiła się czujność. Niespodziewanie zmieniła temat.

- Pewnie jesteś głodna, dziewczyno. Najpierw jednak obejrzyj swój pokój. Ten sam, który zajmowałaś kiedyś jako mała dziewczynka, tuż obok mojego.

- Nie byłam znów taka mała, Lizzie.

- Dla mnie byłaś mała, skarbie.

- Uwielbiałam ten pokój. Z okna rozciągał się widok ponad wzgórze, aż do zagajnika, gdzie stoi stara kaplica.

- Ze starej kaplicy niewiele zostało, panienko Amy. Parę lat temu uderzył w nią piorun i spaliła się.

- Kaplica? Nic mi o tym nie pisałaś w listach, Lizzie.

- Nie chciałam cię tym smucić. - Gospodyni ruszyła w stronę schodów wychodzących z wielkiego hallu. Widząc, że dziewczyna nie podąża jej śladem, zatrzymała się u podnóża z ręką na ozdobnie rzeźbionym słupku i odwróciwszy się spytała:

- Na co czekamy, panienko?

- Kaplica. Chcę wiedzieć o niej wszystko.

Lizzie wzruszyła kościstymi ramionami.

- Niewiele jest do powiedzenia. Była straszna burza. Później trzeba było wyciąć niektóre drzewa wokół kaplicy. Pozostawienie ich było zbyt niebezpieczne. To miejsce wygląda teraz okropnie. Można się przestraszyć.

- Och, Lizzie... - Amy weszła na schody za gospodynią.

- Hej! Dosyć łez! - zarządziła Lizzie.

Dziewczyna zdobyła się na uśmiech.

- Ja się nie rozklejam. Naprawdę, Lizzie, nic mi nie jest.

- Przekonałam jego lordowską mość, że na pewno będziesz chciała mieszkać w dawnym pokoju dziecięcym obok mojego - rzekła Lizzie, gdy szły długim korytarzem. - Będę tuż za ścianą, gdybyś poczuła się samotna.

- Świetnie! I słyszałam, że masz telewizor.

- Owszem, po wielu kłótniach i po tym, jak zagroziłam, że odejdę, jeśli mi na to nie pozwoli. - Gospodyni westchnęła.

- On nie idzie z duchem czasu. - Otworzyła drzwi i włączyła światło. - Pamiętasz ten pokój?

Mocna żarówka na suficie rozbłysła; zwisała z belki przecinającej sufit i okryta była różowym abażurem, który rzucał ciepły blask na ściany. W kominku płonął ogień. Mimo przestronności, pokój wydawał się przytulny. Amy stała w progu rozglądając się.

- Lizzie, zdziałałaś tu cuda.

Duże rozmiary pokoju optycznie pomniejszała nowa tapeta w różyczki. Amy domyśliła się, że również podłoga zawdzięcza swój nie widziany od lat lśniący połysk staraniom Lizzie. Ta sama Lizzie musiała spędzić wiele czasu przy krosnach, tkając dwa grube wełniane dywany dobrane kolorami do wzoru na tapecie. Amy pamiętała stare podwójne łóżko i miała nadzieję, że wymieniono w nim materac. Stary zbijał się w grudy tak, że musiały we dwójkę z Lizzie potrząsać nim co tydzień, żeby w ogóle nadawał się do użytku.

Podeszła do łóżka, żeby sprawdzić, czy potwierdzą się jej

oczekiwania. Lizzie roześmiała się widząc, jak dziewczyna ostrożnie przysiada na samym skraju.

- Materac jest nowy. Omal sobie gardła nie zdarłam prosząc i błagając tego starego sknerę. Materac ma dobre sprężyny. Powinno ci być na nim wygodnie.

Amy zawtórowała jej śmiechem.

- Tego właśnie potrzeba w tym starym domu, śmiechu i radości - stwierdziła Lizzie z przekonaniem.

Amy powiodła wzrokiem po ciężkiej orzechowej szafie, komodzie z szufladami i fotelu przy oknie, pokrytym grubymi poduszkami. W pokoju stało też niewielkie biurczko, którego wcześniej nie widziała. Podeszła bliżej i przejechała palcem po lśniąącym blacie.

- To coś nowego. Ładne. - Spojrzała na Lizzie.

- Stało na strychu. Pomyślałam, że coś takiego może ci się przydać. Cóż, pewnie będziesz chciała czasem napisać do Ameryki? Można je zamykać, widzisz? Klucz jest w tej małej szufladce. Teraz, kiedy jesteś dorosła, możesz zechcieć pewne rzeczy trzymać schowane.

- Och, Lizzie. Jesteś kochana.

Gospodyni splonęła rumieńcem; by ukryć zażenowanie, machnęła ręką, jakby się odganiała od Amy.

- Daj spokój - mruknęła, a po chwili dodała: - Po raz pierwszy w życiu ktoś powiedział o mnie, że jestem kochana.

- Och, Lizzie! Tęskniłam za tobą. - Amy stanęła tyłem do okna.

- A brat Gifa i jego żona tęsknią teraz za tobą, dziecko - powiedziała Lizzie. - To musiało być dla nich straszne, że stracili swojego chłopaka.

Nieoczekiwana wzmianka o Kipie wzbudziła w Amy wspomnienia, o których wolałaby zapomnieć.

- Co ja takiego powiedziałam? Zbladłaś nagle niczym zjawą.



Amy wsunęła ręce do kieszeni, żeby Lizzie nie widziała, jak drżą jej dłonie.

- Nic mi nie jest! Wszystko w porządku!

Lizzie przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nią z uwagą, aż nagle jej oczy rozbłysły; najwyraźniej pojęła, w czym rzecz. Podeszła wolno do Amy i objęła ją serdecznie.

- Nie wiedziałam, że żywiłaś do niego takie uczucia. Nigdy o tym nie wspominałaś w listach.

- Nie wiem, co masz na myśli - odezwała się drżącym głosem Amy.

- Byłaś zakochana w tym chłopcu. Widać to.

Amy poczuła się tak, jakby ktoś jej wbijał nóż w serce. Opuściła głowę.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- A o czym tu mówić? - Amy wolno uniosła głowę, by spojrzeć Lizzie w oczy. - Co to teraz da, jeśli się przyznam, że kochałam Kipa od pierwszego momentu, kiedy go ujrzałam? To nie przywróci mu życia. A gdyby nawet, i tak nie chciałby być ze mną.

- Nie zadręczaj się, Amy.

Dziewczyna bezwiednie opuściła ramiona.

- To prawda. On nie wiedział, co do niego czuję. Nikt nie wiedział.

- Twój wuj pokazywał mi zdjęcie, które kiedyś przysłał mi Weldonowie. Byłaś na nim ty i ich chłopak, gdzieś na plaży. Trzymałaś w rękach wielką piłkę w paski.

Amy dokładnie pamiętała tamten moment.

- To było na wyspie. Jeździliśmy co roku na wakacje. Marty i Kate mieli tam domek na plaży... zbudowany na drewnianych palach. Staroświecki... jak z filmu z lat pięćdziesiątych. - Przełknęła ślinę i szybko mówiła dalej: - Była tylko plaża i morze, nic więcej. Wszędzie dookoła rosła kępami ostra zielona trawa. Kip i ja spędziliśmy raz całe wakacje malując domek z zewnątrz i od środka... - Potrząsnęła

głową, jakby chciała wyrzucić z niej wspomnienia, zbyt bolesne, by je mogła zachować. Skrzywiła się, gdy próbowała się uśmiechnąć. - Zużyliśmy całe mnóstwo farby.

- Wygląda na to, że był miłym chłopcem.

- Miłym! To określenie nic nie znaczy w stosunku do niego. I nazywasz go chłopcem? Był ode mnie dużo starszy.

- Ale widział w tobie tylko młodszą siostrę, co?

Amy miała w duszy pustkę, której nic nie mogło wypełnić.

- No właśnie.

- I co się stało? - spytała miękko Lizzie.

- Wstąpił do armii. Wysłano go tu, do Anglii. I spotkał dziewczynę... - Nie była w stanie mówić dalej. Znow spuściła głowę; ręce ukryte w kieszeniach zacisnęła w twarde pięści.

- I?

- Zaszła w ciążę. A Kip zginął. - Utkwiła wzrok w jasno płonącym ogniu. - Kate i Marty nie wiedzą o niej nic poza tym, że miała na imię Kitty. Poruszyli niebo i ziemię, żeby ją odnaleźć po śmierci Kipa, ale im się nie udało.

Lizzie zmarszczyła czoło.

- Może ona też umarła. To dziwne, że nie próbowała się skontaktować z rodziną Kipa.

- Nie. Nie sądzę, żeby umarła.

- Mówisz, jakbyś była pewna. - Lizzie zdjęła dłoń z ramienia Amy.

- Ja... nie mogę się pozbyć tego uczucia.

- Ale przecież nie jesteś w stanie nic zrobić. - Lizzie przyglądała jej się uważnie. - Amy, to nie twoja sprawa.

- Zastanawiałam się nad umieszczeniem ogłoszenia w angielskiej gazecie - szybko odpowiedziała Amy.

- Wiesz chociaż, gdzie mieszkała?

- To musiało być gdzieś niedaleko miejsca, gdzie stacjonowała jednostka Kipa... czyli w Lincolnshire.

- I myślisz, że uda ci się to, co się nie udało Weldonom?

- Może. - Wcale nie była jednak tego pewna.

- Robisz to dla Weldonów? - spytała sucho Lizzie.

- Oczywiście... - potwierdziła Amy, tłumiąc w sobie poczucie winy.

- Ale jaki ty masz w tym interes, moja droga?

Amy skuliła się i patrzyła w okno, w ciemność panującą na zewnątrz.

- Pytałam... - zaczęła znów Lizzie.

- Słyszałam, o co pytałaś - przerwała jej dziewczyna, odwracając się gwałtownie.

- Jesteś czymś podenerwowana.

- Lizzie... jakież ja mogłabym mieć ukryty powód?

Lizzie zmrużyła oczy.

- Może chcesz tego dziecka dla siebie, Amy.

- To szaleństwo... - Oburzona Amy uniosła ręce.

- Straciłaś tego chłopca, więc teraz pragniesz czegoś, co po sobie zostawił. Czyżbym nie miała racji? - Lizzie odsunęła się od niej i podeszła do drzwi.

Amy wbiła wzrok w przestrzeń za oknem.

- Chcę się tylko upewnić, że dziecku niczego nie brakuje.

- Myślisz, że od wczoraj żyję na tym świecie? - Lizzie westchnęła.

Dziewczyna spojrzała na gospodynię oczyma pełnymi udreki.

- Lizzie... ty nie wiesz, jak to jest. Gdzieś żyje maleństwo... które jest częścią Kipa...

- Nie takie już znowu maleństwo. To dziecko musi mieć ze dwa albo trzy lata.

- Och, nie dzielmy włosa na czworo, Lizzie. Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Taak! Przejrzałam cię na wylot, Amy. Masz zamiar zdobyć to dziecko dla siebie, prawda?

- Mogłabym mu zapewnić dobre warunki. - Dziewczyna wyzywająco uniosła głowę.

- A prawdziwa matka nie może? Sama przyznałaś, że nic nie wiesz o tej dziewczynie.

Amy zaczęła niespokojnie chodzić tam i z powrotem po pokoju.

- Nie miała ślubu z Kipem. Cóż to za dziewczyna, skoro nie myślała o konsekwencjach?

- A on myślał? - przypomniała spokojnie Lizzie.

Amy zatkała sobie uszy.

- Nie chcę tego słuchać. Kip nie był taki...

Lizzie energicznie podeszła do Amy i bezceremonialnie oderwała jej ręce od uszu, a potem mocno nią potrząsnęła.

- Niepokalane poczęcie, co? - Patrzyła prosto w oczy Amy. - Tak jest lepiej. Słuchasz mnie? Bo mam zamiar przemówić ci do rozumu.

Amy się poddała.

- Wiem, Lizzie. Nie musisz na mnie krzyczeć. Wiem, że jestem niemądra i samolubna...

- I wmówiłaś sobie, że ta Kitty jest nic niewarta, co?

Dziewczyna zwiesiła głowę, nagłe zawstydzona.

- A jeśli ona nie chce tego dziecka? - spytała cicho;

- Jeśli dziecko jest nieszczęśliwe? Może nawet źle traktowane?

- Nie jesteś Bogiem. Nie musisz naprawiać świata.

Amy nagle poczuła zmęczenie i złość. Żałowała, że odsłoniła serce przed Lizzie.

- Czy to niewybaczalne, że chcę naprawić choć mały kawałeczek świata? - spytała zrezygnowana. - Wyrwała się gospodyni i podeszła do łóżka. Rozpięła kurtkę i zsunęła ją z ramion. Przeczesała palcami jasne włosy, które po długiej podróży wymagały solidnego szczotkowania. - Boże, ależ mnie boli głowa - mruknęła.

Lizzie obserwowała ją przez chwilę, w końcu spytała:

- Jeśli nawet znajdziesz to dziecko, co wtedy? Wyobraźmy sobie, że matka ci je odda. Jak zamierzasz się nim opiekować?

Amy zaniósła kurtkę do szafy. Dla niej posiadanie dziecka nie stanowiłoby problemu. Wydałę miało kiedyś zostać jej własnością. Kate i Marty powiedzieli jej, że Gif Weldon sporządził testament, w którym zapisał jej wszystko, co posiada. Spierała się z nimi, mówiąc, że to Marty - jako brat Gifa - powinien przejąć posiadłość, ale Marty ze śmiechem przypomniał przybranej córce, że dawno temu został wydziedziczony i wcale mu to nie przeszkadza. Poza tym, cóż miałyby zrobić z takim miejscem jak Wydałę?

- To nie jest problemem - odpowiedziała. - Odziedziczę kiedyś Wydałę, a jakież może być lepsze miejsce niż piękny dom, otoczony lasami i tysiącami akrów pól. Możemy trzymać dla niego kucyka, żeby się nauczył jeździć. Mogłabyś mi pomóc wychowywać go, Lizzie.

- O, nie! - Gospodyni energicznie potrząsnęła głową. - Nie wciągaj mnie, w swoje rozgrywki, dziewczyno. Mam już dosyć odgrywania różnych ról.

- Ale... myślałam, że mogę na ciebie liczyć.

- Ach, tak! - uniosła się gospodyni. - Wszyscy polegają na Lizzie Abercrombie, liczą, że pomoże i przyjmie narzuconą jej rolę... nawet on... - Podeszła do drzwi, zatrzymała się i trzymając rękę na klamce, z rezygnacją oparła głowę o popękane wiekowe drewno. - Do licha - syknęła pod nosem. - Zapomnij, co powiedziałam!

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, Lizzie. Co masz na myśli, mówiąc o narzucaniu ról! Jakich ról? Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

Powoli, jakby była zgrzybiałą staruszką, a nie kobietą niespełna sześćdziesięcioletnią, Lizzie odsunęła się od drzwi. Wciągnęła głęboko powietrze, żeby się uspokoić, i powiedziała:

- Zapomnij, że coś takiego mówiłam, Amy.
- Jak mogę zapomnieć? - Dziewczynę zżerała ciekawość.
- Mówisz zagadkami.
- Są jeszcze inne sprawy. Sprawy, o których nie chciałam ci mówić, dopóki się na dobre nie zadomowisz.
- Wuj Gif... - Amy otworzyła szeroko oczy. - Lizzie! On chyba nie umrze?
- Wszyscy kiedyś umrzemy, moje dziecko. - Gospodyni ciężko westchnęła. - Bardziej martwi mnie to, co dotyczy życia.
- Życia? Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to zrób to.
- Lizzie zamknęła cicho drzwi i oparła się o nie plecami. Niemal dosięgała głową górnej framugi, taka była wysoka.
- Nie ma pieniędzy - oznajmiła.
- Nie ma pieniędzy?
- To dlatego chciałam, żebyś wróciła do Anglii.
- Wujek Gif? - Amy na drżących nogach podeszła do gospodyni.
- Nie ma pieniędzy! A dom wkrótce zamieni się w kupę gruzu.
- Według mnie, wygląda całkiem dobrze.
- No to przyjrzyj się dokładniej... przy dobrym świetle. Zachodnia wieża stanowi prawdziwe zagrożenie. Wszystkie ściany pękają. Kaplica spalona. - Lizzie podniosła wzrok na belki na suficie. - Drewno jest spróchniałe. Tynki się sypią. A on myśli, że dzięki tobie uratuje ten dom.
- Dzięki mnie?
- Owszem! Dzięki tobie.
- Ale jak?
- To już jego i twoja sprawa, dziewczyno. Mnie nic do tego. Jestem tylko najemną siłą roboczą.
- Lizzie...
- Ale gospodyni była już za drzwiami.
- Lizzie! - Amy pobiegła jej śladem.

Lizzie zatrzymała się w połowie schodów.

- Spytaj go, co zamierza - poradziła. - Śmiało, dziewczyno. Po prostu go o to spytaj.

Amy, porażona nagłym lękiem, stała nieruchomo u szczytu schodów.

Gospodyni wytrzymała jej spojrzenie przez kilka sekund, a potem rzekła cicho:

- Powiem ci jedno, moja droga. To, co planuje dla ciebie Gif Weldon, nie pozostawi ci czasu na romantyczne marzenia o odnalezieniu i wychowywaniu dziecka Kipa Weldon. O tym mogę cię zapewnić.

Droga prowadząca do wsi Hawkwood skrzy-  
ła się porannym szronem, kiedy Richard Boden niespiesznie  
pedałował do Wydałę Hall. Na bagażniku roweru za siodłem  
spoczywała płócienna torba. Przytrzymały ją podwójne  
skórzane pasy; Boden zdawał sobie sprawę, że przy gwałtowniejszym  
zwiększeniu prędkości jej ciężar może go ściągnąć  
do rowu.

Sam także był ciężki, dobrze o tym wiedział. „Grubokoś-  
cisty”, jak mawiała matka. Jak zwykle myśl o matce przywołała  
uśmiech na twarz Richarda.



W polu widzenia ukazał się sznur czarnych pojazdów, zbliżających się dostojnie do niego. Przyhamował, opuścił jedną nogę tak, że szorowała o podłoże, wreszcie zatrzymał się i zsiadł z roweru. Odczekał z szacunkiem, aż minie go kondukt.

Dach nieco staroświeckiego karawanu, pochodzącego najpewniej z lat pięćdziesiątych, pokryty był wieńcami kwiatów. Richardowi przeszło przez myśl, że ostatnio zwyczaje pogrzebowe upodabniają się do ślubnych, przynajmniej w wykorzystywaniu modnych starych środków transportu. Wcale by się nie zdziwił, gdyby wróciły do łask czarne konie z pióropuszcami. Właściwie dlaczego nie? Karetą z parą siwków była tak samo popularna przy dzisiejszych ślubach, jak przed stu laty.

Jeszcze chwilę po tym, jak minął go prowadzący pojazd, w powietrzu unosił się zapach chryzantem; odetchnął z ulgą, gdy wreszcie cały orszak zniknął mu z oczu. Ten smutny widok przypominał mu boleśnie, że straciwszy najpierw mamę i ojca, a potem Grace, został na świecie sam jak palec. Postanowił jednak solennie nie odgrzebywać przeszłości. Miał pracę do wykonania, a przed pracą nigdy się nie uchylał... choć dziś powinien być w kamieniołomie i doglądać pracowników, zamiast jechać do Wydaleń, w nadziei że uda mu się spotkać z gościem starego Weldona.

Przełożył nogę przez ramę roweru, powtarzając sobie w duchu, że nie musi czuć się winny z powodu tych krótkich wagarów. Pracownicy mogli z powodzeniem przez jeden dzień obyć się bez niego. George Shipstone był dobrym kierownikiem; można było na nim polegać i wierzyć, że poradzi sobie nawet w przypadku nieprzewidzianych okoliczności. Przed wyruszeniem w dalszą drogę Richard dotknął tylnej kieszeni sztruksowych spodni, upewniając się, czy zabrał telefon komórkowy. Rzadko się gdzieś ruszał bez niego, ponieważ zawsze przede wszystkim miał na uwadze sprawę kamieniołomu.

Zwolnił przed zjazdem z głównej drogi na wąski podjazd prowadzący do Hall. Dym unosił się spiralą z komina starej kamiennej budowli, której ogród graniczył z drogą. Żółte pąki zimowego jaśminu oblepiały masywną bramę i zwisały ponad murem; miał nadzieję, że nagły przymrozek nie zniszczy delikatnych pąków.

Nie interesował się specjalnie kwiatami. Wapień - o, to co innego. Wapień nie usycha i nie umiera z końcem sezonu. Trwa. A alabaster... To jeszcze co innego. Zaczął myśleć o figurze anioła, o srebrnozielonych żyłkach przecinających marmurowe skrzydła. To prawdziwy cud, że zniszczenia były tak nieznaczne, zważywszy, iż Gabriel spadł z wielkiej wysokości, kiedy piorun uderzył w kaplicę.

Wjeżdżając na wzgórze do Wydale, z przyzwyczajenia zrobił w myślach przegląd narzędzi spoczywających w płóciennym torbie na bagażniku. Dłuto, punktak, szczypce, druciana szczotka, suwmiarka, różne pilniki, pumeks... Zacznie dziś pracę przy tym złamanym skrzydle, a koło południa może zajrzy do Hall. Lizzie Abercrombie zawsze znajdowała czas, by poczęstować go filiżanką herbaty.

Dostrzegł znajomą postać zbliżającą się od strony Hall; nie zwracając dostatecznej uwagi na drogę, wpadł przednim kołem w bruzdę i omal nie stracił równowagi. Rower nie miał przerzutki. Był ciężkim starociem, niemal kolekcjonerskim egzemplarzem, a że Richard nie uznawał zmian dla samych zmian, nigdy nie przyszło mu nawet do głowy, by zastąpić kupionego z drugiej ręki raleigha, którego dostał od rodziców na piętnaste urodziny, jakimś nowszym modelem. Grace śmiała się z jego przywiązania do tego grata; zawsze była w stanie go wyprzedzić na lekkim rowerze, który jej kupił po ślubie...

Gifford Weldon był grubo ubrany; poły tweedowego płaszcza objęły mu się o kolana. Podjechawszy do starca, Richard zszedł z roweru. Weldon miał zsiniałe usta; kiedy oddychał

chrapliwie, w powietrzu unosiły się obłoczki pary. Patrzył jednak bystro na mężczyznę stojącego mu na drodze.

- Nietrudno zgadnąć, dokąd zmierzasz, Richardzie.

Boden uśmiechnął się pod nosem.

- Ten przeklęty anioł załazł mi za skórę.

- Dokonujesz prawdziwych cudów w kaplicy... pośród tej ruiny. Jestem ci wdzięczny... - Przerwał mu nagły atak ostrego kaszlu. Otarłszy usta czystą białą chusteczką, dodał:

- Piekielna pogoda! Będę rad, gdy wreszcie zrobi się cieplej.

- Wygląda na to, że śnieg spadnie dopiero po Bożym Narodzeniu. - Richardowi pogoda była obojętna; starał się jedynie być uprzejmy. Ciekaw był natomiast wydarzeń poprzedniego dnia. Nie mógł się doczekać wiadomości o niej. Musiał zapytać.

- A co z młodą panienką? Czy Amy dotarła wczoraj cała i zdrowa?

GifWeldon przytaknął; zdobył się nawet na blady uśmiech.

- Cała i zdrowa! Lizzie Abercrombie porwała mi ją sprzed nosa minutę po tym, jak zawitała w Hall, więc nie miałem okazji nawet wspomnieć jej o naszym planie.

- Będzie na to dość czasu. - Słowa starego człowieka wzbudziły w Richardzie poczucie winy.

- Ale chyba nie chcesz się wycofać? - W spojrzeniu Weldona pojawił się cień nieufności.

- Gif, nie bardzo mi się to podoba. Małżeństwa z rozsądku wyszły z mody wraz epoką wiktoriańską.

Odpowiedział mu chrapliwy śmiech.

- Tak to nazywasz? Małżeństwo z rozsądku? Ta dziewczyna nawet cię jeszcze nie widziała.

- A sądzisz, że kiedy zobaczy, to z zachwyty padnie u mych stóp? Nie jestem młodzikiem, jak wiesz.

- Masz trzydzieści siedem lat. To żaden wiek. I nawet na tyle nie wyglądasz. Człowieku, masz we włosach ledwie parę siwych nitek.

- Myślisz, że solidne konto w banku i ciemne włosy bez siwizny czynią ze mnie dobrą partię? To chciałeś powiedzieć?

- To ty mi poddałeś ten pomysł, Richardzie, a domyślam się, że Lizzie Abercrombie zdążyła już napomknąć Amy o mojej pożałowania godnej sytuacji finansowej. - Skrzywił się, a potem nieoczekiwanie spojrzął w górę. - Znowu ten piekielny helikopter. Bóg jeden wie, co takiego interesującego znajduje w Wydale. Już drugi tydzień brzęczy nam nad głową jak jakiś przerośnięty trzmiel.

Richard Boden także zadarł głowę.

- Szczęściarz! Chciałbym być tam w górze.

- Gdybyś naprawdę chciał, mógłbyś sobie pozwolić na taką maszynę - rzekł ze śmiechem Gif Weldon.

Richard spojrzął z uwagą na starego człowieka i spytał z nutą wesołości w głosie:

- A cóż, do licha, miałbym robić z helikopterem?

- Latać nim, ma się rozumieć.

- Toż to byłoby wyrzucanie pieniędzy.

- Jesteś rozsądnym człowiekiem, Richardzie. Ja w młodości wydawałem pieniądze dwa razy szybciej, niż byłem w stanie je zarabiać. I w ten sposób znalazłem się w biedzie.

- Nadal masz Wydale.

- Niezbyt imponujące dziedzictwo dla Amy. Przynajmniej nie w tym stanie.

Richard oparł się ciężko na kierownicy roweru.

- Słuchaj... nie mogę wydawać pieniędzy na coś, co nigdy nie będzie należało do mnie. Jestem człowiekiem interesu, Giffordzie. Muszę wiedzieć, na czym stoję. Muszę mieć jakieś zabezpieczenie, jeśli mam zacząć poważnie łożyć na Hall, a nie tylko dłubać przy kaplicy, jak do tej pory.

Starszy mężczyzna westchnął; jego szczupła twarz była ściągnięta i poszarzała. Pokręcił wolno głową.

- Małżeństwo! To jedyny sposób, Richardzie... przynajmniej ja nie widzę innego. Amy będzie twoim zabezpieczeniem.

niem, bo to ona odziedziczy kiedyś Wydale. A poza tym, kiedy miesiąc temu przedstawiłem ci mój plan, uważałeś, że może się okazać całkiem sensowny.

- Miesiąc temu ona była po drugiej stronie Atlantyku. Teraz jest tutaj. Z krwi i kości.

- Nastroszona i kłująca jak jeź - stwierdził Gif Weldon.

- I do tego prezentuje poglądy, jakich się po niej nie spodziewałem.

- Ale na razie nie orientuje się w twoich sprawach?

Gif Weldon nastroszył się.

- Co przez to rozumiesz?

Boden przymknął oczy podnosząc twarz ku niebu; zdał sobie sprawę, że został opacznie zrozumiany.

- Giffordzie, wybac. Miałem na myśli nie to, co sądzisz. Twoje życie to twoja prywatna sprawa... i możesz je spędzić jak zechcesz. Chodziło mi o twoje położenie finansowe, o którym sam przed chwilą wspomniałeś.

Stary człowiek z trudem wciągał zimne, wilgotne powietrze; Richard mimo woli poczuł dla niego litość.

- Nie powinieneś wychodzić w takie dni jak dzisiaj - poradził.

- Mam parę rzeczy do załatwienia. Duncan na mnie czeka. Trzeba przejrzeć kilka rachunków, a martwię się o niego. Nie czuje się dobrze.

- Więc nie będę cię dłużej zatrzymywał. - Richard pociemniał na twarzy od tłumionej irytacji. Wolałby, by stary Weldon bardziej się przejmował stanem własnego zdrowia... i stanem domu, który mógł mu się w każdej chwili zawalić na głowę niż swym starym przyjacielem prawnikiem, Duncanem Wardem, który mieszkał w małym domku przy głównej drodze.

- Może zajrzę później do kaplicy...

- Będę pracował przy Gabrielu.

- Nie możesz nazywać tej przeklętej figury jakimś innym imieniem?

- Trudno się wyzbyć starych przyzwyczajeń. Gabriel jest jedynym aniołem, o jakim w życiu słyszałem. Jako chłopak nie uczęszczałem do szkółki niedzielnej. Byłem zbyt zajęty marzeniem o zdobyciu mistrzostwa w boksie.

Rozległ się szczekliwy śmiech Weldona.

- Zbyt zajęty ćwiczeniem bokerskich ciosów na każdym Tomie, Dicku czy Harrym, jaki ci się nawinął pod rękę, jak słyszałem. Wygląda na to, że w swoim czasie byłeś niezłym zabijaką. Ale to już dawne dzieje, co?

- Po śmierci ojca musiałem przełać młodzieńczą energię w ciężką pracę. Teraz ja dostaję za swoje od bezlitosnej skały.

- Ale to się opłaca, chłopcze. Opłaca się.

- Owszem, już to odkryłem.

Ku swemu zaskoczeniu, Amy spała dobrze i obudziła się gotowa stawić czoło nowemu życiu - cokolwiek miałyby jej przynieść - tu w Wydale Hall.

Lizzie Abercrombie musiała usłyszeć jej krzątanie w sypialni na górze, kiedy bowiem dziewczyna weszła do obszernej, wykładanej kamieniem kuchni, jej śniadanie czekało gotowe na patelni. Stół nakryty był tylko dla jednej osoby.

- Nie zjesz ze mną śniadania, Lizzie? - Modne reeboki pozwalały jej się poruszać bezszelestnie; stanęła przy piecu i wciągnęła w nozdrza apetyczny zapach rozchodzący się od patelni.

- Jadłam o siódmej - odparła Lizzie.

- A wuj Gif?

Lizzie przełożyła bekon, kiełbaski i smażone jajko na podgrzany talerz i wręczyła Amy.

- On nigdy nie jada śniadań, pije tylko filiżankę herbaty.

- Rzeczywiście. Teraz sobie przypominam. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego wujek Gif nie jest z rana głodny tak jak ja.

- Dzikie koty nie zmieniają swoich zwyczajów, dziecko.
- Lizzie uśmiechnęła się do Amy.

Kiedy dziewczyna z talerzem w dłoni skierowała się do stołu, ruszyła za nią z brązowym dzbankiem pełnym herbaty i nalała jej kubek aromatycznego, mocnego naparu.

- A ty pamiętałaś, że ja rano jestem głodna jak wilk i dosłownie rzucam się na jedzenie. - Amy sięgnęła po sztućce, gotowa do ataku na wieprzowe kiełbaski.

- Przydałoby ci się trochę więcej ciała na kościach. - Lizzie zmierzyła ją od stóp do głów krytycznym wzrokiem. - Taka sama byłaś jako dziecko, pamiętam... jadłaś i jadłaś, a nie przybywało ci ani uncji na wadze.

- I dzięki Bogu. - Amy uśmiechnęła się do gospodyni znad talerza. - Lubię być chuda.

- Mężczyźni chcą, żeby ich kobiety były zaokrąglone tu i ówdzie. - Lizzie odniosła dzbanek z powrotem na piec.

- A ja nie chcę żadnego mężczyzny. - Amy połknęła spory kęs kiełbaski.

- Jeszcze zechcesz.

- Nigdy! - Urodziwa twarz Kipa Weldona nadal jawiła jej się w snach. Wytarła resztkę jajka kawałkiem chleba. Podnosząc głowę spytała: - A gdzie teraz jest wuj Gif, Lizzie? Wydaje mi się, że byłam dla niego nieuprzejma wczoraj wieczorem. Powinam go przeprosić.

Gospodyni wróciła do stołu i stanęła przed Amy z rękami założonymi na piersi.

- Panno Amy... mogło się zdarzyć, że wczoraj padły słowa, których żadne z nas nie chciało powiedzieć.

- Powiedziałaś kilka zagadkowych rzeczy - przyznała Amy.

- Które nie są moją sprawą i nie powinny mnie interesować.

- Lizzie spuściła wzrok. - Powinam była trzymać usta zamknięte na kłódkę.

Amy skończyła jeść, napiła się herbaty i odstawiła kubek; skrzywiła się. Lizzie była czujna.



- A cóż miała znaczyć ta kwaśna mina?  
- Cukier! Chyba się odzwyczaiłam od cukru. Wiesz, zawsze piliśmy kawę...

- Tam, u jankesów? - Gospodyni ściągnęła usta w wyrazie dezaprobaty. - I może mi powiesz, że to cywilizowany kraj? Kawa z samego rana... na pusty żołądek?

Amy wygłosiła wesoło:

- Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one!  
- My tu pijemy herbatę.  
- Więc i ja tu będę pić herbatę. Ostatecznie nie otruję się.  
- Wstała odsuwając krzesło.  
- Pewnie zapomniałaś, jak wyglądają prawdziwe jajka -zrzędziła Lizzie. - Czy oni tam mają kury, w tej Nowej Anglii?

- Na śniadanie jedliśmy zwykle naleśniki.  
- Naleśniki! Ha! Naleśniki je się w ostatki!  
- Naleśniki z syropem klonowym. Pycha! Jestem prawdziwą wielbicieleką śniadań. Na początku mojego pobytu w Stanach Kate i Marty zabrali mnie do wytwórni syropu klonov/ego niedaleko Maine, żeby mi pokazać, jak się go produkuje.

Lizzie zaczęła sprzątać ze stołu; dziewczyna pospieszyła z pomocą.

- Halo! To moja praca - ostrzegła ją Lizzie. - Może wyjdiesz z domu i znajdziesz sobie jakieś przyjemne zajęcie?

- Sama? Nie powiedziałaś mi jeszcze, gdzie się podziewa wuj Gif.

- Mówił mi, że wybiera się na piechotę w odwiedziny do Duncana Warda. Wspominał o nedorzecznym planie otwarcia Wydałę dla publiczności, żeby zdobyć trochę gotówki.

- Czy stary pan Ward nadal praktykuje jako adwokat?

Gospodyni prychnęła.

- Czy prawnicy kiedykolwiek przestają być prawnikami? Rodzą się prawnikami i umierają jako prawnicy... a pomiędzy jednym a drugim jest tylko mnóstwo częściej gadaniny.



- Nie przepadasz za nimi... - Amy oparła się o stół, wyciągając przed siebie nogi.

- Twojemu wujowi nie spodobają się te spodnie. - Lizzie posłała dziewczynie znaczące spojrzenie.

- Moje džinsy? Dlaczego?

- Bo jest staroświecki, dlatego.

- Próbujesz zmienić temat, żebyś nie musiała odpowiedzieć na moje pytanie o Duncana Warda.

- Zgadza się. Nie lubię go. - Lizzie głośno odłożyła patelnię. - Duncam Ward nie zrobił nic, za co mogłabym go polubić.

- Nadal mieszka na terenie posiadłości? W tym ślicznym małym domku?

- A jakże! Za darmo... jak zwykle.

- Przypuszczam, że wujek Gif jest zadowolony, że ktoś... ktokolwiek mieszka w tym starym domku, Lizzie. Popadłby w całkowitą ruinę, gdyby stał pusty przez te wszystkie lata.

- Mnie się to nie podoba - oświadczyła wzburzona Lizzie.

- Duncan Ward mimo swoich lat nadal ma głowę nie od parady. Nim się spostrzeżemy, namówi twojego wuja do wybudowania w Wydaleń jednego z tych parków albo kempingów.

- Lizzie, sama mówiłaś wczoraj wieczorem, że nie ma pieniędzy. Bez wątpienia trzeba będzie coś na to poradzić.

- Namówi Gifa na kolejną pożyczkę z banku.

- Wuj Gif by się nie zadłużył...

- Czyżby? - Lizzie odwróciła się do dziewczyny plecami i napełniła gorącą wodą z kranu głęboki porcelanowy zlew.

- Jesteś pewna? Nie mam za grosz zaufania do tego całego Warda.

- Lizzie, może usiądziesz i powiesz mi, co się tu dzieje, zamiast rzucać niezrozumiałe aluzje?

- Nie ja jestem od tego, żeby ci o tym mówić. Chciałam cię tylko ostrzec. - Gospodyni skupiła się na szorowaniu garnka ostrą myjką.

- Ale...

- Żadnego ale, moja panno. Nie powiem już ani słowa, poza tym, żebyś się miała na baczności. Jesteś teraz starsza. Może ci się zdaje, że jesteś dorosła i nie można tobą manipulować, ale zachowaj ostrożność. Jesteś dobrą dziewczyną, lecz impulsywną. Wiem, że zrobiłabyś wszystko, co możliwe, żeby postawić Wydalę z powrotem na nogi, ale pamiętaj o jednym: to tylko sterta cegieł i zaprawy murarskiej... no, może raczej kamieni i zaprawy. A kamienie nie krwawią... w przeciwieństwie do ludzkich serc!

- Wydalę znaczy dla mnie coś więcej, Lizzie. - Odepchnąwszy się od stołu, Amy podeszła do gospodyni i położyła jej dłoń na ramieniu. - Słuchaj! Wiem, że chcesz jak najlepiej, ale jeśli ten dom jest w takim stanie, jak mówisz, chyba powinniśmy rozważyć wszelkie możliwości ratunku.

Lizzie z westchnieniem cisnęła myjkę do zlewu.

- Nieraz - zaczęła wolno, patrząc Amy prosto w oczy - lepiej nic nie robić. To czas, rozumiesz Amy, czas kruszy kamienie. Dom jest stary. Wydalę istnieje od szesnastego wieku. Nie możesz oczekiwać, że będzie trwało wiecznie.

- Ale ja właśnie tego oczekuję, Lizzie. - Amy opuściła rękę. - Widzisz, Wydalę przyjęło mnie, kiedy mój świat wywrócił się do góry nogami. Wydalę przygarnęło mnie do swego kamiennego serca, kiedy straciłam oboje rodziców. A skoro czas robi wszystko, by obrócić Wydalę w ruinę, ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby je uratować.

- Wszystko? - W spojrzeniu Lizzie błysnęło coś w rodzaju pogardy.

Amy, nie spuszczać wzroku, oświadczyła spokojnie:

- Tak, Lizzie. Naprawdę myślę, że zrobiłabym wszystko.

Gospodyni odwróciła się do zlewu i niedbale wylała tłustą wodę z umytego garnka.

- No to zrób - mruknęła.

- Porozmawiam z wujkiem Gifem.

Lizzie chyba trochę ulżyło.

- Racja. Tak będzie najlepiej - powiedziała.

- Wybiorę się do domku Duncana Warda. Będę mogła wrócić z wujkiem Gifem...

- Nie rób tego, dziewczyno! - Lizzie stanęła przed Amy opierając poczerwieniałe od gorącej wody ręce na kościstych biodrach.

- Dlaczego nie? - Ostro wypowiedziane słowa wzbudziły w dziewczynie ducha przekory.

- Dlatego! - jeszcze ostrzej odparła gospodyni i poczerwieniała na twarzy.

- Dlatego że co? - Amy wzruszyła ramionami. - No proszę - droczyła się - podaj mi choć jeden powód, dla którego nie powinnam tam pójść i spytać pana Warda, jaki los czeka moje dziedzictwo.

- Tylko to cię interesuje? Twoje cholerne dziedzictwo?

Amy nie wierzyła własnym uszom.

- Oczywiście że nie. Lizzie, nie wyczuwasz, że żartuję?

- Nikt tu już nie żartuje. - Lizzie wróciła do szorowania garnka; zaczęła go energicznie skrobać druciakiem.

- Och Lizzie!

Gospodyni podniosła głowę znad zlewu.

- „Och, Lizzie!” - przedrzeźniała dziewczynę. - Może byś się tak rozejrzała po domu, zanim będziesz rozmawiać z wujem? Nie wydaje ci się, że to lepszy pomysł niż zaskakiwać go w obecności tego prawnika Warda?

- Racja! W takim razie zacznę od kaplicy.

- A dlaczegoż by nie zacząć od domu? - Głos Lizzie podniósł się o oktawę. - Czego chcesz szukać w tej stercie kruszejących kamieni?

- Chcę zobaczyć rozmiar zniszczeń. Muszę wiedzieć, czy jeszcze coś da się uratować. Jeśli ruiny stanowią zagrożenie, powinny być zrównane z ziemią i usunięte. Nie sądzisz?

Lizzie Abercrombie niezwykle dokładnie wytarła dłonie w ścierkę, a potem rzuciła niedbałym tonem:

- Jest jeszcze ktoś, kto interesuje się kaplicą, panno Amy. Niejaki pan Boden. Prowadzi tam jakieś roboty budowlane.

- Dlaczego? - Amy się ożywiła. - Jakże ma do tego prawo, Lizzie?

- Jest przyjacielem twojego wuja. To ktoś od kamieni, więc to daje mu prawo - odparła szorstko Lizzie. - A co do twojego pierwszego pytania, dziewczyno... to wydaje mi się, że zakochał się w tym pięknym aniele Gabrielu.

- Ktoś od kamieni? - Amy wstrząsnęła się z udawanym przestraszonym. - Aż skóra cierpnie! Jak wygląda ten pan Boden? Jak posępna szara figura? Ktoś od kamieni! Podoba mi się to określenie, Lizzie. A kim jest anioł Gabriel?

Zrezygnowana Lizzie, wzniosłszy oczy ku niebu, odpowiedziała:

- Pan Richard Boden jest wdowcem. Prowadzi kamieniołom w Hatton-in-the-Dale, a Gabriel jest alabastrowym aniołem, który kiedyś stał nad ołtarzem w starej kaplicy.

- Rany! Pamiętam tego anioła... - Amy zamyśliła się. - Ale nie pamiętam nikogo o nazwisku Boden.

- Oj, nie dasz ty mi spokoju, dopóki się wszystkiego nie dowiesz. - Lizzie z westchnieniem podeszła do wielkiej żelaznej kraty osłaniającej kominek i usiadła w starym drewnianym fotelu na biegunach. W palenisku tryskał ogień.

- Rany! Zupełnie zapomniałam o tym fotelu...

- Czy musisz bez przerwy powtarzać to „rany” w mojej obecności?

- Przepraszam. - Amy podeszła do gospodyni i usiadła u jej stóp, na ręcznie tkanym chodniku. - Lizzie, opowiedz mi coś więcej o tym kimś od kamieni - poprosiła przymilnie.

- Nie nazywaj go tak - skarciła ją Lizzie. - Tak mi się tylko powiedziało. On jest w porządku, ten Richard Boden. Miły. Małomówny. Ciężko pracuje.

- Nudziarz! - Amy skrzywiła się.  
- Nieprawda, wcale nie.  
- Lubię kierowcę wujka Gifa - Po prostu Grahama.  
- Po prostu?  
- Zakazał mi nazywania go panem, powiedział że jest po prostu Grahamem.

- I miał rację, moja droga. Gifowi by się nie spodobało twoje spoufalanie się ze służącymi.

- On jest kierowcą, na litość boską, a nie niewolnikiem w łańcuchach. - Amy kołysała się na opiętych dżinsach, z kolanami podciągniętymi pod brodę.

- Oprócz „rany” nie powinnaś też mówić „na litość boską”. Gif będzie cię ganił za bluźnierstwo.

Amy westchnęła ciężko; poczuła się ofiarą represji.

- Lizzie, mam prawie dwadzieścia cztery lata i jestem stanowczo za stara, żeby mnie ciągle pouczać, co mam mówić, a czego nie.

- On nadal jest twoim opiekunem.

- Nie! Nie jest. Och, nie zrozum mnie źle, Lizzie. Szanuję wujka Gifa. Nie chciałabym go skrzywdzić. Ale jego opieka skończyła się, kiedy Kate i Marty mnie adoptowali. A to było dawno temu. Po Bożym Narodzeniu, jeśli wujek Gif zechce, bym została tu dłużej, rozejrzę się za jakąś możliwością zarobku. Z wykształcenia jestem nauczycielką, Lizzie, i to dobrą. Lubię dzieci... szczególnie te całkiem małe. Są takie rozkoszne.

- Przydałyby ci się własne dzieci...

Amy parsknęła śmiechem.

- Własne dzieci potrzebne mi są tak samo jak drewniana noga, Lizzie. Będzie dość czasu, żeby myśleć o mężu i dzieciach, jak dojdę do trzydziestki.

- W wieku dwudziestu trzech lat powinnaś poważniej patrzeć na swoją przyszłość - obruszyła się Lizzie.

- Och, Lizzie. - Uwagi gospodyni nagle wydały się Amy irytujące. - Przestań być taka nudna.

- Podpuszczasz mnie. - Lizzie spojrzała na dziewczynę z ukosa. - Przejrzałam cię, moja droga. Zwyczajnie mnie podpuszczasz.

- Może akurat się zakocham w tym zagadkowym człowieku od kamienia.

- Aha! Już to widzę... chociaż Gifa by to ucieszyło.

- Dlaczego miałyby to ucieszyć wujka Gifa?! - zareagowała błyskawicznie Amy.

Lizzie zrobiła niepewną minę. Poderwawszy się nagle z fotela, oznajmiła:

- Nie mam tyle czasu, żeby siedzieć i plotkować.

- Lizzie! - rzuciła Amy, wyciągając rękę, żeby zatrzymać gospodynię. - Co chciałaś przez to powiedzieć? Dlaczego wujek Gif miałyby się cieszyć, gdybym się zakochała w człowieku od kamienia.

Lizzie trzepnęła ją po wyciągniętej dłoni.

- Auu! A to za co? - Amy odskoczyła.

- Zadajesz zbyt wiele pytań, moja droga. - Lizzie podeszła do kredensu i zaczęła przekładać w nim naczynia.

Amy jednak nie dała się zbyć.

- Świetnie! Pójdę zapytać wujka Gifa - rzuciła zadziornie.

- Nie! - Lizzie odwróciła się, by ją zatrzymać. W pośpiechu wypuściła z rąk rondel, który z łoskotem upadł na kamienną posadzkę, a pokrywa potoczyła się aż pod nogi Amy.

Schyliła się po nią wolno i podała Lizzie Abercrombie, która sprawiała wrażenie dziwnie zmieszanej i wylęknionej.

- No więc? - Amy przechyliła głowę na bok.

Lizzie mruknęła coś wymijająco.

- Wiesz, o co pytałam - nie ustępowała Amy. - Masz zamiar mi odpowiedzieć? - Podeszła do stołu i głośno położyła na nim pokrywkę.

- On ma pieniądze. Tylko to miałam na myśli - wydukała Lizzie, czerwona jak piwonia.

- Chcesz powiedzieć, że wujek Gif sprzedałby mnie temu,

który najwięcej zaoferuje? - Zaśmiała się niepewnie. - Dobry Boże! Czyżbyśmy żyli w średniowieczu?

- Nikt nie mówił o „sprzedawaniu”. - Pocziwa twarz Lizzie skurczyła się jak od nagłego bólu.

- Hej! Gniewasz się? Co ja takiego powiedziałam?

- Nic. - Lizzie wzięła pokrywkę i zaniósła ją do zlewu.

Zapanowała cisza. Amy zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Nagle wszystko ułożyło jej się w sensowną całość. Tyle że zupełnie niedorzeczną. W Anglii nie zawierano już tak zwanych małżeństw z rozsądku... przynajmniej taką miała nadzieję. Lizzie stała odwrócona do niej plecami. Amy obserwowała ją, ciekawa, czy gospodyni powie jej jeszcze coś na temat Gifa Weldona lub Richarda Bodena. Milczenie przedłużało się; dla Amy stało się jasne, że Lizzie uznała, iż powiedziała już i tak za wiele.

Amy podeszła do niej.

- Wygląda na to, że trafiłam w samo sedno? - odezwała się za plecami Lizzie.

Gospodyni odwróciła głowę.

- Myślisz, że zdradziłaś tajemnicę wuja Gifa, tak?

Po chwili namysłu, Lizzie odpowiedziała:

- Nie poznałaś nawet połowy prawdy.

- A ty nie masz zamiaru mi jej wyjawić?

- Nie ja jestem od tego. I tak powiedziałam już więcej niż powinnam.

- Wychodzę, Lizzie.

Gospodyni pokiwała głową.

- Uważaj przechodząc koło rzeki, jest bardzo wezbrana.

- Nie jestem już małą dziewczynką - powiedziała Amy łagodnie.

Lizzie nie odpowiedziała.

Amy wyłoniła się spod arkady dziedzińca i stała patrząc na rozpościerające się przed nią tereny parkowe Wydalej. U jej

stóp rzeka Eston wiła się niczym czarny wąż przez łąki, przemykała pod kępami wierzb, przedzierała się przez zasieki trzciny, by wreszcie z triumfalnym bulgotem śmiechu przeskoczyć głazy stojące na przeszkodzie swobodnej drodze do doliny.

Spojrzała wzrok na stary most, przez który przejeżdżała zaledwie przed dwudziestoma czterema godzinami. Zbudowany był z wielkich płaskich kamieni i nie miał balustrady. Był tak wąski, że ledwie się na nim mieścił farmerski wóz; przypomniała sobie, jak wuj Gif często mawiał, że będzie musiał coś z tym zrobić, kiedy tylko znajdzie czas, ale nigdy nic nie zrobił. Zastanawiała się, czy kaplica tak bardzo ucierpiałaby od pożaru, gdyby strażacy mieli możliwość dojechania na miejsce. Uświadomiła też sobie, jak bardzo zagrożony był sam dom, całkowicie odcięty od świata tą staroświecką konstrukcją na rzece.

Ktoś doświadczony w tego rodzaju przedsięwzięciach bez większych trudności mógłby sobie poradzić z poszerzeniem mostu i obsadzonej drzewami alei prowadzącej do domku Duncana Warda i głównej drogi.

Nagle jej uwagę przykuł dobiegający z góry hałas. Zadarłszy głowę, przytknęła dłonie do czoła i obserwowała przez chwilę helikopter krążący nad posiadłością. Kiedy ręce zeszywniały jej z zimna, schowała je w kieszeniach płóciennej kurtki i ruszyła w kierunku zagajnika rozciągającego się u stóp wzgórza osłaniającego kaplicę.

Był pogodny, chłodny ranek, białe palce chmur wyciągały się ponad doliną od Aspen Tor, najwyższego wzniesienia w tej części hrabstwa. Przy rzece skrzyła prosto do kaplicy z mocnym postanowieniem, że jeśli znajdzie tam owego Richarda Bodena, stawi mu czoło i dokładnie wypyta... Tylko o co miałabym go wypytać, zastanowiła się nagle. Nie mogła przecież podejść do niego i powiedzieć: „Panie Boden, podobno daje pan najwięcej za moją rękę”.



Przez ogołocone konary buków i dębów dostrzegła zarys krytej łupkiem wieży. Serce jej podskoczyło; skoro ta część kaplicy nadal stała, całość nie mogła być zupełną ruiną.

Kiedy jednak podeszła bliżej, aż zeszywniała ze zgrozy. Miała przed sobą wypaloną skorupę. Choć ściany zewnętrzne wciąż stały, w miejscach, gdzie kiedyś znajdowały się piękne witrażowe okna, teraz ziały pustką wielkie dziury. Ogromne zwieńczone tympanonem drzwi nosiły ślady ognia, a popękane skrzydło wisiało żałośnie na jednym zawiasie. Kamienne podpory i łuki rozpadły się i bezładnie leżały na ziemi, a mech wypełniał szczeliny. Pokrycie dachu uległo zniszczeniu, ale podobna do żeber konstrukcja pozostała w całości, choć ściemniała, nadwerżona płomieniami.

W żarze ognia ołów z dachu stopił się i spłynął zastygając w bezkształtne formy pomiędzy gruzami. Amy wiedziała, że wiosną to miejsce nie wyglądałoby aż tak przygnębiająco. W trawie kwitłyby żonkile i tojad, pnie wiekowych drzew obsiadłby rój niebieskich dzwoneczków. Utworzony przez nie kobierzec wyścieliłby kamieniste urwisko schodzące do rzeki. Teraz jednak otoczenie kaplicy wyglądało tak posępnie, że Amy nie miała ochoty przedzierać się przez rumowisko.

Już miała zawrócić do Hall, żeby tam czekać na wuja Gifa, kiedy usłyszała hałas - słaby odgłos drapania wydobywający się z głębi zrujnowanej kaplicy. Znieruchomiała nasłuchując. Dźwięk rozległ się ponownie, daleki, ale dobrze słyszalny. Cicho podeszła do drzwi i przez wyrwę po zburzonej przyporze wśliznęła się do środka. Odgłos był rytmiczny, jakby ktoś używał piły, tyle że nie do drewna, bo dźwięk był zbyt ostry. Okrążyła połamane belki, które były jedyną pozostałością ławek, i znów przystanąła wstrzymując oddech.

Tarcie i skrobanie dochodziło od strony niegdyśszej zakrystii na samym końcu kaplicy, nad którą pozostał jedyny ocalały kawałek dachu. Powoli zbliżyła się do przejścia przy ołtarzu; na jego końcu znajdowały się drzwi do zakrystii. Gdy

znalazła się w korytarzyku, tak wąskim, że wzbudzał wręcz klaustrofobiczny lęk, cuchnącym stęchlizną, nagle zrobiło się zupełnie cicho, jakby ten ktoś stał po drugiej stronie drzwi nasłuchując tak samo jak ona. W duchu zaśmiała się z siebie. To z pewnością był człowiek od kamienia. Powtarzała sobie, że to musi być on. Położyła dłoń na żelaznej kłamce i nacisnęła z całej siły.

Drzwi otwarły się z budzącym grozę przeciągłym skrzypnięciem.

Nie podniósł głowy, kiedy stanęła w progu.

Alabastrowy anioł leżał przed nim na wznak na czymś w rodzaju ławy, a człowiek od kamienia pochylał się nad nim, zwrócony bokiem do drzwi, mierząc jakiś drobny fragment jednego ze skrzydeł. Richard Boden - bo musiał to być on ~ w jednej ręce trzymał suwmiarkę, a w drugiej ołówek.

- Wejź i usiądź, Giffordzie - mruknął. - Postawiłem dla ciebie krzesło przy piecu. - Nieznacznie kiwnął głową w stronę kąta niewielkiego pomieszczenia.

Rzeczywiście, człowiek od kamienia. W Amy zbudziło się wrodzone poczucie humoru.

- Różnie mnie nazywano - odezwała się cicho - ale jeszcze nikt mnie nie wziął za mężczyznę po sześćdziesiątce.

Na dźwięk jej głosu poderwał się gwałtownie.

- Niech to wszyscy diabli! - Ołówek wysunął mu się z palców i odbił się od podłogi.

- Mam nadzieję, że Gabriel wybaczy panu to słownictwo - powiedziała wchodząc do środka i zamykając za sobą drzwi. Wyciągnęła rękę. Jestem Amy Weldon. A pan, jak się domyślam, jest Richardem Bodenem.

Robił wrażenie kogoś, kto właśnie został uderzony w głowę młotkiem i w każdej chwili może stracić przytomność.

- Najwyraźniej wywarłam na panu spore wrażenie. - Podeszła do niego, wciąż z wyciągniętą ręką. - Rozumiem, że tak wygląda typowe angielskie przywitanie.

Ocknął się, podał jej dużą, mocną dłoń.

- Do licha! Przepraszam. Nie spodziewałem się pani tutaj.

Potrząsnąwszy energicznie, puścił jej rękę.

- Powinam się wcześniej zapowiedzieć? - spytała nieco zaczepnym tonem.

- Do licha! - powtórzył. - Ależ nie!

- Pani Abercrombie strofuje mnie za używanie wyrażen typu „do licha”. Myślałam, że jestem jedyną osobą w Anglii mówiącą „do licha”, a tu od razu spotykam kogoś, kto mówi tak samo. - Uśmiechnęła się. - Wygląda na to, że mamy ze sobą wspólny język, panie Boden. - Podeszła do ławy i przyjrzała się aniołowi. - Co pan robi Gabrielowi?

Spojrzała na twarz swego rozmówcy i od razu spodobało jej się to, co zobaczyła - mocny zarys szczęki, spokojne piwne oczy i wyraziste rysy. Czy naprawdę to był mężczyzna, który miał zamiar się z nią ożenić? Postanowiła na razie nie poruszać tego tematu.

- Hmm... - Sprawiał wrażenie rozkojarzonego jej obecność-

cią, lecz szybko zebrał myśli. - Wuj pani nie mówił? Próbuje naprawić skrzydła. Jedno się wyszczerbiło, kiedy anioł spadł w czasie pożaru. Spiłowałem je i podrzeźbiłem, ale kilka cali ubyło, więc teraz muszę dopasować to drugie skrzydło. Proszę spojrzeć... - Zrobił jej miejsce, by mogła dokładniej przyjrzeć się alabastrowej figurze. Pochylił się tak, że miał anioła na wysokości oczu. Wyciągnawszy rękę, wyrysował w powietrzu niewidoczną linię u nasady anielskiego skrzydła. - Widzi pani tutaj? - Odwrócił głowę spoglądając jej prosto w oczy.

- Chyba tak. - Pokiwała głową.

- To trzeba będzie odjąć. Właśnie mierzyłem, ile ściąć, kiedy pani się zjawiła.

- Jak pan to odejmie?

- Zapewne za pomocą płaskiego dłuta. Nie chcę ryzykować zniszczenia tej strony... Jest prawie nienaruszona.

Miał przyjemnie miękki głos. Sposób mówienia świadczył o solidnym wykształceniu.

- Mogę dotknąć... skrzydła? - spytała.

- Oczywiście. - Chciał się odsunąć, żeby zrobić jej więcej miejsca, ale ona, jak zwykle impulsywna, wyciągnęła już rękę i przypadkowo otarła się o jego dłoń.

Lekkie ukłucie na skórze przypomniało jej czasy, kiedy podczas czesania włosy jej iskrzyły i przyklejały się do szczotki. „Jesteś naładowana energią, skarbie”, mówiła wówczas Kate Weldon. „Widać, że dobrze cię żywiłam przez te wszystkie lata. Dosłownie promieniejesz zdrowiem!”

Roześmiała się patrząc na Bodena.

- Przepraszam. Chyba przedawkowałam witaminy.

Miał w oczach wesołe błyski. Dostrzegła w nich także dużą wrażliwość, którą rzadko widywała u innych mężczyzn. Większość mężczyzn nie rozmawiałaby z nią tak jak on - jakby była osobą zdolną pojąć jego pracę, a nie jedynie atrakcyjną kobietą, której wypada zaimponować. Rozmowa z nim stanowiła przyjemną odmianę. W dodatku musiała

przyznać, że okazał się zupełnie inny niż to sobie wyobrażała... i wprawiło ją to w radosny nastrój!

- Jest ciepły. Spodziewałam się, że będzie zimny. - Pogładziła dłonią anielskie skrzydło. - Zawsze sądziłam, że marmur jest zimny.

- To alabaster - sprostował. - Alabaster nie jest taki twardy. Znacznie łatwiej w nim pracować.

- Ach, tak? - Przechyliła głowę patrząc na niego. Był wysoki, mierzył więcej niż sześć stóp. Poczowała się przy nim drobna i kobieca... mimo swoich pięciu stóp i ośmiu cali wzrostu. Uśmiech sam pojawił się na jej ustach. - Lubi pan alabaster, prawda?

- Jak pani na to wpadła, madame? - udał zdziwienie.

- Bo mówi pan o nim, jak o kobiecie - stwierdziła poważnie.

Dostrzegła w jego oczach coś w rodzaju znużenia.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Nieprzemysłane uwagi to moja specjalność, panie Boden.

- Może moglibyśmy się obyć bez tego „pana”? - Uniósł brwi pytająco. - Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

- A jak mówią na ciebie przyjaciele? Richard? Dick?

Rozśmieszy go to. Z trudem zachował powagę.

- A jak by mnie nazywali w Stanach? - spytał.

- Pewnie Bodie. To miłe męskie imię, nieprawdaż?

- Chcesz mnie tak nazywać?

Przecząco pokręciła głową.

- Wujek Gif dostałby szału. - Skrzywiła się. - A jak on się do ciebie zwraca?

- Przeważnie Richard. Czasami „Mój chłopcze”...

- O Boże! - Parsknęła śmiechem.

- Wiem, wiem. To nie najszcześniejsze określenie. Dosyć dawno wyrosłem z chłopięctwa.

- Nie jesteś znów taki stary, Richardzie. - Nagle spoważniała. Pochlebiała sobie, że umie rozpoznawać ludzkie charak-

tery, a w Richardzie Bodenie odnajdywała jakiś chłopięcy wdzięk, mimo iż musiał być bliski czterdziestki. Ale tacy ludzie zachowują ową miłą cechę do osiemdziesiątki.

- Miałem zamiar pójść dzisiaj do Hall, żeby się przedstawić.

- Zatem oszczędziłam ci fatygi, nieszczęsny starcze - stwierdziła nie przestając się uśmiechać. - Czy to znaczy, że wciąż jeszcze radzisz sobie ze stromym podejściem na dziedziniec?

Po tych słowach zawtórował jej serdecznym śmiechem, który aż zadudnił pośród kamiennych ścian. Był szczerzy. Lubiła ludzi, którzy potrafili się śmiać z samych siebie.

Po chwili powiedział:

- Ktoś ci o mnie opowiadał. Wiedziałaś, jak się nazywam.

- Richard schylił się po upuszczony przed chwilą ołówek.

- W tym momencie Amy zobaczyła Gabriela w całej okazałości i uroda rzeźby wywarła na niej duże wrażenie.

- Lizzie Abercrombie. Czy biedny Gabriel mocno ucierpiał?

- Miał rozbity nos, parę zadrapań i zniszczone skrzydło, ale w sumie dopisało mu szczęście. Jakimś cudem wypadł z tej okiennej niszy i w ten sposób uniknął żaru ognia.

- Co zamierzasz z nim zrobić? Nie bardzo widzę dla niego miejsce w tym całym chaosie.

Richard zmierzył małe fragment odłamane skrzydła. Amy okrążyła figurę, stanęła obok niego i przechylając głowę uważnie przyglądała się pomiarom. Wykonał kilka znaków ołówkiem, przeszedł do zniszczonego stołu pod jednym z łukowych okien i położył suwmiarkę pośród innych narzędzi.

Kolejno zważył w dłoni kilka dłut o różnych rozmiarach, a potem, nie patrząc na nią, odparł:

- Zamierzam odbudować kaplicę w wolnym czasie.

- Mówisz tak, jakby to było zajęcie na parę minut.

Z uśmiechem odwrócił ku niej głowę; skóra wokół jego ciemnych oczu ściągnęła się w siateczkę drobnych zmarszczek.

- Będę potrzebował pomocy, rzecz jasna, ale w kamie-

nielomie jest mnóstwo chłopaków, którzy chętnie popracują trochę po godzinach.

- Będziesz im płacił za przychodzenie tutaj? - zdziwiła się.

- Obiecałem to sobie - odparł i wzruszył ramionami. - Tak czy owak, mężczyzna powinien mieć jakieś dodatkowe zajęcie dla przyjemności... a że dotąd takiego nie miałem, zająłem się kaplicą.

- Jak poznałeś wujka Gifa? - zainteresowała się.

- Zajmuję się wydobywaniem kamienia. Sprzedaję gips do celów budowlanych, handluję także miejscowym kamieniem, takim z jakiego zbudowane jest Wydale. Twój wujek zlecił mi wycenę para prac w Hall. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale...

- To miejsce jest bliskie zaważenia nam się na głowę!

- Wiem, Lizzie Abercrombie mi mówiła.

- Gifford chciał odnowić zachodnie skrzydło, ale ono wymaga podstemplowania. Nie jest bezpieczne.

Przytaknęła.

Stanął przed nią z dłutem w jednej dłoni i drewnianym młotkiem w drugiej.

- To tylko wierzchołek góry lodowej. Kiedy zobaczyłem, w jakim stanie jest całe Hall, powiedziałem twojemu wujowi, że zrobiłby lepiej skupiając się na ważniejszych rzeczach niż odbudowa zachodniego skrzydła. W końcu, gdyby nawet zachodnie skrzydło uległo zniszczeniu, nie ucierpiałyby na tym reszta domu. Nie widziałem sensu w traceniu pieniędzy na coś, co jest praktycznie nie do naprawienia.

- Ile by kosztowało przywrócenie Wydale do dawnego stanu? - spytała po namyśle.

Powoli wrócił do ławki i schylił się nad aniołem.

- Mam ci podać sumę zaokrągloną do setek tysięcy, czy wolisz dokładniej? - zapytał ściągając usta.

- No, no! - Wepchnęła ręce do kieszeni kurtki zaskoczona tym, co usłyszała. Była jednak zadowolona, że jest z nią



szczerzy. - Wygląda to naprawdę niewesoło, co? - Spojrzała na niego poważnie.

Odpowiedział równie poważnym spojrzeniem.

- Możemy razem obejrzeć posiadłość, jeśli zechcesz... oczywiście z Giffordem. Mogę ci podać wykaz tego, co jest do zrobienia. A poza tym, zawsze możesz się postarać o inną ekspertyzę.

Wolno pokiwała głową.

- Myślę, że inna nie będzie nam potrzeba. Chyba możemy panu zaufać, panie Boden.

Już miał podjąć przerwana pracę przy anielskim skrzydle, lecz nagle odłożył narzędzia i powiedział:

- Do licha! Omal nie zapomniałem. Mam coś dla ciebie. Miałem zamiar przynieść to ze sobą dziś po południu i zostawić u Lizzie Abercrombie.

- Dla mnie? - Patrzyła na niego zdziwiona.

- Mały prezent na powitanie. Jeśli ci się spodoba, oczywiście.

- Panie Boden, jakże to uprzejmie z pana strony. - Czyżby próba pozyskania łask? Natychmiast zawstydziała się swych podejrzeń. Zupełnie nie sprawiał wrażenia człowieka, który by się posunął do podstępu. Jak dotąd był w stosunku do niej niewiarygodnie miły... i szczerzy aż do bólu.

- Amy, naprawdę już bym wołał, żebyś mówiła do mnie Bodie, zamiast tego pana Bodena - poprosił z komiczną powagą.

- Chyba grzeczniej będzie Richard, nie sądzisz?

- Ale nie przychodzi ci to łatwo, prawda?

Doszła do wniosku, że jej rozmówca ma nieprzeciętną intuicję. Odpowiedziała ze śmiechem:

- Prawdę mówiąc, rzeczywiście. Kojarzy mi się ze starszym bratem.

- Nie chciałbym być twoim starszym bratem. - Dźwięczny głęboki głos pobrzmiwał rozbawieniem. - Bodie nie ujmie

mi lat. Wiesz, w młodości trenowałem boks. Gdybym cię wtedy znalazł, mógłbym występować na ringu jako „Wielki Zły Bodie”! Co ty na to?

- Pasowałyby do ciebie.

Stał przez dłuższą chwilę przyglądając jej się bez słowa, jakby nad czymś głęboko zamyślony, a potem udał się do odległego rogu zakrystii, gdzie znajdował się mały okrągły piec, dający więcej dymu niż ciepła. Podniósł z ziemi plastikową torbę, przyniósł ją do ławki i podał jej ostrożnie mówiąc:

- Zobacz. Powiedz, czy ci się podoba. Jeśli nie, mogę zrobić coś innego.

Zajrzała do torby.

- Marmur! Nie... nic nie mów... To alabaster, tak? - Wsunąwszy do torby rękę, wyczuła w środku przedmioty o zagadkowych kształtach. - Jest ciepły w dotyku, tak samo jak skrzydło Gabriela. - Uśmiechnęła się szeroko. - Co to takiego? Te dwa kawałki alabastru?

- Podstawki do książek. Pomyślałem, że skoro chciałaś być nauczycielką, to pewnie lubisz czytać książki. - Pochylił się ku niej. - Daj! Pozwól, że ja je wyjmę.

Pomógł jej wydostać z torby alabastrowe przedmioty, a kiedy obydwa znalazły się bezpiecznie w jego rękach, poczekał, aż odłoży torbę, i wręczył jej jedną z podstawek.

Oglądała prezent z zapartym tchem. Spód był przycięty pod kątem prostym, natomiast na wierzchu znajdowały się pięknie wyrzeźbione twarze dzieci różnych narodowości. Po chwili dostrzegła, że druga podstawka jest identyczna. Uśmiechnięte twarzyczki zachodziły na siebie; naturalne odcienie alabastru zostały wykorzystane dla efektu jaśniejszych i ciemniejszych karnacji skóry. Amy jeszcze nigdy nie widziała czegoś równie pięknego. Nieśmiało, zupełnie nie znanym u siebie tonem, wyznała:

- Nigdy w życiu nie dostałam tak pięknego prezentu.

Przyjął wyrazy uznania z pewnym zmieszaniem; sięgnął po torbę.

- Miałem nadzieję, że ci się spodobają. - Włożył trzymaną w dłoni podstawkę do torby i wyciągnął rękę po drugą podstawkę, by zrobić z nią to samo. - Prawdę mówiąc, wyrzeźbiłem te twarze myśląc o tym, że być może będą ci przypominać te dzieciaki, które miałś uczyć w szkole. Gifford mówił mi, że zrezygnowałaś z pracy, żeby tu przyjechać...

- Sam je wyrzeźbiłeś? - Oczy Amy zrobiły się okrągłe.

Odniosł torbę pod drzwi, po czym wytarł zakurzone ręce w swoje sztruksowe spodnie.

- Cóż, alabastru mam pod dostatkiem - wyjaśnił niedbałym tonem. - W końcu żyję z kamienia.

Zrobił krok w stronę Gabriela, lecz powstrzymała go odruchowo chwytając rękaw luźnego granatowego swetra z szorstkiej wełny.

- W Stanach z takim talentem zbiłyś fortunę.

- To tylko hobby! - Opuścił wzrok na przytrzymującą go rękę.

Amy poczuła się trochę niezręcznie z powodu swej poufałości. Ale dotknięcie go przyszło jej tak naturalnie, bez oporów, że aż ją to zadziwiło. Wprawdzie była z natury bezpośrednia, lecz nigdy aż tak wylewna w okazywaniu uczuć. Cofnęła dłoń; natychmiast wsunęła ją głęboko do kieszeni kurtki i zacisnęła mocno w pięść.

Zganiła się za głupotę. Przecież dając jej ten prezent mógł chcieć tylko przychylnie ją do siebie usposobić. Mógł próbować wkraść się w jej łaski, żeby tym łatwiej przeprowadzić swój plan... Może zaprezentował wujowi Gifowi jakąś łzawą opowieść o tym, jak to potrzebna mu żona, która by go doglądała na stare lata. Taak! Pewnie ten Bodie niechętnie się rozstawał z gotówką... a wuj ubolewał nad brakiem środków niezbędnych do odbudowy Wydaleń. Jakże się więc dziwić, że Bodie zaproponował interes?

Wyobraziła sobie, jak we dwójkę snują plany: „Może oddałbyś mi rękę Amy, staruszku? A w zamian miałbyś moje pieniądze na/ Wydale?” I wujek Gif musiał się zgodzić! „Znakomity pomysł, mój chłopcze. Amy ma już dwadzieścia parę lat. Czas, żeby się ustatkowała...”

- Nad czym tak się zamyśliłaś, Amy?

Ocknęła się; potrzęsnęła głową. Nadal stali bardzo blisko siebie. Poczuła ciepło rumieńca na policzkach. Czyżby było po niej coś widać? Miała nadzieję, że nie odgadł, o czym myślała. Sztywno cofnęła się w stronę drzwi.

- Ja... chyba już muszę wracać.

- Miło było cię poznać. - Nie próbował jej zatrzymywać.

- Nie zapomnij podstawek - przypomniał, kiedy była już przy wyjściu. - Mam nadzieję, że okażą się przydatne.

Przydatne! Chyba żartował. Były piękne. Wątpiła, czy kiedykolwiek odważy się ich użyć w obawie przed zniszczeniem. Uśmiechnęła się do niego i schyliła po torbę; podniosła ją ostrożnie w obu rękach, na wypadek gdyby cienkie uchwyty miały nie wytrzymać ciężaru.

- Naprawdę doceniam twój gest. - Miała nadzieję, że towarzyszący podziękowaniom uśmiech wypadł przekonująco.

- Trafisz z powrotem?

- Pewnie! W szkole średniej zdobywałam nagrody w marszach na orientację.

- Zajrzyj tu do mnie jeszcze kiedyś.

Pokiwała głową. Miała ochotę zostać jeszcze chwilę, ale doszła do wniosku, że w tej sytuacji wypada jej już iść.

- Jesteś tu codziennie?

- Do licha, nie. Mam na głowie interesy - prowadzę kamieniołom w Hatton-in-the-Dale. Zwykle udaje mi się tu wyrwać jedynie w weekendy.

- Więc nie zobaczymy się przez następnych kilka dni?

- Na to wygląda.

Poczuła nagłe rozczarowanie. Miło jej się rozmawiało

z Richardem Bodenem; miała wrażenie, że mogliby zostać przyjaciółmi... jeżeli to, czego pragnęła, rzeczywiście można było nazwać przyjaźnią.

- Niewygodnie ci z tą torbą. - Zostawił anioła i podszedł do niej. - Poczekaj! Pomogę ci.

Otworzył przed nią drzwi, przepuszczając ją do wąskiego korytarza. Odchodząc zatrzymała się na moment i powiedziała:

- Nawiasem mówiąc, chyba powinnam ci coś wyjaśnić.

- Tak? - Wyczuła w jego głosie niepewność.

- Najwyraźniej wujek Gif powiedział ci, że zrezygnowałam z posady w Paisley Junior's w Bostonie.

- Hmm, owszem. Gifford mówił...

Przerwała mu ostro:

- Zatrzymają ją dla mnie przez pół roku. - Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając zęby. - Nie mam zamiaru zostawać w Anglii na zawsze. Jestem tu tylko z wizytą... to wszystko.

- Może więc powinnaś to powiedzieć swojemu wujowi - odparł całkiem spokojnie.

- Chyba masz rację. Myślę, że od razu pójdę to zrobić.

Moje drogie dziecko, co też się wylęło w twojej ślicznej małej główce? - Wuj Gif uśmiechał się z głupawą dobroduszością, jakby miał do czynienia z pięcioletnią dziewczynką, choć po drugiej stronie stołu siedziała Amy.

- Wujku Gifie, mówię poważnie. - Była wściekła, że wuj zwraca się do niej w taki sposób. W duchu przyznawała jednak, że właśnie tego powinna się była spodziewać ze strony człowieka, który kiedyś był jej opiekunem i najwyraźniej wciąż sądził, że może kierować jej życiem.

Nie przerywał jedzenia; nabijał ziemniaki na widelec i kroił je na małe kawałeczki przed włożeniem do ust.

- Przecież nie możesz wracać do Ameryki. Dopiero co tu przyjechałaś.

- Nie powiedziałam, że wracam natychmiast. Powiedziałam, że dyrektor Paisley Junior's będzie dla mnie trzymał tę posesję aż do letnich wakacji. I wtedy mam zamiar wrócić, wujku Gifie. Naprawdę.

- Zjedz obiad jak grzeczna dziewczynka.

Jego uśmiech zaczynał ją drażnić. Głośno odłożyła sztućce na talerz i wzięła głęboki oddech, gotowa dać wujowi nauczkę. Musiała mu jakoś uświadomić, że nie jest już małą dziewczynką...

- Zjedz jarzyny, dziecko. A kurczak jest wyśmienity. Będę musiał pogratulować pani Abercrombie jej kulinarnych zdolności.

Był doprawdy nieznośny. Zdolności kulinarne, rzeczywiście.

- Na miejscu Lizzie wylałabym ci na głowę cały sos z salaterki, gdybyś mi powiedział coś takiego - oznajmiła z naciskiem.

Spojrzał na nią lekko zdziwiony.

- Przecież to komplement, Amy. Nie lubisz komplementów? Jestem pewien, że Lizzie tak by to zrozumiała.

Amy była pewna, że Lizzie Abercrombie rozumiałaby to wręcz przeciwnie. Zdała sobie jednak sprawę, że wuj Gif po prostu sprytnie zmienił temat.

Uznała, że powiedziała to, co miała do powiedzenia. A skoro postanowił nie przyjmować do wiadomości, że ona wraca do Ameryki, to już jego sprawa. Nie mógł jej przecież zakuć w łańcuchy i zatrzymać tu siłą.

- Szkoda, że nie mamy tu w Wydale lochu - odezwał się z błyskiem w oku. - Mógłbym cię do niego wrzucić, moja droga, i poczekać, aż się trochę uspokoisz.

Przyjęła jego słowa jako żart; zaśmiała się cierpko. W tym

samym momencie w drzwiach ukazała się Lizzie Abercrombie, która przysłała sprzątnąć ze stołu.

- Pudding? - Lizzie spojrzała pytająco najpierw na jedno, potem na drugie z nich.

Niewinne pytanie Lizzie, w sytuacji gdy atmosfera w jadalni była tak gęsta, że można ją było kroić nożem, wydało się Amy tak absurdalne, że wybuchnęła nieopanowanym chichotem.

- Och, Lizzie!

- A cóż ja takiego powiedziałam? - Oburzona Lizzie wzięła się pod boki.

- Pudding!

- Lizzie, nie zwracaj uwagi na Amy - wtrącił wyniośle Gif Weldon. - Jest w jakimś dziwnym nastroju.

- On chce mnie zamknąć w lochu. A potem ty wchodzisz i pytasz, czy chcę pudding.

- Mówisz od rzeczy - mruknęła Lizzie. - No to jak, chcecie ten pudding imbirowy czy nie?

- Z największą przyjemnością, Lizzie. - Głos Gifa Weldon wprost ociekał słodyczą. - I muszę cię pochwalić za ten obiad...

- To był kurczak. Najzwyklejszy kurczak - ostudziła go Lizzie. - Więc niech się panu nie zdaje, że tymi pochlebstwami przeciągnie mnie pan na swoją stronę. W dzisiejszych czasach kobiety mają swoje prawa, panie Weldon. Kobiety nie muszą się godzić na protekcyjnalne traktowanie ze strony swoich pracodawców.

- Lizzie, jesteś kimś więcej niż pracownikiem, przecież wiesz?

- Płaci mi pan. - Lizzie nie dawała się zbić z tropu. - A ja dla pana gotuję. Zgadza się?

Amy wstała od stołu i zaczęła pomagać w zbieraniu nakryć. Lizzie Abercrombie gniewnie machnęła ręką.

- Siadaj, dziewczyno.

- Ale ja nie chcę żadnego puddingu imbirowego. Pójdę do kuchni i pomogę ci zmywać.



- To zajęcie nie należy do ciebie.  
- Nie słyszałaś nigdy o podziale pracy? - Amy posłała gospodyni promienny uśmiech sprzątając jej sprzed nosa półmisek po jarzynach.

Już w kuchni Lizzie spytała:

- Czym go tak zdenerwowałaś?  
- Powiedziałam mu, że za kilka miesięcy wracam do Stanów. On chyba sobie ubzdurał, że zostanę tu na dobre.

- Nieroztropne posunięcie. - Lizzie podeszła do starego paleniska i zgarnęła do ognia resztki z talerzy. Skóra i kości z kurczaka zaskwierczały w zetknięciu z płomieniami. Wyprostowawszy się, zapytała:

- Po co to zrobiłaś? Nie wiesz, że on pragnie, byś tu została?  
- Nie mogę. W Bostonie czeka na mnie praca. - Amy odkręciła kurek z gorącą wodą.

- Jest starym człowiekiem. Nie możesz być dla niego lepsza?

Amy roześmiała się, pochylona nad parującym zlewem.

- Lizzie, a cóż ty przez to rozumiesz?  
- Ustąp mu! Pozwól mu zdecydować.  
- Kosztem mojego własnego życia? - Amy poderwała głowę.

- Jego życie dobiega końca, dziewczyno.

Amy przestała mieszać szcztoką w spienionej wodzie i odwróciła się do gospodyni.

- Lizzie! Nie powinnaś mówić takich rzeczy.  
- Kiedy naprawdę tak uważam. Jak myślisz, dlaczego przysłałam ci ten list?

- Pomyślałam, że wujek Gif jest bliski śmierci, kiedy go przeczytałam. - Amy zmarszczyła czoło. - Ale przecież tak nie jest, co, Lizzie? Czy to on ci kazał wysłać ten list? Żeby mnie tu ściągnąć z powrotem?

- Nie wiedział, że do ciebie pisałam. Pozwoliłam mu myśleć, że chciałaś tu przyjechać na wakacje.

- To było trochę pokrętnie. - Amy oparła się o prymitywne kuchenne szafki, które stanowiły jedyny element modernizacji w Wydale, i patrzyła, jak Lizzie wkłada do zlewu brudne naczynia. Potem gospodyni zajęła się nakładaniem deseru w postaci parującego imbirowego puddingu.

- Po prostu nie wspominaj o tym więcej... i o powrocie do Stanów.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to był pomysł Richarda Bodena, żeby powiedzieć wujkowi Gifowi.

Lizzie wbiła w nią ciężki wzrok.

- Nie potrzebowałeś dużo czasu... - powiedziała mrużąc oczy - żeby go upolować.

- Był w kaplicy. Nie polowałam na niego umyślnie, na litość boską.

Lizzie pogroziła jej palcem.

- Mówiłam ci, żebyś nie powtarzała tego „na litość boską” kiedy jesteś tutaj.

Amy przyjęła wdzięczną pozę i oznajmiła:

- Richard Boden nie wytyka mi mojego akcentu. I Richard Boden mówi "do licha" tak samo często jak ja.

- Richard Boden przypadł ci do gustu, panno nauczycielko, co? - zakpiła Lizzie przedrzeźniając jej amerykański akcent.

- Jest w porządku! - Amy energicznie zabrała się do zmywania. Słyszała, jak Lizzie wychodzi z kuchni i z salaterką puddingu człapie po kamiennej posadzce do jadalni.

Kiedy wróciła, Amy spytała:

- Czemu nie możemy wszyscy jeść tutaj? We trójkę? Tu jest przytulniej niż w tej ponurej odeskowanej jadalni.

- Odeskowanej? - Lizzie omal nie udławiła się ze śmiechu.

- To boazeria, moja droga. Lepiej, żeby nasz pan i władca nie słyszał, że nazywasz ją odeskowaniem.

- Jest ciemna i przytłaczająca, i ma na sobie okropny siny nalot. - Amy aż się wstrząsnęła.

- Ten siny nalot powstał od wilgoci. Richard Boden

twierdzi, że potrzebujemy odpowiedniej wentylacji. Widocznie nie wiedziano o takich rzeczach, kiedy Wydalę było budowane jakieś trzysta lat temu.

Nie powinnaś jadać sama, Lizzie.

- Jestem służącą, panno Amy.

- I nie nazywaj mnie panną Amy, na litość boską - zachnęła się. - Nienawidzę tego, Lizzie. Naprawdę.

- Znowu to powiedziałas, dziewczyno. „Na litość boską”.

- Czuję się, jakby mnie cofnięto do średniowiecza. Masz mi za złe, że raz na jakiś czas sobie zaknę?

Lizzie wzruszyła rozłożystymi ramionami.

- Właściwie nie. - Wzięła do ręki wykrochmaloną ścierkę i zaczęła wycierać naczynia, które zmyła Amy. - Po chwili, jakby nigdy nic, spytała: - No więc, jak ci się podoba? Ten Richard Boden?

- Człowiek od kamienia - rzuciła Amy tajemniczo."

- Ty to masz wyobraźnię. - Lizzie bez trudu sięgnęła do najwyższej półki kredensu i poustawiała na niej talerze.

- Człowiek od kamienia. - Parsknęła. - Pewnie niepotrzebnie spytałam.

- Jest w porządku. Właściwie spodobał mi się. Podarował mi podstawki do książek, które sam wyrzeźbił.

- Podstawki? - Lizzie wsparła ręce na biodrach w typowej dla siebie pozie. Stała na środku kuchni jak wmurowana - trudno byłoby inaczej określić jej postawę.

Amy wybuchnęła śmiechem.

- Nie pochwalasz przyjmowania prezentów od Richarda Bodena?

- Ha! Nie spodziewałam się czegoś takiego. Zawsze wydawał mi się taki cichy i nieśmiały.

- Nie odniosłam takiego wrażenia. - Amy podjęła przetrwaną pracę. - Powiedz mi, Lizzie, co się stało z jego żoną?

- Mówił mi, że umarła... to musiało być dość dawno, w połowie lat osiemdziesiątych. Jakieś komplikacje w ciąży.

- W ciąży! - Amy odwróciła się gwałtownie do Lizzie.
- Do licha! Nie pomyślałam o dzieciach. On nie ma dzieci?
- Nie. To miało być ich pierwsze... gdyby Grace i dziecko przeżyli. Przyniósł kiedyś do Hall jej zdjęcie, żeby mi pokazać.
- Wygląda na to, że ty i Richard jesteście w całkiem niezłych stosunkach, co, Lizzie? - Amy zmrużyła oczy.
- Można tak powiedzieć. - Lizzie skupiła się na dokładnym wycieraniu sztućców i odkładaniu ich do szuflady z przegródkami.
- No, nie bądź taka, Lizzie. Opowiedz mi o nim. Muszę z ciebie wyciągać siłą każde słowo.
- Nic więcej nie wiem. - Gospodyni wzruszyła ramionami.
- Czasami wpada na filiżankę herbaty, kiedy pracuje w kaplicy.
- Mogłabym go kiedyś zaprosić na obiad?
- Czemu nie? Wydaje mi się, że chcesz tu grać pierwsze skrzypce, moja panno.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Zadajesz zbyt wiele pytań. To ci chcę powiedzieć.
- Lizzie z trzaskiem zasunęła szufladę i odwiesiła ścierkę.
- Teraz, jeśli pozwolisz, udam się do swego pokoju, żeby obejrzeć *Coronation Street*. Masz coś przeciwko temu?
- *Coronation Street!* Czy to jeden z tych cukierkowych programów o królowej?
- Chodź i sama zobacz - zaproponowała sucho Lizzie.
- Myślę, że ci się spodoba.
- Naprawdę?
- O, tak! Niektóre z postaci są do ciebie podobne - wtykają nos w sprawy swoich bliźnich i to za każdą cenę. Nigdy nic nie wiadomo - może nauczysz się czegoś nowego.

Gif Weldon zgodził się na zaproszenie Richarda Bodena na obiad, ale powiedział, że sam wystosuje zaproszenie. Amy

była rozczarowana. Miała nadzieję, że będzie mogła zadzwonić do Richarda, ale wuj Gif nawet nie chciał o tym słyszeć.

- To nie twój dom, moja droga. Ja jestem gospodarzem i tylko do mnie należy zapraszanie gości.

- Ale ja wystąpię w roli gospodyni.

- Ty, Amy, jesteś moim gościem.

Gif Weldon był stanowczy; nie było mowy o dyskusji. Amy uzmysłowiła sobie, że istotnie jest tylko gościem... nawet jeśli ma odziedziczyć Wydaleń kiedyś, w odległej przeszłości.

Śnieg zaczął padać na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Amy zadrżała patrząc z okna sypialni na pokrywany się zimną bielą krajobraz; pomyślała z tęsknotą o centralnym ogrzewaniu, jakie mieli w Bostonie. Ubrała się szybko, wkładając na siebie to, co pierwsze wpadło jej w ręce na półkach w antycznej dwudrzwiowej szafie; czarną koszulkę polo, czarne dżinsy i gruby czerwony pulower. Doszła do wniosku, że konieczne na taką pogodę są wysokie buty, zwłaszcza że jak co dzień od czasu przybycia do Wydaleń wybierała się na spacer. Przemierzyła już wiele mil pieszko po okolicy... ku rozpaczy Lizzie Abercrombie i wuja Gifa.

Po śniadaniu, które zjadła sama w przestronnej kuchni, ponieważ Lizzie była zajęta z dwiema kobietami, przychodzącymi ze wsi do sprzątanía dwa razy w tygodniu, Amy przeszła do głównego hallu. Dostrzegła wuja znikającego w swoim gabinecie, usytuowanym przy końcu korytarza wychodzącego z hallu, ale postanowiła mu nie przeszkadzać.

Spojrzał na portret Barbary Weldon wiszący nad pustym, uprzątniętym kominkiem i wzruszyła ramionami.

- No cóż, droga Basiu - mruknęła do siebie - wygląda na to, że dzisiejszego ranka nikt specjalnie nie zabiega o moje towarzystwo. Chyba pójdę się wspiąć na tę górkę.

- A z kimże ty rozmawiasz?

Amy odwróciła się na pięcie. Lizzie Abercrombie zwykle zbliżała się, poprzedzona odgłosem człapania. Dziś zjawiła się bezszelestnie niczym zjawa.

- Wielkie nieba, Lizzie. Przestraszyłaś mnie. - Wzrok Amy przykuły dziwaczne różowe puchate kaptcie na nogach gospodyni. Nie wyobrażała sobie, że Lizzie-Amazonka może nosić cokolwiek choć trochę kobiecego. Zaczęła się śmiać.

- Co ty masz na nogach, Liz?

- Papucie! Oczu nie masz, dziewczyno?

- Zwykle słyszałam, jak nadchodzisz.

- A dzisiaj mam odmrożone stopy.

- Aha! Rozumiem.

- I pilnuję tych dwóch z Hawkwood. Przydzieliłam im pracę w różnych częściach Hall. Gdybym tego nie zrobiła, od razu by zaczęły plotkować, a robota by leżała. W tych papuciach mogę je podejść i zaskoczyć, kiedy się będą objąć przy sprzątanii.

- Chcesz, żebym w czymś pomogła, Lizzie?

- Nie ma mowy! Nie jesteś tu do pracy.

- Więc mogę wyjść?

- O to właśnie pytałaś tę damę na ścianie? - Lizzie znacząco kiwnęła głową w stronę portretu Barbary Weldon.

- Co się z nią stało, Lizie? - Amy spojrzała ponownie na malowidło, które zawsze ją fascynowało.

- Wyjechała. Tak przynajmniej słyszałam. To było, zanim zaczęłam tu pracować.

- Ale dlaczego? Dlaczego wyjechała?

- Skąd mam wiedzieć? - Lizzie wzruszyła ramionami.

- Pokłócili się? - Amy miała niejasne przeczucie, że gospodyni coś przed nią ukrywa.

- Słuchaj! On się z nią rozwiódł. Czego jeszcze trzeba?

- Lizzie wykonała nieokreślony ruch ręką.

- Ale kiedyś musiał ją kochać. Nadal trzyma tu jej portret.

- Miłość! Miłość nic nie znaczy.

- Hmm, zawsze wiedziałam, że nie jesteś przesadnie romantyczna, ale...

- Żadnego ale, panno Amy. Miłość to tylko informacja dla ciała od natury, że hormony działają prawidłowo. Na tym polega miłość. Wy, młodzi, wyobrażacie sobie jakieś cuda, ale przychodzi czas, kiedy trzeba się obudzić i przyznać, że miłość nie jest nawet w połowie tak zabawna, jak się człowiek spodziewał.

- Robi wrażenie samotnej na tej ścianie.

- Samotnej? To jest dla ciebie powód, żeby gadać do obrazu?

- Mówiłam jej tylko, że idę się wspinać na górę.

- Na jaką górę?

- Aspen Tor. To duże wzniesienie na północ od Wydaleń...

- Wiem, które wzniesienie nazywa się Aspen Tor, dziewczyno. Nie musisz mi tłumaczyć.

- Ta góra fascynowała mnie przez te kilka miesięcy, gdy tu mieszkałam jako dziecko. Uwielbiałam na nią patrzeć, kiedy była pokryta śniegiem. Jadąc do Ameryki obiecałam sobie, że jeśli kiedyś tu wrócę, wejdę na sam szczyt.

- Jesteś kompletnie zszikowana. Po co chcesz się na nią wspinać? - Zaciśnięte pięści Lizzie jak zwykle wylądowały na biodrach.

Amy była bliska ukucia teorii na temat tej szczególnej pozy Lizzie. Przypuszczała, że Lizie przyjmuje ją po to, by zająć więcej przestrzeni niż zwykle i tym samym zmusić innych do zwrócenia na siebie większej uwagi.

- Chcę się na nią wspinać, ponieważ tam jest. Czyż nie dlatego większość ludzi wspina się na góry?

- Nie ucieknie ci. Będzie tam nadal, kiedy pogoda się poprawi. A poza tym to właściwie nie jest żadna góra. Sama wiele razy byłam na szczycie.

- Chcę zrobić film.

- Fotki?

Amy parsknęła śmiechem.

- O Boże, co to są fotki?  
- Zdjęcia. Tak je nazywaliśmy w czasach mojej młodości.  
- Mam na myśli film wideo, Lizzie.  
- Wideo?  
- Owszem! Wideo! To małe czarne pudełko, jakiego nie mamy tu w Wydale.

- Więc jaki sens kręcić film wideo, jeśli nie można go potem obejrzeć?

- Mam zamiar kupić coś takiego. Magnetowid. Mogłybyśmy go podłączyć do twojego małego telewizorka.

- O, nie!

Amy odwróciła się tyłem do kominka i spojrzała ze zdziwieniem na gospodynię.

- Dlaczego nie?

Dłoń Lizzie oderwała się od kościstego biodra, żeby pomachać Amy przed nosem.

- Nie będziesz niczego podłączać do mojego telewizorka. Nie życzę sobie, żeby przez ten nowomodny wynalazek stało mu się coś złego.

- Och, Lizzie. Jesteś staroświecka. Na litość boską, nic złego się nie stanie.

- Stale coś się dzieje, odkąd przyjechałaś, dziecko. Pomyśl choćby o twoim zachowaniu... najpierw wobec wuja, a potem wobec mnie. Wy, Amerykanie, z pewnością nie słyniecie z taktu.

Amy, która właśnie podchodziła do gospodyni, na te słowa stanęła jak wryta. Odezwała się całkiem spokojnie:

- Wezwałeś mnie tu pod fałszywym pretekstem, Lizzie. Sądziłam, że wujek Gif jest co najmniej przykuty do łóżka... a co zastałam? Kłótniwego starca, który najwyraźniej nie dba o nikogo i o nic z wyjątkiem swej drogocennej posiadłości. Oto, co zastałam. Więc skoro już mówimy na ten temat, może zechcesz mi uczciwie powiedzieć, dlaczego kazałeś mi przyjechać?

- Nie zrozumiałabyś tego. - Lizzie zadarła nos udając, że jest obrażona.



- Lizzie! Żądam odpowiedzi. Nie jestem dzieckiem. Nie możesz dyrygować: „zrób to, zrób tamto” i oczekiwać, że spełnię wszystkie polecenia nie zadając pytań. - Ruszyła w stronę schodów; z nogą na pierwszym stopniu odwróciła się jeszcze i dodała: - Lizzie! Muszę otrzymać odpowiedź.

Lizzie Abercrombie spojrzała na nią z namysłem.

- Myślisz, że oszalałam, co?

- Zaczynam myśleć, że to ja jestem stuknięta. Na pierwsze wezwanie przyleciałam zza Atlantyku, jak się okazuje, nie wiadomo po co...

Zazwyczaj blada twarz Lizzie pokryła się rumieńcem.

- Był kiedyś pan Abercrombie... - zaczęła.

Amy patrzyła na nią nic nie rozumiejąc.

- A co to ma do rzeczy?

- Miałam sen...

Amy spojrzała na sufit.

- To się wszystkim zdarza, Lizzie. Wszyscy miewamy sny...

- Nie takie. To był naprawdę zły sen. Prawdziwy. I to nie pierwszy, jaki miałam.

Amy zaczynała tracić cierpliwość. Czyżby Lizzie ściągnęła ją zza oceanu tylko z tego powodu? Rozłożyła bezradnie ręce.

- Lizzie... co się tu, u diabła, dzieje?

- Mieliśmy naprawdę zły okres... ja i pan Abercrombie. Nawiasem mówiąc, miał na imię Tom.

- Kiedy to było?

- Dawno. Dwadzieścia... dwadzieścia dwa lata temu. Kto by zresztą liczył?

- I...?

- Miałam sen, że porwała mnie trąba powietrzna i zostałam wciągnięta do tunelu. Koło mnie ze świstem pędziły pociągi, a potem, kiedy na końcu tunelu ujrzałam światło, tuż przede mną runęła ściana z cegieł i odcięła mi drogę. I rozbiłam się o tę ścianę.

Amy dostrzegła w oczach gospodyni nie skrywane przerażenie. Powiedziała cicho:

- Lizzie, wszyscy miewamy takie sny.

- Następnego dnia Tom skoczył z mostu kolejowego... prosto pod nadjeżdżający ekspres.

- Boże! Nie! - Amy opadła na stopień i siedziała wpatrując się w Lizzie z niedowierzaniem.

- Dwa miesiące temu miałam inny sen.

Amy czuła, jak krew stygnie jej w żyłach. Nie była w stanie się odezwać.

- Tym razem śnił mi się ten mały most na Eston.

Amy nadal nic nie mówiła. Narastał w niej straszliwy lęk.

- Ty byłeś w tym śnie. Byłeś małą dziewczynką, biegłaś aleją od strony domku Duncana Warda. Była straszna burza, wszędzie latały gałęzie... a ty byłeś bardzo wystraszona. Wiesz, jak to jest we śnie, Amy, chcesz biec z pomocą, ale nogi masz wrosnięte w ziemię, nie możesz się poruszyć... najwyżej tak jak na zwolnionym filmie.

Amy przytaknęła skinięciem i dziwnie schrypniętym głosem poprosiła:

- Mów dalej, Lizzie. Powiedz mi, jak się skończył.

- Kiedy dotarłaś do rzeki i już miałaś postawić stopę na moście, okazało się, że on nagle zniknął. Zostałaś po tamtej stronie rzeki, a Gif Weldon stał po stronie Wydaleń i śmiał się jak szaleniec.

- I co się stało? - spytała Amy; czuła zimny dreszcz na plecach.

Lizzie chlipnęła.

- Ten przekłety anioł Gabriel... ten, którym Richard Boden jest taki przejęty... zjawił się nagle, jakby z wezbranej rzeki; był jak żywy, kołysał się w powietrzu... wcale nie przypominał tej alabastrowej figury. Spojrzył na ciebie i wyciągnął ramiona... Chciałam krzyknąć do ciebie z całych sił, żebyś do niego nie szła, ale nie mogłam wydusić ani słowa. Wyciągnęłaś do

niego rękę, ale... - Lizzie zadrżała - ...ale on jakby zmienił zamiar i zwrócił się do twojego wuja. Sięgnął po niego rozpościerając skrzydła... I wtedy się obudziłam.

Amy miała wrażenie, że lód topniejąc spływają po jej kręgosłupie. Poderwała się i podbiegła do Lizzie, która otwarła przed nią ramiona. Stały mocno objęte przez dłuższą chwilę, nie mówiąc ani słowa.

W końcu Amy pierwsza odezwała się szeptem:

- Co to oznacza, Lizzie?

- Bóg jeden wie. Ja nie wiem. Wiem tylko tyle, że po przebudzeniu czułam się tak samo jak wówczas, kiedy umarł mój Tom.

- I mówisz, że to się zdarzało wcześniej... zanim umarł twój mąż?

- Wiele razy, dziecko. I zawsze z tym samym skutkiem.

- Śmiercią? O Boże, Lizzie... przerażasz mnie.

- Czy dobrze zrobiłam wysyłając do ciebie ten list? - Lizzie odsunęła ją na odległość wyciągniętych ramion i spojrzała jej w oczy.

Amy przytaknęła, odrętwiała. A potem stwierdziła:

- Lizzie... muszę stąd wyjść na jakiś czas. Rozumiesz mnie? Idę... na Aspen Tor. Potrzebuję czasu, żeby przemyśleć pewne sprawy...

Lizzie opuściła rękę. Pokiwała głową mówiąc:

- Ale uważaj szczególnie przy tej rzece...

Wyszędłszy z domu, ubrana w ciepłą kurtkę i jaskrawożółty szalik, Amy znów usłyszała helikopter brzęczący wysoko na niebie ponad Wydale. Przy rzece, tuż obok mostu zatrzymała się i osłaniając dłonią oczy spojrzała w górę ponad drzewami kryjącymi wypaloną kaplicę. Podobnie jak Gifford Weldon nie rozumiałam, dlaczego helikopter krąży nad posiadłością.

Usłyszała wołanie. Odwróciwszy się ujrzała, jak Lizzie stojąca pod łukiem dziedzińca wzywa ją gorączkowym machaniem.

- Telefon! Z Ameryki! Do ciebie!
- Cholera! - Amy w jednej chwili zapomniała o helikopterze i biegiem pokonała wzniesienie do Wydaleń. Odebrała telefon w głównym hallu, czując na sobie wzrok Barbary Weldon spoglądającej z portretu nad kominkiem.
  - Kate! Jak miło jest słyszeć twój głos. Dostałaś mój list?
  - Jeszcze nie, dziecinko. Prawdę mówiąc, nawet się nie spodziewałam. W końcu jesteś tam dopiero od tygodnia... no i zadzwoniłaś do mnie zaraz po przyjeździe, żeby mi powiedzieć, że dotarłaś cała i zdrowa.
    - Wysłałam list pocztą lotniczą. - Amy zmarszczyła brwi.
    - Nie martw się. Przyjdzie na pewno. Co u ciebie słychać? Amy uśmiechnęła się do słuchawki. Tęskniła za Kate... i brakowało jej Marty'ego.
      - Nic specjalnego! Jak się miewa Marty?
      - Świetnie! Mówi, że nie powinnam cię nękać, ale nie mogłam się powstrzymać. Masz już jakieś wiadomości o Kitty, kochanie?
  - Amy uświadomiła sobie ze wstydem, że choć spędziła już tydzień w Anglii, nie podjęła jeszcze żadnych kroków zmierzających do odnalezienia dziewczyny Kipa.
    - Niestety, z tego frontu jeszcze żadnych wieści - odparła.
    - Wydaleń leży na uboczu. Nie miałam możliwości pojechać do żadnego większego miasta, gdzie mogłabym podjąć poszukiwania.
      - Tak czy inaczej, nie sądzę, żebyś znalazła coś w Derbyshire - powiedziała Kate. - Najprawdopodobniej ta Kitty pochodzi z Lincolnshire, gdzie stacjonował mój Kip.
        - Tak, ja też tak myślę - przyznała Amy. Ale Lincolnshire leży niedaleko Norfolk, więc Kitty mogła mieszkać w którymś z tych dwóch miejsc. No i mogło to być też Nottingham.
        - Skarbie... obarczyłam cię zadaniem ponad siły, zdaję sobie z tego sprawę, ale spróbujesz ją odnaleźć, prawda?
    - Amy usłyszała błagalną nutę w głosie Kate; wiedziała, że

powinna przynajmniej spróbować ustalić miejsce pobytu nieuchwytniej Kitty. Po szybkim namyśle powiedziała:

- Kate, wybiorę się zaraz do Hatton. To taka duża wieś niedaleko stąd. Muszą tam mieć bibliotekę, więc będę się mogła rozeznać w lokalnych gazetach z okolic, gdzie Kip stacjonował. Zamieszczę ogłoszenie i poczekam, czy ktoś się odezwie. Co ty na to?

- To chyba niezły pomysł, dziecinko. - Amy usłyszała westchnienie ulgi zza oceanu; miała wielką ochotę objąć Kate i mocno przytulić.

- Kate, uważaj na siebie - poprosiła. - Zrobię wszystko, co się da.

- Jestem namolna, prawda?

- Ależ skąd.

- Zadzwoń znowu. Może w przyszłym tygodniu?

- Świetnie. Będę czekać.

Odłożywszy słuchawkę, Amy w zamyśleniu zagryzła dolną wargę; wiedziała, że nie może zawieść Kate. Ale też miała świadomość, iż graniczyłoby z cudem, gdyby ta nieznana Kitty zauważyła jej małe ogłoszenie w gazecie. Jak inaczej miała rozpocząć poszukiwania? I co pocznie, jeśli ogłoszenie nie odniesie żadnego skutku?

Niewielki rozklekotany autobus zdaniem Amy miał co najmniej pięćdziesiąt lat. Silnik prychał, a hamulce zgrzytały, ilekroć przystawał, by zabrać kolejnych pasażerów, co zdarzało się średnio dwa razy na milę. Miejscowość Hatton leżała znacznie powyżej wioski Hatton-in-the-Dale, gdzie Richard, jak pamiętała, prowadził swój kamieniołom. Podróż na trasie nie więcej niż ośmiu mil od Wydalę zajęła jej ponad godzinę.

Amy musiała przyznać, że bardzo jej brakuje samochodu do dyspozycji; w Bostonie, po wstąpieniu Kipa do wojska,

korzystała z jego kabrioletu. Mogła przewidzieć, że w Anglii będzie jej trudno bez własnego środka lokomocji.

Hatton było tętniącą życiem, całkiem nowoczesną wsią, z deptakami dla pieszych i sklepami. Biblioteka, choć niewielka, była dobrze wyposażona; Amy znalazła na półkach książki telefoniczne wszystkich części Anglii. Szybko wynotowała adresy i numery telefonów wszystkich gazet w Lincolnshire oraz części Norfolk położonej najbliżej wybrzeża, gdzie stacjonował oddział Kipa. Wypełniwszy zadanie, stwierdziła, że do odjazdu autobusu powrotnego do Hawkwood zostało sporo czasu, więc spędziła przyjemną godzinę na chodzeniu po sklepach. Później zasiadła w nowoczesnym barze z hamburgerami i popijając kawę obserwowała przechodzących za oknem ludzi. Nagle zorientowała się, że ktoś przygląda jej się przez szybę.

- Richard!

Postawny mężczyzna w grubej tweedowej kurtce, stojący na chodniku za oknem baru, dostrzegł, że go zauważyła. Zrobiło mu się przyjemnie, że go rozpoznała. Cieszył się, że nie poszedł dalej, bo właśnie machała do niego zapraszająco.

Nigdy wcześniej nie był w takim barze. Wchodząc do środka poczuł się jakby młodszy, przypomniały mu się chłopięce lata. Kupił przy barku kawę i zaniósł ją ostrożnie do jej stolika.

- Cześć!

- Siedziała z łokciami na stole, z brodą wspartą na złożonych dłoniach. Przeszło mu przez myśl, że wygląda jak dziecko w tej płóciennej kurtce, rozpiętej i ukazującej czerwony sweter, i długim żółtym szaliku zarzuconym na ramiona, końcami sięgającym niemal podłogi.

Usiadł naprzeciw niej.

- Myślałem, że śnię, kiedy cię zobaczyłem. Co ty tu robisz? - Ostrożnie zdjął przykrywkę z plastikowego kubka.

- Gorąca. - Spojrzał jej w oczy z uśmiechem.

- Owszem. Gorąca. Mam na myśli kawę. - Sprawiała wrażenie zadowolonej, że się do niej przyłączył. Pociągnęła duży łyk ze swojego kubka i przymknawszy oczy, mruknęła: - Mmm. W Wydaleń nie dostaję kawy. Już prawie zapomniałam, jak smakuje.

Roześmiał się. Natychmiast popatrzyła mu w oczy. W ostrym świetle baru jej włosy miały złocisty połysk, a skóra lśniła zdrowym, miodowym odcieniem opalenizny przywiezionej jeszcze ze Stanów. Pomyślał, że jest najładniejszą dziewczyną, jaką widział w życiu.;, może nie była pięknnością w klasycznym rozumieniu tego słowa, ale była zgrabna i miała ujmującą świeżą twarz o szerokich, skorych do uśmiechu ustach.

- Byłaś na zakupach? - spytał.

Wzruszyła ramionami.

- Rozglądałam się trochę. - Przyglądała mu się uważnie.  
- A ty?

- Miałem prawie pustą lodówkę.

- Lizzie Abercrombie się wścieknie. - Skrzywiła się. - Będę w Wydaleń późno, pomyśli, że się zgubiłam. Nie przypuszczałam, że trzeba będzie dwie godziny czekać na powrotny autobus.

Wyjął z tylnej kieszeni telefon komórkowy.

- Proszę. Zadzwoń do niej, to nie będzie się martwić.  
- Położył aparat na stoliku.

- Ona chyba wie, jak rzadko jeżdżą tu autobusy.

- Jeśli chcesz, to powiedz, że przeze mnie spóźniłaś się na wcześniejszy. Jestem odporny, zniosę nawet wymówki od Lizzie Abercrombie.

Wzięła do ręki telefon i przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

- Mam po prostu wybrać numer?

- Najpierw trzeba wystukać kod... zero, jeden, dwa, dziewięć, osiem.

Przysłuchiwał się, jak przemawia uspokajająco do gos-



podyni. Kiedy już miała się rozłączyć, wyciągnął rękę po słuchawkę. Unosząc brwi, Amy powiedziała:

- Poczekaj, Lizzie. Pan Boden chce z tobą porozmawiać.
- Odwiozę Amy z powrotem land-roverem. Proszę nie czekać na nią z obiadem. Zjemy coś tu, na miejscu.
- Hej! To było nie w porządku.

Chowając telefon do kieszeni, ze zdziwieniem ujrzał w jej oczach gniewne błyski. Cofnęła się na krzesło przekrzywiając głowę.

- A jeśli powiem, że nie chcę, żebyś mnie odwoził? Mogę po prostu woleć podróż autobusem. Nie przyszło to panu do głowy, panie Richardzie Boden?

- Zanim wysiądziesz z autobusu w Wydale, będzie ciemno jak w grobie - wyjaśnił cierpliwie. - A poza tym, nie podoba mi się myśl, że miałabyś sama maszerować tym długim podjazdem. Zapowiadali kolejne opady śniegu. Jeśli będzie mocno padać, autobus może tam nawet nie dojechać.

- To nie znaczy, że masz prawo organizować mi życie.  
- Zacerwieniła się mocno i z jej głosu przebijało zniecierpliwienie.

Richard Boden nie chciał, by tak zrozumiała jego intencje.

- Wybacz, Amy - przeprosił.
- Nie jesteś moim nadzorcą, na litość boską. - Wstała, zapięła kurtkę i okręciła żółty szalik dookoła szyi.
- Powinnaś się postarać o własne cztery kółka.
- Spróbuj to powiedzieć wujkowi Gifowi. - Skrzywiła się kwaśno. - Powtarza mi wciąż, że mogę wydać polecenie Johnowi Grahamowi, żeby mnie woził, kiedy tylko chcę gdzieś jechać.

- Więc dlaczego wybrałaś wiejski autobus? - zdziwił się Richard. - Czemu nie skorzystałaś z usług kierowcy twojego wuja?

- Bo nie lubię wydawać poleceń, panie Boden - odparła lodowatym tonem.

- Przyjmować też nie lubisz. - Richard zbyt późno ugryzł się w język. Nie miał zamiaru jej denerwować, nie chciał też okazać się nadopiekuńczy. Pragnął jedynie, żeby dotarła bezpiecznie do domu. Powinien był jednak wiedzieć, że Amy nie cierpi narzucania jej czegokolwiek. Nie chcąc doprowadzać do kłótni, postanowił się wycofać, póki jeszcze oboje w miarę panowali nad emocjami.

Podniósł się od stolika.

- Dobrze, Amy. Życzę miłej drogi do domu. - Odwrócił się i zdecydowanym krokiem opuścił barek.

Gdy był już na zewnątrz, zwolnił i dyskretnie się obejrzał, czy idzie za nim. Nie szła. Dostrzegł przez okno, że usiadła, by dokończyć kawę.

Ogarnęła go nagła złość. To nie był dobry sposób postępowania... zwłaszcza jeśli chciał nakłonić tę dziewczynę do małżeństwa. Tylko czy rzeczywiście odpowiadałaby mu żona aż tak uparta i porywczą? Była zupełnie niepodobna do Grace...

- Niech to wszyscy diabli! - Pochylił ramiona podciągając kołnierz grubej kurtki. Co za zołza! A on był za stary na tego rodzaju gierki. Niech więc wraca do domu tym przeklętym autobusem... i niech maszeruje pół mili długą ciemną aleją prowadzącą do Wydale. Nie wątpił, że Amy należy do typu dziewcząt, które potrafią same zadbać o siebie. Pewnie zna karate, albo jakiś inny sposób obrony na wypadek, gdyby zaczęli ją jacyś zbójce.

Klucząc pomiędzy przechodniami dotarł do starego rynku, który w weekendy pełnił funkcję parkingu. Jego terenowy samochód z napędem na cztery koła był zaparkowany koło wielkiej kałuży. Nie zauważył jej w ciemności, dopóki się nie pośliznął na warstewce lodu, która uformowała się na wierzchu.

- Cholera! - Rozpaczliwie próbując złapać równowagę oparł się o maskę land-rovera. Natychmiast rozległ się piskliwy odgłos alarmu. - Cholera jasna!

Upłynęło parę minut, zanim zdołał otworzyć drzwi i wyłą-

czyć przenikliwe wycie. Wtedy dopiero dotarł do niego inny dźwięk - ktoś się śmiał tuż za jego plecami. To była ona, stała trzy stopy od niego i zaśmiewała się z odchyloną do tyłu głową. Jeszcze nie słyszał, żeby kobieta śmiała się tak głośno. Jego złość gdzieś wyparowała, kiedy tylko ją zobaczył... i usłyszał.

Wyprostował się i spojrzał na nią z udawaną surowością.

- Jak się ma taki śmiech, to nie potrzeba żadnego alarmu.

Zgięła się wpół usiłując zdusić w sobie rozpierającą ją wesołość, ale z trudem jej się to udawało.

- Nie przeszkadzaj sobie - powiedział spokojnie, zakładając ręce na piersi i opierając się o samochód. - Mogę tu sobie postać i zamarznąć na śmierć, bylebyś tylko mogła dokończyć przedstawienie.

W końcu zamilkła, lecz wciąż miała problemy z utrzymaniem poważnej miny. Sięgnąwszy do kieszeni, wyjęła żółtą rękawiczkę i otarła nią załzawione od śmiechu oczy.

- Wyglądałaś tak zabawnie... ślizgając się na tej zamarznętej kałuży...

Miał ochotę także wybuchnąć śmiechem, ale udało mu się zachować kamienny wyraz twarzy.

- Lubisz ten rodzaj komedii? Slapstick? Przypomnij mi, żebym któregoś dnia porzucił tortem.

- Och Richardzie! Jeszcze się tak nie śmiałam od czasu, gdy wyjechałam z Bostonu.

- Następnym razem, kiedy będziesz w złym nastroju, zadzwoń do mnie, to ci odegram mój popisowy numer ze skórką od banana.

Znów było między nimi jak dawniej.

- Richardzie Bodenie, z moim błazeńskim poczuciem humoru i twoimi śmiertelnie poważnymi minami moglibyśmy stworzyć niezły duet - stwierdziła.

- Duet? - Uniósł brwi. - Mógłbym to opacznie zrozumieć jako propozycję matrymonialną.

Natychmiast stała się czujna.

- Słuchaj! Wcale nie jest mi głupio, że się z Ciebie śmiałam, ale szczerze się cieszę, że sobie nie złamałeś nogi ani niczego innego.

- Ja też się cieszę. Przy takim ataku śmiechu nie na wiele byś mi się przydała w razie wypadku.

- O przepraszam, jestem dobra w udzielaniu pierwszej pomocy, panie Boden.

- Miło mi to słyszeć, panno Weldon - zapewnił.

- Naprawdę byłabym wdzięczna za podwiezienie do domu. Jeżeli propozycja jest nadal aktualna.

- Najpierw muszę Cię podwieźć do mojego domu - zastrzegł z rozbawieniem. - Mam na tylnym siedzeniu zakupy, które trzeba włożyć do lodówki.

Wzruszyła niedbale ramionami.

- W porządku! - Okrążyła samochód idąc do drzwi pasażera. Przechylając głowę na bok, dodała: - Założę się, że masz centralny zamek.

Potwierdził.

- Wiedziałam! Jesteś wyposażony we wszelkie nowoczesne gadżety, co? Telefon komórkowy, alarm w furgonetce. To tylko w Wydale Hall czas stanął w miejscu. Cała reszta tutejszych ludzi najwyraźniej wkroczyła w dwudziesty wiek.

- Furgonetka? - jęknął podnosząc oczy ku niebu, z którego sypał gęsty śnieg. - Furgonetka? - Potrząsnął głową, jakby nie dowierzał własnym uszom. - Oj, Amy, widzę, że będziemy Cię musieli nauczyć dobrych manier. Mój wierny stary land-rover nie pozwoli, żeby go nazywano furgonetką!

Siedziała obok niego nucąc pod nosem, kiedy wyjechali z Hatton w krótką, bo zaledwie pięćmiłową drogę do Hatton-in-the-Dale. Śnieg walił o przednią szybę, oblepiając ją w miejscach, w które nie sięgały wycieraczki.

- Co to za melodia? - spytał.

Przestała nucić; obróciła głowę i spojrzała na niego.

- Aż tak fałszuję? ~ zdziwiła się. - Nie poznajesz piosenki z *The Bodyguard!*

- *The Bodyguard!* Czy to jakiś program telewizyjny?

Roześmiała się dźwięcznie.

- To film! Musiałeś o nim słyszeć? Wielkie nieba, człowieku, jest taki stary, że można go wypożyczać na kasetach.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Richardzie, ty chyba żartujesz.

Zerknął na nią przelotnie.

- Nie oglądam zbyt wielu filmów.

- O mój Boże. Nie macie tu kin?

- Nie w Hatton... no i przede wszystkim nie w Hawkwood. Wiesz, że w Hawkwood jest tylko jeden pub?

- Do licha! I nie ma kina? A tu idzie zima! - Zmarszczyła czoło. - I co ja biedna pocznę?

- Niewiele, jeśli śnieg będzie się utrzymywał. - Wskazał na przednią szybę, całą białą poza dwoma półksiężycami wyrysowanymi przez wycieraczki.

- Masz wolny pokój na wypadek, gdybym musiała przeno-cować? - spytała w ciemności.

- Mam trzy wolne pokoje, ale z całą pewnością nie będziesz musiała nocować - odpowiedział.

- Skąd wiesz? Przecież nie wygonisz mnie na taki śnieg?

- Gdybyś została, twój wuj z samego rana dobijałby się do drzwi ze strzelbą i z wikarym - stwierdził.

- A nie byłoby warto? - Nie mogła się powstrzymać od złości. - Dostałbyś Wydałę jako nagrodę pocieszenia za to, że mnie wzięłeś.

Milczał przez chwilę, a potem rzekł:

- Rozumiem, że ktoś ci powiedział.

- Pierwszego dnia po moim powrocie - potwierdziła bez zająknięcia.

- Zatem wiemy, na czym stoimy.

- Och, wiedziałam już, zanim cię poznałam. Potrzebowałam tylko okazji, żeby ci to wyjawić.

W milczeniu dojechali przed duży przysadzisty dom usytuowany w połowie głównej ulicy Hatton-in-the-Dale. Był zbudowany z szarej cegły, kryty łupkiem i miał wysokie kominy. Robił wrażenie solidnej budowli, z wielkimi wykuszowymi oknami po obu stronach szerokich dębowych drzwi i małymi okienkami na piętrze. Dalej wzdłuż ulicy stały podobne domy, zbudowane z tej samej cegły, ale przylegające do siebie parami i nie tak okazałe. Po przeciwnej stronie drogi ciągnął się długi rząd kamiennych domków przyklejonych do zbocza wzniesienia. Jeden z nich miał w oknie choinkę przystrojoną światełkami, a przy drzwiach tablicę z informacją, że jest na sprzedaż.

Zerknąwszy na zegarek, Amy stwierdziła, że dojazd z Hatton do domu Richarda zajął niespełna dziesięć minut i przez ten czas, choć starała się przeniknąć wzrokiem panującą za szybą samochodu ciemność, nigdzie nie dojrzała śladu kamieniołomu.

Richard Boden zaparkował porządnie na poboczu i wysiadł z samochodu zabierając z tylnego siedzenia dwie torby z zakupami. Amy zeskoczyła na chodnik pokryty puszystą warstwą śniegu i zaoferowała:

- Może pomogę?

- Nie trzeba. Nie jest tego wiele. - Okrążył samochód i ruszył przodem betonową ciężką, która przecinając niewielki otoczony murkiem ogródek prowadziła do trzech schodków i ciężkich drzwi wejściowych.

- Masz ręce pełne zakupów. Daj mi klucz, to otworzę drzwi - zaproponowała.

Przesunął uchwyt jednej z toreb na nadgarstek i sięgnął do kieszeni.

- Poradzę sobie.

Nie oponowała. Poszła za nim bielejącą od śniegu ścieżką; poczekała u stóp schodków, aż upora się z zamkiem.

W domu panowała ciemność.

- Poczekaj tu - poprosił, otrzepując buty ze śniegu na macie za progiem. - Zapalę światło, żebyś widziała, gdzie idziesz.

Zmrużyła oczy przed ostrym blaskiem lampy. Wnętrze domu zrobiło na niej wrażenie. Środek przestronnego hallu zajmowały piękne stare mahoniowe schody o kolorze i fakturze drewna, identycznej jak na drzwiach wiodących do pozostałych pomieszczeń. Światło było tak jaskrawe, ponieważ odbijało się w niezliczonych wiktoriańskich kryształach. Zadarłszy głowę, Amy z zachwytem oglądała lampę.

Richard złożył torby z zakupami na krzesło i przyglądał się Amy.

- Założę się, że jest autentyczna. - Osłoniła oczy przykładając dłoń do czoła.

- Znasz się na antykach?

- Trochę. Choć nie tak jak Kate. Ona dałaby sobie uciąć rękę za autentyczność tych kryształów. Była w siódmym niebie, gdy mogła spędzić cały dzień na Beacon Hill polując na okazję.

- Kate?

- Kate Weldon, ona i Marty adoptowali mnie, kiedy wujek Gif nie mógł sobie poradzić z dzieckiem płaczącym się pod nogami.

- A Beacon Hill?

- Właściwie Charles Street, płaska część Beacon Hill w Bostonie. To raj dla takich miłośników staroci jak Kate. Co do mnie, to lubię księgarnie, ale Kate przepada za wszystkim co wiktoriańskie... a ta lampa jest właśnie wiktoriańska, prawda?

- Tak twierdziła moja matka.

- Ten dom należał do twojej matki?

Uśmiechnął się ciepło.

- Dawno temu. Mama nie żyje od prawie dwudziestu lat. Tato odszedł dwa lata wcześniej.

- Mama! - Odwzajemniła uśmiech. - To brzmi tak miło. Miło i rodzinnie.

- Mama właśnie taka była.

Nagły przeciąg sypnął śniegiem na matę. Amy odwróciła się, żeby zamknąć ciężkie drzwi. Białe punkciki natychmiast stopiły się w lśniące krople wody pod wpływem ciepła bijącego od dużego, nowoczesnego kaloryfera zawieszzonego przy drzwiach.

- Boże! Centralne ogrzewanie. - Zatarła zmarznięte dłonie.

- Już zapomniałam, jak wygląda.

Roześmiał się chwytając torby z zakupami.

- Chodźmy do kuchni. Muszę to wszystko powkładać do lodówki.

Stojąc w progu przyglądała się, jak umieszcza paczki mrożonych warzyw i inne produkty w odpowiednich przegródkach zamrażarki, stojącej w kącie.

Duża, komfortowo urządzona kuchnia robiła miłe wrażenie; była utrzymana w słonecznych kolorach i umeblowana zgodnie z charakterem całego domu. Główny akcent wystroju stanowiła błyszcząca miedź i żeliwo. Piec z kremowych kafli opalany był węglem. Uporawszy się z zakupami, Richard otworzył jedno z drzwiczek pieca i dorzucił pełne wiaderko węgla. Z czerwonego żaru natychmiast z sykiem wystrzeliły płomienie.

Amy poczuła, jak dociera do niej przyjemne ciepło. Weszła do środka.

- Podoba ci się? Domyślam się, że nie przypomina Ameryki, ale jest podobny do mnie.

Duży, solidny i niezawodny - te trzy określenia przyszły jej do głowy. Tak. Ten dom z całą pewnością nosił piętno Richarda Bodena.

- Jest wspaniały. Mogę zobaczyć resztę?

- Jeśli chcesz, będziesz mogła go obejrzeć po kolacji. Ale to całkiem zwyczajny dom.



- Nie tak go sobie wyobrażałam... znając ciebie.  
- A jak sobie wyobrażałaś?  
- Jako coś całkiem nowego. Coś dużego i masywnego, stojącego na rozległej działce. Może nawet z basenem.  
- Okropieństwo. - Wstrząsnął się ironicznie.  
- Wyglądasz na faceta, który idzie z duchem czasu - wyjaśniła. - Myślałam, że będziesz mieszkał w domu zaprojektowanym przez siebie, a tu się okazuje, że mieszkasz w starej wiktoriańskiej siedzibie.

- Budował go mój dziadek. Zbudował całą ulicę.  
- O! Opowiedz mi coś więcej - poprosiła szczerze zainteresowana.  
- Nie ma nic więcej do opowiadania. Zdejmij kurtkę, zacznasz parować.

Ściągnęła z siebie kurtkę i szalik i podała mu do odwieszenia.

- Masz mokre włosy... wyglądają jak obsypane brylantami.  
- Twoje też. - Ze śmiechem wyciągnęła rękę i zmierzwiła mu włosy strzepując lśniące kropelki na ramiona.

Nie spuszczać z niej wzroku, chwycił ją za rękę. Wyszarpnęła dłoń i zacisnęła palce na jego przegubie. Pod ciepłą skórą czuła siłę napiętych ścięgien.

Choć jedną rękę miał zajęta jej kurtką i szalikiem, drugą bez wysiłku trzymał Amy z daleka od siebie. Cały czas nie przestawał się uśmiechać patrząc jej w oczy.

- Jesteś silny.  
- Pracuję fizycznie.  
- Człowiek od kamienia - powiedziała z leciutką ironią. Uśmiech zgasł mu na ustach.

- Mogłabyś wyjść za mnie? - spytał.

Zaskoczona bezpośredniością pytania najpierw mocniej zacisnęła palce, a zaraz potem puściła go i cofnęła rękę.

Nie była jednak w stanie oderwać oczu od jego twarzy. Spytał cicho jeszcze raz:

- I co, Amy? Mogłabyś wyjść za kogoś takiego jak ja?

- Nie mam zamiaru za nikogo wychodzić - odparła. Choć była jak zahipnotyzowana jego spojrzeniem, nie chciała dać po sobie poznać, że jej się spodobał.

- Nawet żeby uratować Wydalę Hall?

- Wydalę jest własnością mojego wuja - przypomniała mu, już nieco spokojniej, lecz nadal z trudem panując nad głosem.

- Ale kiedyś ty je oddziedziczysz. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie. Puściwszy rękę Richarda, poczuła się nagle dziwnie samotna... i zziębnięta.

- Czy to ty nakłoniłeś Lizzie, żeby mnie wezwała?

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie ja, Amy. Nie ja. - Uśmiechnął się, lecz w jego oczach nie było wesołości.

W końcu zdołała oderwać od niego wzrok, spojrzała na stół.

- Nie powinniśmy byli zaczynać tej rozmowy - powiedziała cicho.

Rozwiesił jej okrycie na oparciu krzesła i przysunął bliżej pieca, żeby lepiej wyschło. Ta czynność skojarzyła jej się z matczyną troskliwością wobec dziecka.

- Lubisz zapiekanki? - spytał. - Dochodziła w piekarniku całe popołudnie.

Dopiero teraz zdjął z siebie kurtkę. Pod spodem miał gładki beżowy sweter. Dobrze w nim wyglądał; był typem mężczyzny, do którego pasowała prostota w ubiorze. Na swetrze nie było choćby najmniejszego ozdobnego ściegu. Richard nie przypominał żadnego z dotychczas jej znanych mężczyzn. Fascynował ją.

- Brzmi zachęcająco.

Podeszła do pieca; nagle odczuła potrzebę zachowania dystansu. Kiedy był zbyt blisko, przytłaczał ją swoją posturą, jego bliskość mąciła jej myśli. Było w nim coś, co kojarzyło się ze strzelistością balsamicznych jodeł, swobodną prze-

strzenia i potęgą gór. Była pewna, że przypadłby do serca Kate i Marty'emu.

- Jadasz tutaj? - spytała przez pół kuchni, z bezpiecznej odległości. - Ja uwielbiam jadać w Wydale w kuchni, w towarzystwie Lizzie.

- A w Ameryce? - Wyciągnął talerze, kubki i sztućce i rozkładał je na wypolerowanym do połysku dębowym stole.

- Śniadanie jadamy w barku przy kuchni, a główny posiłek wieczorem przy telewizorze.

- Telewizja czasem się przydaje. - Napełnił wodą elektryczny czajnik i włączył.

- Masz telewizor?

Roześmiał się odchylając głowę do tyłu.

- Ja się nie nazywam Gif Weldon. Owszem, mam telewizor. Jest w saloniku. Nigdy jakoś nie nabrałem zwyczaju jedzenia i oglądania telewizji równocześnie.

- Nie widziałam twojego kamieniołomu po drodze. - Amy podeszła do stołu i usiadła na wyłożonym poduszką rzeźbionym krześle.

- Bo koło niego nie przejeżdżaliśmy. Znajduje się po drugiej stronie wsi. Decydenci od planowania niechętnie widzą kamieniołomy w pobliżu domów mieszkalnych.

- To zrozumiałe - przyznała ze śmiechem.

Woda się zagotowała; zaparzył w dzbanku herbatę. Amy zastanawiała się, czy kiedyś przywyknie do tego napoju. Choć, prawdę mówiąc, herbata zaczynała jej smakować.

Richard Boden postawił na stole duże naczynie z brązowej kamionki. Kiedy spod uchylonej pokrywki rozszedł się apetyczny zapach, Amy poczuła głód.

- Mmm. Pachnie cudownie.

Zdjął pokrywkę, a potem pochylił się, opierając obie dłonie na stole.

- Amy... - zaczął i zaraz przerwał spoglądając na swoje ręce.

- Chcesz, żebym nalała herbatę?

Podniósł głowę i spojrzał, jakby nie zrozumiał, co do niego mówi.

- Co?

- Wymówiłeś moje imię. Powiedziałaś: „Amy”, a potem zamilkłaś... jakbyś zapomniał, co chcesz powiedzieć - wyjaśniła. - Pomyślałam, że chcesz, bym nalała herbatę, kiedy ty będziesz nakładał zapiekankę.

- Do licha, nie. Nie zapomniałem, co chcę powiedzieć. Zastanawiałem się tylko, jak to powiedzieć.

- Prostymi słowami - doradziła z uśmiechem. - Bo takie najlepiej rozumiem.

- Nie chcę, żeby były między nami jakieś nieporozumienia. Nie chcę żadnych sekretów. Sekrety mają to do siebie, że wychodzą na jaw w najmniej odpowiednich momentach, nie sądzisz?

- Ja nie mam zwyczaju trzymać niczego w sekrecie. - Znów się uśmiechnęła. - Jeśli chodzi o mnie, panie Boden, dostajesz to, co widzisz. Więc jeśli ci się nie podoba...

- Nie żartuj sobie, Amy - poprosił urywanym głosem.

- Hej! Co ja takiego powiedziałam?

- Mówię o sobie.

- Aha! Masz jakiś sekret, Richardzie?

- Tylko przed tobą. Wszyscy inni o tym wiedzą.

- Więc dlaczego to do mnie nie dotarło?

- Bo ja ci tego nie powiedziałem... a wątpię, czy Gif lub Lizzie Abercrombie kiedykolwiek by ci powiedzieli.

- A powinni mi powiedzieć? - Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Gif by nie powiedział, bo chce, żebyś mnie uważała za dobry materiał na męża. Potrzebuje moich pieniędzy na Wydale.

- Wiem o tym. To naprawdę śmieszne...

- A ja nie wyłożę pieniędzy na coś, co się nie zwróci.

Pokiwała głową.

- Tak. Domyśliłam się tego. I nie mam ci za złe...

- Pozwolisz mi skończyć? - Wyprostował się uderzając w stół zaciśniętą pięścią. - Na litość boską, Amy, pozwolisz mi to wreszcie powiedzieć?

- Co powiedzieć? Cóż to za wielki sekret? Że chcesz się ze mną ożenić dla mojego dziedzictwa... o to chodzi?

- Do licha, nie. - Niecierpliwie przeczesał ręką włosy.

- Nie, nie i jeszcze raz nie! - powtórzył z naciskiem. - Chodzi o coś, o czym, jak sądzę, powinnaś wiedzieć, zanim się bliżej poznamy.

- Jesteś księciem Draculą w przebraniu? - zakpiła. ~ To jest twoja wielka tajemnica? Jeśli tak, to ja ci zdradzę moją: zawsze lubiałam Draculę.

- Czy ty kiedykolwiek bywasz poważna? - Westchnął.

Był szczerze zmartwiony. Natychmiast pożałowała swoich żartów.

- Niech diabli wezmą to moje poczucie humoru - powiedziała ze skruchą. - No dalej, powiedz mi. Cokolwiek to będzie, nie sądzę, żeby mnie specjalnie zaskoczyło.

- Zabiłem człowieka - wyznał. - Jesz kolację z mordercą.

Myśli zakłębiły jej się w głowie - pierwszą była ta, że jest z nim sama w tym domu, na zewnątrz pada śnieg, a jeśli wierzyć temu wszystkiemu, co słyszała o zimach w Anglii, mogła być uwięziona w tym miejscu przez dobrych kilka dni.

Zaraz potem na czoło wybiła się następna myśl - była głodna. I nie mogła dopuścić, by ta pieczonka - czy jak ją tam nazywał - miała się zmarnować.

Jak zawsze praktyczna, zaproponowała:

- Usiądź i opowiedz mi o tym. Ale najpierw może mi nałożysz porcję tej pieczonki?

- Zapiekanki - sprostował łagodnie, a jego twarz przybrała wyraz, który tak lubiła - z drobnymi zmarszczkami rozchodzącymi się od kątek oczu. Usiadł przy stole, napełnił duże talerze gotowaną jagnięciną z warzywami i podał jej jeden.

- Dzięki. - Ręka nawet jej nie drgnęła, kiedy przyjmowała od niego talerz.

- Widzę, że wcale nie trzęsiesz się ze strachu - zauważył. Zerknęła na niego.

- Przypuszczam, że gdybyś był uznany za winnego, odbywałbyś teraz karę w więzieniu - wyjaśniła.

- Dzięki Bogu, do tego nie doszło.

- Więc kogo zabiłeś? - Spróbowała potrawy. Była bardzo gorąca i pyszna.

- Człowieka, z którym wałęsałem się.

- O kobietę? - padło błyskawiczne pytanie.

- Do licha, nie. Mówiłem ci, że w młodości trochę boksowałem.

- A więc to było zgodne z prawem?

- Zabijanie nigdy nie jest zgodne z prawem.

Zauważyła, że już się nie uśmiecha. Pokiwała głową.

- Chyba źle mnie zrozumiałeś. Chodziło mi o to, że to nie było morderstwo z premedytacją, prawda?

- Trochę mnie poniosło. Tuż przed walką zrobił ordynarną uwagę na temat dziewczyny, z którą miałem się ożenić. Nie powinienem był wtedy z nim walczyć. Nie można czuć nienawiści do przeciwnika, z którym ma się odbyć walkę. Boks to sport, a nie załatwianie porachunków.

- Powiedz mi coś o tej dziewczynie.

Zamilkła; dostrzegła zmarszczki na jego czole.

- Lizzie mówiła mi, że jesteś wdowcem - powiedziała miękko. - Ale jeśli ciężko ci o niej mówić...

- To przecież ja powiedziałem, że nie chcę żadnych sekretów - przypomniał i uśmiechnął się nieśmiało. - A małżeństwo z Grace nie jest tajemnicą. Umarła dziesięć lat temu.

Amy, uporawszy się już z połówką zapiekanki, przestała jeść.

- Kochałeś ją. - Nie było to pytanie, raczej stwierdzenie. Domyśliła się z wyrazu jego twarzy, że naprawdę kochał Grace.

- Tak - potwierdził. - Uwielbiałem ją.

- Nie przeszkadzało jej, że zabiłeś człowieka?

- Kazała mi skończyć z ringiem. I tak miałem taki zamiar, ale ona zagroziła, że za mnie nie wyjdzie, jeśli nadal będę walczył.

- Byłeś dobrym pięściarzem? - Amy powróciła do jedzenia.

- Cholernie dobrym.

- Żałujesz, że z tym skończyłeś?

- Nie. Już nie. - Skrzywił się lekko. - Któregoś dnia spotkałbym lepszego od siebie, a kiedy się słyszy o tych strasznych rzeczach, jakie się mogą przytrafić bokserowi... Cóż, wydaje mi się, że i tak miałem szczęście. Zrozumiałem, jak cenne jest życie. Przysiągłem sobie wtedy, przed laty, że już nigdy nie podniosę na nikogo ręki... choćby mi nie wiem co zrobił.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby ktoś chciał z tobą walczyć.

- Ty jesteś waleczna - zażartował. - Przecież walczysz ze swoim wujem... i ze mną!

- To co innego, używam rozumu, nie pięści.

- Czy rozum podpowiada ci teraz, żeby się raz na zawsze wynieść z życia Richarda Bodena?

Myślała chwilę nad jego słowami, w końcu odparła:

- Chciałabym, żeby to było takie proste. Lubię cię, Richardzie, ale nie dam się zmusić do czegoś tak ważnego jak małżeństwo... ani dla ciebie, ani dla wujka Gifa, a już na pewno nie dla Wydałę.

- Zostawiłaś w Ameryce kogoś, na kim ci zależy? - spytał poważnie.

Myśli o Kipie Weldonie przelatywały jej przez głowę



niczym motyle; Kip uczący ją, nieopierzoną nastolatkę, jeździć na rowerze, Kip siedzący obok niej w ciemności w planetarium, Kip zabierający ją na koncert do bostońskiej filharmonii, Kip kupujący lody domowej roboty na Massachusetts Avenue, Kip w mundurze armii Stanów Zjednoczonych, Kip wyjeżdżający do Anglii...

- Nie - odpowiedziała całkiem szczerze. - Nie ma nikogo w moim życiu, na kim by mi zależało w ten sposób.

- A był kiedyś?

Spojrzała na resztę jedzenia na stojącym przed nią talerzu. Nagle przestała być głodna, ale zmusiła się do dokończenia całej porcji.

- Amy? - Wciąż czekał na odpowiedź.

- Właściwie nie masz żadnego prawa mnie o to pytać.

- Podniosła głowę i patrzyła na niego ze złością.

- Nie chcę być wścibski. Chcę tylko wiedzieć, czy mam wolną drogę.

- Wolną do czego?

- Żebym mógł spróbować poznać cię bliżej. - Mówił spokojnym, pewnym tonem.

- Jesteś jak pies, który się dorwał do kości, Richardzie Boden. Wiesz o tym, prawda? - Odsunęła od siebie pusty talerz i wsadziła dłonie w kieszenie spodni, i odchyliła się na krześle.

- Amy, chcę się z tobą ożenić - powiedział wolno i bardzo wyraźnie.

Zadarła głowę wbijając wzrok w sufit.

- Ja cię nie kocham - powiedziała cicho. - Nigdy cię nie pokocham. Nie mogę cię kochać.

- Skąd możesz to wiedzieć?

Spojrzała na niego w końcu; wiedziała, że następne chwile będą dla niej bolesne.

- Kip Weldon był właściwie moim bratem - zaczęła.

- Mówiłam ci, że zostałam adoptowana przez Kate i Marry'ego Weldonów. Marty jest młodszym bratem wujka Gifa.

Przytaknął skinieniem i pochylił się nad stołem opierając na blacie złożone dłonie.

- Wiem o tym wszystkim. Ale Kip Weldon nie był twoim prawdziwym bratem. Był po prostu synem Kate i Marty'ego.

- Wiem. Ale to, że wychowywaliśmy się razem, nie pozwoliło mi powiedzieć mu, co naprawdę czuję.

- Zakochałaś się w nim, tak?

Brzmiało to tak prosto, tak trywialnie. Zakochałaś się w nim.

- W twoich ustach brzmi to tak, jakbym miała wypadek - rozgniewała się. - Nadajesz temu takie samo znaczenie jak upadkowi z roweru albo wpadnięciu do wody.

- Zakochanie się ma podobne konsekwencje - stwierdził Richard spokojnie. - Spadając z roweru doznajesz bólu. Kiedy wpadasz nagle do wody, wydaje ci się, że toniesz. Wiem z własnego doświadczenia, że miłość boli, że czasami spycha cię na dno.

- No tak! Właśnie. Ból i poczucie, że się tonie. Ale kiedy przestaje boleć? I kiedy człowiekowi udaje się wypłynąć?

- Człowiek jakoś się z tym godzi... w końcu.

Wyszarpnęła ręce z kieszeni; uderzyła się w pierś zaciśniętą pięścią.

- Ale to nadal boli! - krzyknęła. - Nawet po tych cholernych dwóch latach nadal boli mnie to, że mu nie powiedziałam. A teraz on nie żyje. A co gorsza, to... to... - Urwała, wiedząc, że już i tak powiedziała więcej, niż zamierzała. Uświadomiła też sobie, że Richard przeszedł przez to samo. Musiał wiedzieć, co ona czuje, choć sam miał aż dziesięć lat, żeby „się z tym pogodzić”.

Nachylił się i wyciągnął do niej rękę. Zignorowała jego gest.

- Podaj mi rękę. No, już - zażądał.

- Po co? - Skuliła się na krześle.

- Po prostu daj.

Z ociąganiem spełniła polecenie.

- No dobrze, co dalej?

Zacisnął palce na jej dłoni.

- Co czujesz? - spytał.
- O co ci chodzi?
- Po prostu odpowiedz. Trzymam cię za rękę. Co czujesz?
- Fizycznie czy psychicznie?
- Fizycznie.

Próbowała się wczuć w grę... bo była to dla niej jedynie gra. Trzymanie go za rękę w ten sposób nic dla niej nie znaczyło. Etap romantycznego trzymania się z chłopcami za rękę dawno miała za sobą.

- Jest ciepła - stwierdziła. - Jest ciepła, twarda i z odciskami. Używasz rąk do pracy. To właśnie czuję - rękę człowieka pracującego. Silną. Dużą. Ile punktów zdobyłam za odpowiedź?

- Zapomniałaś powiedzieć „żywą”. A taki przede wszystkim jestem. Żywy. A Kip Weldon jest martwy.

Wyrwała dłoń z uścisku.

- Owszem - przyznała bezbarwnym tonem. - Ale nawet gdyby żył, toby mnie nie chciał. Związał się z pewną dziewczyną, zaszła z nim w ciążę, tu w Anglii, podczas gdy ja tam w Ameryce umierałam z tęsknoty, śniąc o nim swoje złote sny.

- Mówiłem już: miłość boli - przypomniał jej.

- Wiem. Wiem też, że już nigdy się tak nie zaangażuję. Dlatego powiedziałam, że nigdy cię nie pokocham. Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło. Nabrałam rozumu.

- Wiem, co czujesz.

- Akurat!

- W porządku. Możesz mi nie wierzyć. Ale ja też mam swoje lęki.

Uśmiechnęła się blado.

- Jesteś zbyt rozsądny, żeby mieć lęki.

- Gdybym był rozsądny, nie zabiłbym tamtego człowieka.

- To co innego. Nadal uważam, że to się stało przypadkiem. To był wypadek.

- Gdybym był rozsądny, nie dopuściłbym do tego, żeby Grace zaszła w ciążę. Gdyby nie była w ciąży, ciśnienie by

jej nie podskoczyło. Dziś by ją uratowali. Ale dziesięć lat temu nie mieli jeszcze w szpitalach takiego wyposażenia jak teraz i nim się zorientowali, co się dzieje, dostała ataku serca.

- Richard... tak mi przykro. - Nachyliła się ku niemu; wiedziała, że nie znajdzie właściwych słów, ale chciała mu okazać współczucie.

- Dziesięć lat to dużo czasu, zdążyłem już wypłynąć na powierzchnię. Ale musisz wiedzieć jedno, Amy... Chcę się z tobą ożenić, ale nie chcę mieć dzieci. Nie mógłbym przeżyć tego jeszcze raz od początku.

- No tośmy skończyli, nim zaczęliśmy. - Zaśmiała się niepewnie. - Bo ja uwielbiam dzieci, Richardzie. W Bostonie właśnie miałam rozpocząć pracę z dziećmi, z nadzieją, że będę to robić przez całe życie. Mam przygotowanie nauczycielskie. Mam dobry zawód i czeka na mnie dobra posada - uczenie najmłodszych. A jeśli kiedyś wyjdę za mąż, będę chciała mieć własne dzieci... co najmniej czwórkę.

- Zatem nie jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną - stwierdził przyglądając jej się ze smutnym uśmiechem.

- Nigdy cię za takiego nie uważałam. - Odsunęła krzesło od stołu i wzięła się do zbierania naczyń.

Natychmiast się poderwał.

- Zostaw. Nie musisz tego robić.

- W Wydałę zawsze pomagam Lizzie zmywać. - Ruszyła z talerzami w stronę zlewu.

- Nie - zaprotestował i położył jej rękę na ramieniu.

- Przestań mną dyrygować - obruszyła się.

- Amy, po prostu mam zmywarkę - wyjaśnił. - Nie chciałem tobą dyrygować.

Odstawiła talerze; zrobiło jej się głupio.

- Powinnaś się domyślić - mruknęła speszona. - Jesteś przecież na wskroś nowoczesnym człowiekiem. - Nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem. - Richardzie, w życiu nie spotkałam nikogo takiego jak ty.

Odwróciła się do niego ze śmiechem... i wszystko stało się w jednej chwili. Chwycił ją za ramiona, pochylił ciemną głowę ku jej twarzy. Zaskoczona poczuła, jak zgniata jej wargi mocnym, gwałtownym pocałunkiem. Przywarła do niego odruchowo, broniąc się przed utratą równowagi, a potem już się nie cofnęła, bo spodobał jej się dotyk jego ciała.

Miała świadomość, że przez cały wieczór narastało między nimi to dziwne napięcie, które teraz wypełniało ją przyjemnym drżeniem. Minęło wiele czasu, odkąd pozwalała komuś na poufałość... i to nie aż taką. Oczywiście, bywała na randkach, zdarzało jej się całować czy przytulać do chłopaka w ciemnościach, ale nigdy nie posuwała się dalej.

Ich usta wciąż były złączone. Przymknęła oczy, czuła jego dłoń ześlizgującą się po plecach. Był podniecony. To także czuła. Całował ją po całej twarzy, wokół ucha, by wkrótce znów powrócić do ust. Poddała się nastrojowi chwili. Nie była pruderyjna, ale była dziewicą. I chciała, by tak pozostało. Czuła, że nie straci panowania nad sobą. Dobrze wiedziała, co robi.

On też wiedział. Po długiej chwili przygarnął jej głowę do swej piersi i trzymał ją w objęciach, delikatnie gładząc po włosach. Nadal był spięty. Stała przytulona do niego, bez ruchu. Nie próbowała na niego oddziaływać w żaden sposób. W końcu zaczął się odprężyć, a potem rzekł cicho, dotykając ustami jej włosów:

- Czas, żebym cię odwiózł do domu.
- Tak - szepnęła w odpowiedzi. Była zadowolona, że nie przeproszał za to, co się stało.

Wolno odsunęli się od siebie. Podniosła rękę, by przeczesać palcami włosy. Spojrzała mu w oczy. Był spokojny i opamnowany.

- Powoli wydobywasz się na powierzchnię - powiedział.
- Tak. Chyba tak - przyznała.

Ale wiedziała, że nie ma to nic wspólnego z miłością.

Do wigilii Bożego Narodzenia śnieg stopniał i zrobiło się cieplej.

Gif Weldon zaprosił Richarda Bodena na wigilijną kolację. Minęły prawie dwa tygodnie od dnia, gdy Amy go widziała, a było to owej śnieżnej nocy, kiedy przywiózł ją z Hatton-in-the-Dale i wysadził przed domem.

Ostatnie dwa tygodnie były dla niej nadzwyczaj pracowite - musiała kupić prezenty dla Lizzie i wuja Gifa, wysłać paczki do Ameryki, do Kate i Marty'ego.

Kiedy ostatniego wieczoru zagadnęła Lizzie o świąteczną

dekorację domu, gospodyni wyśmiała ją mówiąc, że w Wydale nie ma zwyczaju uroczystego obchodzenia świąt.

- Ale jutro są też moje urodziny - przypomniała Amy.

- W Bostonie mieliśmy zawsze choinkę ze światełkami i mnóstwo srebrnych ozdób w całym domu.

- Takie rzeczy są dla dzieci - oponowała Lizzie. - A poza tym, to niestosowne obchodzić urodziny w wigilię Bożego Narodzenia.

- Ale ja jestem największym dzieckiem na świecie - upierała się Amy.

Nie ustępując przed argumentami Lizzie, Amy złapała autobus do Hawkwood, pojechała i kupiła na targu świąteczne drzewko.

- Musi mieć że sześć stóp. Jak ty to przytargałaś do domu?

- zdumiała się Lizzie na widok zakupu.

- Autobusem. - Amy uśmiechnęła się, po czym opadła na twarde krzesło w hallu, żeby odsapnąć. Choinka spoczęła na podłodze u jej stóp. - Uśmiechałam się tak pięknie do kierowcy, aż wysiadł zza kierownicy i pomógł mi upchnąć drzewko w schowku bagażowym pod schodami.

- Ty to masz tupet. Mnie to nikt nigdy nie pomaga, kiedy wracam z torbami pełnymi zakupów. Pewnie musiałaś zapłacić za dodatkowy bilet?

- Trzeba się starać wyglądać bezradnie - pouczyła Amy, lecz zaraz potem wybuchnęła śmiechem wyobrażając sobie w tej roli dzielną Lizzie.

Gospodyni pokręciła głową z przyganą.

- Skoro już przywlokłaś tę choinkę, co zamierzasz z nią zrobić?

- Mam zamiar umieścić ją w wiadrze lub czymś podobnym i ustawić w salonie. Powiesimy na niej światełka. Wczoraj w Hatton, kupiłam komplet z czterdziestu sztuk.

- To dlatego wzięłaś ze sobą Johna Grahama z samochodem

- rzuciła Lizzie. - Wracałaś obładowana sprawunkami.

- Właśnie - potwierdziła zgodnie Amy, choć dobrze wiedziała, że John Graham pojechał z nią z zupełnie innego powodu. Nie chciała znowu wpaść na Richarda Bodena... i musieć korzystać z podwiezienia, jak ostatnim razem. Miała całe dwa tygodnie na przemyślenie swej poprzedniej wizyty w Hatton i choć Richard zamierzał odwiedzić Wydale następnego wieczoru, wcale jej to nie niepokoiło... bo przecież miała się z nim spotkać w obecności Lizzie i wujka Gifa. Nie chciała jednak być z nim sam na sam. Przynajmniej na razie.

Drzwi wejściowe otwały się z hukiem, aż obie z Lizzie podskoczyły. Wszedł Gif Weldon zacierając ręce i narzekając na pogodę. Amy pomyślała, że wujowi ciągle jest zimno; miała nadzieję, że nie oznacza to rozwijającej się grypy lub innej choroby. Poderwała się z miejsca, proponując:

- Wujku, zrobię ci filiżankę czegoś gorącego. Chodź tu, usiądź przy ogniu.

Nim zamknął drzwi, Weldon odwrócił się i wyjrzał na zewnątrz.

- Ten przeklęty helikopter - mruknął. - Ciągłe brzęczy tam w górze. Mam wrażenie, jakby ktoś szpiegował. Zastanawiam się tylko, po co?

- Poczekajcie! - wtrąciła Lizzie. - Zrobię kakao. Nic tak nie rozgrzewa jak kakao z gorącym mlekiem.

Gif Weldon zauważył leżące na podłodze drzewko.

- A cóż to takiego?

- To świąteczna choinka, wujku. - Amy wzięła go pod ramię i omijając drzewko podprowadziła do kominka. Na palenisku strzelały ogniem wielkie polana.

Widocznie John Graham nadal ciął drzewa powalone przez burzę, która dwa lata temu zniszczyła kaplicę. Lizzie zarzekała się wprawdzie, że mają zapas drewna wystarczający na następne dziesięć lat, lecz Amy mocno wątpiła w jej zapewnienia. Tak czy inaczej cieszyła się, że Graham zgromadził



spory stos za domem koło piwnicy na węgiel. Chciała mieć prawdziwe angielskie Boże Narodzenie, więc tym bardziej radowała ją myśl o ciepłym bijącym z kominka.

Pomogła wujowi zdjąć płaszcz. Ciągłe zerkał zdziwiony na leżącą choinkę.

- Po co? - spytał, kiedy Lizzie wyszła do kuchni. - Po co nam choinka? Od dwudziestu lat nie było w tym domu żadnej choinki.

- Więc najwyższy czas, żebyśmy odnowili tę tradycję - oznajmiła wesoło Amy. - Kupiłam lampki, wujku, i mam zamiar namówić Lizzie, żeby mi pomogła dziś po południu udekorować salon. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

- Jutro są twoje urodziny, dziecko, więc chyba nie powinienem ci niczego odmawiać, prawda?

Po raz pierwszy od jej przyjazdu do Anglii wydał jej się jakiś bardziej ludzki. Uśmiechnęła się do wujka, przerzucając sobie przez ramię jego tweedowy płaszcz.

- Myślałam, że zapomniałeś o moich urodzinach.

- O, nie. Jak mógłbym zapomnieć...

- Pójdę powiesić twój płaszcz w korytarzu, dobrze?

Pokiwał głową nie odrywając wzroku od ognia.

- Tak. Tak, dziecko. Zrób to. A potem wróć tutaj. Mam coś dla ciebie.

Kiedy wróciła, stał na środku hallu znowu przyglądając się choince.

- Wszędzie będzie pełno opadających sosnowych igieł - rzekł kwaśnym tonem.

- Jeśli będą opadać, to je posprzątam - zapewniła Amy.

Pozrządził jeszcze trochę, a potem odwrócił się do portretu Barbary Weldon nad kominkiem.

Amy podeszła do niego; zastanawiała się, czy wuj myśli o dawnych czasach, kiedy miał żonę, zastanawiała się też, czy jest mu smutno z powodu obecnej samotności.

Wsunął rękę do kieszeni. Wyciągnął małe szylkretowe pudełeczko i podał je Amy.

- Niestety, nie jest nowa. Ale przecież nie możemy obejść twoich urodzin bez prezentu.

Ostrożnie pstryknęła zameczkiem i uniosła wieczko. Wewnątrz była broszka w kształcie ostu, wykonana z ciężkiego złota i ametystu, bardzo piękna.

- Wujku! Jest cudowna! - Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. - Dziękuję.

Zbył jej podziękowania niecierpliwym machnięciem.

- Mam nadzieję, że przyniesie ci szczęście. - Zwrócił smutne oczy na portret. - W każdym razie, więcej szczęścia niż jej - dodał cicho.

- Czy... czy należała do...?

- Do Barbary. Tak.

Po raz pierwszy usłyszała w jego ustach imię kobiety z portretu.

- Jesteś pewien, że chcesz mi ją dać? - Amy z wahaniem uniosła broszkę na wyciągniętej dłoni. - Wydaje mi się... że kochasz ci się z jakimiś wspomnieniami.

- Wspomnienia! - Roześmiał się z goryczą. - Owszem. Łączy się ze wspomnieniami. Ale jej nie chcę, Amy. Kupiłem ją dla niej... ale ona też jej nie chciała. Zostawiła ją tu wyjeżdżając do Szkocji.

Dotknęła ręki wuja, ale szarpnął ramieniem i zatoczył się w stronę ognia. Z trudem utrzymał równowagę.

- Wujku... uważaj! - krzyknęła przestraszona.

Bolała go głowa, a cały pokój wirował. Spojrzał na portret; uśmiechała się do niego triumfalnie. „Oszukałeś mnie...” - słyszała jej krzyk. „Nienawidzę cię...”

Ale przecież nie zawsze tak było...

Duncan wpadł w zły nastrój, kiedy mu powiedział, że wyjeżdża na miesiąc.

- Jesteś głupcem, Giffordzie, cholernym głupcem, słuchając plotek.

- Skoro ja je słyszę, to inni także - stwierdził Gif, kiedy spacerowali po Hyde Parku któregoś wrześniego wieczoru.

- Więc bądź taki jak ja i nie zwracaj na nie uwagi.

- Nie mogę. Muszę myśleć o swojej karierze. Kto będzie chciał, żeby dotykał go chirurg taki jak ja...? - Głos mu się załamał. Zdobył się jednak na to, by mówić dalej: - Posłuchaj, Duncanie, mam czterdzieści dwa lata. Nie mogę sobie pozwolić na wywołanie skandalu. Muszę dbać o Wydalę, a utrzymanie tego miejsca kosztuje majątek.

- No to sprzedaj je i postaraj się o mieszkanie tutaj w Londynie.

Gifford aż zadrżał.

- Nie mógłbym na stałe mieszkać w Londynie. Potrzebuję jakiegoś schronienia... jakiegoś azylu. Czasami mam ochotę rzucić to wszystko w diabły, ale Wydalę pozwala mi wrócić do równowagi.

- Chcesz, żeby między nami wszystko się skończyło?

- Duncan Ward miał ognistą rudą czuprynę, która świetnie pasowała do jego charakteru. Wiecznie wpadał w pasję z powodu najróżniejszych drobiazgów. Czasami Gif sam się sobie dziwił, że znosi humory tego człowieka. Wiedział jednak, dlaczego je znosi. Oczywiście, że wiedział. Kochał go...

Rozwiązaniem miały być wakacje w Szkocji. Musiał się wyrwać z Londynu, znaleźć się też z dala od Wydalę... tego Wydalę, które pożerało każdego zarobionego przezeń pensa. Potrzebował zupełnego oderwania się od środowiska, żeby przemyśleć, jak może położyć kres pogłoskom o swoim homoseksualizmie. Nie mógł dalej żyć tak jak dotychczas. Jako lekarz bezbłędnie rozpoznawał u siebie wszelkie objawy. Zmierzał wprost do załamania nerwowego, a nie mógł sobie

pozwolić, by jeszcze to dołączyło się do jego innych problemów.

Był już kiedyś na farmie Perthshire... ale to było przed pięciu laty. Nie pisał ani nie dzwonił z pytaniem, czy będą mogli go przyjąć. Instynktownie czuł, że zostanie miło powitany, a i sam tęsknił do spotkania z Rossem i Alison Mackenzie oraz ich córką Barbarą. Podczas tamtego miesiąca, który spędził z nimi przed pięciu laty, pomiędzy nim i Barbarą zawiązała się serdeczna przyjaźń. Gif wiedział, że jej się spodobał... i kto wie, co mogłoby z tego wyniknąć, gdyby był zdolny do pełnego związku z kobietą, takiego, jaki go łączył z Duncanem Wardem.

Pociąg wjechał na małą stacyjkę u stóp porośniętych wonnymi sosnami wzgórz. Pamiętał, że w pomalowanej na biało chałupie przy głównej trasie do Inverness może zamówić taksówkę, która go zawiezie na farmę Mackenzie w Glenochry, jakieś dziesięć mil na wschód, w bardziej dziką, górzystą okolicę.

Na widok pierwszych granitowych zabudowań farmy usadowionej wygodnie w samym sercu doliny aż wychylił się na siedzeniu, kiedy taksówka ostrożnie zjeżdżała w dół wyboistym traktem. Gdy jednak znaleźli się całkiem blisko i nie dostrzegł żadnego znaku życia ani ludzi, ani zwierząt gospodarskich, ogarnęło go złe przeczucie.

- Dom wygląda na całkiem opuszczony. - Kierowca taksówki na moment odwrócił głowę w stronę tylnego siedzenia. - Czy ktoś pana oczekuje?

- Właściwie nie. - Taksówka zatrzymała się przy bramie na podwórze. Gif Weldon zmarszczył czoło. - Mógłby pan tu poczekać... a ja pójdę sprawdzić, czy ktoś tam jest?

- Jasne! I tak nie mam nic innego do roboty do przyjazdu następnego pociągu, a to będzie dopiero za parę godzin.

Podszedł do drzwi i głośno zapukał. Wewnątrz panowała głucha cisza. Próbował zaglądać przez okna, ale we wszystkich

zasłony były szczelnie zaciągnięte. Sprawdził też tylne drzwi, lecz i one okazały się zamknięte. W końcu skierował się do obory... gdy nagle dobiegł go jakiś hałas.

- Jest tam kto? - Stał na zewnątrz nasłuchując. Rozległ się szmer przypominający szuranie butami, a potem stare drewniane wrota uchyliły się ze skrzypnięciem.

- Barbara! - Usłyszał wyraźną ulgę w swoim głosie. Przyjrawszy się jej bliżej, stwierdził, że płakała. - Barbaro? Nie pamiętasz mnie?

Miała na sobie czarną wełnianą sukienkę ledwo sięgającą kolan i wykoślawione buty. Postarzała się o więcej niż pięć lat. Kiedy ją ostatnio widział, miała osiemnaście, a teraz wyglądała starzej niż on sam.

- Gifford? - W czarnych oczach zatliło się życie.

- Czy twój ojciec jest w domu? Albo matka? - Wykonywał drobne, niepotrzebne ruchy rękoma. - Może powinienem być napisać, upewnić się czy wam odpowiada...

- Żebyś u nas zamieszkał?

- Właśnie. Ale gospodarstwo sprawia wrażenie opuszczonego. - Obejrzał się na dom. - Kiedy pukałem do drzwi, nikt nie odpowiadał.

- Bo nikogo tam nie ma.

- Nikogo?... - Był zaskoczony.

Podeszła do niego blisko.

- Ja też już miałam wyjechać... Chciałam się rozejrzeć ostatni raz.

- Ale dlaczego? Czyżby twój ojciec sprzedał farmę? I dokąd wyjeżdżasz?

Zaśmiała się niewesoło.

- Zwolnij trochę, Giffordzie. Za dużo pytań naraz. Po pierwsze, tato umarł ostatniej wiosny.

- Barbaro... Tak mi przykro, moja droga.

Podniosła rękę, żeby go uciszyć.

- To był fatalny rok. Mama zamęczyła się biorąc to

wszystko na siebie. Serce nie wytrzymało... miesiąc temu. Próbowaliśmy utrzymać to miejsce w jakim takim porządku, ale w końcu nas pokonało.

- Sprzedałaś farmę? - spytał z niedowierzaniem. - Tak po prostu? Odwróciłaś się do niej plecami?

- Nie byłam w stanie jej sama prowadzić, Giffordzie... a poza tym, nie była moja, żebym mogła ją sprzedać. Tatuś był dzierżawcą. Tylko użytkowaliśmy to gospodarstwo, a teraz właściciel chce je odzyskać.

- Gdzie będziesz mieszkać?

Wzruszyła szczupłymi ramionami.

- W jakimś schronisku.

- W schronisku?

- Jestem bezdomna, Giffordzie. Muszę gdzieś pójść.

Zabrał ją do pensjonatu w Edynburgu. Mieli osobne pokoje. Sprawiała wrażenie osoby, która straciła wszelką ochotę do życia. Nie miała rodziny, nie miała domu, no i, mieszkając przez całe życie na takim odludziu, nie miała też przyjaciół, do których mogłaby się zwrócić o pomoc.

W czasie dni spędzanych w Edynburgu zaświtała mu w głowie pewna myśl. Gdyby miał żonę, ucichłyby plotki krążące wokół niego i Duncana. Jego kariera byłaby bezpieczna. Byłby szanowany i poza wszelkimi podejrzeniami. I nadal miałby Duncana...

Przedstawił jej swój pomysł, mówiąc tylko tyle, ile było niezbędne - że potrzebuje gospodyni w Wydale Hall w Derbyshire Peak District. To było wszystko, co musiała wiedzieć. Zaproponował małżeństwo. Nie miał nic do stracenia, a mógł dużo zyskać przywożąc do domu żonę.

Z początku nie chciała opuszczać Szkocji, ale po paru dniach najwidoczniej dobrze przemyślała propozycję.

- Nie oczekuję, że będziesz... mnie kochał, Giffordzie. Przynajmniej nie od razu. Ale może kiedyś...

Ucisnęła jej ramię; uciekali do pensjonatu przed deszczem.

- A więc wszystko ustalone? Zostaniesz panią Weldon... i uczynisz mnie bardzo szczęśliwym człowiekiem?

- Tak! - Uśmiechnęła się do niego, ciemne oczy rozbłyły w jesiennym zmierzchu. - Tak, Giffordzie. I będę dla ciebie dobrą żoną, obiecuję.

Amy zawołała Lizzie Abercrombie:

- Lizzie! Lizie! Pomóż mi. Szybko!

W korytarzyku od strony kuchni rozległy się człapiące kroki gospodyni.

- Boże, dziecko. O co tyle zamieszania?...

- On chyba zemdłał. - Amy z zatroskaną miną kucnęła przy kominku, gdzie Gif Weldon leżał bez ruchu.

- Boże! - Lizie przebiegła przez hall i opadła na kolana po drugiej stronie chorego.

- Ułożyłam go w przepisowej pozycji. - Głos Amy drżał.

- Oddycha. Dobrze zrobiłam, Lizzie?

Lizzie wymacała tętno na szyi Weldona i pokiwała głową twierdząco.

- Co się stało?

- Patrzył na portret i nagle jakby stracił świadomość. Udało mi się go podtrzymać, kiedy się przewracał, ale chociaż jest taki chudy, był za ciężki, żebym go mogła utrzymać.

- Wszystko będzie dobrze. - Lizie usiadła na piętach i zaczęła rozcierać nadgarstek Gifa Weldona.

.- Skąd wiesz? Czy nie powinnyśmy przypadkiem posłać po lekarza?

- To się już zdarzało. Taki rodzaj ataku. Poczekamy kilka minut. Tętno ma słabe, ale regularne.

- Och, Lizzie...

- Nic się nie martw, dziecko - uspokajała ją Lizzie. - Jest starym człowiekiem.

- On wcale nie jest stary, Lizzie... ma dopiero sześćdziesiąt parę lat. W dzisiejszych czasach to jeszcze nie oznacza starości.

- Ma sześćdziesiąt osiem lat, panno Amy. A niektórzy mężczyźni są starzy jeszcze przed osiągnięciem tego wieku. Gif Weldon do nich należy. Był stary, kiedy tu zaczynałam pracować, a nie mógł mieć wówczas wiele ponad pięćdziesiątkę.

Chory poruszył się i jęknął, powieki mu zadrgały. Lizzie przestała rozcierać mu rękę i uśmiechnęła się do Amy.

- Widzisz? Dochodzi do siebie. A nie mówiłam? Wszystko będzie dobrze.

- Nadal uważam, że powinnyśmy wezwać lekarza...

j Lizzie potrząsnęła głową.

- Nie zgodzi się na żadnego lekarza, więc nawet go nie denerwuj... bo może znowu zemdleć. Pozwól mu dojść do siebie. Potem napijemy się czegoś ciepłego i zapomnimy o wszystkim.

Amy nie mogła uwierzyć, jak szybko po odzyskaniu świadomości Gif Weldon potrafił znów się złościć. Usiadł na zimnych kamieniach posadzki i odepchnął pomocne dłonie.

- Co za zamieszanie... Co za zamieszanie... - sarkał.  
- Potknąłem się tylko, na litość boską.

- Wujku... przecież...

- Stracił pan na parę sekund świadomość - weszła jej w słowo Lizzie. - Ale już wszystko w porządku, więc tylko pomożemy panu usiąść na jakimś krześle, dobrze?

Gif Weldon potarł czoło, równocześnie zdecydowanie odpychając dłoń Lizzie.

- Kobieto! Jesteś nieznośna! - wrzasnął. - Zostaw mnie w spokoju! Przecież mogę użyć własnych nóg.

Lizzie trochę niezdarnie podniosła się z kolan.

- Świetnie! - warknęła. - Niech pan się sam sobą zajmie. Ja wracam do kuchni. - Rzuciła Amy ostre spojrzenie. - A ty, moja panno, lepiej chodź ze mną.



- Ale...

- Powiedziałam, że masz iść ze mną. Zrozumiałaś? Zostawimy tego starego łotra na pastwę losu.

- Lizzie... nie możemy tego zrobić.

- Owszem, możemy. - Lizzie podeszła do niej i ściskając ją za ramię szepnęła jej do ucha: - Miejże trochę taktu, skarbie. Jest zażenowany, bo zobaczyłaś go słabego i bezbronnego.

Amy spojrzała na gospodynię wzrokiem wyrażającym zrozumienie.

- Tak... pójde ci pomóc - wyjąkała.

Pozwoliła się wyprowadzić do kuchni, podczas gdy Gif Weldon pomrukując pod nosem powoli wstał i patrzył, jak odchodzą.

W wigilię Bożego Narodzenia Richard Boden jadł kolację z Amy i jej wujem Gifem w Wydale, a w tym dniu Lizzie wyjątkowo dołączyła do nich przy stole. Amy pomogła jej przyrządzić posiłek, który spożyli przy świecach w surowej dębowej jadalni, której Amy tak nie znosiła.

Trochę się bała spotkania z Richardem, ale wkrótce jej obawy okazały się całkiem bezzasadne. Nie robił żadnych uwag na temat tego, co zaszło w jego domu w Hatton-in-the-Dale, a pod koniec kolacji wręcz zaczynała wierzyć, że to, iż

trzymał ją w ramionach i całował tamtego zimowego wieczoru przed tygodniem, było jedynie wytworem jej wyobraźni.

Wuj Gif był w dobrym nastroju. Richard przybył do Wydale swoim land-roverem, więc nie mógł pić. Lizzie zaproponowała grę w karty, w której Amy dopisywało szczęście. Wieczór mijał szybko przy dobrym jedzeniu i miłej rozmowie. Około jedenastej Richard zebrał się do wyjścia. Amy odprowadziła go do drzwi. Założywszy już kurtkę na ciemny garnitur, wyjął z kieszeni pakunek owinięty brązowym papierem.

- Rozpakuj dopiero rano - zastrzegł wręczając go. - Nie wiedziałem, że masz dziś urodziny, bo przyniosłbym też kwiaty.

- Nie ma potrzeby. Urodziny przestają być takie atrakcyjne, kiedy ma się powyżej dwudziestu lat.

Zmrużył oczy w uśmiechu.

- Przez to, że tak mówisz, czuję się bardzo stary. - Pochylił się i pocałował ją leciutko w czoło. - Dobranoc, Amy.

- Tylko tyle dostanę? Cmoknięcie w czółko? - spytała zadziornie.

- Uhm. Na razie.

Byli sami. Wuj Gif położył się już do łóżka, a Lizzie daleko w kuchni sprzątała po posiłku.

- Świetnie! - Nie miała zamiaru mu pokazać, że jest rozczarowana. - Może zobaczymy cię znowu któregoś dnia w święta.

- To mało prawdopodobne... chyba że przyjadę popracować trochę przy Gabrielu.

Drobna pionowa zmarszczka przecięła jej czoło.

- Och, ten przeklęty anioł!

- Zazdrosna? - zakpił rozbawiony.

- Akurat! - Przycisnęła paczkę do piersi. - Co jest w środku?

- Musisz się domyślać z kształtu. - Zapiął kurtkę i odwrócił się do drzwi.

- Pewnie książka.
- Trafione za pierwszym razem. *Wydobycie i obróbka kamienia w rejonie Peak District* - wyrecytował poważnie.
- Naprawdę? - Jej mina zdradzała rozczarowanie.
- Nie, więc możesz się przestać krzywić. Tylko żartowałem.
- Richard! - Pacnęła go książką.
- Będiesz teraz leżeć bezsennie przez całą noc, zastanawiając się, co tam jest?
- Akurat! Jak tylko wyjdiesz, otworzę paczkę i się dowiem. Zrobił kwaśną minę.
- W takim razie dobrze, że nie marnowałem porządnego papieru na pakowanie.
- A ja nic dla ciebie nie mam. - Nagle zrobiło jej się przykro. Nie spodziewała się, że przyniesie jej prezent gwiazdkowy.
- Nic się nie martw - pocieszył ją wesoło. - Dzięki temu będziesz się czuła wobec mnie zobowiązana. A to mi całkiem odpowiada.
- Otworzył drzwi wpuszczając do środka zimny powiew, aż zadrżała.
- Nie wychodź - ostrzegł. - Przeziębisz się w tej ślicznej kusej sukieneczce.
- Nie chciała, żeby już odchodził.
- Podobam ci się w sukience, Richardzie? - Przedłużała rozmowę, żeby go jeszcze chwilę zatrzymać.
- Podobasz mi się we wszystkim.
- Wiesz, jak się wymigać od prawienia komplementów!
- W następnej minucie miało go już nie być przy niej.
- Pocałuj mnie - poprosiła. - Nie umiem cię rozgryźć, kiedy jesteś w takim humorze. Bądź taki, jak tamtego wieczoru, to będę wiedziała, co mam myśleć.
- Spojrzał jej w oczy.
- Chcesz, żebym tańczył jak mi zagrasz, pani?
- Chcę, żebyś mnie objął... i pocałował mocno i prawdziwie
- odparła.

Zrobił krok w jej stronę. Patrzyła na niego wyczekująco pewnymi, jasnymi oczyma. Czuła się panią sytuacji, tak samo jak tamtego wieczoru w Hatton-in-the-Dale.

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

- Mocno i prawdziwie? - powtórzył jej słowa.

Przytaknęła i nachyliła się ku niemu zamykając oczy, przygotowana na twardy ucisk jego ust. To była dla niej gra, której reguły już między sobą ustalili. Mocno i prawdziwie - tak właśnie pocałował ją tamtej śnieżnej nocy w połowie grudnia. A ona trzymała serce zamknięte przed nim, ponieważ już kiedyś otworzyła je przed Kipem. Tylko że Kip nigdy się nie dowiedział, że go kochała.

Richard Boden jedną ręką obejmował ją mocno w pasie, a drugą ujął jej podbródek, by ustawić jej twarz pod odpowiednim kątem. Wypełniało ją oczekiwanie na nie zobowiązującą przyjemność, jaką jej sprawił poprzedni pocałunek.

Poczuła dotknięcie jego ust, lecz tym razem delikatne, bez tamtego nienasyconego pragnienia. Muskał jej wargi niczym najczulszy kochanek, ledwie się o nie ocierając; słodycz tego pocałunku zaparła jej dech w piersi. Ciało odpowiadało gwałtownie, domagało się więcej; zacisnęła dłonie na jego ramionach, przyciągając go mocniej do siebie. Był taki duży, dawał poczucie bezpieczeństwa. Gdyby tylko zechciał, mógłby ją odgrodzić od reszty świata. Rozchyliła usta, zachęcając do większej intymności.

Ogarnęła ją nieznana tęsknota, inna niż ta, jaką czuła do Kipa. Uzmysłowała sobie, że tu już nie chodzi o romantyczną zażyłość pomiędzy chłopcem i dziewczyną, że do głosu doszły fizyczne pragnienia... cielesne żądze. Nie spodziewała się tego i nie podobało jej się to dziwne, wypełniające ją palącym ogniem pożądanie.

Nagle poczuła do siebie obrzydzenie za to, co uznawała za zdradę wobec Kipa. Jej miłość do Kipa była czysta i niewinna, podczas gdy męski urok Richarda Bodena, potężny jak ziemia

i ogień, jak słońce i księżyc, odzierał ją z niewinności. Człowiek od kamienia! To było dobre określenie. Uległa w jego objęciach, poddała się pocałunkom, które stawały się coraz bardziej namiętne. Wyrwała się z jego ramion ocierając usta wierzchem dłoni, jakby w ten sposób chciała zetrzeć ślad jego pocałunków.

Zaśmiał się cicho.

- Teraz wiesz, dlaczego pocałowałem cię w czoło. Wydawało mi się, że tak będzie bezpieczniej.

Odwróciła się na pięcie i uciekła, nie zatrzymując się, dopóki nie zatrzasnęła za sobą drzwi swojej sypialni. Oparła się o nie dotykając głową twardego drewna. Ostre światło żarówki znad łóżka raziło ją w oczy.

Jeszcze dłużej potem, kiedy leżała w łóżku, drżąca, zwinięta w kłębek, bezskutecznie próbując zasnąć, czuła, że palą ją usta. Była zbyt ożywiona, by zasnąć, a ilekroć zamykała oczy, widziała twarz Richarda Bodena.

Amy była zadowolona, kiedy wreszcie minęło Boże Narodzenie i nadszedł Nowy Rok. Codziennie oczekiwała odpowiedzi na swoje ogłoszenie, które zamieściła w kilku gazetach ukazujących się na wschodnim wybrzeżu Anglii, lecz tajemnicza Kitty nadal nie dawała znaku życia.

Kate znów dzwoniła z Bostonu i Amy czuła się winna, że dotąd ani o krok nie posunęła się do przodu w swoich poszukiwaniach.

Wuj Gif jeszcze mocniej podupadł na zdrowiu, kiedy zrobiło się bardzo zimno, a mgła niemal codziennie zasnuwała szczyt Aspen Tor. Znad rzeki ciągnęło chłodem i wilgocią, a na iglakach w ogrodzie zawisły lodowe pajęczyny podobne do srebrnych koronek.

Nawet helikopter zaprzestał swych ciągłych lotów nad domem; Amy ku swemu zdumieniu stwierdziła, że brak jej

upartego brzęczenia nad Wydalę, które prześladowało ją niemal codziennie.

Dużo spacerowała nagrywając kamerą wideo nie kończące się filmy o angielskiej zimie, które miała zamiar pokazać Kate i Marty'emu po powrocie do Ameryki. Wybierając się na zakupy do Hatton zawsze zabierała ze sobą Johna Grahama. W Wydalę unikała starej kaplicy, a kiedy dzwonił telefon, zawsze czekała, aż Lizzie albo wuj Gif podniosą słuchawkę. Ale to nigdy nie był Richard Boden, a dni dłużyły się przygnębiająco.

Na początku drugiego tygodnia stycznia nadszedł list. Wuj Gif wezwał ją do swego gabinetu i wręczył go jej.

- Amy, przeczytaj i powiedz mi, co o tym sądzisz - polecił z zagadkową miną.

Przeczytała list kilka razy.

- Dziwne - odezwała się w końcu.

- Słyszałaś kiedyś o czasopiśmie „Diary”? Bo ja nie.

Roześmiała się cicho.

- Nic dziwnego, że nie słyszałaś, wujku. To jedno z tych efektownych wydawnictw w błyszczących okładkach, przeznaczone dla wyzwolonych kobiet. Widziałam je na wystawie kiosku w Hatton. Ukazuje się od niedawna, raz w miesiącu, i wydaje mi się, że jest dość popularne.

- Ale dlaczego mieliby chcieć pisać akurat o Wydalę Hall, moje dziecko?

- Wydawca pisze w liście, że co miesiąc chcą prezentować ciekawe posiadłości. Nie majątki należące do arystokracji, lecz domy zamieszkałe przez zwykłych ludzi.

- Ale skąd ten wydawca... ta pani Catherine Blake dowiedziała się o nas?

Wzruszyła ramionami oddając mu list.

- Nie wiem, wujku Gifie... ale myślę, że to świetny pomysł.

- Naprawdę tak uważasz? - Zamyślił się wpatrzony w arkusik opatrzony ozdobnym nagłówkiem. - Ciekaw jestem, co na to powie Lizzie Abercrombie. Może powinienem ją zapytać.

- Wujku, jeśli zdecydują się na artykuł o Wydale, to zapłacą za pozwolenie zrobienia kilku zdjęć i możliwość rozmowy z tobą. Tysiąc funtów to chyba za dobra okazja, żeby ją przegapić - dodała Amy, znająca rozpaczliwy stan domowych finansów. Myślała przy tym gorączkowo, ile materiałów izolacyjnych przeciw wilgoci można kupić za taką sumę, choć była świadoma, że tysiąc funtów w przypadku Wydale było przysłowiową kroplą w morzu potrzeb.

Gif Weldon westchnął ciężko.

I - Nie sądzę, żebyśmy wiele zdziałali za ten tysiąc, Amy.

- Ale możemy mieć dobrą zabawę.

- Zabawę? Kiedy obcy ludzie będą nam zakłócać życie błyskając fleszami i zadając najróżniejsze pytania?

- Tylko przez trzy dni. Niektóre z tych czasopism są bardzo dyskretne - uspokajała Amy. - Naprawdę, wujku, chyba nie masz czego się obawiać. Miło byłoby zobaczyć Wydale na okładce i na środkowej rozkładówce eleganckiego pisma, nie uważasz?

- Sam nie wiem... - Ruszył w stronę kuchni cały czas niepewnie kręcąc głową. - Zobaczymy, co powie Lizzie. Ona rozsądnie podchodzi do takich rzeczy...

Zajrzawszy przez uchylone drzwi u stóp schodów, Catherine Blake stwierdziła, że restauracja w zajeździe Hawkwood Arms była prawie pusta. Czuła się wypoczęta i gotowa na wszystko po dobrze przespanej nocy i solidnej gorącej kąpieli o poranku. Uśmiechnęła się wspominając, jak kilka dni wcześniej, gdy prosiła przez telefon o rezerwację pokoju z prysznicem, powiedziano jej, że Hawkwood Arms nie należy do miejsc, gdzie bezkrytycznie stosuje się techniczne nowinki.

Pełna złych przeczuć zastanawiała się, czy nie poszukać noclegu w jakimś większym mieście, ale najbliższe znajdowało



się w odległości dziesięciu mil, a zależało jej, by mieszkać bliżej Wydaleń. Nie miała czasu do stracenia, a sądząc po mapie, Hawkwood leżało o parę minut jazdy samochodem od starej posiadłości, którą była tak zainteresowana. Postanowiła zatem zaryzykować pobyt w zajeździe i teraz była z tego zadowolona.

Zastanawiała się, czy spotka go dziś rano - czarnowłosego i czarnookiego tajemniczego mężczyznę, poza nią jedyne gościa zajazdu w tej spokojnej dolinie Derbyshire. Kiedy się meldowała poprzedniego wieczoru, siedział samotnie w kącie naprzeciwko drzwi, pogrążony w myślach, niemal pośepny. Poza tym był jedynym, który nie wodził za nią oczyma. Prawdopodobnie właśnie dlatego zwróciła na niego szczególną uwagę. Catherine była przyzwyczajona do tego, że wzbudza męskie zainteresowanie i miała świadomość, że w tej zapadłej dziurze w sercu Peak District wysoka ładna brunetka, do tego modnie ubrana, musi być rzadkim zjawiskiem.

Tablica przy zajazdowym parkingu głosiła: „Posiłki dla turystów indywidualnych i wycieczek”. Miejsce było oddalone od cywilizowanego świata. Indywidualni turyści i wycieczki zapewne byli chętnie widzianymi klientami, bo sama miejscowość, z tego co zdążyła zobaczyć, nie mogła liczyć więcej niż jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt domów.

Kiedy weszła na salę, siedział przy małym stoliku obok okna. Jadł śniadanie; odniosła wrażenie, że jej nie zauważył, gdy siadała nieopodal przy innym, jedynym nakrytym do śniadania stoliku.

Uśmiechnęła się, kiedy podniósł wzrok znad talerza, lecz odpowiedział jej jedynie lekkim skinieniem kruczoczarnej głowy. W dziennym świetle mogła mu się przyjrzeć dokładniej niż poprzedniego wieczoru w przyćmionym oświetleniu baru. Miał krótko przycięte włosy i trochę bladą, interesującą twarz. Był szczupły, niemal chudy; długie nogi podwinął pod krzesło, a białymi zadbanymi rękoma o starannie przyciętych paznok-

ciach manipulował nożem i widelcem, jakby przeprowadzał sekcję żaby, a nie krajał plaster bekonu.

- Piękny ranek. - Czuła, że musi się odezwać. Skoro mieli się tu spotykać przez następnych parę dni, atmosfera mogłaby się stać nie do zniesienia, gdyby się nawzajem ignorowali.

Skończył posiłek, odchylił się na oparcie krzesła i wyjrzał przez okno na otaczające dolinę wzgórze.

- Owszem.

W tym momencie uwagę Catherine zaprzętnęła gospodyni zajazdu, która postawiła przed nią śniadanie składające się z wielkiego dzbanka herbaty i wysoko załadowanego talerza, budzącego grozę ilością zawartych w nim kalorii. Gospodyni się oddaliła, a Catherine siedziała wpatrując się w górę jedzenia przed sobą i zastanawiała się, od czego zacząć. Od czasu opuszczenia rodzinnego domu nie zdarzyło jej się widzieć takiego śniadania.

Usłyszała cichy śmiech dobiegający od stolika sąsiada.

- Czy ja wyglądam na rekonwalescentkę wymagającą dożywienia? - zdziwiła się spoglądając na niego.

- Według mnie, nie - zapewnił, a jego głos przywiódł jej na myśl porośnięte wrzosem zbocza, zapach sosen, jeziora i wąwozy Szkocji, gdzie spędzała wakacje jako dziecko. - Ale - ostrzegł - zostanie pani niemiłosiernie wypytana przez panią Hillaby, jeśli pani tego nie zje.

- O, nie - jęknęła.

- W tych stronach uważają, że warstwa sadła na piersiach chroni przez przeziębieniem.

- Proszę, niech pan mnie nie dobija. - Podniosła nóż i widelec. - Nie znoszę, gdy ktoś mi się każe tłumaczyć z pozostawienia choćby kawałeczka na talerzu. W dodatku właśnie takie śniadania dostawałam w domu dawno temu...

- Ale teraz jest pani elegancką dziewczyną z miasta.

- Uśmiechnął się pod nosem.

- Owszem. Czy to widać?

- Jestem tu od paru tygodni i dotychczas widywałem tylko dziewczyny w traperkach i z plecakami.

- Jest pan tu od paru tygodni? - Zabrała się do parówki, lecz po chwili przerwała jedzenie, by zauważyć: - Cóż, nie widzę, żeby się panu osadziła warstwa sadła na piersi.

- Ale też się nie przeziębilem. - Dokończył herbatę, odsunął krzesło i wstał.

Catherine posilała się w skupieniu.

- Pewnie będziemy się spotykać? - rzucił z wahaniem, nim opuścił salę.

- Pewnie tak - powiedziała z uśmiechem.

Pani Hillaby, właścicielka Hawkwood Arms, była w nastroju do rozmowy, kiedy przyszła pozbierać nakrycia po śniadaniu.

- Rozmawiała pani z panem Powellem? To całkiem miły człowiek, kiedy się go bliżej pozna.

- Zamieniliśmy kilka słów - przyznała Catherine.

- Pochodzi ze Szkocji. - Pani Hillaby, nie przejmując się hałasem, cisnęła sztucę na tacę. - Fotograf! Jest znany ze swoich zdjęć. Robionych z góry, z powietrza. Zrobił też jedno zdjęcie mojego zajazdu. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak też to miejsce stamtąd wygląda.

Catherine okazała zainteresowanie.

- Mówi pani, że nazywa się Powell? - Zmarszczyła czoło.

- Chyba nie Mark Powell? Mark Powell, z którym współpracujemy, ma bibliotekę fotograficzną w Londynie. Często wykorzystujemy jego zdjęcia w naszym czasopiśmie. Nigdy go nie spotkałam, ale zawsze sobie wyobrażałam, że jest dużo starszy niż ten człowiek, którego poznałam dzisiaj.

- Nic mi o tym nie wiadomo, panno Blake. Chyba będzie go pani musiała sama zapytać, czy on to on - zachichotała.

- Jak go pani ładnie poprosi, to zabierze panią na przejażdżkę swoim helikopterem. Mówi, że lata nad Derbyshire robiąc zdjęcia do swojej nowej książki. Bardzo mu się spodobało Wydaleń Hall. Ciagle mnie o nie wypytuje.

- Cóż za zbieg okoliczności. Właśnie tam jestem dziś umówiona, w Wydale Hall.

- No proszę! - Pani Hillaby mrugnęła do niej porozumiewawczo. - Więc powinniście się dogadać.

Catherine roześmiała się. Miała teraz ważniejsze sprawy niż rozglądanie się za mężczyzną.

Zaskoczył ją godzinę później, kiedy otwierała samochód. Pojawił się od strony, gdzie stał zaparkowany wielki czarno-srebrny motocykl; stanął opierając się o kamienny murek odgraniczający zajazdowy parking od łąki rozciągającej się aż do rzeki.

- Słyszałem, że wybiera się pani do Wydale Hall.

Najwidoczniej rozmawiał z panią Hillaby. Catherine natychmiast poczuła złość na tę kobietę za jej niedyskrecję.

- Rozumiem, że rozmawiał pan z naszą gospodynią - rzekła sucho.

- Pani Hillaby jest oczami i uszami świata. - Odepchnął się od murku i podszedł do jej samochodu. - Ładne autko.

- Owszem.

- Miałyby pani coś przeciwko temu, żebym pojechał z panią? Przelatywałem nad tym starym domostwem wiele razy, ale byłoby miło obejrzeć je z poziomu ziemi.

- Pan wybaczy, ale jestem umówiona z panem Weldonem. Nie wyglądałoby to dobrze, gdybym zjawiła się u niego z pełnym autem gapiów, nie sądzi pan?

- Mogłaby mnie pani przemycić jako swojego fotografa. Właściwie mógłbym zrobić kilka ujęć Hall. Pozwoliłbym pani wybrać sobie coś do swojego czasopisma.

Pokusa była silna. Fotografowanie nie było jej mocną stroną. Znacznie lepiej wychodziły jej wywiady. Ponadto aparat, który ze sobą przywiozła, nie był najwyższej jakości. Miała tylko przeprowadzić wywiad ze starym Weldonem i pstryknąć parę zdjęć. Sprawa artykułu o Wydale Hall nie była jeszcze przesądzona; udało jej się jedynie wzbudzić

u wydawcy pewne zainteresowanie tematem. Stało na tym, że jeśli okaże się naprawdę atrakcyjny, zastanowią się nad publikacją.

Catherine miała świadomość, że powinna być wdzięczna choćby już za to. Koniecznie potrzebowała pretekstu do odwiedzenia Wydale, a ten wydawał jej się jedynym możliwym. Ogłoszenie w ukazującej się na wschodnim wybrzeżu gazecie wzbudziło jej ciekawość. Pamiętała, jak się czuła, kiedy ciotka Mary zatelefonowała, żeby jej o nim powiedzieć.

- Kitty, kochanie... czy to może ktoś z rodziny Kipa z Ameryki próbuje się z tobą skontaktować? - dociekała ciotka.

Catherine zamarło serce. W Londynie nie znano jej pod imieniem Kitty. Już dawno zdecydowała, że ten rozdział jej życia pozostanie zamknięty.

- Och, ciociu, mam nadzieję, że nie. Minęło wiele czasu. Myślałam, że rodzice Kipa dali sobie już spokój.

- Tak ci się zdawało, prawda? Zwłaszcza że nigdy nie odpowiedziałaś na ich ogłoszenia zamieszczone w prasie zaraz po wypadku.

Catherine wahała się przez moment, nim odparła:

- Nie mogłam ryzykować, ciociu. Mogliby próbować odebrać mi dziecko.

- A jak się miewa maleństwo? - zagadnęła ciotka Mary tonem pełnym serdeczności.

- Świetnie, ciociu. Naprawdę doskonale.

- Może przyślę ci to ogłoszenie, dobrze, Kitty?

- Gdybyś mogła. Tak chyba będzie najlepiej.

- Będziesz mogła przynajmniej sama je przeczytać... i zdecydować, co zrobić.

- Racja, ciociu. Tak będzie najlepiej.

W gazecie podano adres Wydale Hall w Derbyshire. Catherine nigdy o nim nie słyszała. O kontakt prosiła jakaś panna Weldon. Wiedziała, że Kip miał wujka, który mieszkał gdzieś w Derbyshire, ale nie miała pojęcia, że wuj ma córkę

lub siostrę. Zastanawiała się, kim mogła być ta panna Weldon z Wydale, która tak bardzo chciała się z nią skontaktować. Postanowiła zachować wszelkie środki ostrożności i kiedy odkryła, że Wydale jest wiejską siedzibą sprzed kilku wieków, namówiła wydawcę, by pozwolił jej sprawdzić na miejscu, czy nada się jako temat na artykuł.

Później już wszystko poszło gładko. Teraz jednak, rozważając możliwość zabrania ze sobą Marka Powella, poczuła się trochę nieswojo. Brzydziła się wszelkim oszustwem. Byłoby znacznie lepiej, gdyby mogła po prostu otwarcie odpowiedzieć na ogłoszenie. Jednakże gdzieś w jej podświadomości ciągle tliła się obawa, że rodzice Kipa mogą zacząć się dopominać wiadomości o dziecku. Stracili jedyne go syna i w końcu, jak sama w duchu przyznawała, było naturalne, że chcieli poznać jego żyjącą część. Ale oni mieli przynajmniej tę dziewczynę, córkę adoptowaną przed laty. Kip tak ciepło wyrażał się o Amy, uwielbiał swoją młodszą siostrzyczkę...

- No i?... Załapię się czy nie?

Wzdrygnęła się, powracając do rzeczywistości. Mark Powell czekał na odpowiedź. Doszła do wniosku, że jego towarzystwo może się jednak okazać przydatne.

- Dobrze - zgodziła się. - Tylko proszę mi nie wchodzić w drogę. A jeśli się nie zgodzą, żebyśmy się zjawili we dwójkę, to sam pan wie...

Z uśmiechem wsunął się na siedzenie samochodu po stronie pasażera.

- Zniknę natychmiast - zapewnił. - Może pani na mnie polegać, że zachowam się jak trzeba.

Był czysty, chłodny dzień pod koniec stycznia. Amy stała w oknie swojej sypialni spoglądając ponad doliną na rzekę Eston błyszczącą w zimowym słońcu niczym srebrny łańcuch. Patrzyła na krętą, obrosniętą drzewami drogę wiodącą z domu Duncana Warda do Wydale, wyglądając pojawienia się Catherine Blake.

Po pierwszym liście nadeszły dalsze - z planami i szczegółami dotyczącymi proponowanego wywiadu, oraz nastąpiły telefony z Londynu, potwierdzające terminy i umówione wynagrodzenie za udostępnienie domu. Lizzie spędziła większą

część ostatniego tygodnia surowym okiem doglądając dwóch sprzątaczek z Hawkwood, które szorowały, pastowały i polewowały podłogi i meble, unicestwiając po drodze każdą choćby najmniejszą pajęczynę, przygotowując Wydalę na spotkanie z mediami.

Amy dostrzegła wreszcie odbłask słońca na szybie, gdy nagle pomiędzy dwoma rzędami nagich drzew pojawił się samochód. Natychmiast wybiegła z sypialni, już na schodach wołając:

- Lizzie! Ona już tu jest! Widziałam samochód...

Lizzie, jak zwykle praktyczna, odparła spokojnie:

- Chyba zadzwoni do drzwi, jak już tu będzie. Po co zawczasu otwierać drzwi i wpuszczać zimne powietrze.

- Nie jesteś podniecona, Lizzie? - Amy chwyciła gospodynię i zawirowała z nią po kuchni, dając upust rozpierającemu ją entuzjazmowi.

Lizzie wyswobodziła się z jej objęć, otrzepała fartuch i fuknęła:

- Na litość boską, dziewczyno, przecież to tylko dziennikarka!

- Chodzi o coś innego - cieszyła się nie zrażona Amy.

- Wydalę będzie sławne. Zasłużenie, bo to piękny stary dom.

- A ty, moja panno, mówiąc szczerze, jesteś śmiertelnie znudzona tym, że przez ostatni miesiąc nie miałaś nic do roboty. Popraw mnie, jeśli się mylę - zawyrokowała.

- Och, Lizzie. Oczywiście, że nie jestem znudzona. Nie tu, w Wydalę. Chociaż musisz przyznać, że o tej porze roku, kiedy dni są krótkie, a wieczory takie długie, można się czuć trochę...

- Znudzonym! Właśnie to powiedziałam. Jesteś znudzona. Przyznaj się.

- Nie miałam zamiaru powiedzieć „znudzonym”! Chciałam powiedzieć, że można się czuć trochę samotnym.

Catherine Blake nie była sama. Kiedy wysiadła zza kierow-



nicy, z sąsiedniego siedzenia małego niebieskiego samochodu wysunął się jakiś mężczyzna. Amy wyszła na dziedziniec, żeby ich przywitać.

Mężczyzna był wysoki i trochę za szczupły. Miał niemal czarne włosy. Odwrócił się od samochodu i przez moment Amy widziała jego twarz; dostrzegła parę wyjątkowo pięknych oczu, tak ciemnych, że niemal identycznych w kolorze z włosami. Gdyby te oczy należały do kobiety, byłyby skończoną pięknością, ale on nawet nie był specjalnie przystojny. Miał zbyt bladą cerę i był zbyt krótko ostrzyżony. Cień zarostu na twarzy zdradzał, że tego ranka nie zaprzętał sobie głowy goleniem, a dżinsy, koszulka polo i marynarka w kratkę sprawiały wrażenie, jakby się w nich wyspał.

Poruszał się jednak ze swobodnym wdziękiem i przyglądał się staremu domostwu okiem zawodowego fotografa; na ramieniu wisiał mu drogi aparat. Amy wiedziała, że ją zauważył, choć wyraźnie unikał jej spojrzenia.

Catherine Blake prawie dorównywała wzrostem Lizzie. Tyle że tam, gdzie u Lizzie sterczały kości, rysy i figura Catherine były miękko zaokrąglone. Nosiła prosty strój: beżową, rozszerzaną dołem spódnicę, odpowiednio dobrany kolorem żakiet oraz buty świadczące bardziej o potrzebie wygody niż hołdowania modzie. Miała lekki, prawie niewidoczny makijaż, a jej ciemne włosy podwijały się w miejscu zetknięcia z ramionami. Podeszła do Amy zdecydowanym krokiem i przywitała się z nią uściśnięciem dłoni.

- Pani Blake?

- Proszę mnie nazywać Catherine. - Nie mogła być wiele starsza od Amy. Patrzyła ponad jej ramieniem w stronę wielkich dębowych drzwi Wydaleń, jakby oczekiwała, że ktoś inny wyjdzie ją powitać.

- Wujek Gif jest w domu. Ta pogoda źle działa na jego płuca - wyjaśniła Amy z uśmiechem. - Nazywam się Amy... Amy Weldon.

Catherine Blake sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Jakiś problem? - zaniepokoiła się Amy.

- Nie... nie. - Dziewczyna szybko odzyskała pewność siebie. - Jesteś Amerykanką. Nie spodziewałam się...

Amy roześmiała się swobodnie.

- Och, nie przejmuj się mną. Przyjechałam tu tylko na wakacje. Myślę, że to wspaniale, że Wydałę zyska popularność.

- Tak - potwierdziła słabo Catherine. - Mam nadzieję że pomysł wypali. Jestem pewna, że wydawca okaże zainteresowanie, kiedy zobaczy, jakie ten dom robi wrażenie.

- Widzę, że przywiozłaś ze sobą fotografa. - Amy znów spojrzała na ciemnowłosą postać, która jakby umyślnie trzymała się na uboczu.

Nadal trochę zbита z tropu Catherine powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, ale spotkałam Marka Powella w zajeździe w Hawkwood, gdzie wynajęłam wczoraj pokój. On tam mieszka już od pewnego czasu. Jest świetnym fotografem, dobrze znanym w Londynie. To prawdziwy zawodowiec, jeśli chodzi o robienie zdjęć... nie to co ja. - Już spokojniejsza, zawołała: - Mark, chodź tutaj, poznaj pannę Weldon.

- Amy, bardzo proszę.

Mężczyzna nie ruszył się z miejsca, w którym stał, jakieś dziesięć stóp od nich.

- Proszę nie zwracać na mnie uwagi - odezwał się z miękim północnym akcentem. - Jestem tu tylko na przejażdżce, panno Weldon. Jeśli pani albo pani wuj nie życzy sobie, żebym się tu plątał, mogę na następne dwie godziny pójść na spacer wzdłuż strumienia.

Amy podejrzewała, że specjalnie jest taki nietowarzyski - i nie podchodzi nawet, by się przedstawić.

- To nie jest strumień, panie Powell - rzekła cierpko. - To rzeka. Rzeka Eston, dla ścisłości.

W końcu zaszczycił ją spojrzeniem.

- Pani nie pochodzi z tych stron, prawda?

- Nie. Jestem z Bostonu, ze Stanów.

- Dodatkowa atrakcja - stwierdził. Jego ładny głos przybrał uszczypliwy ton. - Catherine, trudno sobie wymarzyć lepszy tytuł dla pani artykułu: *Jankeska na dworze króla Weldonal*

Rysy twarzy Catherine Blake ściągnęły się gniewnie.

- Mark! Dosyć tego! - przywołała go do porządku. - Myślę, że wiem lepiej, czego oczekują nasi czytelnicy... W każdym razie na pewno nie takich tanich chwytów. Wielkie dzięki.

- Może lepiej wejdą państwo oboje do środka - zaprosiła grzecznie Amy, choć w istocie nie chciała mieć nic wspólnego z tym człowiekiem. Nie spodobał jej się. Był pewny siebie i wyniosły. Wprowadziła gości do głównego hallu, gdzie wuj Gif i Lizzie oczekiwali na spotkanie z Catherine Blake... a ostatecznie to ona się liczyła. Przedstawivszy Catherine wujowi i Lizzie, Amy odwróciła się i ku swemu zdumieniu stwierdziła, że Mark Powell nie wszedł do środka.

- Pani towarzysz musiał jednak pójść nad strumień, tak jak groził - powiedziała z uśmiechem do Catherine.

- To świetnie! - Amy pomyślała, że uśmiech, którym odpowiedziała jej dziennikarka, był trochę zbyt promienny, a ulga zbyt widoczna. Pomyślała też, że Mark Powell był chyba zbyt zarozumiały sądząc, że jego obecność w Wydale jest pożądana.

- Jest dobrym fotografem - odezwała się Catherine, jakby czytając w myślach Amy. - Jest jednym z najlepszych w robieniu zdjęć z powietrza.

- Z powietrza? - powtórzyli równocześnie Gif Weldon i Amy.

- Przypuszczam, że ma własny helikopter - dodała Catherine z uśmiechem.

Amy zerknęła na wuja. Gif Weldon siedział z zaciśniętymi ustami.

- A więc to ten człowiek tak nam się dawał we znaki od kilku tygodni - rzekł wreszcie kwaśno.

Amy poczuła dziwny ucisk w żołądku. Coś jej mówiło, że dzisiejszy przyjazd Marka Powella nie był całkiem przypadkowy, lecz starannie zaplanowany... tak samo jak krążenie helikopterem nad Wydaleń musiało mieć swój powód.

- Jak dobrze go znasz? - wyrwało jej się.

Catherine sprawiała wrażenie zbitej z tropu.

- Wcale go nie znam - przyznała się. - Właściwie do wczoraj nigdy go nie widziałam... choć muszę przyznać, że nazwisko było mi znane. Jego zdjęcia są wspaniałe. Więc kiedy zaproponował, że przyjedzie tu ze mną i mi pomoże...

- Rozłożyła bezradnie ręce. - Co miałam powiedzieć? Zwłaszcza że zapytał mnie wprost dziś rano, czy może się ze mną zabrać do Wydaleń.

- Zostawię cię na chwilę z wujkiem Gifem. Musicie omówić pewne sprawy - zaproponowała Amy.

- A ja zrobię herbatę - wtrąciła Lizzie.

- Ja dziękuję, Lizzie. - Amy podeszła do drzwi. - Pójdę do kaplicy zobaczyć, czy jest tam Richard.

Gif Weldon i Catherine Blake odeszli korytarzem prowadzącym do gabinetu, rozmawiając po drodze o pogodzie. Wyglądało na to, że dziennikarka przypadła gospodarzowi do gustu.

Lizzie podbiegła do Amy i szepnęła jej do ucha:

- Nie podoba mi się ten typ, który z nią przyjechał.

- Mnie też nie, Lizzie. Ale chyba na razie mamy go z głowy.

- Mam nadzieję. Nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobało jego szwendanie wokół domu.

- Myślę, że wuj Gif i panna Blake mają o czym pomówić. Nie będą mnie potrzebować przez najbliższe pół godziny.

- Więc idziesz szukać człowieka od kamienia?

- Niezupełnie, Lizzie. Pomyślałam sobie tylko, że wuj Gif

i Catherine powinni zostać sami, żeby ustalić wszystko na temat tego artykułu - wyjaśniła.

Lizzie zmrużyła oczy podejrzliwie.

- Czy twoje stosunki z panem Bodenem układają się poprawnie?

Amy podkurczyła palce nóg w swoich sportowych reebokach, ale zdołała utrzymać nonszalancki ton.

- Wydaje mi się, że jak najbardziej.

- Widziałas się z nim od Wigilii?

- Nie. A ty? - Amy wysunęła podbródek. Nie życzyła sobie, by Lizzie znów zaczynała całe to gadanie o małżeństwie.

- Nie, nie widziałam go! Może powinnaś do niego zadzwonić. Zwykle nie trzyma się z dala od Wydałę tak długo.

Amy zaśmiała się ze sztuczną wesołością.

- A niby po co miałabym do niego dzwonić?

Lizzie wzruszyła ramionami.

- Mógł zachorować... całkiem sam w tym wielkim domu w Hatton-in-the-Dale.

- Ma telefon. I mieszka przy głównej ulicy. Mógł zaczepić pierwszego lepszego przechodnia, jeśli potrzebował pomocy.

- Chyba że spadł ze schodów i złamał nogę.

- Cóż, jeśli to się stało w Wigilię, to i tak do tej pory już umarł z głodu. Minał prawie miesiąc - sucho stwierdziła Amy.

- Jesteś nieczuła jak głaz. Tak, moja panno, taka właśnie jesteś!

- Akurat! - Amy wbiegła na schody po dwa stopnie naraz.

- Dokąd pędzisz?

- Po kurtkę i szalik. Wybieram się na spacer.

Richarda nie było w kaplicy. Amy dużo o nim myślała przez ostatnie tygodnie. Z czasem jednak wigilijne pocałunki zatarły się w jej pamięci. Opuszczając kaplicę uśmiechała się do siebie.

Tomik romantycznej poezji całkiem ją zaskoczył, kiedy w świąteczny ranek w zaciszu swej sypialni odwinęła prezent z brązowego papieru. To była ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewała od tak praktycznego człowieka. Umieściła książkę pomiędzy alabastrowymi podstawkami na biurku pod oknem, ale ponieważ wyglądała jakoś samotnie, dostawiła z jednej strony słownik, a z drugiej swój dziennik. Mimo to książka nadal sprawiała wrażenie osamotnionej!

Leżąc wieczorami w łóżku czytywała niektóre wiersze. Była to stara książka, pięknie oprawiona w brązową skórę ze złotymi tłoczeniami na grzbiecie. W środku znajdowała się zakładka z cytatem: „Zbyt długie poświęcenie może zamienić serce w kamień”. Richard podpisał się pod słowami Williama Butlera Yeatsa sprzed wielu lat.

Wiedziała, że przesłanie skierowane jest do niej. Wiedziała także, że odnosi się do jej uporczywego rozgrzebywania wspomnień o Kipie Weldonie. Mogłaby przysiąc, że właśnie dlatego trzymał się od niej z daleka. Grał na zwłokę. Ale w tę grę można było grać we dwoje, a ona z pewnością nie zamierzała wykonać pierwszego ruchu ku zacieśnieniu ich znajomości. Odpowiadał jej istniejący stan rzeczy i choć przed sobą musiała przyznać, że czuła pociąg do tego mężczyzny, z pewnością nie była skłonna uzewnętrznić tego w jego obecności.

Wydostawszy się spośród drzew otaczających kaplicę, przysłoniła dłońmi oczy wypatrując ukrytego we mgle szczytu Aspen Tor.

- To nie jest najlepszy dzień na robienie zdjęć. - Głos był miękki i trochę kpiący.

Odwróciła się na pięcie. Mark Powell przyglądał jej się wsparty na omszałym pniu.

- Skąd pan się tu wziął? - odezwała się takim tonem, jakby był czymś obrzydliwym, co wypełzło niespodziewanie spod kamienia.

Mark zbliżył się do niej lekkim krokiem.

- Spacerowałem właśnie za kaplicą, tam w lesie, kiedy dostrzegłem pośród drzew pani żółty szalik.

- Powinam już wracać do Hall.

- Proszę nie odchodzić. - Wiszący na jego piersi aparat miał zdjęty pokrowiec. Wziął go do ręki i uniósł do oczu. Odwróciła się tyłem, rozgniewana faktem, iż uznał za oczywiste, że pozwoli mu się sfotografować.

- Proszę się odwrócić! - rozkazał władczo.

Zaczęła się oddalać, nawet na niego nie spojrzawszy. Słyszała za sobą chrzęst jego butów na nadrzecznym żwirze. Wiedziała, że stara się ją sprowokować, by na niego popatrzyła.

- Boimy się obiektywu, co? - zakpił doganiając ją.

- Niech się pan wynosi do diabła!

- Nie chce się pani zobaczyć na eleganckiej rozkładówce jako dziedziczka?

- Nie! Nie jestem żadną dziedziczką.

- Słyszałem, że pani będzie... kiedyś.

Przyspieszyła kroku.

- Och, niechże pani da spokój - poprosił. - Proszę ze mną porozmawiać.

- To niech pan schowa ten aparat. - Zerknęła na niego na tyle szybko, że nie zdążył nacisnąć migawki. Aparat należał do tych, w których należało odpowiednio ustawić przesłonę w zależności od światła. Poza tym w takim mglistym krajobrazie zdjęcie wymagało też czasu.

Usłyszała, jak manipuluje przy sprzęcie.

- W porządku - oznajmił po chwili. - Teraz pani jest bezpieczna.

Zatrzymała się przy pniu drzewa, które musiało paść przed wielu laty. Weszła na pień i spojrzała z góry na fotografa.

- Królowa wszelkiego stworzenia - ocenił z ironią.

- Dlaczego pan mnie nie lubi? - spytała szczerze.

Szczupłe policzki Powella pokryły się rumieńcem.

- Kto powiedział, że pani nie lubię? - Przyglądał jej się z rękami w kieszeniach kraciatej marynarki.

Stojąc tak na pniu, miała poczucie przewagi. Jej głowa znajdowała się nieco wyżej, a poza tym się zaczerwienił - poznała, że był zażenowany... jeśli w ogóle było to możliwe u tak aroganckiego człowieka.

- Jest pan uprzedzony. A ja nie lubię mężczyzn, którzy mają uprzedzenia wobec kobiet.

- Woli pani czarusiów, którzy cały czas prawią komplementy?

- Wolę takich, którzy są szczerzy - sprostowała z trudem panując nad głosem.

- A ja się nie mieszczę w tej kategorii?

- Nie znam pana. Ale mam nadzieję, że naprawdę nie jest pan taki, jak mi się wydaje. Bo jeśli tak, to ma pan poważny problem.

- Mamy zapędy do psychoanalizy, co, panno Weldon?

- Wydaje mi się tylko, że umiem oceniać ludzkie charaktery, to wszystkim.

- Odchodzimy od zasadniczego tematu. - Zszedł na sam brzeg rzeki i przyglądał się rwącej wodzie. - Pani tu na długo?

- rzucił przez ramię już nieco miłszym tonem. - W Anglii?

Zeskoczyła z pnia.

- Na dwa miesiące, jak sądzę.

- Więc to są dla pani wakacje?

- Coś w tym rodzaju. Nie byłam tu przez dwanaście lat.

- To miejsce musi się pani wydawać bardzo różne od Bostonu.

- Owszem. Zna pan Boston?

- Tylko przez obiektyw aparatu. - Odwrócił się do niej z uśmiechem na ustach, ale jego czarne oczy patrzyły twardo i ostrożnie. Uśmiech ich nie objął. Coś w wyrazie tych oczu ją niepokoiło. Jakby go już kiedyś znała, ale w innym miejscu i czasie. - Półtora roku temu zamówiono u mnie album ze zdjęciami Nowego Świata.



- Ameryki? - spytała zaskoczona.

- Tak. To było coś innego niż zwykle. Miałkie. Stare i nowe. Wie pani, o czym mówię - po dwa zdjęcia na stronie, jedno w sepii zrobione sto lat temu, drugie nowe, kolorowe, zrobione w tym samym miejscu.

- Mnie się to wydaje interesujące, panie Powell, bynajmniej nie miałkie.

- Do tego rodzaju pracy nie potrzeba rozumu.

- Aha. A panu potrzeba czegoś więcej.

- Dobry fotograf jest artystą.

Nie dbając o jego odczucia stwierdziła:

- Ja wolę wideo.

- A tak, jasne - parsknął.

Urażona jego lekceważeniem spytała ponownie:

- Skąd pańska niechęć do mnie?

- Biedna mała bogata dziewczynka - odpowiedział drwiąco.

- Nie znoszę kobiet, które siedzą z założonymi rękami i przyjmują to, co należy się innym, a same nawet nie kiwną palcem.

- Nie rozumiem pana. - Ruszyła w drogę powrotną do Wydaleń. - Nic pan o mnie nie wie, a wymyśla pan jakieś niedorzeczne zarzuty.

- Cóż, po śmierci starego odziedziczy pani to wszystko.

- Prawdopodobnie - zgodziła się. - Z całym „dobrodziejstwem” inwentarza - dodała z przekąsem.

- Tak czy inaczej, to piękna posiadłość. Lasy, Bóg jeden wie ile akrów pastwisk i dom jak z bajki. Tylko że nawet najlepsze plany... - urwał pogardliwie.

Zatrzymała się w miejscu zastępując mu drogę.

- Do czego właściwie pan zmierza? - spytała ostro.

Kopnął ze złością zmarzniętą kępę trawy; po dłuższej chwili podniósł głowę i patrząc Amy w oczy powiedział:

- Nigdy nie możemy być na sto procent pewni niczego w życiu, prawda, panno Weldon?

Richard Boden ostrożnie przeprowadził land-rovera przez most, po czym skierował się ku starej kaplicy. Droga kończyła się dobry kawałek przed zrujnowanym budynkiem, więc wjechał na kamienisty placyk porośnięty ostrą trawą i koniżyną i zaparkował pod drzewami.

Gdy wysiadł, owiało go chłodne świeże powietrze; spojrzął na majaczący w oddali Aspen Tor. Nisko wiszące chmury przesłaniały wierzchołek. Przenosząc wzrok na dolinę, w pobliżu wartko płynącej rzeki dostrzegł jaskrawą plamkę.

Wyszedł spomiędzy drzew uśmiechając się lekko do siebie. Minęło wiele czasu od dnia, gdy ostatnio ją widział, ale ten wesoły żółty szalik mógł należeć tylko do niej.

Przykładając zwinięte dłonie do ust, zawołał:

- A-my! A-my!

Był zbyt daleko, by mógł dostrzec wyraz jej twarzy, ale widział, jak odwraca głowę, a potem unosi rękę i macha do niego. Zobaczyła go. Ruszyła w jego kierunku.

Był tam ktoś jeszcze, kto towarzyszył jej w spacerze, a teraz szedł za nią. Jakiś mężczyzna? Marszcząc brwi Richard wyteżył wzrok próbując lepiej się przyjrzeć postępującej za Amy postaci. Nie był to Gif Weldon! Stapał zbyt lekko jak na starego człowieka: A poza tym Gif Weldon nigdy by nie włożył takiej krzykliwej marynarki w czerwono-białą kratę.

Ostatnie dzielące ich piętnaście jardów przebyła biegiem. Policzki jej płonęły, a żółty szalik niemal powiewał w powietrzu. Towarzyszący jej mężczyzna zwolnił; końcowy, najbardziej stromy odcinek drogi pokonywał dosłownie w żółtym tempie.

- Richard! - Amy dopadła do niego zdyszana. - Richard! Ostatnio wcale się nie pokazujesz. - Z jej ust unosił się biały obłoczek pary. Stała przed nim z rękami w kieszeniach ciepłej szarej kurtki, uśmiechnięta od ucha do ucha. Pomyślał, że wygląda na zadowoloną ze spotkania, a od tego zaraźliwego

uśmiechu zrobiło mu się ciepło na sercu. Trudno mu było jej unikać przez minione tygodnie, ale uznał to za konieczne. Wiadomość, jaką przekazał jej na zakładce, nie pozostawiała wątpliwości. Duch Kipa Weldona musiał zniknąć na dobre, żeby ich znajomość mogła wykroczyć poza fazę niewinnego flirtu.

Zastanawiał się, kim jest towarzyszący Amy człowiek, ten ciemnowłosy młody mężczyzna, który stał teraz oparty o pobliskie drzewo i majstrował przy aparacie fotograficznym zwisającym mu z ramienia. Jednakże jego wzrok ukradkiem spoczywał na Amy... i Richardowi bardzo się to nie podobało.

Zacisnął dłonie w pięści. Już kiedyś się tak czuł... i wołał nie pamiętać, do czego to doprowadziło. Zdusił w sobie chęć, by jednym ciosem strącić z twarzy intruza cyniczny uśmieszek. Nikt nie miał prawa patrzeć w taki sposób na Amy. Kim, do diabła, mógł być ten łobuz?

Richard odezwał się najuprzejmiej, jak potrafił:

- Amy, nie wiedziałem, że nie jesteś sama. Gdybym wiedział, nie wołałbym cię.

Zerkając na stojącego pod drzewem człowieka, powiedziała:

- Od Wigilii wiele się wydarzyło w Hall. Długo by opowiadać. To jest Mark Powell. Jest fotografem.

Mężczyzna przysłuchiwał się jej bez słowa, a potem rzucił w stronę Richarda;

- Cześć!

- Panie Powell, to jest Richard Boden. - Amy dopełniła prezentacji.

Richard ucieszył się, że Amy nie jest z tym człowiekiem po imieniu. Jego bezpodstawne uprzedzenie do Marka Powella nieco osłabło.

- Fotograf? - zainteresował się. - To musi być ciekawa praca. Może chciałby pan obejrzeć kaplicę od środka?

- Już tam byłem. Zrobiłem prawie całą rolę filmu z tego miejsca.

Richard zwrócił uwagę na wyraźny szkocki akcent w głosie Powella. Ze sposobu mówienia wywnioskował też, że jest człowiekiem dobrze wykształconym.

- Nic mi pan o tym nie mówił - wtrąciła Amy, z trudem hamując oburzenie.

- Ma pani na myśli to, że nie poprosiłem o pozwolenie - poprawił ją beznamiętnie Powell.

Amy najwyraźniej nie chciała zaognić sytuacji. Odwróciła się do niego plecami i położyła rękę na ramieniu Richarda.

- Wchodzisz do środka? - spytała głośno. - Jeśli tak, to pójde z tobą, a pan Powell może sam wrócić do Hall.

Skinąwszy grzecznie fotografowi, Richard poprowadził ją w stronę zakrystii, omijając zwały gruzu.

Kiedy znaleźli się już w środku, przytknął zapałkę do małego olejowego piecyka i przystawił do niego krzesło.

- Chodź tu. Usiądź. Strasznie dziś zimno.

Amy podeszła do okna.

- Mam nadzieję, że zrozumiał aluzję i poszedł sobie - odezwała się trochę niepewnie.

- Zechcesz mi powiedzieć, czego on tu szuka? - Richard miał na sobie zieloną nieprzemakalną kurtkę. Zdjął ją i rzucił na stojące w rogu kartonowe pudło. Od piecyka powoli zaczęło się rozchodzić przyjemne ciepło. Podwinął rękawy grubego swetra w kolorze khaki, a potem ściągnął pokrowiec z anioła, który wciąż spoczywał na stojakach pośrodku pomieszczenia.

Podeszła bliżej i opowiedziała o wszystkim, co się zdarzyło w Wydaleń po świętach. Słuchał jej w milczeniu i dopiero gdy skończyła, zapytał:

- I to wszystko wzięło się tak z niczego? Nikt wcześniej nie zwracał się do Gifa w sprawie artykułu o Wydaleń?

Przecząco pokręciła głową.

- Był kompletnie zaskoczony tym listem.

- Dziwne! - Zmarszczył czoło. - A jeszcze dziwniejsze jest to, że ten Powell od tygodni krążył nad Wydałę helikopterem, nie sądzisz?

- Ale ta dziewczyna wydaje się autentyczna. A już z pewnością czasopismo „Diary” jest autentyczne. Można je kupić w każdym kiosku. Jest dość popularne.

- Gdzie jest teraz ta Catherine Blake?

Amy podeszła do figury anioła i przyjrzała jej się z uwagą.

- Jest w Hall, rozmawia z wujem Gifem.

- Czy Gif wie, ile mu zapłaca?

- Pięćset funtów w chwili podpisania umowy, a drugie pięćset w momencie ukazania się publikacji.

- Więc może nie powinniśmy się martwić na zapas.

- Też mi się tak zdaje. - Uśmiechnęła się szeroko. - Zwykle nie jestem podejrzliwa, ale w tym wypadku... Sama nie wiem.

- Spoważniała. - Richardzie, coś mi się tu nie podoba. Może to z powodu tego faceta. Nie mogę go rozgryźć. Wszystko, co mówi, brzmi jak pytanie. Aż się boję z nim rozmawiać. Lizzie się też nie spodobał.

- Muszę przyznać, że i mnie nie wydaje się specjalnie sympatyczny. - Richard oparł się o ławę, na której leżała figura; założył ręce na piersi.

- To przez te oczy. Czarne jak noc. - Wzdrygnęła się lekko. - Przez nie wydaje się chwilami jakiś nieszczerzy... a przy tym są naprawdę piękne.

- Czyżbyś próbowała wzbudzić we mnie zazdrość? Akurat, pięknie!

- Do licha, Richardzie, chyba nie myślisz, że on mi się podoba?

- Do licha, mam nadzieję, że nie - przedrzeźnił ją ze śmiechem.

- On się nigdy nie śmieje. Nie to co ty. - Spojrzała na niego niemal z czułością, lecz zaraz potem, przechylając głowę w bok, stwierdziła: - Mam wrażenie, że go skądś znam.

- Często się zdarza, że ktoś nam kogoś przypomina z wyglądu.

- Ale ja jestem pewna, że już go widziałam... albo kogoś bardzo podobnego.

- Może w mieście. Bywałaś w Hatton dość często.

- Pewnie tak. Poza tym on był w Bostonie. Mówił mi, że był w Ameryce półtora roku temu.

- No to masz odpowiedź. Chyba nie ma się co bać.

W zakrystii nadal było dość zimno. Zobaczył, że Amy drży.

- Ale on wszystko o mnie wiedział. Nawet to, że któregoś dnia odziedziczę Wydale.

- To akurat nie jest tajemnicą. - Podeszedł do niej i wzięła ją za rękę. - Twój wuj rozmawia z różnymi ludźmi. Na przykład mnie już rok temu mówił, że zapisze ci wszystko w testamencie. Duncan Ward też musi o tym wiedzieć. Przypuszczam, że jako prawnik zajmuje się formalnościami. Lizzie wie... i pewnie John Graham także. Nie rozumiesz? Każdy mógł przekazać tę informację Markowi Powellowi.

Pokręciła głową wysuwając rękę z jego rąk.

- Nie rozumiem tego. Jest tu obcy, obcy dla nas wszystkich w Wydale, a jednak powiedział coś mrożącego krew w żyłach. Powiedział, że nigdy niczego nie można być pewnym na sto procent... jakby chciał mnie ostrzec. Jakby wiedział, że nigdy nie będzie mi dane odziedziczyć Wydale.

- Amy! Dobrze ci radzę, nie przejmuj się tym typem.

- Łatwo ci mówić...

- Amy. Musisz zapomnieć o tym, co powiedział. Według mnie on należy do tych, którzy lubią mącić dla samego mącenia.

- A według mnie to brzmiało jak groźba. - Nie dawała się przekonać. - Zastanawiam się tylko, dlaczego obcemu człowiekowi mogłoby zależeć na tym, żebym nie odziedziczyła Wydale?

Wracając do Hall w porze lunchu nadal rozmyślała o Marku Powellu. Wchodząc na dziedziniec zauważyła, że mały niebieski samochód gdzieś zniknął. Miała nadzieję, że to samo stało się z Markiem Powellem... i że już nie wróci.

- W twojego wuja wstąpiło nowe życie - oznajmiła Lizzie.  
- To przez to, że atrakcyjna młoda kobieta okazała mu tyle uwagi.

~ Ta Catherine Blake jest całkiem miła, prawda? - Amy zdjęła kurtkę i przewiesiła ją przez oparcie kuchennego krzesła. Lizzie pochylała się wyjmując z pieca wielkie ziemniaki pieczone w mundurkach.

Amy dostrzegła, że na stole stoją tylko dwa nakrycia i już miała spytać, gdzie jest wuj, ale Lizzie ją uprzedziła:

~ Gif pojechał na lunch. Panna Blake zapakowała go do tego małego autka i powiedziała, że zabiera go na lunch do zajazdu w Hawkwood Arms.

- Naprawdę? - Amy otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.  
- Do licha, Lizzie, jak on to przyjął?

- Wziął to za dobrą monetę. - Lizzie zamknęła piekarnik i przeniosła gorące ziemniaki do stołu, gdzie umieściła po jednym na każdym talerzu.

- Lizzie Abercrombie... chyba kpisz sobie ze mnie. - Amy wybuchnęła śmiechem.

Lizzie z niewzruszoną miną ciągnęła:

- Wyobrażasz sobie Gifa Weldona spożywającego chłopskie jadło?

- A cóż to takiego?

- Razowy chleb. Kawał sera. Sałata i kiszony ogórek.

- Noo... może się przemógł... dla ładnej kobiety.

Lizzie posłała jej dziwne spojrzenie spod uniesionych brwi.

- Nie sądzę, panno Amy. Naprawdę nie sądzę.

Wydaleń Hall zostało zbudowane z kilku stopniowo obniżających się poziomach odpowiadających linii zbocza.

Poszczególne poziomy łączyły się za pomocą schodów; z obszernych spoczników wychodziły duże witrażowe okna, z których roztaczał się wspaniały widok urozmaiconego krajobrazu Derbyshire. Podobnie rozmieszczone były ogródki w formie tarasów, otoczone niskimi murkami i balustradami. Każdy z ogródków miał własny indywidualny charakter i połączony był z sąsiednim szerokimi, płaskimi stopniami wyciosanymi w miejscowym wapieniu. Wzgórze powyżej Wydale było gęsto zalesione, głównie drzewami iglastymi; linia brzegowa lasu tworzyła olbrzymi półksiężyc, co zarówno w lecie, jak i w zimie dawało wrażenie, że Wydale i przynależne do niego ziemie przykryte są płaszczem zieleni.

Amy najbardziej lubiła ogród zimowy. Był dobrze osłonięty ze wszystkich stron i można się było do niego dostać jedynie ścieżką obrośniętą cisami. Wokół kwiatowych rabat ciągnęły się kamienne krawężniki, a drobniejszymi kamykami wysypane były dróżki pomiędzy kępami dali i chryzantem. Z dawnych czasów pamiętała jaskrawe plamy żonkili pod ozdobnie przyszyronymi drzewkami oraz całe połacie drobnych purpurowych kwiatków przetykanych plamami jasnego wrzosu. Dziś ogród pozbawiony był kolorów, nie licząc kilku zielonych kiełków wystających z ziemi - zapowiedzi przyszłych żonkili i hiacyntów.

Popołudniowe słońce nie dawało ciepła, ale Amy zrezygnowała z żółtego szalika i kurtki decydując się na gruby sweter, dzinsy i wysokie buty z cielecej skóry. Przed wyjściem do ogrodu przyjrzała się sobie w wysokim lustrze szafy w swojej sypialni. Pomyślała z uśmiechem, że znajomi z Bostonu pewnie by jej nie poznali - jeszcze nigdy z życia nie miała tak wiejskiego, tak niewiarygodnie „angielskiego” wyglądu. Patrząc na swoje odbicie doszła do wniosku, że duży wykładany golf swetra może się OMBKĆ niewygodny przy pracy w ogrodzie.

Pochyliwszy się [feco do przodu, stwierdziła, że szeroki golf odwinął się opadając jej na brodę i policzki.



- Nie najlepszy wybór jak na popołudniowe kopanie w ogródku - mruknęła do siebie.

Jednakże czas szybko mijał i wkrótce miało się zacząć robić ciemno. Podeszła do toaletki i spojrzała na leżące na blacie szylkretowe pudełeczko. Codziennie przecierała je z kurzu, oglądała otrzymaną w prezencie od wuja Gifa broszkę i zamykała pudełeczko z powrotem. Tym razem podniosła broszkę z maleńkiej satynowej poduszeczki i przyłożyła ją do swetra przy szyi. Purpurowy ametyst w kształcie szkockiego ostu zaśnił na kremowej bieli swetra. Bez namysłu przypięła broszką luźny fałd golfu do swetra pod spodem.

Pochyliła się jeszcze raz i tym razem golf pozostał na miejscu. Wujowi Gifowi mogłoby się wprawdzie nie spodobać, że używa broszki do takiego celu, ale oszczędziła sobie w ten sposób poszukiwania agrafki w koszyku z przyborami do szycia należącym do Lizzie. Teraz swobodnie mogła obrywać zeschnięte główki chryzantem i znosić je do kąta ogrodu, gdzie jak pamiętała, zawsze palono ognisko.

Cieszyła się, że ma pożyteczne zajęcie, zwłaszcza że obecnie w Wydalę nie było ogrodnika. Wuj Gif mówił jej, że ponieważ John Graham rzadko bywa zajęty jako kierowca, zajmuje się także usuwaniem chwastów i przycinaniem żywopłotów. Lizzie pomagała mu w miarę wolnego czasu. Lizzie przyznała, że uwielbia ogniska i kiedy Amy powiadomiła ją, że zamierza uprzętnąć trochę ogródek, gospodyni obiecała dołączyć do niej ze starymi gazetami i pudełkiem zapałek.

Amy pracowała metodycznie; zaczęła od najniższego poziomu i stopniowo przemieszczała się w górę. Usunęła zwiędłe kwiaty i przeniosła je w koszu na miejsce ogniska; obróciła z pełnym koszem kilka razy. W następnej kolejności zamierzała się zabrać do pnących róż, ale omal nie straciła równowagi, kiedy jeden z odcinków murku zawalił się pod jej ciężarem. Przerwała pracę, żeby dokładnie obejrzeć

zniszczenie i stwierdziła, że nastąpiło osunięcie gruntu pod fundamentem. Przykucając na piętach sprawdziła resztę kamiennej ścianki. Prawie wszędzie kamienie były mocno obłuzowane. Postanowiła zasięgnąć opinii Johna Grahama, jak można by zabezpieczyć róże.

Wydostała się ostrożnie pomiędzy kłujących pnączy na ścieżkę. W grube ogrodnicze rękawice nabijało się pełno kolców, które nie chciały odpaść mimo energicznego strzepywania. Amy rozglądała się uważnie po martwym ogrodzie i dziwiła się, jak bardzo został zapuszczony. Lizzie miała rację mówiąc, że czas zżera kamienie Wydale. Stary dom i jego ogrody zbyt długo pozostawały zaniedbane.

Mark Powell stał w cieniu cisów przez ponad pięć minut, zanim go dostrzegła. Pewnie nawet wówczas by go nie zauważyła, gdyby nie ledwie słyszalne pstryknięcie aparatu, kiedy zrobił jej zdjęcie.

Zgromiła go wzrokiem.

- Moja wina! - zawołał ze skruchą. - Proszę mi wybaczyć. Nie mogłem się oprzeć, żeby nie zrobić choć jednego zdjęcia.

Ściągnęła pełne kolców rękawice i cisnęła je na ozdobną kamienną ławkę. Podeszła do intruza czując błoto lepiące się do wysokich butów.

- Mógłby się pan ode mnie odczepić, panie Powell?  
- spytała ostro stając tuż przed nim z oczyma błyszczącymi od gniewu. - Nie ma pan żadnego prawa się tu plątać.

Poczuł się niezręcznie z powodu swojego szpiegowania.

- Chodziło mi tylko o parę zdjęć - wyjaśnił ze śmiechem, który nawet w jego własnych uszach zabrzmiał sztucznie i nieprzekonująco.

- Guzik mnie obchodzi, o co panu chodziło. Wtargnął pan tu bezprawnie, więc proszę się wynosić. - Wskazała mu ścieżkę prowadzącą do wyjścia. - No już. Proszę się stąd

zabierać. Jest pan prawdziwym utrapieniem; najpierw szpieguje pan nas z powietrza, a potem zakrada się tu pod pretekstem pomagania Catherine Blake w zbieraniu materiałów do artykułu...

- Nie ma pani pojęcia... - przerwał jej, ale głos mu nagle zamarł, kiedy zobaczył ametystową broszkę. Dosłownie zatrząsał się ze złości. Trudno mu było powstrzymać się przed wyciągnięciem ręki i zerwaniem małego ostu z golfu jej swetra. Uważał, że nie ma prawa go nosić, bo nie należy do niej. Bezprawnie weszła w posiadanie tej broszki, tyle że przecież nie mógł jej tego powiedzieć. Nie mógł jej powiedzieć, że zawsze, jak sięgał pamięcią, na komodzie jego matki stała wyblakła fotografia młodej kobiety w sukni ozdobionej tą broszką. I że tą młodą kobietą była jego matka...

- Nie mam pojęcia? O czym to nie mam pojęcia, panie Powell? - Stała przed nim z rękami na biodrach, z zaciśniętymi gniewnie ustami.

Oderwawszy wzrok od broszki, rzekł cicho:

- Jestem w pani oczach draniem, prawda?
- Jest pan wścibski. A ja nie lubię wścibskich ludzi.
- Nie robię nic złego.

Przed rozpoczęciem pracy związała swe długie do ramion włosy cienką czarną wstążeczką. Teraz złocisty kosmyk wysunął się spadając jej na oko. Odgarnęła go niecierpliwym ruchem.

- Nie ma pan prawa być tutaj - powtórzyła. - Wemknął się pan cichaczem i najlepiej będzie, jeśli wyniesie się pan w ten sam sposób.

- Proszę chwilkę poczekać - odezwał się zupełnie spokojnie. Chłubił się tym, że nigdy nie podnosił głosu i zwykle udawało mu się porozumieć bez niepotrzebnych emocji. Tym razem jednak miał ochotę wykrzyknąć jej prosto w twarz; że mająk największe prawo być tutaj... w rzeczywistości ma do tego większe prawo niż ona. Chciał, żeby dowiedział się cały

świat, nie tylko ta dziewczyna, że jest synem Gifa Weldon. Ale przede wszystkim pragnął, żeby dowiedział się o tym ten zadufany w sobie stary człowiek. To by go zraniło - wiadomość, że przez te wszystkie lata miał syna, o istnieniu którego nie miał pojęcia. Byłoby to zemstą za krzywdę, jaką wyrządził Barbarze Weldon.

- Na co miałabym czekać? Niech mi pan powie, na co?  
- Opuściła bezradnie ręce. Nagle wydała mu się zmęczona i bezbronna. Miała twarz zabrudzoną ziemią, zakurzone ubranie. Do białej wełny swetra przylgnęły strzępki suchych liści i gałązek. Uzmysłowił sobie, że Wydalę musiało być jej bliskie. Nie pracowałyby jej tu w tym stroju, gdyby jej nie zależało na tym starym domu.

Już miał jej wyznać prawdę, ale zrozumiał, że nie może tego zrobić. Musiał jednak coś powiedzieć.

- Czemu ten facet z kaplicy interesuje się Wydalę?

W jej oczach pojawił się wyraz zdziwienia.

- Richard wykonuje pewne prace przy odbudowie kaplicy. Możliwe, że w przyszłości zrobi o wiele więcej w samym Hall.

- Czemu miałyby to robić? Przecież nie ma do Wydalę żadnych praw?

Odpowiedziała bez sekundy namysłu:

- Jeśli za niego wyjdę...

- Jeśli co? - przerwał jej z najwyższym zdumieniem Mark Powell. - Boże! On jest dla pani za stary.

Wzruszyła ramionami z udawaną beztroską.

- Nie pański interes - oznajmiła chłodno. - A poza tym, co wiek ma tu do rzeczy?

- Jest pani szalona - stwierdził, myśląc o tym, jaką byłoby stratą, gdyby rzeczywiście poważnie rozważyła poślubienie kogoś starszego niż ona o co najmniej dziesięć lat. Zamyślił się mrużąc oczy. - Ale dla niego byłby to świetny interes, nieprawdaż? Dla tego Richarda Bodena? Za jednym zamachem dostałby dziewczynę i dom. Taki jest plan?

- Panie Powell, myślę, że powinien pan już iść.
- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. - Czarne oczy zapłonęły jawną wrogością.
- Nie muszę odpowiadać. I nie muszę pytać pana o zgodę, obojętne, co bym robiła.
- To prawda, ale może powinna pani samej sobie zadać kilka pytań, zanim się pani zdecyduje na małżeństwo z rozsądku.
- Nie wiem, o co panu chodzi. - Przyjąwszy bojową postawę, wpatrywała się w niego ze złością.
- Sądzę, że wie pani, o co mi chodzi. Sądzę, że jeśli naprawdę zamierza pani za niego wyjść, wiele razy zadawała pani sobie pytanie, czy on chce pani, czy tego domu.

Patrzyła na niego nie spuszczać wzroku, ale wiedział, że tym pytaniem trafił w samo sedno. Było jednak oczywiste, że dziewczyna nie ma zamiaru wdawać się z nim w jakąkolwiek dyskusję.

- Proszę odejść - powiedziała tylko.
- Z przyjemnością. - Nie był w stanie powiedzieć nic więcej, choć wiedział, że tak dużo jest do powiedzenia. Zastanawiał się, czy uczyniłoby jej jakąś różnicę, gdyby wiedziała, że jest synem starego Weldona. Czy jej planowane małżeństwo doszłoby do skutku, gdyby nie miała dziedzictwa?

Do diabła! Była w końcu ładną dziewczyną i miała przed sobą przyszłość, a myślała o związaniu się z człowiekiem dwa razy starszym niż ona. Miał ochotę nią potrząsnąć i przemówić jej do rozumu. Pragnął wyjaśnić wszystko, powiedzieć jej i całemu światu, że Wydałę zgodnie z prawem należy się jemu! Tylko jak miał to zrobić? Jak mógł sprzątnąć jej nagle wszystko sprzed nosa, wszystko, co zostało jej obiecane?

Poczuł, że dłużej nie zniesie jej obecności. Z zaciśniętymi ustami, rzuciwszy jej ostatnie twarde spojrzenie, odwrócił się i ruszył biegiem ścieżką pośród cisów. Wiedział, że musi się znaleźć z dala od niej, żeby przemyśleć, jak ma dalej postępować.

Mark Powell wrzucił kilka pięćdziesięciopensówek do automatu telefonicznego znajdującego się w wąskim przejściu między barem a recepcją Hawkwood Arms.

- Mama?

- Synku, jak to miło. Jaka tam u ciebie pogoda?

- Niezła. W każdym razie niezła jak na luty. - Zwykle spięte rysy złagodniały w uśmiechu. Akurat miał uwierzyć, że obchodzi ją pogoda.

- My tu w Blairgowrie mamy trochę śniegu. Narciarze używają sobie na Glenshee...

- Mamo, przyjeżdżam na jakiś czas do domu... jeśli nie masz nic przeciwko temu?

Kobięcy głos zadźwięczał radością.

- To wspaniale, synku. Wiesz, że nie musisz pytać. Czy u ciebie na pewno wszystko w porządku? Myślałam, że te zdjęcia w Yorkshire zajmą ci znacznie więcej czasu?

Zaśmiał się z dobrze udawaną swobodą.

- Złapałem angielską grypę. Potrzebuję, żeby mnie ktoś pielęgnował - wyjaśnił, umyślnie nie podejmując tematu pracy. Narastało w nim poczucie winy; nie powiedział jej, że wyjeżdża do Derbyshire. Nikt o tym nie wiedział. Uświadomił sobie nagle, że to szpiegowanie, które uprawiał przez ostatnie tygodnie, wcale nie przynosi mu chluby.

- W takim razie przewietrzę pościel - mówiła matka.

- Kiedy mam się ciebie spodziewać, chłopcze?

- Jutro. Szykuję już motor do długiej podróży na północ.

- Bądź ostrożny. Martwię się o twoje...

- Nie martw się. Jestem już dużym chłopcem.

Barbara Powell odłożyła słuchawkę telefonu i oparła się ciężko na lasce. Artretyzm mocno jej dziś dokuczał; uczynił z niej przedwcześnie starą kobietę. Podchodząc wolno do okna swego bungalowu, dojrzała w lustrze swe odbicie; na widok ściągniętej bólem twarzy wciągnęła oddech i wyprostowała plecy. Nie chciała, żeby ją taką zobaczył - pokręconą, jak mawiał jej ojciec, choć nie dobiegła jeszcze pięćdziesiątki. Postanowiła wziąć jedną z tych pigułek, jakie lekarz zapisał jej dwa dni temu. Uznała też, że nie zawadzi odrobina makijażu.

Odwróciła się i rozejrzała po pokoju, zadowolona z prostoty i przestronności wnętrza. Nie znosiła nadmiaru sprzętów i wszelkiego zamieszania, a Bóg jeden wie, że miała go w życiu aż za dużo, nim zmarł Derek Powell. Mężczyźni

sprawdzali na kobiety jedynie kłopoty i nieszczęścia. No, może nie wszyscy mężczyźni. Mark był inny... ale Mark był częścią niej, synem, z którego była dumna. Przez Dereka musiał ją opuścić. Opuścić ją i Szkocję.

Ale Derek nie był w stanie pozbawić go uczucia do matki i teraz, kiedy Derek już nie żył, Mark znowu miał dom. Ciepło oblało jej serce na wspomnienie słów, które padły przez telefon; „Mamo, przyjeżdżam na jakiś czas do domu...”

Co by zrobiła bez Marka? Powinna chyba być wdzięczna Gifowi Weldonowi przynajmniej za to jedno. Przygotowując w kuchni dzbanek herbaty i podgrzewając puszkę zupy na lunch, cofnęła się pamięcią o prawie ćwierć wieku; ból, który potajemnie w sobie podtrzymywała, stopniowo zaczął ustępować i po chwili czuła się na siłach otworzyć górną szufladę kredensu i wyjąć z niej dużą brązową kopertę.

Ostrożnie wzięła do ręki sztywną fotografię. Kąciki jej ust bezwiednie uniosły się w uśmiechu. Mój Boże, ależ była kościstą panną młodą podczas ślubu w małej kaplicy w Wydale. Uroczystość była skromna - przybyło tylko kilku gości, znajomych Gifa, bo ona nie miała żadnej rodziny - ale przebiegała całkiem miło. Dopiero kiedy goście się rozeszli, piękny sen zaczął się zmieniać w smutną jawę.

Duncan Ward był pierwszym drużbą. Rudowłosy, cyniczny prawnik, gardzący kobietami i bynajmniej nie starający się ukrywać swych poglądów. Barbara go nie znosiła. Nie za wygłaszane opinie, lecz dlatego, że był najbliższym przyjacielem Gifforda i na całe trzy tygodnie przed ślubem zagarnął dla siebie pana młodego, by spędzać z nim długie wieczory grając w szachy lub włócząc się po barach i wypijając niesłychane ilości whisky.

Barbara pamiętała, jak musiała szukać towarzystwa pani Tilly, cichej jak myszka gospodyni, na długie jesienne wieczory. Oprócz niej w Hall mieszkały jeszcze dwie służące,



ale miały ledwie po kilkanaście lat i pani Tilly z trudem zmuszała je do jakiegokolwiek pracy.

Pani Tilly zakończyła pracę z końcem tego samego roku i Gifford dał Barbarze do zrozumienia, że musi się nauczyć samodzielnie zarządzać domem i służbą.

Zrozumiała teraz, że jej małżeństwo zakończyło się, nim się jeszcze zaczęło. Stało się to za sprawą Duncana Warda. Teraz mogła już o tym myśleć bez goryczy. Krótki pobyt w Wydale Hall otworzył jej oczy na wiele rzeczy, o jakich w wieku dwudziestu trzech lat nawet jej się nie śniło. Przestała się obwiniać. Wiedziała, że małżeństwo nie miało żadnych szans na przetrwanie, cokolwiek by zrobiła... albo czego nie zrobiła, by je utrzymać. Przynajmniej pozostało jej po nim dziecko. Ale jakim kosztem? Ile własnej godności musiała poświęcić?

Druga rocznica ślubu. Barbara patrzyła na swój portret wiszący nad kominkiem w głównym hallu. Jej małżeństwo było jednym wielkim kłamstwem, wreszcie zdała sobie z tego sprawę. A już największym kłamstwem był ten portret. Miał utwierdzić reputację Gifforda Weldona - solidnego filara społeczeństwa, mężczyzny żonatego... człowieka godnego szacunku. Portret pani domu musiał budzić szacunek, czyż nie? Wszystkie najlepsze ziemiańskie rodziny obstałowały takie portrety!

Przyjechał. Słyszała, jak wydaje władcze polecenia stajennemu, a potem na dziedzińcu rozległ się stukot końskich kopyt. Wszedł do domu bezszelestnie; wiedziała, że stoi w progu i obserwuje ją.

- Podobieństwo jest doprawdy uderzające, moja droga. Podoba ci się twój rocznicowy prezent, teraz, kiedy jest skończony?

- Owszem - odpowiedziała nie poruszając się. - Te wrzosowiska w tle przypominają mi dom.

- Ale teraz twój dom jest tutaj.

Uchwyciła ton przygany w jego głosie. Ostatnio nabrał zwyczaju przemawiania do niej z góry... prawie jakby była służącą. I prawdę mówiąc, czuła się bardziej służącą niż żoną. Oblała ją fala gorącego wstydu, gdy przypomniała sobie noc sprzed dwóch tygodni, kiedy w końcu postanowiła, że nie może dłużej z nim pozostać i dawać się upokarzać.

Zostali rodzicami chrzestnymi dziecka jego kolegi. Mała Amy Rawie przyłgnęła mocno do ramion Barbary... i do jej serca. Z rozczuleniem patrzyła w drobną pomarszczoną twarzyczkę i wielkie poważne oczy. Pragnęła własnego dziecka, ale jakże mogła je mieć, skoro jej mąż nie sypiał nawet w tej samej części domu co ona?

Nie przestawało ją martwić to, że nie jest prawdziwą żoną. Po chrzcinach doktor Rawie z żoną poprosili ich, żeby zostali na noc. Gifford próbował się wykręcać od zaproszenia, lecz Rawlesowie postawili na swoim i od tego momentu Gif przystawił się do butelki, jakby następnego dnia miał być koniec świata.

Kiedy znalazła się ze swoim mężem w wielkim podwójnym łożu, tamtej nocy u Rawlesów, przytuliła się do niego mocno i szepnęła:

- Giffordzie, chcę być dla ciebie prawdziwą żoną. Moglibyśmy mieć własne dziecko.

- Nie! - Odsunął się gwałtownie i odwrócił do niej plecami. Dotknęła go lekko w ramię, ale skutek był taki, że jeszcze bardziej zamknął się w sobie.

- Giffordzie... - błagała -jesteśmy mężem i żoną... i to już od prawie dwóch lat.

Odburknął coś, każąc jej spać. Jego głos zdradzał, że jest pod wpływem whisky.

- Proszę cię, Giffordzie... - Pogłaskała go nieśmiało po plecach. Po raz pierwszy w ogóle go tak dotykała. Całe ciało paliło ją dziwnym, nieznanym bólem. Pragnęła być kochana.

Pragnęła, by wyzwolił ją od tego bólu i dał jej dziecko. Poczowała, jak tężeje pod jej dotykiem, a potem bez ostrzeżenia odwrócił się do niej i warknął:

- Zostaw mnie w spokoju. Nie chce cię. Nie rozumiesz tego?

Cofnęła się na widok jego twarzy wyraźnej w świetle księżycy wpadającym przez odślonięte okno.

- Giffordzie...?

- Nie domyśliłaś się, kobieto? Po dwóch latach nadal nie wiesz, co się dzieje tuż pod twoim nosem?

- Nie... nie rozumiem... - Usiadła na łóżku, podparta łokciem na poduszce, i patrzyła na niego z przestachem.

- Giffordzie, powinniśmy porozmawiać... nie możemy dłużej tak żyć. - Nagle przyszyła jej do głowy straszna myśl. - Czy jest... - zawahała się na moment, ale dokończyła: - ...jakaś inna kobieta? Czy właśnie to próbujesz mi powiedzieć?

Zaśmiał się odrażająco.

- Kobieta? A czegoż miałbym chcieć od innej kobiety? To Duncan, ty głupia suko, Duncan! Duncan! Tylko jego pragnę... i tylko jego potrzebuję. Jeśli nie możesz się z tym pogodzić, to możesz się wynieść z mojego życia... i wracać do Szkocji. Może to byłoby najlepsze wyjście.

Następnego ranka miała w głowie gotowy plan. A teraz, tej nocy, zamierzała go starannie przeprowadzić. Przede wszystkim przyrządziła uroczystą kolację z okazji ich rocznicy ślubu z szampanem i dużą ilością whisky. Kiedy nadszedł czas udania się na spoczynek, nie był w stanie sam wejść po schodach; nie oponował też, kiedy weszła za nim do sypialni. Padła jak kłoda na łóżko - elegancki mahoniowy mebel z czerwonymi draperiami. Na stoliku obok płonęła jasnym światłem duża oliwna lampka. W Wydaleń nie było elektryczności, ale Barbarze to nie przeszkadzało. Na farmie w Glenocherry, gdzie się wychowała, także nie zaznała żadnych przejawów nowoczesności. „Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal” mawiała często jej matka.

Matka nie miała racji.

Barbara po dwóch latach małżeństwa czuła się oszukana. Wystrychnięto ją na dudka. Pragnęła, żeby jakiś mężczyzna ją obejmował, żeby ją kochał, żeby uczynił z niej prawdziwą kobietę. Tęskniła do macierzyństwa. Całe jej ciało domagało się zaspokojenia. Chciała być taka, jak inne kobiety. Pozbyć się wreszcie ciężaru dziewictwa, którego nie zdjęło z niej małżeństwo z Giffordem Weldonem.

Patrzyła na męża z pogardą. Miał zamknięte oczy, cicho pochrapywał. Ściągnęła z niego ubranie rzucając każdą rzecz po kolei na podłogę. Kiedy skończyła, a on się nie obudził, rozebrała się sama i położyła obok niego na czerwonej jedwabnej narzucie.

Jego ciało było silne, atletycznie zbudowane i ciepłe w dotyku. Kiedy zamknęła oczy, mogła sobie wyobrazić, że to nie Gifford Weldon. Przytuliła się mocno i zaczęła go pieścić. Jęknął cicho raz i drugi, ale nie otworzył oczu. Wkrótce doprowadziła go do erekcji. Wygiąwszy plecy w łuk westchnął przeciągle mrużąc:

- Duncan...

Barbara, gardząc sobą za to, co robi, uniosła się nad nim, a potem opuściła się prosto na jego sterczący członek. Wiedziała, że w tej pozycji może zapanować nad bólem, którego się spodziewała. Zaczął się rytmicznie poruszać. Pociągnęła go za sobą tak, że teraz to ona leżała na plecach, a on znajdował się na górze. Było zbyt późno, żeby się cofnąć. Gwałtownym pchnięciem uniosła biodra. Odrzucił w tył głowę wydając z siebie straszliwy krzyk. Wypełniło ją poczucie zwycięstwa. W kilka sekund było po wszystkim; leżał całkiem obudzony, dysząc ciężko. Opuścił głowę, patrzył na nią oczyma szeroko otwartymi z przerażenia.

Kiedy do niego dotarło, co się stało, wyrwał się z niej i stoczył z łóżka. Usłyszała trzask nocnego stolika, który potoczył się na środek pokoju. Gifford niezdarnie podniósł się

na nogi; zobaczyła, jak zaczynają mu drgać mięśnie brzucha. Wpatrywał się w nią z odrazą. Trząsał się cały i płakał, łzy spływały obficie po jego zapadniętych policzkach. Nagle odwrócił się gwałtownie i zwymiotował na dywan.

Leżała bez ruchu i obserwowała go, sycąc się uczuciem triumfu z tego jedyne go momentu swej chwały. Instykt mówił jej, że będzie miała dziecko. Wyczytała w książkach wszystko, co trzeba. Musiała tylko wybrać odpowiedni dzień w miesiącu, a kiedy będzie po wszystkim spokojnie przeleżeć pół godziny...

Następnego ranka wezwała taksówkę, dopilnowała, by kierowca zajął się jej bagażem i opuściła Wydałę. Nie chciała ryzykować podnosząc ciężkie walizki. To dziecko było bezcenne. Tylko ono liczyło się w jej życiu.

Amy pokazała Richardowi zniszczony murek w ogrodzie zimowym. Przykucnął, żeby go dokładnie obejrzeć, a gdy wstał, na jego twarzy malował się wyraz zakłopotania.

- Miałam zamiar poprosić Johna Grahama, żeby to sprawdził, ale jest teraz zajęty z wujkiem Gifem.

- Wygląda na to, że nastąpiło małe osunięcie gruntu.  
- Wrócił na ścieżkę, otrzepując dłonie z pyłu. Po chwili, obejrzał się na murek i dodał: - Może powinniście wezwać kogoś na oględziny.

- Ale przecież ty się dobrze znasz na takich rzeczach.

- Wydobywanie kamienia to coś zupełnie innego. - Uśmiechnął się do niej ciepło. - Amy, to nie musi być nic poważnego, ale ponieważ zachodnia wieża tak mocno osiadła, naprawdę myślę, że konieczne jest zbadanie gruntu, na którym zbudowane jest Wydałę.

- To będzie sporo kosztować. - Zmartwiła się. - A wuj Gif nie ma pieniędzy.

- Są te pieniądze za artykuł w czasopiśmie - przypomniał.

- Nie zdołam ich z niego wycisnąć - westchnęła. - Do licha, Richardzie, trudno go zmusić nawet do płacenia bieżących rachunków.

- Chcesz, żebym ja z nim porozmawiał?

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Zechciałbyś? Ciebie posłucha. On uważa kobiety za małe istotki o pustych głowach.

Podawała mu rękę. Przez ostatnie dwa miesiące przyzwyczała się na nim polegać. Ich przyjaźń wydawała się czymś zupełnie naturalnym. Nigdy później nie próbował jej pocałować tak jak wtedy, w Wigilię. Pozwolił jej w pełni decydować o rozwoju ich znajomości, a skoro potrzebowała od niego jedynie przyjaźni, oferował jej przyjaźń.

Była przy nim swobodna i szczęśliwa. Mówiła sobie, że to nie miłość, ale bardzo lubiła jego towarzystwo. Odwiedzała go w domu i gotowała mu czasem, a on zabierał ją do teatru w Hatton, a raz nawet do Derby. Nadal spędzał sporo czasu w zrujnowanej kaplicy. Archanioł Gabriel wracał do formy... jeśli nawet niezupełnie do takiej jak przed pożarem, to do niewiele gorszej.

Szli wolno w kierunku domu.

- Wyjeżdżam na kilka dni - oznajmiła Amy. - Pamiętasz, wspominałam ci, że Kate Weldon prosiła mnie o odszukanie dziewczyny Kipa?

- Owszem, pamiętam. - Zerknął na nią ukradkiem. Ścieżka się rozszerzyła; szli obok siebie trzymając się za ręce. - I znalazłaś ją?

Amy przecząco potrząsnęła głową.

- Niestety! Zamieściłam ogłoszenie w gazetach ukazujących się na wschodnim wybrzeżu, ale nic z tego nie wyszło. Postanowiłam się tam wybrać i rozejrzeć się trochę na miejscu.

- To może być niezły pomysł, jeżeli ona nadal tam mieszka. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że to duży obszar do poszukiwań?

- Pomyślałam, że spróbuję poszperać w miejscowych bibliotekach. Chyba mają mikrofilmy starych gazet, nie sądzisz? Informacja o wypadku Kipa musiała się ukazać na pierwszych stronach, więc muszę znaleźć jakieś wiadomości na ten temat.

- I myślisz, że będzie tam coś o tej dziewczynie? O tej Kitty?

- Właściwie nie robię sobie wielkich nadziei. - Byli już prawie w Hall. Amy pociągnęła go za rękaw, żeby się zatrzymał. - Słuchaj, nie chcę, żeby wuj Gif o tym wiedział. On by nie zrozumiał tej historii z Kipem, ale ty rozumiesz...

- Rozumiem, że go kochałaś. Że nadal go kochasz - wszedł jej w słowo Richard. - Tak, Amy. Rozumiem doskonale. Chcesz odnaleźć to dziecko dla siebie, prawda? Kitty jest tylko przynętą w pułapce. Kiedy już ją wyśledzisz, będziesz miała to, co chcesz.

- Robię to dla Kate i Marty'ego Weldonów! - krzyknęła.  
- Nie rozumiesz?

- „Zbyt długie poświęcenie” - zacytował spokojnie. Tak szybko zapomniałaś przesłanie z książki?

- Moje serce nie jest z kamienia. - Wyszarpnęła dłoń.  
- Tak... zapomniałam ten cytat. I ty też powinieneś zapomnieć. Nie powinieneś być tego mówić, to niegrzecznie z twojej strony.

- Nie będziesz mogła z nikim się związać, dopóki się nie wyzwolisz od tej obsesji - rzekł twardo.

- Chcę tylko, żebyś zachował dyskrecję przed wujem Gifem - upierała się. - Richardzie... - Wyciągnęła błagalnie rękę. - Richardzie, proszę nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej. I tak będę musiała wymyślić jakieś sensowne wytłumaczenie, dlaczego chcę odwiedzić wschodnie wybrzeże o tej porze roku.

Uśmiechnął się wreszcie.

- Początek marca to rzeczywiście nie jest szczyt sezonu

wakacyjnego. Ale może lepiej powiedzieć mu pół prawdy, zamiast całego kłamstwa?

- Pół prawdy? - Przyglądała mu się nieufnie.

- Wykorzystując twoją drugą obsesję - kręcenie filmów wideo. Może powiesz, że chcesz zobaczyć miejsce, gdzie stacjonował Kip, sfilmować je, żeby nie wysłać Kate i Marty'emu do Ameryki?

Natychmiast się rozpromieniła.

- Richardzie! Jesteś kochany!

- Staram się jak mogę. - Odwzajemnił uśmiech. - Ale przy tobie to ciężka praca.

Znów ruszyli równym krokiem, okrążyli ogródek od strony kuchni i znaleźli się na dziedzińcu.

- Chyba mogłabym pojechać pociągiem z Hatton - powiedziała myśląc już o planowanej wyprawie.

- Pociąg! - Stał w miejscu jak wmurowany. - Wielkie nieba, dlaczego chcesz jechać pociągiem?

- Dlatego - wyjaśniła cierpliwie - że nie mam samochodu, a dwieście mil to za daleko, żeby iść na piechotę.

- Mam pomysł - oznajmił.

- Jesteś dziś pełen dobrych pomysłów. - Roześmiała się swobodnie.

- Mówię serio. To mój najlepszy pomysł w tym tygodniu.

- No to niech mi pan go zdradzi, panie Boden.

- Ja mogę cię tam zawieźć. Mam cztery kółka.

- Masz też kamieniołom.

- A w nim bardzo kompetentnego zarządcę.

Oczy jej zabłyśły.

- Naprawdę? Naprawdę mógłbyś mnie zawieźć, Richardzie? Z powagą uderzył się w piersi.

- Naprawdę, moja mała bostonko. Mówię najprawdziwszą prawdę.

- A gdzie będziemy mieszkać? - Amy jak zawsze podeszła do sprawy praktycznie.



- Myślę, że można by wynająć pokój w hotelu.
- Dwa pokoje - poprawiła go unosząc brew.
- W porządku. Dwa pokoje.
- Na różnych piętrach.
- Do licha! Jesteś niezdolną kobietą. Czasami wystawiasz moją cierpliwość na ciężką próbę.
- Ufam ci. - Weszła na dziedziniec i obejrzała się, czy podaży za nią.
- Naprawdę mi ufasz? - spytał zaskoczony, posłusznie idąc za nią.
- Uhm.
- Przy tobie trudno by mi było być łobuzem, Amy Weldon.
- „Łobuz” to staroświeckie określenie. Lepiej brzmi „łotr” albo „drań”... a jeśli zgodzisz się na te dwa pokoje, to umowa stoi.
- Do licha, czyż nie jestem szczęściarzem?
- Do licha - powtórzyła z przesadną ironią - czyż dobrowolnie nie biorę sobie na głowę szalonego faceta?

Był piękny, niemal wiosenny poranek, kiedy Richard zjawił się w Wydale, żeby *zabrać* Amy w długą podróż do Norfolk. Tuż po siódmej drogi były stosunkowo puste. Później w ciągu dnia na trasę wyruszały ciężkie wywrotki wywożące kamień z białych kamieniołomów Derbyshire... między innymi tego, który należał do Richarda Bodena.

- Jesteś pewien, że poradzą sobie bez ciebie przez te parę dni? - upewniła się siadając obok niego w land-roverze. Przepęłniała ją nadzieja, że wycieczka odniesie zamierzony skutek i rzuci nieco światła na osobę tajemniczej Kitty.

Mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Kamieniołom nie zawali się tylko dlatego, że mnie tam nie ma. Zresztą, od dawna należał mi się urlop.

Obserwowała jego profil, kiedy land-rover wspinał się na jedno z najwyższych wzniesień wokół Wydaleń. Niesławna przełęcz Blackthorn nigdy nie przestała robić na niej wrażenia, lecz w przeciwieństwie do Johna Grahama Amy nie odczuwała lęku przed jej wysokością i majestatem. Choć tego dnia nie było mgły, wyższe szczyty okrywały kłęby chmur. Po drugiej stronie doliny mroczne wrzosowiska, teraz pociemniałe i nasiąknięte wilgocią, rozciągały się od piaskowcowego podnóża aż po północne szczyty. Widoczny w oddali Blackthorn Edge pośród odwiecznych wzgórz wyglądał jak wyrzeźbiony ręką olbrzyma.

Amy zauważyła, że Richard przez cały czas jest skupiony na drodze. Niewątpliwie należało zachować ostrożność na jezdni z trudem mieszczącej dwa pojazdy, która w dodatku po stronie Amy opadała przepaścią liczącą wiele setek stóp. Spoglądając przez okno, powiedziała:

- Nie chciałabym w tym miejscu dostać zawrotu głowy.

Roześmiał się.

- Tam dalej droga robi się trochę szersza. Jeśli chcesz, zatrzymam się w zatoczce widokowej, żebyś się mogła rozejrzeć?

- Chciałabym to sfilmować... oczywiście jeżeli mamy dość czasu.

Przejechał jeszcze jakieś pół mili i w końcu zjechał na platformę mieszcząca zaledwie pięć lub sześć samochodów.

Kiedy wysiedli na świeże powietrze, Amy ze śmiechem próbowała utrzymać kamerę, szarpana porywistym wiatrem. Richard oparł ręce na kamiennym murku, jedynej barierze dzielącej ich od ziejącej przepaści. Kilkakrotnie przytapała jego spojrzenie, kiedy przesuwała obiektywem kamery starając się jak najwierniej oddać urzekający widok.

- Ta mała rzeczka tam w dole wygląda ślicznie. - Przerwała na moment filmowanie zwracając się do niego. - Muszę się jej dokładniej przyjrzeć. Jest tam kamienny most, podobny do tego w Wydale.

- Mam w samochodzie lornetkę - zaproponował, ale Amy potrząsnęła głową.

- Nie, dzięki. - Uśmiechnęła się do niego. - Kamera ma takie same możliwości, a przy tym widzę, co nagrywam.

- No dobrze. Jak uważasz. Ty się na tym znasz lepiej.

Sfilmowała rzekę, która właściwie była szerokim, płytkim strumieniem przecinającym dolinę. Uśmiechnęła się zachwycona widokiem niewielkiego mostu dziwiąc się zarazem, że komuś chciało się go zbudować, skoro cała okolica wydawała się bezludna. Następnie znów wyregulowała obiektyw i uwieczniła na taśmie drogę, którą przebyli aż do tego miejsca.

Kiedy skierowała obiektyw na Richarda, zasłonił się ze śmiechem.

- Mam nadzieję, że ten fragment zostanie wycięty - powiedział.

- Chcę uwiecznić każdą chwilę spędzoną w Anglii. Prowadzę nawet dziennik po raz pierwszy od lat.

- Czy dlatego, że Anglia jest miejscem twojego urodzenia? - spytał łagodnie.

Wyłączyła kamerę i odjęła ją od oka.

- Zwykle nie jestem zbyt sentymentalna, ale tutaj coś mnie naszło. - Wzruszyła bezradnie ramionami. - Jakbym wróciła do domu. Wiesz, co mam na myśli?

- To chyba naturalne. Musisz mieć jakieś wspomnienia sprzed lat, kiedy byłeś dzieckiem tu, w Anglii.

- Pewnie tak. Ale nie mogę tu zostać, Richardzie. Obiecałam Kate, że wrócę. Nie mogę jej zawieść.

- Decyzja należy do ciebie.

Jego odpowiedź wcale nie dodała jej otuchy. Zadrżała,

odczuwając nagle działanie wiatru, który targał jej włosy i powodował sztywnienie palców.

- Zmarzłaś - rzekł podchodząc do niej. - Chodźmy. Wsiadaj do samochodu!

Patrzyła na niego; stał w odległości jakichś czterech stóp od niej. Wiedziała, że mógłby ją ogrzać... gdyby zechciał. Przypomniała sobie dotyk jego rąk, siłę jego ciała, kiedy obejmował ją przy pożegnaniu w wigilijny wieczór. Nagle myśl o powrocie do Ameryki, do Kate i Marty'ego, przestała ją cieszyć. Wolałaby tu zostać. Chciała, żeby Richard zmusił ją do tego. Czuła się bezbronna. Spojrzała mu w oczy z milczącym błaganem: „Daj mi jakiś powód... jakiś powód, bym z tobą została”. Ale on nie znał i nawet się nie domyślał jej uczuć. Bo czy mógł się domyślać?

Odwrocił się i odszedł do land-rovera. Przytrzymując otwarte drzwi zawołał:

- Chodź już. Mamy przed sobą długą drogę.

Posłusznie wykonała polecenie. Stojąc już przy samochodzie spytała:

- Nagle zaczęliśmy się spieszyć, panie Boden?

Spojrzał na zegarek.

- Przejechanie dwunastu mil zabrało nam dwadzieścia pięć minut. W takim tempie dotrzemy do Norfolk w przyszły piątek.

Pokazała mu język, po czym szybko wsunęła się na fotel. Roześmiał się głośno, zatrzasnął za nią drzwi, obszedł samochód i usiadł za kierownicą.

- Jadłaś śniadanie przed wyjściem z domu? - spytał.

- Tylko grzanekę. Lizzie się wściekała. Kazała mi porządnie się najeść, ale byłam na to zbyt przejęta wyjazdem.

- Zatrzymamy się gdzieś koło Grantham.

Skrzywiła się.

- Jeżeli wcześniej nie padnę. Umieram z głodu.

Włączył silnik i ostrożnie wycofał samochód na drogę.

Ty zdecyduj. Powiedz, gdzie chcesz, żebyśmy się zatrzymali - odezwał się, kiedy przejeżdżali przez płaskie tereny Lincolnshire.

Amy odnosiła wrażenie, że krajobraz składa się głównie z nieba i otwartej przestrzeni.

Gryząc jabłko wpatrywała się w mapę rozłożoną na kolanie; próbowała się zorientować, gdzie dokładnie się znajdują.

Richard stuknął palcem w mapę.

- Szukaj tutaj.

- Umiem czytać mapę. - Rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie. - Nie jesteśmy jeszcze tak blisko morza. Chcę dojechać jak najbliżej miejsca, gdzie stacjonował oddział Kipa. Muszę wiedzieć, czy są tam jakieś kluby albo coś w tym rodzaju, gdzie mógł poznać Kitty. Bardzo tu ładnie, na tych otwartych przestrzeniach... ale nie wydaje mi się, żeby młody amerykański żołnierz miał tu na co polować.

- Rzeczywiście, chyba że polował na ptactwo - zgodził się z nią Richard. - Rozumiem, co masz na myśli.

- Moglibyśmy objechać ten kawałek lądu wokół wody?

- Uniosła mapę, żeby mógł na nią rzucić okiem.

- To zatoka Wash. Nie ma tam zbyt wielu dróg.

- Wspaniale! - mruknęła ze złością.

Dochodziło południe.

- Musimy sobie znaleźć bazę - stwierdził Richard. - Myślę, że powinniśmy się zatrzymać w hotelu i stamtąd robić wypadki na myśliwskie tereny Kipa.

- Dobrze. Zróbmy tak.

Jednakże znalezienie kwatery okazało się wcale nie takie łatwe, jak sobie wyobrażali. Wszystkie hotele były pełne.

- Targi handlowe - wyjaśnił jej Richard. - Nie mają tu o tej porze roku turystów, więc co roku w pierwszym tygodniu marca organizują targi handlowe.

- Targi handlowe?

- Coś w rodzaju zjazdu handlowców z różnych branż. Kupowanie. Sprzedawanie. Konferencje. Przyjęcia.

- Więc co teraz zrobimy? Pojedziemy dalej?

Zapiął pas.

- W tym ostatnim hotelu powiedzieli, że moglibyśmy wynająć przyczepę kempingową albo domek plażowy w West Norfolk.

- Domek plażowy? To brzmi całkiem miło. Mamy takie w Nowej Anglii, zbudowane z drewna, na palach wystających z piasku. Nie wiedziałam, że u was też są takie.

Richard uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Obawiam się, że myślimy o dwóch różnych rzeczach. Po powodziach, jakie nawiedziły ten region w latach pięćdziesiątych, wątpię, by ktokolwiek przy zdrowych zmysłach budował drewniane domki na angielskich plażach.

Siedzieli na zatłoczonym parkingu ostatniego sprawdzanego hotelu i studiowali mapę.

- Tutaj. - Wskazał wąską dróżkę odchodzącą od głównej szosy. - W tym miejscu według nich powinniśmy szukać. To mała osada na uboczu.

- Corrie Creek! - Spojrzała na niego rozpromieniona.

- Oryginalna nazwa. Podoba mi się.

- Nie masz nic przeciwko zamieszkaniu w takim domku?

- Nagle spoważniał.

- Ufam ci - przypomniała - ...jeśli to masz na myśli. Nie zacznę nagle udawać nieśmiałego dziewczątka tylko dlatego, że musimy korzystać z jednej łazienki.

- Jesteś zabawna - stwierdził z uśmiechem.

- Chyba tak. - Złożywszy mapę, zapytała niewinnie: - No więc, na co czekamy, panie Boden?

Amy doszła do wniosku, że domki są nie tylko znacznie łatwiejsze do wynajęcia niż pokoje hotelowe, ale też znacznie zabawniejsze.

Zajrzawszy do wszystkich po kolei szafek w małej kuchence domku numer trzy, zawołała:

- Richardzie, potrzebujemy jakiegoś jedzenia. Tu absolutnie nic nie ma.

Słyszała, jak schodzi po schodach. Stojąc w progu spytał:

- A czego się spodziewałaś?

Wzruszyła ramionami.

- Chyba niczego. Stwierdzam jedynie, że powinienes znaleźć jakiś sklep.

- Ja? - Uniósł brwi i westchnął.

- To ty masz cztery kółka. Nie pamiętasz?

- A ty nie masz prawa jazdy?

Nagle tracąc zainteresowanie szafkami wychyliła się przez kuchenny blat.

- Naprawdę byś mi pozwolił prowadzić miłość twojego życia?

- Zakładam, że potrafisz.

i - Jasne! Dużo jeździłam w Bostonie. Pamiętałam też, żeby przyjeżdżając tu zabrać ze sobą międzynarodowe prawo jazdy.

- Więc możesz brać land-rovera kiedy tylko zechcesz.

- Położył kluczyki na blacie.

- Będiesz mi musiał pokazać, jak się go prowadzi. Możesz to zrobić dziś po południu.

- Czy to aluzja, że teraz mam sam wyruszyć na poszukiwanie supermarketu?

- Supermarketu tu nie znajdziesz, ale możesz zrobić zakupy gdzieś indziej, a ja w tym czasie nastawię wodę na herbatę.

- Widzę, że dla siebie wybrałaś prostsze zajęcie. - Z westchnieniem wziął do ręki kluczyki. - Dobrze. Niech ci będzie.

- Jesteś prawdziwym mężczyzną wyzwolonym! - Posłała mu kpiący uśmiezek.

Po szybkim lunchu wybrali się do miasta, przez które wcześniej przejeżdżali. Richard powiedział, że chciałby się



rozejrzeć po księgarniach, więc ustalili, że spotkają się później na parkingu. Amy znalazła miejscową bibliotekę z archiwum, gdzie zasiadła do przeglądania mikrofilmów; szukała wiadomości o wypadku Kipa.

Nie musiała długo szukać. Doniesienia o wypadnięciu do rzeki szesnastotonowego transportera i śmierci amerykańskich żołnierzy ukazały się na pierwszych stronach. Czytając stare gazety Amy przeżywała jeszcze raz od nowa koszmar, jaki stał się udziałem Kipa. Uświadomiła sobie całą grozę tamtego wydarzenia. Robiąc odbitki niektórych fragmentów, czuła się okropnie. Zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej zostawić tę sprawę w spokoju. Przypomniała sobie jednak gorące prośby Kate o znalezienie Kitty i to jej kazało dalej prowadzić poszukiwania. Nie mogła wysledzić tej dziewczyny nie rozgrzebując przy tym bolesnych wspomnień.

Przebiegając wzrokiem po ekranie odkryła, że gazeta przeprowadzała wywiady z wieloma ludźmi, szczególnie tymi, którzy brali udział w akcji ratunkowej na miejscu tragedii. Byli wśród nich także okoliczni mieszkańcy, którzy stawili się na pomoc - farmerzy z traktorami, mechanicy z pobliskiego zakładu z wielkim dźwigiem, rybacy znający dobrze prądy bystrej rzeki, wszyscy, którzy pomagali znaleźć miejsce, gdzie woda wyrzuciła na brzeg nieszczęsnych żołnierzy.

Czytając wszystko, co wydrukowano, Amy czuła, jak stopniowo opadają z niej emocje. Kiedy skończyła, siedząc z głową opartą na dłoniach uzmysłowiła sobie, że wreszcie pogodziła się ze śmiercią Kipa. W ciszy opustoszałej czytelnicy zrozumiała, że tutaj oderwała się w końcu od prześladowającego ją ducha. Nie płakała, bo wszystkie łzy zostały przelane przed dwoma laty. Wytarty frazes okazał się prawdą - życie szło naprzód.

Wiedziała z całą pewnością, że nigdy nie zapomni Kipa. Ale ich związek zawsze był jednostronny - Kip kochał tylko Kitty! Amy wiedziała, że nigdy nie miała szansy zaistnieć w jego życiu jako ktoś inny niż młodsza siostra.

Zwróciła mikrofilm zabierając ze sobą kopie fragmentów związanych z wypadkiem. Kiedy spotkała się z Richardem na parkingu, była już zupełnie spokojna. Delikatnie wyjął jej z ręki plik papierów.

- Odłożę to na tylne siedzenie. Wyglądasz tak, jakbyś potrzebowała filiżanki herbaty.

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Muszę się skontaktować z wieloma osobami. - Miała świadomość, że zachowuje się inaczej niż zwykle; była cicha i jakby przygaszona.

- Zgoda, ale nie dzisiaj. Mogą poczekać, aż się dobrze wypisz.

Było miłe, że ktoś się nią opiekował, posadził ją przy stoliku w zacisznej kawiarence i zamówił dzbanek herbaty i grzankę z masłem nawet nie pytając jej o zdanie. Zwykle w takiej sytuacji chwyciła menu i wczytywała się w nie zachłannie. Dziś jednak potrzebowała wsparcia i opieki.

Gdy podano herbatę, napełnił jej filiżankę i zapytał:

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Dobrze się czuła w jego towarzystwie. Niczego od niej nie wymagał, nie wywierał żadnego nacisku. Nie знаła dotąd takiego mężczyzny. Spojrzała mu w oczy ponad porcelanową srebrną zastawą, ponad śnieżną bielą obrusa i uśmiech sam zjawił się na jej ustach. Richard miał ściągnięte czoło, co nadawało spojrzeniu jego ciemnych oczu wyraz zarazem czułości i zdecydowania. Wiedziała, że martwi się o nią.

- Nie przejmuj się tak bardzo - poprosiła, pochylając się nad stolikiem i ujmując filiżankę w obie dłonie.

- Niepotrzebnie się wdajesz w całą tę sprawę - stwierdził. W jego głosie przebijała niechęć do Kate Weldon, ale też współczucie i próba zrozumienia, dlaczego Amy podjęła się takiego zadania dla tej Amerykanki, która ją adoptowała.

Trzymał zaciśnięte dłonie na stoliku. Amy wypita łyk

gorącej herbaty, a potem odstawiła filiżankę na spodek. Dotknęła jego dłoni.

- Kate zajęła miejsce mojej matki - wyjaśniła. - Ona i Marty przywrócili mnie do życia, kiedy runął świat mojego dzieciństwa. Nie rozumiesz tego? Muszę to dla nich zrobić, bo ich tu nie ma i nie mogą sami się tym zająć. Zrobienie tego, co ja zrobiłam dzisiaj, byłoby dla Kate i Marty'ego zbyt bolesne. W końcu Kip był ich jedynym synem. A dla mnie był po prostu przybranym bratem...

Zacisnął zęby.

- Dobrze wiesz, że to nieprawda. Byłaś w nim zakochana. Nie powiesz mi, że łatwo ci przyszło czytać te straszne rzeczy o jego śmierci.

- Nie. - Na moment opuściła wzrok na stolik, ale zaraz znów spojrzała mu w oczy. - Ale już nie jestem w nim zakochana, Richardzie - wyznała spokojnie. Cofnęła ręce, podniosła do ust grzanekę. - Zjedz coś - poradziła - To może być jedyny dzisiejszy posiłek. Gotowanie nie jest moją najmocniejszą stroną.

- Później pójdziemy coś zjeść - oznajmił sięgając po swoją filiżankę.

- Tak? - Znów zrobiło jej się miło, że ktoś się o nią troszczy. Uświadomiła sobie, że to dla niej nowe odczucie. Uważała się za osobę całkowicie niezależną, lubiącą samodzielnie organizować sobie życie. Nagle przestało ją denerwować, że ktoś inny podejmuje za nią decyzje, a ona się na to zgadza. A najbardziej niepokojący wydawał się fakt, że ta sytuacja zaczyna jej się podobać.

W londyńskim mieszkaniu oddalonym za-  
ledwie dziesięć minut piechotą od siedziby „Diary” Catherine  
Blake nabrała ostatnią łyżeczkę grysikowo-morelowej papki  
z kolorowego talerzyka i powiedziała:

- Otwórz szeroko buzię. Teraz za kotka.
- Totka! - Mała uderzyła rączkami o plastikowy blat  
dziecięcego fotelika, ale posłusznie otworzyła buzię ukazując  
rządek perłowych ząbków.
- Grzeczna dziewczynka! Popatrz, jaki czysty talerzyk!
- Mam-mam-mam.

Rozległ się dzwonek u drzwi; Catherine podniosła wzrok znad stołu.

- Kto do diabła...?

- Jabła - powtórzyło dziecko. - Jabła. Mam-mam-mam.

- A ty, moja panno, robisz się za duża na takie gaworzenie - powiedziała Catherine, wstając od kuchennego stołu, by otworzyć drzwi. Zerknąwszy przez wizjer, mruknęła zniechęcona:

- No nie!

Dzwonek znów się odezwał, tym razem niecierpliwie. Przez te kilka dni w Hawkwood Arms w Derbyshire nie zauważyła, by stojącego teraz za drzwiami człowieka cechowała szczególna tolerancja. Otworzyła drzwi. Miał przynajmniej tyle przyzwoitości, że udawał skrucę.

- Cześć! - Wyglądał jak zwykle niechlujnie, ale koszula, choć zmięta, była nieskazitelnie czysta.

Catherine nie mogła zrozumieć, dlaczego uporczywie nosi tę okropną kraciastą marynarkę. Może miał w tym jakiś ukryty cel? A może po prostu nie chciało mu się szukać w szafie czegoś innego... jeżeli w ogóle posiadał coś tak przyziemnego jak szafa. Dziś marynarka prezentowała się jeszcze gorzej niż zwykle, ponieważ na ramionach miał wyjątkowo paskudny plecak.

- Witam. Jak mnie pan znalazł?

- Gdybym powiedział, że dzięki książce telefonicznej, i tak by mi pani nie uwierzyła.

Mogłaby przysiąc, że uwodzicielski szkocki akcent w jego głosie został uruchomiony specjalnie na jej użytek.

Pokręciła głową.

- Rzeczywiście. Nie ma mnie w książce telefonicznej.

- Nie chciałbym nikomu sprawiać kłopotów. - Spojrzał na swoje buty, a potem znów na nią.

To spojrzenie skruszonego niegrzecznego chłopca też nie wywarło zamierzonego efektu. Catherine miała się na baczności we wszelkich kontaktach z mężczyznami.

- Był pan w biurze - stwierdziła. - Założę się, że rozmawiał pan z tą nową dziewczyną. Zapewne wykorzystał pan swoje wdzięki, żeby się nad panem zlitowała.

- Moje wdzięki okazały się tak skuteczne, że zaproponowała mi nawet filiżankę kawy przed podaniem pani adresu. - Uśmiechnął się przeciągle. Mark Powell z niczym się nie spieszył... nawet z uśmiechem.

- Niech pan już lepiej wejdzie do środka.

- To miło z pani strony. - Przesząpił próg, kiedy odsunęła się na bok robiąc mu miejsce.

- Nie lubię takich mądrali. - Zamknęła drzwi i zasunęła łańcuch.

- Ja też nie. To bardzo mądrze unika pani mądrali.

| Miała za sobą męczący dzień.

•f - Niech pan posłucha - zaczęła. - Chcę się dziś wcześniej położyć, więc proszę wejść, wyjaśnić cel swojej wizyty i wyjść, zgoda?

Z kuchni dobiegło głośne:

- Mim-mii-mii.

Mina gościa wyrażała zaskoczenie.

- Jestem uczulony na koty. Dostaję wysypki.

- To nie kot, głupcze. To dziecko.

- O Boże! Chyba nie jesteś zamężna ani nic w tym rodzaju?

- A co? Czyżbyś miał nieczyste intencje?

- Chryste! Nie znoszę kobiet z poczuciem humoru.

- Pewnie dlatego, że sam go nie masz. - Odwróciwszy się na pięcie, pomaszerowała do kuchni, gdzie uwolniła dziecko z wysokiego fotelika, biorąc je na ręce. - To jest Kimberley... w skrócie Kim - przedstawiła.

Podszedł bliżej, spojrzął dziecku w oczy i ujmując drobną rączkę rzekł poważnie:

- Jestem Mark, Kimberley... a twoja mama niezbyt mnie lubi, chociaż przyniosłem jej kilka bardzo ładnych obrazków.

- Przecież „Diary” nie zamawiało u ciebie ostatnio żadnych

zdjęć - zdziwiła się. - Chyba że... no nie, to chyba nie znowu ta Tracy? Ona chyba nie...?

- Nie, nie, nie - zapewnił kręcąc głową. - Przestań winić za wszystko tę nową. Nie pamiętasz? W Derbyshire obiecałem ci, że dostaniesz kilka zdjęć Wydale Hall.

- Rzeczywiście. Ale myślałam, że tylko starasz się być uprzejmy.

- Nigdy nie bywam uprzejmy.

- Nie chciałam tego powiedzieć, ale całkowicie się i z tobą zgadzam. To było wyjątkowo nieuprzejme, że zrobiłeś się taki gburowaty i niekomunikatywny, kiedy cię zabrałam do Wydale. - Mocniej objęła dziecko. - Słuchaj, może przejdziemy do salonu. Mała zaczyna ciążyć, jakby ważyła tonę, kiedy się ją trzyma dłużej niż parę minut.

Zaprowadziła go do schludnego, estetycznie urządzonego pokoju.

- Ładnie tu sobie mieszkasz - pochwalił, zsuwając plecak z ramion i opuszczając na podłogę.

- Zdejmij marynarkę - zaproponowała bardziej dlatego, że nie mogła znieść widoku jaskrawej kratki, niż by zachęcić go do pozostania.

- Dzięki. Ciepło tu.

- Utrzymuję taką temperaturę ze względu na dziecko.

- Jest śliczną dziewczynką.

- Ja też tak uważam.

- Ile ma lat?

- Niedawno obchodziła drugie urodziny.

- A tatuś?

Nie wyczuła w pytaniu żadnej dwuznaczności.

- Nie ma tatusia. Umarł.

- Przykro mi.

- Mnie też. - Uśmiechnęła się smutno.

Usiadła z dzieckiem na kolanach. Mark kłęknął na podłodze

i otworzył plecak; sięgnąwszy do środka, wyjął plik fotografii wielkości dziesięć na osiem cali.

- Przydadzą ci się do artykułu o Wydale Hall? - spytał.  
- Od razu mówię, że nie chcę zapłaty. Uznaj to za przyjacielski gest z mojej strony i czuj się zaszczycona... bo bardzo rzadko wykonuję przyjacielskie gesty.

Postawiwszy małą na podłodze, rozłożyła zdjęcia obok siebie na kanapie. Dziecko stało z palcem w buzi, obserwując uważnie Marka Powella.

Catherine przejrzała zdjęcia. Były bardzo dobre. O wiele lepsze niż te, które sama zrobiła będąc w Derbyshire. Spojrzała na Marka nie kryjąc uśmiechu.

- Są świetne. Szczególnie podoba mi się to z ruinami... i te z zimowego ogrodu. Stary pan Weldon oprowadził mnie po całej posiadłości podczas drugiego dnia mojego pobytu. To musiało być kiedyś przepiękne miejsce.

- Owszem - zgodził się z nią bez namysłu. - Teraz jednak potrzeba mnóstwo pieniędzy, żeby odzyskało dawną świetność.

- Naprawdę powinnam ci zapłacić za te zdjęcia...

- Nie - odmówił stanowczo. - Są twoje.

- Ale...

- Nie brakuje mi gotówki, Catherine.

- Rozumiem, ale... och, Mark, jesteś taki młody. Musisz zarabiać na życie tak jak my wszyscy. Przez cały czas, kiedy korzystaliśmy z twoich zbiorów fotograficznych, wyobrażałam sobie, że jesteś w co najmniej średnim wieku - wyznała ze śmiechem. - Spotkanie z tobą w Derbyshire było dla mnie prawdziwym szokiem.

- Więc może powinnaś napisać o mnie artykuł do swojego czasopisma - zasugerował.

- Oj, nie wódź mnie na pokuszenie. Byłby ciekawy numer - czytelnicy chętnie by się dowiedzieli, jak osiągnęłaś to wszystko, co masz, w tak krótkim czasie.



Rysy mu nieco stężały.

- To by się zmieściło w dwóch zdaniach. Pierwsze - musiałem się opiekować matką, drugie - zrezygnowałem ze szkoły w wieku szesnastu lat, zostając bez kwalifikacji, ale za to z pasją fotografowania i nauczycielem, który dostrzegał moje możliwości.

Mała Kim straciła zainteresowanie rozmową; Catherine patrzyła, jak córeczka drepcze do wiklinowego koszyka z zabawkami w rogu pokoju, siada przy nim i zaczyna rozrzucać wszystko wokół siebie.

- Pozwolisz mi przeprowadzić ze sobą wywiad? - Catherine była szczerze zaintrygowana.

Wzruszył ramionami.

- Może. Kiedyś.

- Mówię poważnie, Mark. To fascynująca historia.

- Już powiedziałem, może kiedyś. W tej chwili pewni ludzie mogliby się poczuć dotknięci moimi wyznaniem.

- „Diary” nie ma zwyczaju wyciągania szczegółów z życia osobistego - uspokoiła go. - To ty byś decydował, co ma się ukazać w druku.

- A może to ja chciałbym kogoś dotknąć, mówiąc prawdę? Co „Diary” na to? - spytał trochę zaczepnie.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jesteś dziwnym człowiekiem. Nigdy nie wiem, jak traktować to, co mówisz.

- Ładnie powiedziane... bez dawania do zrozumienia, że wszyscy faceci to dranie. Ale i tak podejrzewam, że uważasz mnie za wyjątkowego egoistę. Jak zresztą większość kobiet. Jeszcze nie spotkałem takiej, która by mnie rozumiała... poza moją matką, oczywiście.

Catherine udało się trochę rozluźnić napięte nerwy. Oparła głowę na poduszkach kanapy i spytała:

- Dlaczego chciałeś się dostać do Wydawcy? Odniosłam wrażenie, że bardzo ci na tym zależało. Nie mogłeś po prostu

zatelefonować i poprosić o pozwolenie na zrobienie kilku zdjęć? Albo choćby zapukać do drzwi?

- Lubię bardziej wyszukane metody.
- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.
- Powinnaś pracować dla MI5, a nie dla „Diary” - stwierdził. - Założę się, że terroryzuje pani każdego ze swych rozmówców, pani Blake.

- Taki już mój urok osobisty - rzuciła cierpko.

Zerknął na dziecko, bawiące się pogodnie w kącie, i powiedział:

- Wiesz, spodobałaś mi się tam, w Derbyshire.

- Ale już ci się nie podobam!

- Nie wyobrażam sobie dzieci w moim życiu. Gdybym miał wobec ciebie jakieś zamiary, musiałbym zacząć okazywać ojcowskie uczucia małej Kimberley, a na to mnie nie stać.

- Nie wiem, czy to coś pomoże, ale jesteś dla mnie za młody.

- Nie można liczyć wieku w latach... a tu... - Klepnął się w czoło. - ... jestem starszy, niż ci się zdaje. Ale dosyć o mnie. Powiedz mi, jak sobie radzisz z takim maluchem? Przecież jesteś pracującą dziewczyną.

- „Diary” ma własny żłobek. Mam też oddaną starszą siostrę, która tu ze mną mieszka.

- Aha! To znaczy, że w każdej chwili ktoś nam może przeszkodzić? - Rozejrzał się po pokoju z zainteresowaniem.

- Nie może nam przeszkodzić, skoro nic nie robimy - powiedziała ze śmiechem.

- Ależ robimy. Rozmawiamy. Poznajemy się nawzajem. Właśnie miałem ci zadać bardzo ważne pytanie.

- Przykro mi! Większość wieczorów mam zajętych. Gdybym jeszcze gdzieś wychodziła, nie miałabym czasu dla dziecka.

- Skąd wiedziałaś, że mam zamiar gdzieś cię zaprosić?

- W mojej pracy z czasem zna się odpowiedzi, nim padnie pytanie. Łatwo przewidzieć zachowania innych ludzi.

- Przyjedź w któryś weekend do Szkocji, żeby poznać moją matkę. Możemy zabrać ze sobą małą Kim. Mama nie jest taka jak ja, ona dosłownie uwielbia dzieci.

- Taak?

- Zaskoczyłem cię, co? - Po raz pierwszy usłyszała jego śmiech, szczerzy i wyrażający autentyczne rozbawienie. Spodobał jej się.

- Nie znasz mnie.

- Oddałaś mi przysługę, więc mam wobec ciebie zobowiązanie. Zamiast oświadczyń, proponuję równie atrakcyjny weekend z moją matką.

- Doprawdy?

- Dałaś mi przepustkę do Wydale. Mogę się tam teraz znowu wybrać. Gospodyni zrobiła mi cały dzbanek wyjątkowo obrzydliwej herbaty.

Przyjrzała mu się z ukosa.

- Jaki ty właściwie masz tam interes?

- Och! To dłuższa historia. Jeśli będziesz się mnie trzymać, to może ją kiedyś poznasz... gdy ci udzielę tego wywiadu.

- Nie będę się ciebie trzymać, Mark - powiedziała ostro.

- Mam dwadzieścia sześć lat, jestem samotną matką i nie „trzymam się” mężczyzn.

- Ja mam dwadzieścia dwa. Zanotuj to sobie do tego wywiadu. Dwadzieścia dwa lata i już jestem milionerem... no, prawie.

Catherine uniosła brwi.

- Mimo to nie będę się ciebie trzymać... choćbyś nawet był multimilionerem. Powinieneś czarować młodsze dziewczyny. Takie jak ta w Wydale. Jest ci bliższa wiekiem niż ja.

- Amy Weldon! Boże uchronij!

- Mówisz tak, jakby ci nie przypadła do gustu.

- Jest w porządku.

- A co ja powiedziałam? - Catherine zmarszczyła czoło.

- Wydawała mi się miła.

- Ledwie ją widziałaś. - Pokręcił głową mrużąc oczy.
- Ona cię interesuje? - spytał nagle.
- Wcale - odparła szybko. Wiedziała, że za szybko. Przeniosła wzrok na dziecko bawiące się na podłodze.
- A jednak. Przestraszyłem cię, prawda?
- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. - Poderwała się z kanapy.
- Specjalnie o niej wspomniałaś. Czy rodzina Weldonów interesuje cię jeszcze z jakichś innych względów... poza zbieraniem materiału do czasopisma?
- Panie Powell, muszę położyć Kim do łóżka. Miałyśmy męczący dzień.
- Dobrze. Pojąłem aluzję. - Podniósł się, zabrał plecak i marynarkę.
- Słuchaj... nie chciałam być nieuprzejma. To miłe z twojej strony, że przyniosłeś mi te zdjęcia...
- Wybierasz się znowu do Wydale? - Zadał pytanie z tak zaskakującą bezpośredniością, że przyszło jej do głowy, iż zna prawdziwy powód jej wyprawy. Oblała się rumieńcem.
- Pomyślałam, że zabiorę przygotowany materiał do Derbyshire. Żeby uzyskać zgodę Weldona na publikację.
- Czy takich spraw zwykle nie załatwia się pocztą?
- Czasami - przyznała, czując się coraz mniej pewnie. Uczepił się jej jak rzep psiego ogona. Był przekonany, że interesowała się starym domostwem w Derbyshire nie tylko ze względów zawodowych.
- Chodzi o tę dziewczynę, prawda? Nie mogłaś się powstrzymać, żeby o niej nie wspomnieć. Zastanawiam się tylko, dlaczego?
- Catherine z powrotem usiadła; położyła zaciśnięte dłonie na kolanach. Mark podszedł i uklęknął przed nią na podłodze. Odrzucił na bok marynarkę i plecak, po czym przysiadł na piętach z uwagą wpatrując się jej w oczy.
- Hej, co się dzieje? Widzę, że ona cię niepokoi - rzekł łagodnie.

- Amy Weldon dała ogłoszenie w kilku gazetach, żeby mnie odnaleźć - odezwała się wreszcie, wolno i wyraźnie wymawiając każde słowo.

- Dała ogłoszenie? - powtórzył z niedowierzaniem.

Catherine potwierdziła skinieniem głowy.

- Dlatego zbierałam materiały do artykułu o Wydale. Chciałam się dowiedzieć, o co jej chodzi, ale nie dowiedziałam się niczego.

- Chyba pominęłaś coś ważnego, bo nie rozumiem.

- Tak. - Patrząc na niego znów pokiwała głową. - To prawda. Ale to długa historia.

- Mam mnóstwo czasu - oświadczył podnosząc się z podłogi i siadając obok niej na kanapie. - Mnóstwo czasu... a ty najwyraźniej potrzebujesz kogoś, z kim mogłabyś o tym porozmawiać.

Amy lubiła swoją sypialnię, której okna wychodziły na osuszone moczary i skrawek kamienistej plaży zdradzającej obecność morza. Richard specjalnie wybrał dla siebie drugą sypialnię, tę z marnym widokiem, nie licząc ogołoczonego zimą ogrodu należącego do numeru trzy oraz sąsiednich ogrodów - spod numerów pierwszego, piątego, siódmego i dziewiątego.

Kiedy pozmywali już naczynia po śniadaniu w skąpo wyposażonej kuchni, spytał:

- O której masz pierwsze spotkanie? To z... kim on

właściwe jest? Szefem straży pożarnej wezwanej do wypadku Kipa Weldona?

- Tak - potwierdziła. - Nazywa się Rupert Bonney. Ale to dopiero o drugiej po południu, a potem, o wpół do czwartej, z tą emerytowaną nauczycielką mieszkającą nieopodal, która przybiegła na pomoc słysząc odgłos kraksy.

- A wieczorem?

Odwrociła się od kuchennego blatu; zmarszczyła czoło.

- Z dziewczyną pracującą w barze... a właściwie w pubie, w którym Kip często bywał z chłopakami. W artykułach prasowych wymieniano ją jako „przypadkowego obserwatora”... choć sama nie wiem, co to może oznaczać. Trudno się spodziewać „przypadkowych obserwatorów” na rozmokłej bocznej drodze w środku zimnej nocy, nie sądzisz?

- Rzeczywiście to dziwne. - Richard przerzucił przez ramię wilgotną ścierkę, którą wycierał naczynia. - To już wszystko? Skończyliśmy? Nigdy bym nie przypuszczał, że po jajkach na miękko i grzankach może być tyle zmywania.

- Gotowe. - Ściągnęła z niego ścierkę i powiesiła ją przy oknie na haczyku zamocowanym tam specjalnie do tego celu.

- W takim razie jak chcesz spędzić rano? - Oparł się o szafki zakładając ręce na piersi.

- Chcę pospacerować po angielskiej plaży. - Amy ruszyła do salonu.

- Świetny pomysł. Ja też to uwielbiam... choć już dawno nie byłem nad morzem. Zwłaszcza podczas takiej ostrej marcowej wichury jak dzisiaj.

- Przeszkadza ci, że jest zimno? - Zawahała się stojąc w drzwiach, na wpół odwrócona ku niemu.

- Mnie? - Zaśmiał się drwiąco. - Przecież pracuję pod gołym niebem w najmroźniejsze dni w najmroczniejszych zakamarkach Derbyshire. Amy, czuję się tu jak w niebie, kiedy pomyślę o duszącym wapiennym pyłe i wywrotkach grzęznących w błocie przy każdej pogodzie. Tu nie muszę

zatykać uszu dla ochrony przed hukiem wystrzałów, nie muszą nosić tego ciężkiego pomarańczowego kasku, ani okularów...

- Już dobrze! - przerwała mu ze śmiechem. - Dotarło do mnie, co trzeba, będziemy spacerować po angielskiej plaży cały ranek, zgoda? Choćby po to, żebyś mógł zaczerpnąć do płuc trochę świeżego powietrza... stary, ciężko pracujący biedaku!

- Tylko nie stary - mruknął. - Przekonasz się, że nie potrzebuję jeszcze...

Wbiegła lekko na górę po żakiet i chustkę; słyszała, jak Richard otwiera szafę w swoim pokoju. Gdy była gotowa, zajrzała do niego przez uchylone drzwi.

- Może być?

Uśmiechnął się do niej zaciągając suwak skórzanej kurtki.

- Co byś zrobiła bez tej żółtej chustki? - Potrząsnął głową. Uśmiechnął się z rozbawieniem; w kącikach jego oczu ukazały się drobne zmarszczki. - Podoba mi się.

- Lubię żółty kolor. - Wzruszyła ramionami z lekkim zniecierpliwieniem. - Pospiesz się, ślamazaro. - Sięgnęła do kieszeni po rękawiczki.

- Nie żółte? - zdziwił się przechodząc do wyjścia; kiedy znaleźli się na zewnątrz, mocno zatrzęsął drzwiami.

- Żółte rękawiczki byłyby już lekką przesadą, nie sądzisz? - Włożyła je na ręce schodząc po schodach. - Lizzie zrobiła je dla mnie na drutach. - Wyciągnęła przed siebie ręce dłońmi do dołu. - Czarne. To bardzo wygodny kolor... tak powiedziała. Ale kazałam jej wyszyć na wierzchu te małe pomarańczowe kwiatki, żeby je trochę ożywić. Podobają ci się?

- Wszystko mi się na tobie podoba - odrzekł lekko.

- Nie zaczynaj - ostrzegła. - Mamy tu misję do wypełnienia. Nie życzę sobie żadnych umizgów... tak nawiasem mówiąc, to kolejne powiedzenie Lizzie Abercrombie. Umizgi... podoba mi się to słowo, a tobie?



- Prowadziłem surowe życie, nie mam pojęcia, na czym polegają umizgi - powiedział zaczepnie.

Kiedy ruszyli w stronę plaży, uderzył w nich ostry podmuch wiatru. Amy z trudem chwytała oddech wdrapując się na strome kamieniste wzniesienie. Wygodna droga ustąpiła miejsca połączeniu ostrej nadmorskiej trawy i wyboistej, pooranej bruzdami ziemi. Nim Amy stanęła na szczycie, potargane wiatrem włosy dosłownie oblepiły jej twarz.

- Niech to licha. - Odwróciła się do niego ze śmiechem.

- Powinnaś była związać włosy. Nie mógłbyś mi przypadkiem pożyczyć krawata albo czegoś w tym rodzaju?

- Jestem na wakacjach - przypomniał. - A na wakacjach z zasady nie noszę krawata.

- No to chyba będę się musiała przyzwyczaić do włosów w oczach. - Odgarnęła niesforne kosmyki przytrzymując je mocno na karku i spojrzała na morze. Plaża po drugiej stronie kamienistego wzniesienia najeżona była rzędami drewnianych pali. - Te umocnienia wyglądają dość groźnie.

- Wskazała na pale.

- Nie możesz cały czas chodzić z rękami na karku.

- Sięgnął do głębokiej kieszeni kurtki i wyjął stamtąd postrzępioną taśmę mierniczą. - Mam! Może tym da się związać włosy? Używałem tego do mierzenia Gabriela.

- Znakomicie, Richardzie. - Wyciągnęła rękę po taśmę; wiatr znowu rozwiązał jej włosy. Zachwiała się na nogach omal nie tracąc równowagi. - Psiakość! Ale wichura! - Pisnęła.

Roześmiał się zbiegając za nią nieco niżej w kierunku plaży.

- Przytrzymaj sobie włosy - polecił, kiedy stanęli znowu twarzą w twarz. - Przytrzymaj, a ja ci je zwiążę.

- Świetnie! - Ziarenka piasku wydmuchiwane przez wiatr spomiędzy kamieni kłuły ją w oczy; miała świadomość, że policzki jej płoną, a lekko zezując dostrzegła mocno zaczerwieniony czubek swego nosa. - Jezu! Muszę przedstawiać sobą niezły widok.

- Całkiem miły - rzekł miękko tuż przy jej uchu, odwracając ją plecami do siebie i związując jej włosy taśmą.

Dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy poczuła dotyk jego palców na szyi. Jak dobrze byłoby oprzeć się o niego, wtulić w ramiona tego łagodnego olbrzyma. I zapomnieć o Kitty i Kipie... o obietnicy złożonej Kate Weldon. Tylko że wcale nie tak łatwo byłoby jej pogodzić się z własnym sumieniem. Nie należała do osób łamiących dane słowo.

Z najwyższym trudem zmusiła się do opanowania, dając odpór tęsknotom, jakie Richard w niej wywalał, i kiedy skończył wiązać kokardę z taśmy, zwróciła się do niego z ożywieniem:

- Dzięki za przysługę, ale nie za komplement. Miły widok, myślałby kto. Richardzie, ta wycieczka nie powinna być wstępem do romansu.

- Rozumiem to doskonale - powiedział głosem tak poważnym, jakiego jeszcze u niego nie słyszała.

- Pozwała pan sobie na żarty, panie Boden. - Pokręciwszy karcąco głową, odeszła w stronę morza rozbijającego się o brzeg w wielkie pióropusze spienionej wody.

Nie poszedł za nią; kiedy się obejrzała, dostrzegła, że trzymając przy oczach lornetkę obserwuje wzburzony ocean.

- Hej! Mogę popatrzeć? - zawołała.

Wyciągnął ku niej lornetkę.

- Proszę bardzo.

Przybiegła do niego z powrotem.

- Na co patrzyłeś?

- Na drugą stronę zatoki Wash.

- Ta wielka połać wody to Wash? Nie wiedziałam.

Wskazał na zachód.

- Za wodą po tamtej stronie jest Lincolnshire. Można we mgle dostrzec zarysy budynków na brzegu.

Podniosła do oczu lornetkę, wyregulowała ostrość.

- Rzeczywiście. Nie przypuszczałam, że tam jest cokolwiek poza wodą.

- Patrząc prosto widzisz jedynie wodę. - Kładąc jej ręce na ramionach przesunął ją nieco w prawo. - Spójrz jeszcze raz. Widać łodzie... Przy takiej aurze nie chciałbym się tam znaleźć.

- Rzeczywiście. Wszędzie tylko woda. I chmury burzowe.  
- Z westchnieniem oddała mu lornetkę. - Chodźmy. Jest za zimno, żeby stać w miejscu.

- Och, pani - zakpił. - Nie nawykłaś do czegoś takiego... do okropnej angielskiej marcowej pogody.

- W Bostonie mamy znacznie gorsze zimy - odparła. Zaczęli schodzić niżej, gdzie wiatr nie był tak dokuczliwy.

- Tylko że, moja droga, to jest angielska wiosna, nie zima - przypomniał jej ze śmiechem.

- Wiesz, Richardzie, mam jakieś dziwne przeczucie w związku z tą kobietą, z którą mam się spotkać dziś wieczorem - wyznała nagle.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? Jesteście umówione gdzieś w barze, tak?

Spojrzała mu w oczy.

- Może nie zechcieć rozmawiać, jeśli będzie nas dwoje.

Wzruszył ramionami.

- Cóż, możesz pójść sama, a ja pójdę za tobą i usiądę przy innym stoliku, gdzieś w pobliżu.

- Nie wydaje ci się, że to trochę dziecinne?

- Jeśli tylko pomoże, to chyba nie ma znaczenia?

- Pewnie jestem niemądra, ale odczuwam jakieś dziwne... podniecenie. Wiesz, co mam na myśli?

- Wiem jedno - rzekł, stąpając obok niej po drobnych kamykach. - Wiem, że powoli uwalniasz się od zauroczenia Kipem Weldonem, Amy.

Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała mu w oczy, zdyszana od marszu pod wiatr. Przez chwilę myślała nad jego słowami, a potem stwierdziła:

- To chyba było właśnie to. Zauroczenie. Nie miłość.

Potrzeba czegoś więcej niż jedynie podziwu dla bohatera, żeby związek mógł się rozwinąć, nie sądzisz?

- Chyba tak - przyznał.

- Żartujesz sobie ze mnie. - Stała naprzeciw niego przechylając głowę na bok. - Przepróż - zażądała. - Nie ma pan prawa naśmiewać się z mojego amerykańskiego akcentu, panie Boden.

- Uwielbiam pani amerykański akcent, panno Weldon - zapewnił.

- Richard! Przestań! - Poczowała się nagle dziwnie skrepowana, a ton jego głosu wywołał u niej przyspieszone bicie serca. Zaczynała nabierać przekonania, że powinna była wybrać się do Norfolk sama. Wchodzenie w bliższą zażyłość z tym czarującym mężczyzną nie było wskazane... zwłaszcza że miała przed sobą zadania do wykonania i musiała rozwiązać poważny problem. A do przelotnych romansów zdecydowanie się nie nadawała. Musiała się po prostu wziąć w garść i okazać stanowczość... no i bez reszty skupić się na osiągnięciu zamierzonego celu.

Patrzył gdzieś ponad jej głową, w stronę kamienistego pagórka, gdzie dwójka dzieci uganiała się kopiąc kolorową plażową piłkę. Przy każdym kopnięciu wiatr unosił ją wysoko i daleko. Dzieci pokrzykując biegły za piłką, a wiatr za każdym razem odrzucał ją w przeciwnym kierunku.

Amy znów spojrział na Richarda. Kiedy patrzył na dzieci, twarz mu złagodniała. Przyszło jej do głowy, że może myślał w tej chwili o tym co by było, gdyby Grace i dziecko przeżyli. Nie mogła znieść widoku jego smutnej twarzy. Życie jest niesprawiedliwe, zżymała się w duchu; jeśli ktoś zasługiwał na szczęście, to właśnie Richard.

Spojrzała znowu na bawiące się dzieci - chłopczyka i dziewczynkę; różnica wieku pomiędzy nimi nie mogła być większa niż jakieś dwa lata. Z pewnością są rodzeństwem, pomyślała Amy. Chłopcu udało się kopnąć piłkę, która

potoczyła się w dół po zboczu wzniesienia. Pochwycona przez wiatr wylądowała w morzu. Dzieci pędem rzuciły się w pogoń.

- Do licha! Te cholerne zabezpieczenia. - Richard ruszył biegiem w stronę dzieci, a one widząc to zatrzymały się niepewnie.

- W porządku - usłyszała, jak przekrzykiwał ryk morza i szum wiatru. - Uważajcie na te wystające szpice. Są ostre. Gdybyście na nie wpadli...

- Piłka wpadła nam do wody, proszę pana - pisnęła dziewczynka.

Amy podeszła bliżej.

- Poczekajcie tu. Przyniosę ją - powiedział Richard. Przebiegł plażę wielkimi susami i znalazł się przy brzegu akurat w chwili, gdy potężna fala wyrzuciła piłkę. Złapał ją z łatwością i oddał dzieciom, które natychmiast rzuciły się do ucieczki. - Bawcie się po drugiej stronie pagórka! - krzyknął za nimi wracając do Amy.

Dziewczynka odwróciła się, by mu pomachać, po czym wraz z bratem zniknęła za szczytem wzniesienia, gdzie było bezpieczniej.

- Ach, te dzieciaki! - powiedział, kiedy do niego podeszła. - Zupełnie nie zważają na niebezpieczeństwa.

- Uwielbiasz dzieci, prawda? - Patrząc mu w oczy dodała miękko: - Powinieneś mieć własne. Byłbyś wspaniałym ojcem.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Nie, Amy. Nigdy nie będę miał dzieci. Już ci to mówiłem.

- Co stoi na przeszkodzie?

- To, skąd się biorą. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby je przynosił listonosz... albo święty Mikołaj, ale nigdy świadomie nie narażę żadnej kobiety na piekło porodu.

- Może nie jest aż takim piekłem, jak sądzisz.

- Straciłem w ten sposób Grace. Nie pamiętasz?

- Wydaje mi się, że to tobie cierpienie zmieniło serce w głąz - odezwała się niepewnie. - Nie mnie.

Twarz ściągnął mu wyraz bólu.

- Och, Amy - westchnął; nagle ramiona mu opadły, a oczy straciły zwykły blask.

- Wybacz mi, Richardzie, ale musiałam to powiedzieć. Myślę, że znamy się na tyle dobrze, by mówić o takich rzeczach.

Odwrócił się w stronę morza; wiatr uniósł i zmierzwił jego gęste ciemne włosy. Po raz pierwszy dostrzegła w nich pasemka siwizny. Miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć ich. Zdawała sobie sprawę, że Richard wywiera na niej duże wrażenie. Podobał jej się, to prawda, ale jej pragnienia różniły się od jego pragnień. A żadne z nich nie było gotowe ustąpić. Wiedziała, że nie potrafi go przekonać. Nie dało się rozmową rozwiązać tego wielkiego lęku, jaki w sobie nosił.

- Wciąż ją kochasz? - spytała. - Nadal kochasz Grace?

Machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

- A cóż to za pytanie? - zdziwił się.

- Proste - odparła spokojnie. - Ale może powinieneś trochę głębiej zajrzeć w swe serce, zanim odpowiesz. Pytania nigdy nie są trudne... natomiast odpowiedzi, owszem. - Odwróciła się i odeszła kierując się w stronę domu.

Spotkanie Amy z oficerem straży pożarnej nie przyniosło jej żadnych nowych informacji, poza tymi, jakie już zebrała poprzedniego dnia w archiwum. Nie kryła rozczarowania, że był w stanie podać jedynie suche fakty.

Powiedział, że pogoda w dniu wypadku była fatalna. Armia amerykańska często korzystała z tej drogi. Żołnierze dobrze ją znali. Znaleziono ślady oleju napędowego, który mógł się przyczynić do poślizgu, kiedy szesnastotonowy pojazd zbliżał się do mostu. Nigdy jednak nie ustalono, czy to gwałtowna ulewa, olej rozlany na drodze, ludzki błąd czy wola boska zmieniły najzwyczajniejszy poślizg w tragedię.

- Czy ktoś kiedyś rozmawiał z panem o Kipie Weldonie?

- spytała Amy. - Kip Weldon... to ten człowiek, którego ciała nigdy nie wyłowiono z rzeki.

Potrząsnął głową przecząco.

- Nie przypominam sobie - odparł.

- Ale pamiętałby pan, gdyby tak było? Może jakaś dziewczyna? Dziewczyna o imieniu Kitty?

I tym razem odpowiedź była przecząca.

- Nigdy nie słyszałem tego imienia.

Emerytowana nauczycielka też nie okazała się specjalnie pomocna. Była miłą starszą panią, bardzo oficjalną, bardzo dokładną. Kiedy Amy zadała jej to samo pytanie, ściągając usta odparła:

- Była tu pewna kobieta. Pamiętam ją bardzo dobrze.

- Proszę mi powiedzieć... - Amy nadstawiła uszu.

- Bardzo pospolita młoda kobieta, moja droga. Nie miałyby pani ochoty się z nią spoufalac, jestem pewna. Twierdziła, że pracuje w Bricklayers Arms koło Skegness. Ale stała bardzo daleko od tamtego miejsca... Czyż to nie zastanawiające, że znajdowała się tamtej nocy sama na ciemnej, pustej drodze?

Amy wróciła do domu do Richarda późnym popołudniem; starannie zaparkowała land-rovera na poboczu małej uliczki w pobliżu numeru trzeciego; Stojący w drzwiach Richard obserwował, jak wyskakuje zza kierownicy.

- Jak sobie radziłaś z land-roverem? - zawołał.

- Świetnie. Żadnych problemów. Nie zdawałam sobie sprawy, że to proste, dopóki mi nie pokazałeś, że prowadzi się go jak każdy inny samochód. To chyba przez te biegi trochę zgłupiałam.

Roześmiał się.

- Do normalnej jazdy nie potrzeba aż dziesięciu biegów. Nie zapominaj, że używam tego auta w ciężkim terenie. A trudno o cięższy teren niż w kamieniołomie.

- Richardzie, umieram z głodu. Mamy coś do jedzenia?

- Minawszy go w drzwiach pociągnęła nosem wyczuwając apetyczny zapach dolatujący od strony kuchni.

- Zdejmij płaszcz i siadaj do stołu - zarządził. - Całe popołudnie męczyłem się przy gorącym piecu... a że należę do ludzi sięgających po codzienną strawę tylko do lodówki, więc Bóg jeden wie, jak będą smakować te zapiekane kiełbaski.

- Przygotowałeś zapiekane kiełbaski? - Zrzuciła z siebie płaszcz, zostawiła go w salonie i dała nura do kuchni.

Poszedł za nią.

- Wczoraj kupiłem kiełbaski. Były w lodówce, a w kredensie znalazłem przyprawę do zapiekaneek. Kiedy ją rozmieszałem z wodą, wyglądała jak sos. Robiłem wszystko zgodnie z instrukcją, więc powinno być w porządku.

- Ugotowałeś do tego jakieś jarzyny?

- Pieczone ziemniaki. To było najprostsze.

- Brzmi zachęcająco. - Usiadła przy stole, spoglądając wyczekująco.

- Mam też sam podać do stołu?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- No to nalej herbaty i powiedz mi, jak ci minęło popołudnie.

Kiedy się krzątał przy piecyku, nalała dwa kubki parującej herbaty, którą musiał nastawić słysząc, jak land-rover podjeżdża pod dom.

Przy posiłku opowiedziała mu o bezowocnej wyprawie.

- Może ta dziewczyna, z którą się spotkasz dziś wieczorem, będzie miała więcej do powiedzenia.

Westchnęła patrząc mu w oczy.

- Mam taką nadzieję. W każdym razie nie będzie gorsza niż ten faceta który wczoraj rzucił słuchawką.

- Od Rogera Claybourne'a?

- Tak. Ciekawe, co ma do ukrycia. Był naprawdę nieuprzejmy, kiedy do niego zadzwoniłam. Powiedział, że nie powinnam wywoływać wilka z lasu i że takie grzebanie w przeszłości jest nie na miejscu.



- To jakiś dziwak. Wyjaśnił mi, o co ci chodzi?  
Potwierdziła kiwnięciem głowy.
- Spytałam go, czy wie coś o dziewczynie imieniem Kitty, a on mi kazał iść do diabła.
- No to chyba trzeba go wykreślić z listy - stwierdził Richard.
- Chyba tak. Nie chcę nikomu deptać po odciskach.

Jane Weaver była dziwką i miała tego świadomość. W wieku czterdziestu lat nie przewidywała zmian w swoim życiu, choć obecnie powodziło jej się znakomicie. Lubiła mężczyzn i świetnie sobie z nimi radziła. Taki styl życia jej odpowiadał i nigdy nie żałowała niczego, co zrobiła. Uważała, że mężczyźni traktują ją przyzwoicie. Zapewniali jej godziwe mieszkanie, życie na wysokiej stopie, więc czemu miałyby narzekać? Dostawali to, za co płacili, i rozstawała się z nimi bez żalu.

Dostrzegła dziewczynę, która weszła do zatłoczonego baru i rozglądała się z zaciekawieniem. Była atrakcyjna. Może nie klasyczna piękność - nos kończył się trochę za ostro, a włosom przydałoby się trochę pasemek dla zatarcia wrażenia konopnej naturalności - ale miała długie nogi i prezentowała się całkiem nieźle w obcisłych spodniach i kusym czarnym żakiecie. Napotkawszy spojrzenie dziewczyny, Jane wyciągnęła rękę w geście powitania. Wskazała jedyny spokojny kąt, ukryty za kominkiem, na którym z trzaskiem płonęły grube polana.

- Pani Weaver? - To był bez wątpienia ten sam akcent, który słyszała poprzedniego dnia przez telefon.

Jane przytaknęła z uśmiechem.

- Siadaj, skarbie, zanim ktoś nam porwie krzesło. Straszny tu tłok. Aż za duży na spokojną pogawędkę w cztery oczy. Może powinnyśmy się gdzieś przenieść.

Amy zajęła miejsce.

- Tu jest przyjemnie i ciepło. - Zsunęła z ramion modny zakiecik. Pod spodem miała brązową jedwabną bluzkę.

Jane cmoknęła z podziwem.

- Amy Weldon, niewiele kobiet mogłoby nosić czerni z brązem i wyglądać tak dobrze jak ty.

- Mogę postawić pani drinka? - spytała Amy.

Jane Weaver rzuciła barmanowi szybkie spojrzenie i nieznacznie skinęła głową; natychmiast stanęła przed nimi kelnerka, by przyjąć zamówienie.

- Ten będzie na mój koszt, zgoda?

- Sok pomarańczowy. Prowadzę - odparła Amy.

- Dwa razy.

- Pani też prowadzi? - Amy zadała pytanie bez namysłu.

- Ja, nie! - Jane roześmiała się odrzucając głowę do tyłu.

- Ja tu mieszkam, skarbie. Jestem właścicielką tego lokalu.

Widziała, jak oczy Amy Weldon robią się okrągłe ze zdziwienia. Zawsze to lubiła u swoich rozmówców. Prostowali się na krzesła i zaczynali ją traktować z większą uwagą. Zapewne dochodzili do wniosku, że ich pierwsze wrażenie było mylące. Ale Jane nigdy się nie starała być kimś innym, niż była w istocie. Po pierwsze i przede wszystkim była prostytutką. Prostyucja pozwoliła jej ustawić się w życiu. A teraz, w wieku czterdziestu lat, z olśniewającą aparycją i figurą godną zazdrości każdej dwudziestolatki, mogła nie przejmować się tym, co ludzie o niej myślą.

- Zawsze tu tak pełno? - Amy rozglądała się po dobrze ubranych parach, eleganckim wystroju wnętrza; musiała zauważyć, że w widocznej przez łukowe drzwi restauracji nie ma wolnych stolików.

Jane zdusiła papierosa w popielniczce.

- Na ogół. Z początku przychodzili, żeby mnie zobaczyć. Teraz wiedzą, że za swoje pieniądze otrzymają tu dobrą obsługę i wyśmienitą kuchnię. To najlepszy lokal w tej okolicy.

- Zupełnie nie znam Norfolk.

Przyniesiono drinki.

- I dlatego właśnie mnie potrzebujesz, jak sądzę. Nie będę dłużej owijać w bawełnę. Chcesz wiedzieć, co się zdarzyło tamtej nocy przed dwoma laty.

Amy pochyliła się w krześle.

- Tak. Bardzo chcę się dowiedzieć, co się wtedy stało. Wie pani, muszę kogoś odnaleźć. Kogoś związanego z jednym z mężczyzn, który zginęli.

- Kipem Weldonem! Tak... mówiłaś mi przez telefon.

- Znała go pani?

- O, tak. Znałam Kipa. Był poważniejszy niż reszta tych młodych Amerykanów. Ale umiał się też dobrze bawić.

Amy wbiła wzrok w szklanekę z sokiem.

- Wie pani, co się naprawdę wydarzyło tamtej nocy?

- Odchylając głowę wypła duży łyk soku.

- Owszem. Byłam tam.

Amy nie odezwała się. Jane spojrzała jej prosto w oczy.

- Byłam w tym transporterze, choć nie powinnam tam być. Nikt o tym nie wie poza tobą. Wierzę, że zachowasz to dla siebie. Wszyscy ci chłopcy zginęli. Nie chciałabym, żeby ich krewni zostali zaskoczeni faktem, że złamali wojskowe przepisy zabierając tamtej nocy pasażerkę.

- Pani... była pani ich pasażerką?

Jane zamieszała sok w szklance i wypła do dna

- Można powiedzieć, że byłam pasażerką. To ci powinno wystarczyć, skarbie.

- Była pani z jednym z tych mężczyzn?

Jane zaśmiała się lekko.

- Zgadza się co do joty. Byłam z jednym z tych mężczyzn... ale to nie był Kip Weldon. Kip nie należał do tego typu facetów. Był z tych, którzy trzymają się jednej kobiety. Nie szukał przygód na boku.

- Nie musi pani oszczędzać moich uczuć.

- To nie to. Mówię prawdę. Kipa nie obchodziła żadna inna poza jego Kitty. - Jane przyjrzała się dziewczynie długo i uważnie. Zobaczyła, że trochę pobladła, ale zachowała spokój.

- Proszę mi powiedzieć wszystko - poprosiła Amy.

- Nie ma wiele do opowiadania. - Jane wzruszyła ramionami. - Wjechaliśmy na olej czy coś innego na drodze. Wszyscy chłopcy śmiali się i żartowali. Matt, ten, z którym byłam, powiedział... - Urwała, zastanawiając się, jak najogólniej ująć to, co ma do przekazania, i rozważając, czy to naprawdę konieczne.

- Proszę mi powiedzieć. Chcę wiedzieć wszystko o tych ostatnich chwilach.

- Kiedy wpadliśmy w poślizg, Matt wyraził nadzieję, że jego druga przejażdżka tej nocy będzie równie ekscytująca... Posłuchaj, dziecko, nie jestem dumna z tego, co robiłam, ale...

- To nie ma znaczenia. Naprawdę. Nie jestem sędzią, pani Weaver. Chodzi mi tylko o Kipa... i o tę dziewczynę, Kitty.

- Nie znam jej nazwiska. Nie interesowałam się Kipem, rozumiesz? Był po prostu jednym z tych chłopaków, ale nie należał do tych, co tracą pieniądze na takie kobiety jak ja.

- Tylko na Kitty, co? - Dziewczyna zdobyła się na błądy uśmiech.

Jane Weaver pochyliła się ku niej.

- Wydaje mi się, że mieli zamiar się pobrać... Kip i Kitty. Tamtej nocy pokazywał mi jej zdjęcie. Wyglądała sympatycznie. Przyzwoicie. Wysoka. Ciemnowłosa. Miała miłą twarz... taką miękką, okrągłą. Ale nie pulchną. Nie chciałam przez to powiedzieć, że była zbyt tęga, tylko dobrze zbudowana i bardzo wysoka.

- Boże! - Dziewczyna nagle jakby zapadła się w sobie. Oparła łokcie na stoliku, ukryła twarz w dłoniach.

Jane sięgała właśnie po torebkę, by wyjąć do pokazania zdjęcie... to zdjęcie, która Kip Weldon podał jej tuż przed tym, nim transporter zsunął się z drogi i rozpętało się piekło.

- Widzę, że cię zdenerwowałam. Jane wstała od stolika. Zupełnie zapomniała o fotografii.

Amy, podniosła wzrok, otarła łzę z oka.

- Och, przepraszam. Wprawiam panią w zakłopotanie.

- Nie, skarbie. Płacz sobie do woli, jeśli tylko chcesz. Nikt cię nie zobaczy w tym kącie.

- Nie rozklejam się, naprawdę. Po prostu miło jest rozmawiać z kimś, kto znał Kipa. Żałuję tylko, że nie spytała go pani o nazwisko Kitty. Chciałabym ją odnaleźć.

- To nie było takie oczywiste, wiesz? Przyjaźń Kipa z Kitty. Dziewczyna gwałtownie uniosła głowę.

- Co pani ma na myśli?

- Kitty była już zaręczona z kimś innym.

- Niemożliwe! - Amy zerwała się z krzesła, ale po chwili usiadła.

- Obawiam się, że jednak tak. Wydaje mi się, że to dlatego nikt nie znał jej nazwiska. Kip twierdził, że ona boi się swojego byłego chłopaka, mimo że zerwała z nim kilka miesięcy przed poznaniem Kipa. Tamten facet dosłownie ją przerażał. Parę razy nawet ją zbił... dlatego zerwała zaręczyny. Ledwie się wywinął od wyroku sądowego, ale to go wcale nie zniechęciło. Wciąż ją prześladował.

- Więc dlatego Kip nie zdradzał, kim była? Żeby tamten się nie dowiedział, że spotyka się z innym, i nie sprawiał dalszych kłopotów?

- Na to wygląda. - Jane Weaver wyciągnęła misternie grawerowaną papierośnicę, otworzyła ją i zaproponowała:

- Zapalisz?

Amy odmownie pokręciła głową.

- Kiedy próbuję się dowiedzieć jej nazwiska, zawsze trafiam na mur nie do przebicia.

- Cóż... wydaje mi się, że jest pewien sposób.

- Sposób, żeby się dowiedzieć, kim jest Kitty?

- Tak, skarbie. Znam nazwisko tego faceta, z którym była zaręczona. Tego, który ją prześladował.

- Zna pani jego nazwisko?

- Ale na twoim miejscu byłabym ostrożna. Nie mów, że cię nie ostrzegałam. Wydaje mi się, że ten człowiek może być bardzo niebezpieczny. - Wyjęła papierosa, w zamyśleniu zgmiotła go w palcach, a potem z trzaskiem zamknęła złotą papierośnicę.

- Muszę wiedzieć, pani Weaver. Proszę mi podać jego nazwisko. Poruszę niebo i ziemię, żeby znaleźć Kitty.

- Dobrze więc. Ale pamiętaj... podchodź do niego ostrożnie, dziewczyno. I nie umawiaj się z nim ciemną nocą w jakimś barze, tak jak ze mną. Niektórzy z was, Amerykanów, są zbyt łatwowierni. Kip Weldon był właśnie taki... i sama widzisz, jakie kłopoty z tego wynikły.

- Proszę mi podać nazwisko tego człowieka, z którym Kitty była zaręczona. Proszę...

- Dobrze, dobrze. Proszę bardzo. Zapamiętasz, czy chcesz zapisać? Mogę ci podać jego nazwisko i adres. Jest ogrodnikiem. Hoduje kapustę. Ma całe pola kapusty. Hektary kapusty. I mieszka niecałe dwadzieścia mil stąd.

- Zapamiętam. Proszę mi powiedzieć. - Amy podniosła się z krzesła; zacisnęła dłonie na krawędzi stolika, aż zbiełały jej kostki palców. - Proszę mi powiedzieć - błagała. - Na litość boską, niech mi pani powie...

Jane Weaver mrużąc oczy przyjrzała jej się poprzez smugę papierosowego dymu.

- W porządku. Sama tego chciałaś. Nazywa się Claybourne... Roger Claybourne. I mieszka w Halfpenny End.

Amy wróciła do domu tuż po dziesiątej.

- Powinnaś się czegoś napić - stwierdził Richard. - Wyglądasz na przemarzną. Usiądź przy kominku, a ja zrobię kawę.

- Masz może whisky? Wydaje mi się, że potrzebuję czegoś mocniejszego. - Zrzuciła z siebie żakiecik odkładając go na krzesło, podeszła do masywnej, obitej perkalem kanapy i zapadła się w poduszki.

- Nie woźę ze sobą whisky - powiedział Richard. - A niestety, w przeciwieństwie do hoteli, takie domy nie wyposażają sypialni w tego rodzaju zapasy.

Uśmiechnęła się słabo.

- Żartowałam, Richardzie. Tak naprawdę nie przepadam za alkoholem. Po prostu czuję się zupełnie rozbita. To chyba przez to morskie powietrze.

- Podjęłaś się ciężkiego zadania - rzekł miękko, podchodząc do niej i przykucając u jej stóp. Patrzył na nią z troską. - Amy... zwolnij trochę, dobrze? Mamy mnóstwo czasu... hmm, przynajmniej do soboty. To nam daje jeszcze trzy dni.

- Jane Weaver powiedziała mi, że Roger Claybourne, ten, który był dla mnie taki nieuprzejmy przez telefon, i Kitty byli kiedyś zaręczeni i mieli się pobrać.

- Do licha, nie! - Patrzył na nią zdumiony. - Więc skąd się w tym wszystkim wziął Kip Weldon?

Poklepała miejsce obok siebie.

- Siadaj - zachęciła. - Kawa może poczekać. Chcę ci opowiedzieć wszystko, czego się dowiedziałam od Jane Weaver.

Przysiadł obok niej na kanapie; ledwie się mieścili, bo poduszki były mocno wypchane. Siedział nieco bokiem, trzymając rękę na oparciu za jej głowę. Dzięki temu widział wyraźnie jej twarz, kiedy zdawała mu relację ze spotkania z Jane Weaver.

Gdy skończyła, odezwał się:

- Jaka ona jest? Ta Weaver?

- Dość wysoka, po czterdziestce, ciemne włosy, atrakcyjna, elegancko ubrana...

- Nie! Nie o to mi chodzi. Sądzisz, że mówiła prawdę? O tym, że była w transporterze z tymi chłopcami? I o całej reszcie... o Kitty, Rogerze Claybourne i tak dalej?

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, Richardzie. Mówiła prawdę.

- Jest prawdomówna?

Westchnęła.



- Richard! Ona była dziwką! Ale wierzę jej i tylko to się liczy.

- Dziwką? prostytutką? Do licha, Amy, powinienem być z tobą pojechać. To nie w porządku, żebyś chodziła sama w tego rodzaju miejsca.

- To nie żadne „tego rodzaju miejsce”! - powiedziała stanowczo. - Zwyczajny bar. Było tam całkiem przyzwoicie... a gdyby nawet nie było, to i tak nie potrzebowałabym opiekuna. Przestań traktować mnie jak dziecko, dobrze?

- Zgoda! - Podniósł rękę w geście pojednania.

- Nie potrzebuję niańki. - Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

- Przepraszam.

Zrobiło jej się przykro, kiedy dostrzegła w jego oczach wyraz przykrego zaskoczenia. Starał się otaczać ją opieką i nie mógł zrozumieć, że ona nie potrzebuje ochroniarza. Nigdy nie miała czasu na zadawanie się z typem rycerzy w lśniącej zbroi.

Tam w Stanach, w college'u, było zupełnie inaczej. Była jedną z wielu, taką samą jak wszystkie inne dziewczyny. Równość, podobnie jak seks i narkotyki, była czymś oczywistym. Może miała szczęście, że dorosła zachowując umiejętność odróżniania dobra od zła. Kate i Marty mieli bardzo liberalne poglądy, jeśli chodzi o dzieci, a wychowywali ją według swoich standardów. Pewnie dlatego teraz czuła się osaczona nadmierną troskliwością Richarda.

Podniosła się z kanapy. Miękkie poduszki dusiły ją tak samo jak opieka Richarda. Siedzenie obok niego też nie wpływało na nią najlepiej. Podobał jej się jako mężczyzna. Czy tego nie dostrzegął? Złościło ją, że siedząc przy niej trzyma rękę na oparciu kanapy; wołałaby, żeby ją objął. Nie chciała być traktowana jak dziecko. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak mało dzieckiem i tak bardzo kobietą.

Nagle poczuła, że musi wyjść z domu, oddalić się od niego.

Poderwała się, chwyciła żakiet, wsunęła ręce w rękawy i zapięła guziki pod samą szyję.

- Wychodzę - oznajmiła kierując się ku drzwiom.

- Chyba oszalałaś! Jest wpół do jedenastej - powiedział nie ruszając się z kanapy. - Nie możesz szukać Rogera Clayboume'a o tej porze. Zresztą, ta kobieta mówiła, że on jest niebezpieczny, więc nie pozwolę, żebyś się spotkała z nim sam na sam w jakiejś speluncie... czy gdziekolwiek indziej.

- Richardzie Boden, nie mów do mnie w taki sposób, jakbym była twoją własnością - wybuchnęła dając upust kipiącej w niej złości. - Wydaje ci się, że jestem kompletnie pozbawiona rozumu? Nie sądzisz chyba, że wybieram się w środku nocy na poszukiwanie jakiegoś maniaka. Idę po prostu na spacer, bo energia tak mnie rozsadza, że czuję się jak elektrownia przed wybuchem.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? - spytał wpatrzony w skaczące płomienie w kominku.

Wiedziała, że go uraziła, ale to wcale nie zmiękczyło jej serca.

- Nie! Chcę być sama, żeby się zastanowić, co powinnam robić dalej. Zostań tu... albo połóż się spać, jeśli jesteś zmęczony.

Teraz on poderwał się z kanapy ze złością.

- Nie lubisz, żeby tobą rządzić, więc i ty tego nie rób w stosunku do mnie, Amy. Co w ciebie wstąpiło, do diabła?

Parsknęła niemiłym śmiechem.

- Jakoś dziwnie się między nami porobiło. Nie czujesz tego? Do licha, Richardzie, przed Bożym Narodzeniem traktowałeś mnie jak kobietę... prawdziwą kobietę. A teraz nagle stałam się małą siostrzyczką, której trzeba pilnować, by sobie nie zrobiła krzywdy.

- To ty nadałaś taki ton naszym stosunkom - przypomniał jej. Chciałem ci dać czas, żebyś mogła mnie lepiej poznać. Amy... - Wyciągnął do niej rękę. - ... Chcę się z tobą ożenić.

Nigdy się z tym nie kryłem. Ale znamy się zaledwie od paru miesięcy, a ja nie lubię być nachalny. Nie rozumiesz tego, na litość boską?

- W ogóle się nie znamy - powiedziała. Nie wiedziała czemu, ale nagle zachciało się jej płakać. - Pod płaszczykiem tej koleżeńskiej zażyłości nadal jesteście sobie obcy. - Bezradnie uniosła ręce. - Richardzie... co my tu razem robimy? Przecież to nam wcale nie pomaga. Mieszkanie w tym samym domu...

- W hotelu byłoby lepiej - przyznał. - Ale nie było wolnych pokoi, sama wiesz.

- Tak. - Jej głos nie zdradzał emocji. - Przynajmniej nie wpadalibyśmy na siebie tak bez przerwy.

- A kiedy na siebie wpadamy-podjął cicho-każde z nas od razu się cofa w obawie przez zbytnią bliskością. O to ci chodzi?

- Nie sądziłam, że zdajesz sobie z tego sprawę - powiedziała drżącym głosem.

Uderzył się w czoło otwartą dłonią.

- Chryste, Amy! Nie jestem tak całkiem pozbawiony uczuć. Nie jestem z kamienia. Oczywiście, że widzę, co się dzieje.

- Nigdy ze sobą nie rozmawiamy. I nie stajemy się sobie bliżsi...

- Rzeczywiście - przyznał cichym, miękkim głosem - ale na to przyjdzie właściwy czas.

- W noc poślubną? - rzuciła ostro.

- To cię przeraża?

Patrzyła na niego, jakby postradał zmysły.

- W dzisiejszych czasach nikt tak długo nie czeka.

- Nie możesz za mnie wyjść nie wiedząc, jaki jestem w łóżku?

Oblała się rumieńcem. Nie spodziewała się, że będzie taki dosłowny.

Szarpnięciem otworzyła drzwi; do środka wdarł się chłodny powiew wiatru.

- Niech cię diabli - mruknęła, szybko wychodząc w mrok.

Śniadanie następnego ranka upływało w nieco napiętej atmosferze. Amy wstała wcześniej, by je przygotować, więc kiedy Richard zszedł na dół, była właśnie na etapie rozbijania jajek przed wrzuceniem ich na patelnię.

Nalał dwa kubki parującej herbaty i stanął obok niej przy kuchence.

- Użyłam jeszcze raz twojego telefonu - przyznała się; doszła do wniosku, że najlepiej będzie puścić w niepamięć ostatni wieczór. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Próbowалам się dodzwonić do Rogera Claybourne'a, ale mi się nie udało.

- Wiesz, że nie musisz mnie pytać o pozwolenie korzystania z telefonu. Możesz dzwonić nawet do Timbaktu, jeśli masz ochotę. - Z jego tonu przebijała irytacja i zniecierpliwienie, bardzo do niego niepodobne.

- Nie znam kierunkowego do Timbaktu! - Używając łypatki zdjęła z patelni jajka i przełożyła je wraz z parówkami i przysmażonymi ziemniakami na dwa talerze.

- Bardzo zabawne! - Nawet się nie uśmiechnął.

- W porządku. Żart był nieudany. Jedz śniadanie. - Podawała mu jeden talerz, drągi postawiła przed sobą na drugim końcu stołu.

- Czyżbyśmy właśnie odbywali naszą pierwszą kłótnię? - zainteresował się.

- Nie. Pierwsza była wczorajszego wieczoru.

- Może byśmy tak o niej zapomnieli i zaczęli wszystko od początku? - spytał z westchnieniem.

Miała fatalną noc; wierząc się bezsennie na łóżku myślała o Kipie Weldonie i martwiła się, że Richard może się spakować i z samego rana wyjechać do domu.

- Nic między nami nie było - powiedziała zabierając się do jedzenia. - Więc jak można mówić o zaczynaniu wszystkiego od początku?

- Pod pewnymi względami układało się między nami całkiem dobrze. Aż do wczorajszego wieczoru.

- Dopóki nie poszłam porozmawiać z dziwką. Wtedy natarłeś na mnie jak buldożer i zacząłeś dyrygować, z kim mogę, a z kim nie mogę się sama spotykać.

- To nieprawda - zaprzeczył spokojnie. - Ale nie pozwolę, żebyś się spotkała sam na sam z Rogerem Claybourne'em. Czy nie wolno mi od czasu do czasu zatroszczyć się o ciebie?

Odłożyła nóż i widelec, wzięła do ręki kubek i pociągnęła duży łyk herbaty, nim się odezwała:

- Gdybym miała własny samochód, przyjechałabym tu sama. I wówczas nikt by się o mnie nie troszczył? Ty byłbyś zajęty w swoim kamieniołomie i może czasem byś o mnie pomyślał, ale nie zaglądał byś mi cały czas przez ramię... i nie wydawał poleceń.

Sprawił wrażenie, jakby przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami, a potem stwierdził:

- Masz rację.

- Bardzo dziękuję. Siedzę tu i cały czas się zastanawiam, kiedy mnie spytasz, dokąd poszłam wczoraj wieczorem po wyjściu z domu.

- Nie mam zamiaru o nic cię pytać.

- Poszłam na spacer na plażę - poinformowała nieco zbity z tropu.

Kąciaki ust uniosły mu się w powstrzymany uśmiechu. Zauważyła to.

- Dobrze - poddała się. - Nie miałam racji. Spodziewałam się, że będziesz czekał w drzwiach, kiedy wrócę. Ale nie czekałeś... dzięki Bogu!

- Pobiłabyś mnie, gdybym tam był?

- Prawdopodobnie - przyznała odsuwając od siebie talerz.

- Chociaż z natury nie jestem porywcza. - Przez chwilę przyglądała mu się bez słowa. Nie podjął tematu, więc zaczęła znówu: - To mnie jeszcze bardziej odróżnia...

- Od kogo?

- Od ciebie! Przecież byłeś bokserem, prawda? Mówiłeś mi, że kiedyś zabiłeś człowieka na ringu. A jednak nie widziałam, żebyś się kiedykolwiek zachowywał gwałtownie... choćby w najmniejszym stopniu.

Uśmiechnął się do niej.

- Większość pięściarzy, których znałem, była ludźmi gołębiego serca... szczególnie w stosunku do kobiet. Potrafili zawzięcie walczyć o zwycięstwo na ringu, ale, tak jak ja, cenili sobie spokojne życie domowe.

- Czy twoje życie z Grace było spokojne?

Cień przebiegł mu po twarzy, lecz bez wahania odparł szczerze:

- Owszem. Chyba byliśmy szczęśliwi. Przynajmniej ja byłem... i zawsze mi się wydawało, że Grace także. Dobrze się rozumieliśmy... lubiliśmy te same rzeczy. Dobrą muzykę, rowerowe przejażdżki po okolicy, wypadki do kina w Hatton. Wszystkie te nudne drobne sprawy, jakie pary zwykle robią razem.

Oparła się łokciami na stole.

- Richardzie, złości mnie, że jestem taka uwiązana w Wydale. Potrzebny mi własny pojazd. - Uznała, że wkroczyli na bezpieczniejsze tory. Kłótnia jakby oczyściła nieco atmosferę. Wydawało jej się, że lepiej będzie wrócić do wcześniejszych stosunków, choć były nudne, niż co chwila skakać sobie nawzajem do gardeł. - Jak sądzisz, ile musiałabym zapłacić za niewielki samochód? Nie musiałyby być całkiem nowy, rzecz jasna, i chyba wołałabym coś w miarę ekonomicznego w użytkowaniu. Pomożesz mi coś znaleźć?

- Dobrze, Amy - zgodził się z uśmiechem. - Pomogę ci kupić samochód. Ale na razie może przywiózłbym ci do Wydale rower Grace? Nie czułabyś się więźniem, gdybyś czasami mogła się wyrwać spod kurateli Lizzie, nie uważasz? A parę wycieczek rowerowych odbytych razem, we dwoje,

mogłoby się okazać właśnie tym, czego nam trzeba, żeby się lepiej poznać.

Ucieszyła się widząc, że powraca między nimi dawna przyjacielska zażyłość. Wczorajszy wybuch zupełnie nie pasował do jej charakteru i kiedy już ochłonęła podczas spaceru po ciemnej plaży, zrozumiała niestosowność swego zachowania. Richard był dla niej dobry, nie mogła temu zaprzeczyć, ale od chwili, gdy go poznała, minęły prawie trzy miesiące i czasami można było odnieść wrażenie, że ich znajomość nie prowadzi donikąd.

A Wydałę na gwałt potrzebowało odbudowy!

Jeśli wuj Gif chciał, by Richard zainwestował pieniądze w starą posiadłość, nim będzie za późno, małżeństwo wydawało się jedynym rozwiązaniem. Trudno wymagać, by Richard ratował dom, nie mając żadnych gwarancji. Zdawała sobie z tego sprawę. A jego zabezpieczeniem była ona... czy raczej, dla ścisłości, jej dziedzictwo!

Miała dość czasu, by przemyśleć, co oznacza związenie się małżeństwem z Richardem Bodenem. Lubiła go, ale czy to mogło wystarczyć? Podobał jej się; był przystojnym mężczyzną i miał przyjemny charakter. Ale zawsze zakładała, że kiedy... że jeśli w ogóle zdecyduje się wyjść za kogoś za mąż, przede wszystkim będzie chciała wiedzieć, że pasują do siebie pod względem seksualnym. Zawsze uważała, że kiedy spotka odpowiedniego mężczyznę, nie będzie raczej czekać do ślubu, by się z nim kochać. W końcu prawie nikt tak długo nie czeka w dzisiejszych czasach.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym używała roweru Grace? - spytała podnosząc się z miejsca, by posprzątać ze stołu.

- Czemu miałbym mieć coś przeciwko temu? Rdzewieje w szopie stojąc bezużytecznie.

- No to chciałybym go mieć, Richardzie.

Zabrał kubki i wstawił je do zlewu.

- Zatem ustalone. Nie wiem, czemu wcześniej o tym nie pomyślałem.

Pokiwała głową polewając brudne naczynia gorącą wodą.

- Amy?

- Hmm? - Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

Miał zmartwioną minę.

- Musimy porozmawiać... poważnie - oznajmił. Musimy ustalić pewne sprawy związane z Wydałę i... różne inne. Do diabła! Ależ to trudne.

- Rozmyśliłeś się? - spytała czując dziwny chłód wokół serca. - Więc jednak nie chcesz tego małżeństwa?

Traciła go, przynajmniej tak jej się wydawało. Próbował odmówić w sposób jak najmniej bolesny. A wszystko przez tę głupią kłótnię, która zaczęła się poprzedniego dnia wieczorem i ciągnęła się jeszcze rano. Patrzyła na niego z coraz większym smutkiem, czując, że życie bez Richarda będzie szare i samotne.

- Nie chcę... - Telefon, z którym się nigdy nie rozstawał, a który leżał teraz na jednym z kuchennych blatów, zadźwięczał ostrym sygnałem. - Cholera! - Szybko podszedł, by odebrać.

Amy była jak ogłuszona. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo się od niego uzależniła. Nie przypuszczała też, że świadomość, iż on jej nie chce, będzie aż tak bardzo bolesna. Bo z pewnością to właśnie miał jej zakomunikować, kiedy telefon przerwał im rozmowę.

- To Lizzie Abercrombie. - Podał jej słuchawkę. - Chce zamienić z tobą parę słów.

Wzięła słuchawkę i podeszła do okna.

- Cześć, Lizzie! Co słyhać w Wydałę?

- Szkoda mówić. Gif Weldon znów jest w takim stanie jak dawniej.

- Dlaczego? Co się stało?

- Nie chciałam do ciebie dzwonić, ale pomyślałam, że



powinnaś wiedzieć... On stanowczo za dużo robi dla tego przeklętego Duncana Warda. Wpędza się do grobu. Biega tam i z powrotem do jego domu. A przy tej pogodzie to dla niego zabójcze. Od dwóch dni leje jak z cebra, rzeka wylała, a Gif trzy razy dziennie wraca do domu przemoknięty do suchej nitki. Powtarzam mu, że wszystko ma swoje granice. Ale sama wiesz, jaki on jest...

- Lizzie, chcesz, żebym wróciła do domu? - Amy wyczuwała, że gospodyni jest szczerze zmartwiona.

- Nie, nie, dziecko. Pomyślałam tylko, że mogłabyś do niego zadzwonić i przemówić mu do rozsądku. Może ciebie posłucha. Widzisz, Duncan miał lekki atak, no i zważywszy, jak się sprawy mają pomiędzy nimi... - Lizzie urwała, najwyraźniej bardzo zdenerwowana.

- Lizzie, wrócę do domu. Możemy się spakować i wyjechać stąd w pół godziny. Skoro wuj Gif tak się martwi chorobą Duncana, to z pewnością powinnam być na miejscu.

- Nie, nie rób tego. Porozmawiaj z nim tylko. Mówił, że wróci około południa, więc może wtedy mogłabyś zadzwonić. Przemów mu do rozumu... albo poproś Richarda Bodena, żeby z nim pomówił. To mogłoby być najlepsze rozwiązanie... Aha, panno Amy, znowu miałam ten okropny sen, wiesz, ten, o którym ci opowiadałam, gdzie ty byłaś na jednym brzegu rzeki, a twój wuj na drugim. Nie mogę o nim zapomnieć.

- Och, Lizzie, nie przejmuj się tak. Słuchaj, zadzwonię do wuja Gifa około drugiej po południu. Zgoda?

- Oczywiście, kotku. Jestem głupią starą kobietą, że tak zaraz wpadam w panikę. A u was tam w Nofrolok wszystko w porządku?

- Tak, Lizzie, wszystko gra. Obiecay mi, że natychmiast do mnie zadzwonisz, jeśli coś cię znowu zmartwi.

- Dobrze. Zadzwonię. A kiedy ty zadzwonisz dziś do wuja, będę udawać zaskoczoną.

- W porządku, Lizzie - ze śmiechem zgodziła się Amy.

Odłożyła telefon i zwróciła się do Richarda.

- Lizzie się zamartwia. Duncan Ward miał lekki atak.  
- Tak, zorientowałem się, o czym mowa. Mam wrażenie, że Gif bardzo to przeżywa.

- Na to wygląda. Lizzie chce, żebym z nim porozmawiała... żebym mu kazała trochę zwolnić.

Odłożywszy telefon, Richard zwrócił się do niej:

- Amy, wiesz o nich, prawda?

- O nich? O Lizzie i wuju Gifie? - spytała, nie umiejąc powstrzymać śmiechu. - Och, Richardzie, chyba nie masz na myśli tego, co mi się wydaje, że masz?

- Nie Lizzie - odrzekł spokojnie. - Nie mówię o Lizzie. Mówię o tym prawniku.

- O Duncanie? Co z nim?

- A więc nic nie wiesz! - Westchnął. - Myślałem... miałem nadzieję, że Lizzie coś ci powiedziała, ale najwyraźniej tak się nie stało.

- Do czego zmierzasz? Wiem tylko tyle, że Lizzie nie cierpi Duncana. Sama spotkałam go zaledwie parę razy i to dawno temu. Nigdy nie bywa w Wydale Hall... choć to może się wydawać dziwne, bo zawsze byli z wujem Gifem bliskimi przyjaciółmi.

Przesunęła się w stronę zlewozmywaka, by dokończyć zmywanie, lecz Richard chwycił ją mocno za ramię.

- Poczekaj - rzekł poważnie. - Jest coś, o czym musisz wiedzieć. Nawiasem mówiąc, nie powinni cię utrzymywać w nieświadomości tego, co się dzieje.

- Richard! O co ci chodzi? Masz taką minę, jakby... Do licha! Chyba wujowi Gifowi nie przydarzyło się nic straszego? Wiem, że nie czuł się dobrze, ale...

- Możesz przez chwilę być cicho?

Zamurowało ją, bo Richard rzadko podnosił głos. Wpatrywała się w niego z zaciśniętymi ustami.

- Świetnie. Teraz słuchaj. Niełatwo mi to powiedzieć, więc

przejdę od razu do sedna... Twój wuj i Duncan Ward są kochankami.

Zanim zdążyła się opanować, jej ręka uniosła się sama i wymierzyła Richardowi siarczasty policzek.

- Ty draniu! - krzyknęła. - Jak śmiesz insynuować...

- Stwierdzam fakt. - Unieruchomił jej ręce przy bokach nim zdążyła powtórnie go zaatakować. - To prawda. Ale nie przeżywaj tak tego. Na litość boską, to nie Gif i Duncan Ward wynaleźli homoseksualizm, więc się uspokój!

Patrzyła na niego bez słowa, wiedząc, że mówi prawdę. Richard by jej nie okłamał. Była tego całkowicie pewna.

- Nie zastanawiałaś się nigdy, dlaczego wysłał cię do Ameryki? - spytał nie puszczać jej ręk.

Z konieczności stał bardzo blisko niej; tylko tak mógł ją powstrzymać przed atakiem. Tyle że ona nie miała już ochoty go atakować. Nagle pewne rzeczy, których wcześniej nie rozumiała, zaczęły nabierać sensu. Na przykład to, że Gif Weldon spędzał większość czasu w domu Duncana Warda, i to, że Lizzie powstrzymała ją, gdy chciała tamtego dnia pójść do niego... no i oczywiście, o czym wspomniał Richard, styl życia Gifa Weldona musiał być powodem tego, że wychowywała się w Ameryce, zamiast u niego w Wydale.

Wciągnęła głęboko powietrze i stwierdziła ze smutkiem:

- Aha! Czyżbym była aż tak głupia?

- W końcu odkryłabyś prawdę - pocieszył ją. - Przy twoich zdolnościach odkrywania różnych rzeczy, z pewnością...

- Wetknęłabym nos w nie swoje sprawy - dokończyła za niego kiwając głową. - Tak, rozumiem, co masz na myśli. A swoją drogą możesz mnie już puścić. Nie zamierzam cię ponownie uderzyć.

Puścił ją, ale nie ruszał się z miejsca.

- Przeżyłaś szok - powiedział, - To moja wina. Byłem zbyt bezpośredni.

- Bolało? - Przyjrzała się jego twarzy; przez policzek

biegła wyraźna czerwona pręga. - Cholera! Przykro mi, Richardzie. - Dotknęła śladu po uderzeniu. - Boże! Czy ja naprawdę to zrobiłam? - Spojrzała mu w oczy; bezwiednie uniosła do jego twarzy drugą rękę, delikatnie gładząc bolesne miejsce.

- Chyba jakoś przeżyję - rzekł miękko; w kącikach oczu pojawiły mu się drobne zmarszczki, które tak lubiła.

Opuściła ręce, przypomniawszy sobie, że nim zadzwonił telefon, była pewna, iż Richard zamierza jej powiedzieć o rezygnacji z małżeńskich planów. Była tego absolutnie pewna. Jednakże teraz najwyraźniej nie pamiętał, o czym wówczas rozmawiali. Odsunęła się od niego, schowała naczynia do kredensu i zajęła się wycieraniem stołu i blatów. Czuła na sobie jego wzrok.

Skończywszy pracę, powiedziała:

- Chyba spróbuję znowu zadzwonić do Rogera Claybourne'a. Im szybciej wyjaśnię tę sprawę, tym szybciej będziemy mogli wrócić do Wydale.

- To prawda - przyznał. - Pewnie się bardzo martwisz o wuja. Rozpałę w kominku w salonie, a ty umów się na spotkanie z tym Claybourne'em. Ale mówiłem serio, Amy - jadę z tobą. Bez dyskusji.

Miała ochotę dowiedzieć się, co sądzi o ich związku, zadać mu tyle pytań. Pomyślała jednak, że to bezcelowe. Najwyraźniej stracił ochotę na inwestowanie pieniędzy w Wydale. I któż mógłby go za to winić?

Oparła się ciężko o kredens i wybrała po raz kolejny numer Rogera Claybourne'a. Tak jak poprzednio, nie doczekała się odpowiedzi. Postanowiła pojechać do Lincolnshire i czekać na niego, aż wróci do swego gospodarstwa. Nie mógł przecież wечно jej unikać, a poza tym wkrótce mieli się z Richardem zbierać do domu.

To szaleństwo - jechać taki kawał drogi do Lincolnshire, skoro nawet nie możesz się tam dodzwonić. - Richard z trudem zachowywał cierpliwość; zaczynał sobie uświadamiać, że ma do czynienia z najbardziej denerwującą istotą, jaką w życiu spotkał. Do tego jeszcze była w dziwnym, nie znanym mu dotąd nastroju - milcząca, z wyrazem poczucia krzywdy w oczach.

Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że zmiana nastąpiła w niej od chwili, gdy przed półgodziną rozmawiała z Lizzie Abercrombie. Nie próbowała podjąć wątku ich wcześniejszej

rozmowy... choć właściwie sam nie pamiętał, na czym przerwali. Telefon położył kres jakimkolwiek próbom dyskusji na temat ich wspólnej przyszłości; rozumiał, że Amy nie życzy sobie obecnie poruszania kwestii małżeństwa ani Wydalę..., ani niczego z tym związanego. W końcu przeżyła szok dowiadując się prawdy o swym wuju Gifie.

Było mu przykro, że to właśnie on musiał jej przekazać tę wiadomość. Od tamtego momentu zachowywała się dziwnie cicho, a on wyczuwał, że powodem był nie tyle fakt, iż Gif okazał się gejem, lecz to, że tak długo ją oszukiwał!

- Hmm, więc co proponujesz? - Odwróciła się od okna.

Nie była już buńczuczna. Wydawała się tak zgaszona, że Richard z trudem stłumił w sobie pragnienie, by podejść do niej i mocno ją objąć. Powiedział tylko:

- Proponuję, żebyśmy zjedli lunch około południa, a potem możesz jeszcze raz zadzwonić do tego faceta i sprawdzić, czy już wrócił ze swojej kapuścianej grządki.

Uśmiechnęła się niewyraźnie i odparła:

- Jane Weaver mówiła, że Roger Claybourne ma wielkie pole pełne kapusty, a nie żadną „grządkę”.

- Tak czy owak, czasami musi jednak wracać do domu, skoro prowadzi taki interes! Nie może wiecznie omijać telefonu.

- Co będziemy robić do lunchu? - Rozejrzała się wolno po pokoju. - W domu posprzątane, a ogień w kominku się dopala.

- Chodźmy na spacer - zdecydował. - To powinno nam poprawić samopoczucie. Może wzięłabyś na plażę swoją kamerę wideo? - Starał się utrzymać beztroski ton. - Lizzie na pewno będzie chciała wiedzieć, jak tu jest...

- Zapomniałeś - przerwała mu - że w Wydalę nie ma na czym odtworzyć filmu wideo.

- No to przyprowadź ją do mnie - rzekł z uśmiechem. - Zawsze chciałem być jednym z tych typów, którzy zanudzają znajomych filmami z wakacji. A ty nie?

- Och, Richardzie... - Na sekundę w jej oczach ukazał się dawny blask, lecz zaraz potem zgasł. Wzruszyła ramionami i odparła obojętnie:

- Dobrze. Chodźmy na plażę.

Wiatr wiał od strony lądu pędząc przez zatokę Wash na południowy wschód od Lincolnshire. Nadal było bardzo zimno. Amy sfilmowała od zewnątrz mały domek, w którym mieszkali, a potem kilka sąsiednich oraz parę co ładniejszych przyczep campingowych. Kiedy wspięli się na kamieniste wzniesienie, skierowała obiektyw na Richarda, a on, widząc to, roześmiał się i podszedł do niej mówiąc:

- Może sprawdzimy, jak ci się będzie podobało po drugiej stronie, co?

Podowała mu kamerę.

- Używałaś już kiedyś czegoś takiego? - Przechyliła głowę i patrzyła na niego wyzywająco. Przed wyjściem z domu związała włosy cienką szafirową wstążeczką; szyję owinęła kilkakrotnie niezawodnym żółtym szalikiem.

Serce mu waliło, jakby zaraz miało pęknąć. Boże! Czy ona zdawała sobie sprawę z tego, jak na niego działało takie spojrzenie? Z trudem skupił się na obsłudze kamery.

- Jasne. Tam u nas w Derbyshire nie wszyscy żyją w średniowieczu. - Oderwał oko od wizjera. - No to zrób coś. Lizzie będzie rozczarowana widząc, że tylko stoisz i się uśmiechasz. \

- Chcesz, żeby było rozrywkowo?

Potwierdził skinieniem, przykładając kamerę do oka.

- Może stanie na rękach? - Znów przechyliła na bok głowę. - Albo może bieganie w miejscu? - Zaczęła dreptać ustawiona plecami do morza.

- Rewelacja - zakpił. - Dobrze, że to nie są zdjęcia próbne do filmu akcji... O cholera!

Nagle zniknęła mu z pola widzenia. Podniósł wzrok i stwierdził, że oddała się w stronę wody.

- Musiałaś uciec? - zawołał za nią. - Właśnie udało mi się ustawić dobrą ostrość.

- Richard! - krzyknęła machając do niego gwałtownie.

- Richard! Chodź tu! Richardzie, to znowu te dzieciaki.

- Przybiegła z powrotem, chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą po kamienistym zboczu prześlizgując się między ostrymi słupami zabezpieczeń. - O Boże, Richardzie, one mają łódkę lub ponton... a wiatr znosi ich na otwarte morze...

Podążył wzrokiem za jej wyciągniętą ręką.

- Cholera - mruknął oddając jej kamerę. - Potrzyмай.

- Wsunął rękę do kieszeni i podał jej telefon. - Zadzwoń po straż przybrzeżną - polecił. - Numer dziewięć, dziewięć, dziewięć! Ja zobaczę, co mogę zrobić.

- Richardzie... - Słyszał jej wołanie pędząc w stronę dzieci, które zorientowawszy się, że są daleko od brzegu i nie mogą wrócić, zaczęły wpadać w panikę.

Biegnać ściągnął kurtkę; potem skacząc raz na jednej nodze, raz na drugiej, wydostał się z butów i skarpetek. Wtedy przyszyła kolej na gruby sweter i dżinsy. Poszczególne części ubrania znaczyły jego drogę po plaży, aż do miejsca, gdzie odziany jedynie w spodenki gimnastyczne zrównał się z przeżonymi dziećmi w pontonie, który dryfował po Morzu Północnym w odległości dobrych pięćdziesięciu jardów od brzegu... i z każdą sekundą oddalał się coraz bardziej. Bez namysłu wskoczył do morza; kiedy zanurzył się do pasa, zetknięcie z lodowatą wodą na chwilę zaparło mu dech.

- Trzymajcie się! - krzyknął machając obiema rękami do dzieci. - Nie wpadajcie w panikę! - Przestraszył się czując, jak chłód spina mu mięśnie. Boże! Tylko nie skurcz, modlił się w duchu.

Gdzieś za sobą słyszał wołanie Amy:

- Richard! Richard!



Nie mógł się odwrócić i powiedzieć jej, że nic mu nie jest, gdyż nie chciał tracić cennych sekund. Miał nadzieję, że wezwała straż przybrzeżną, bo w pewnym momencie sam zwątpił w swoje możliwości, czując, że całe ciało sztywnieje ; mu z zimna i ogarnia je przerażająca słabość.

Przedzierał się przez fale w stronę pontonu. Nagle stracił grunt pod nogami i całkowicie zniknął pod wodą. Kiedy udało mu się wreszcie wynurzyć, był zupełnie zdezorientowany. Przebijając nogami utrzymywał się na powierzchni równocześnie z niepokojem wypatrując dzieci. Dostrzegł je i stwierdził, że odległość między nim i pontonem jest teraz mniejsza; widocznie prąd odpływu musiał go przenieść, kiedy był zanurzony.

Był zadowolony, że po śmierci Grace nie zrezygnował z cotygodniowego pływania na krytym basenie w Hatton. Najlepiej i najpewniej czuł się w kraulu. Determinacja jeszcze dodała mu sił i po kilku minutach, które ciągnęły się jak godziny, zdołał chwycić linę zwisającą z dryfującego pontonu.

Dzieci były ciepło ubrane. Uświadomił sobie, co by było gdyby wpadły do wody. Stały wrzeszcząc i machając do niego, a ponton chwiał się i kołysał na falach. Przerzucił ramię przez nadmuchaną gumową burtę, uwiesił się na niej próbując utrzymać ponton poziomo i krzyknął:

- Usiądźcie! Połóżcie się! Starajcie się nie ruszać!

Dziewczynka łkała rozdzierająco:

- Ja chcę do mamusi...

- Połóż się! - mówił ostrym tonem.

Wiedział, że jedyną szansą ratunku jest doholowanie pontonu do brzegu. Wykluczone, by poradził sobie z dwójką przerażonych maluchów w wodzie. Byli opatuleni w chroniące przed zimnem grube kurtki oraz - co stwierdził z zamierającym sercem - w wysokie gumowe buty, które w przypadku wypadnięcia za burtę natychmiast nabrałyby wody i niczym kotwice ściągnęły ich na dno.

Trzymał się kurczowo pontonu przemarznięty i wyczerpany.

- Kłąć się! - powtórzył. - Oboje! Róbcie, co mówię. I ściągnijcie te buty!

Chłopiec złapał siostrę i pchnął na dno pontonu, a potem sam położył się obok niej i objął ją jedną ręką, podczas gdy drugą ściągał jej kalosze.

- Dobra dziewczynka - pochwalił Richard, choć nadal słyszał histeryczne piski małej. Opuścił się do wody odwracając głowę w stronę brzegu.

Miał przed sobą długą drogę. Amy musiała być tą małą czarną plamką odcinającą się na tle kamienistego brzegu. Tak. Dostrzegł coś żółtego. Jej szalik! Ten widok wyzwolił w nim resztki energii; mocnymi ruchami nóg i ramion posuwał się naprzód, ciągnąc za sobą ponton.

Kilka razy nikał pod falami. Miał przeciwny wiatr - bezlitosny żywioł kpił z jego siły, podnosił fale i spychał go z powrotem na otwarte morze. Ból rozsadzał mu płuca. Nie spuszczał wzroku z żółtego szalika. A potem nagle zaczęło mu się kręcić w głowie, widział podwójnie, poczwornie...

Zacisnął powieki i potrząsnął głową. Był w stanie myśleć tylko o jednym - musi wyciągnąć dzieci bezpiecznie na brzeg. Usłyszał wycie syren, potem krzyki - to znaczyło, że zbliżył się do brzegu, skoro docierają do niego te odgłosy. A potem otoczyli go ludzie przejmując od niego ponton. Wiedział, że może już puścić linę.

Położył się na wznak na wodzie, nie zważając na przenikające go zimno i odrętwienie. Widział nad sobą ołowiane niebo, dotykały go czyjeś ręce. Jakaś namoknięta wełniana szmata uderzyła go w twarz. Żółta, aha, to ten jej cholerny szalik! Próbował się roześmiać, ale nie panował na szczękającymi z zimna zębami.

Jej twarz, jej ukochana, drobna, zaczerwieniona teraz z zimna i strachu twarz wydała mu się nieznajoma bez swego zwykłego zawadiackiego wyrazu. Szare oczy były okrągłe

z przerażenia, nie wesołe i zadziorne jak zazwyczaj. Jeszcze jej takiej nie widział - bladej jak duch... i co ona do diabła zrobiła z włosami? Mokre i potargane zwisały wzdłuż policzków. Podtrzymawała mu głowę nad wodą, podczas gdy większe postacie wyciągały go na brzeg.

Amy została odsunięta na bok, a załoga karetki opatuliła go czerwonym kocem. Nie pozwolił się jednak zabrać do szpitala.

Wprowadziła go do ich małego domku przy Lane. Ciągłe odkryty był czerwonym kocem. Ktoś obcy przyniósł jego ubranie zebrane z plaży. A potem nagle zostali sami.

- Czuję się w tym stroju jak idiota.

Stał na dywanie przed kominkiem promieniującym ciepłem.

Nie odezwała się choćby słowem - ani w wodzie, kiedy zanurzona do pasa podtrzymawała mu głowę, ani na plaży, ani nawet w karetce, w której przebyli niedługą drogę z plaży do domu. Przebadano go i uznano, że wszystko jest w porządku. Teraz czuł się dobrze... tylko trochę głupio bez wierzchniego ubrania.

- Nic ci nie jest, Amy?

Nadal nie ruszała się od drzwi, które zamknęła cicho po wyjściu lekarza pogotowia. Spojrzał na nią pytająco. W odpowiedzi pokręciła przecząco głową i szepnęła:

- Nie.

- Hej, to ja powinienem być w szoku - próbował żartować.

- Richardzie! - westchnęła. - Och, Richardzie.

Zmusił się do uśmiechu; jedną ręką przytrzymując na sobie koc, drugą wyciągnął w jej stronę.

- Nie bierz tego tak tragicznie - powiedział. - Dzieciom nic się nie stało. Ledwie wyszły z wody, zaczęły traktować całe to zdarzenie jak świetną przygodę.

- Mogłeś zginąć. - Wciąż była blada, miała ściągnięte rysy. - Widziałam, jak znikasz pod wodą...

- Ale się wynurzyłem.  
- Nie żartuj na ten temat. - Nagle jakby się obudziła. - Na litość boską, Richardzie... - Jej głos nabrał histerycznych tonów.

- Hej! Chodź tutaj. - Nie opuszczał wyciągniętej ręki.

Podbiegła do niego; wciąż miała na sobie przemoczoną płócienną kurtkę i przyklejony do szyi mokry szalik. Objęła go mocno. Przez koc czuł, jak drży na całym ciele. Dotknął ustami mokrych jasnych włosów mruczac uspokajająco:

- Amy...Amy.

Naraz zrozumiał, skąd się wzięło jej przerażenie. Przecież Kip Weldon utonął, więc dzisiejszy wypadek zapewne wywołał jej koszmarne wspomnienia. Zamknawszy oczy, trzymał ją w ramionach, dopóki się trochę nie uspokoiła. A ona nie odrywała głowy od jego ramienia ani nie próbowała się od niego odsunąć.

Ostrożnie odwinął jej z szyi szalik i odrzucił na podłogę.

- Jesteś cała mokra - powiedział. - Nie powinnaś była wchodzić do morza.

- Musiałam. Ty tam byłeś.

Zdjął z niej kurtkę i rzucił obok szalika.

- Jeszcze złapiesz zapalenie płuc przez te mokre rzeczy. Wyglądasz jak zmokły szczur.

- Umiesz prawie komplementy - zaśmiała się słabo.

- No już, zdejmuj je.

- Nie chcę cię puszczać. - Patrzyła mu w oczy z napięciem.

- To normalne. Domyślam się, że to musiało przywołać wszystko od nowa?

- Przywołać co? - zdziwiła się.

- Śmierć Kipa Weldona - odparł szybko.

Patrzyła na niego z coraz wyraźniejszym niedowierzaniem, które po chwili przeszło w złość.

- Chyba żartujesz.

- Amy... rozumiem, przez co musiałaś przejść.

- Rozumiesz? - wysyczała odpychając go od siebie. Z twarzą wykrzywioną gniewem wycofała się do drzwi prowadzących na schody, skąd dodała zdławionym głosem: - Nie masz pojęcia. Naprawdę nie masz pojęcia.

- Amy, wracaj. Nie odchodź. Nie chcę, żebyś była sama... z tymi wspomnieniami, jakie musiał wywołać ten wypadek.

- Nawet o nim nie pomyślałam! - krzyknęła. - Byłam jak najdalej od myślenia o Kipie Weldonie. Chodziło mi o ciebie, Richardzie! O ciebie! Nie rozumiesz tego?

- Naprawdę... - Potrząsnął głową zaskoczony jej reakcją. Otworzyła drzwi, lecz zanim wyszła zawołała:

- Myślałam, że cię tracę. Znikałeś pod wodą tyle razy. A gdyby ciebie zabrakło, co by mi pozostało w życiu? - Łzy same popłynęły jej po policzkach. Zdawała się ich nie zauważać. Patrząc na niego bezradnie, wyznała łamiącym się głosem: - Kocham cię, Richardzie. Ale ciebie to nic nie obchodzi, prawda? Widzisz we mnie zabezpieczenie jakiejś cholernej pożyczki na odbudowę Wydaleń, tylko tyle dla ciebie znacę.

- Amy... nie... - Wydawało mu się, że jednak rzeczywiście umarł i znalazł się w niebie... skoro powiedziała, że go kocha.

Odezwał się w niej dawny bojowy duch. Podbródek uniósł się dumnie na przekór wciąż płynącym łzom.

- W porządku! Będę twoim zabezpieczeniem. Wyjdę za ciebie, kiedy zechcesz i gdzie zechcesz. Wyznacz datę. Spotkaj się z moim wujem i ustalcie, co trzeba. Tego właśnie chcesz, prawda? No i to jest jedyny sposób, żebyś mógł zostać właścicielem Wydaleń! - Roześmiała się gorzko. - Tej kupy kamieni - zadrwiła. - Kupy kamieni dla człowieka od kamieni. Dla człowieka z kamienia.

- Amy... Amy... - Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Nie mógł uwierzyć, że jest dla niej kimś więcej niż przyjacielem. Szukał w sercu odpowiednich słów, ale zanim przyszły mu do głowy, usłyszał jej rozdzierający szloch.

Wybiegła z pokoju zatrzasnąwszy za sobą drzwi; jej kroki zadudniły na schodach, kiedy biegła do swojej sypialni. Trzaśnięcie kolejnych drzwi wprawiło w drżenie cały domek.

Przez kilka minut stał w miejscu oszołomiony, a potem ściągnął z siebie koc, rzucił go na kanapę i schylił się po dzinsy. Nagle podniósł głowę i spojrzał na sufit, wyobrażając ją sobie tam na górze, samą w swojej sypialni, płaczącą z obawy, że go utraci. Bez namysłu rzucił spodnie na podłogę i pobiegł na górę.

Siedziała na wyściełanym stołku przed toaletką; odwróciła głowę, kiedy wpadł do pokoju.

Spodziewał się ją zastać płaczącą, drżącą z zimna w przemoczonym ubraniu... a nie siedzącą w samym staniku i majtkach, zmywającą makijaż. Dżinsy, skarpetki i buty poniewierały się rozrzucone po całej sypialni.

- Odejdź - odezwała się szorstkim tonem. - Muszę się doprowadzić do porządku, na litość boską. - Zmierzyła go badawczym wzrokiem. - Nawiasem mówiąc, chyba powinienesz zrobić to samo, nie uważasz? Gimnastyczne spodenki są do

przyjęcia u kochanków, ale skoro mówimy o małżeństwie z rozsądku...

- Amy! Nie zaczynajmy od nowa.

Uniosła brwi ze zdziwieniem.

- A nie po to właśnie tu przyszedłeś? Żeby rozpocząć kolejną kłótnię?

- Nie.

Cisnęła zużyta chusteczkę higieniczną do kosza przy toaletce.

- Więc po co? - spytała podnosząc na niego wzrok. - Po co tu jesteś? Twoja sypialnia jest po drugiej stronie korytarza. Radzę się odwrócić i jej poszukać... panie Boden.

- Wydawało mi się, że jesteś zdenerwowana. - Wyciągnął rękę w pojednawczym geście. - Dlatego za tobą przyszedłem... W każdym razie to był jeden z powodów.

- Miejmy nadzieję, że drugi powód będzie bardziej wiarygodny niż pierwszy. - Wzięła do ręki małą złotą pudemiczkę i przejrzała się w lusterku. - Boże! Wyglądam jak straszdyło. - Kontemplowała swoje odbicie najwyraźniej czekając, żeby albo opuścił jej sypialnię, albo podał sensowny powód pozostania.

Podszedł do niej i stanął za jej plecami, tak że mógł widzieć wyraz jej twarzy w dużym lustrze toaletki.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz. - Z trudem utrzymał spokojny ton. Wolałby otworzyć okno i wyrzyczyć te słowa całemu światu. Miał na to wielką ochotę.

Obrzuciła go surowym spojrzeniem. Wciąż miała ślady łez na policzkach, szkliste oczy i zaczerwieniony nos.

- Nie podobasz mi się taka.

- A myślisz, że sobie się taka podobam? - Trzasnęła pudemiczką o blat toaletki. - Niektóre dziewczyny potrafią łzami zdobywać męskie serca. A ja? Mam z tego jedynie zapuchnięte oczy i katar!

- W takim razie chyba powinienem ci dać kosza - stwierdził



z rezygnacją. - Albo to, albo nigdy nie będę cię doprowadzał do płaczu, bo z pewnością nie byłbym w stanie siedzieć naprzeciw ciebie przy śniadaniu, gdybyś zbyt często miała zapuchnięte oczy i katar.

- Bardzo zabawne! - prychnęła.

- Nie mogę znieść nawet myśli, że mógłbym ci to robić I - powiedział tym razem poważnie.

- Niby co? - Zaczęła rozczesywać włosy szczotką.

- Doprowadzać cię do płaczu.

Zatrzymała rękę w pół ruchu i pogroziła mu szczotką.

- Słuchaj - powiedziała rzeczowo. - Chcę, żeby Wydale zostało odbudowane... a ty chcesz jakiegoś zabezpieczenia/ W porządku, będziesz je miał. Powiedziałam, że za ciebie \ wyjdę i nie cofnę słowa. Bierz mnie, póki masz okazję.; Następna szansa się nie powtórzy... jeśli wiesz, co mam na myśli.

Skrzyżowawszy ramiona na piersi, patrzył z góry na jej lśniące złociste włosy.

- Wiem, co masz na myśli - rzekł spokojnie. - Nie masz zamiaru oświadczać mi się po raz drugi, zgadza się?

- Najzupełniej. Znajdą się inni chętni, jeśli ty mnie nie zechcesz.

- Chcę ciebie. - Stał bez ruchu czekając na jej reakcję.

Nie przerywając szczotkowania włosów, rzekła:

- Udowodnij to, Bodie.

- Udowodnić, że cię chcę?

- Uhmhm.

Zmrużył oczy. Do czego ona zmierzała?

- Mogę ci to udowodnić jedynie słowami.

- Albo czynem. - Odłożyła szczotkę i określiła się na taborecie.

Patrzył jej w oczy unikając wzrokiem skrawka jedwabnej koronki zakrywającego jej piersi. Nie mógł jednak nie widzieć kształtnych ramion i pociągającego zagłębienia u nasady szyi.

Podniecała go nawet całkiem ubrana i w tym cholernym żółtym szaliku... a co dopiero w takim stroju. Czyżby sobie nie zdawała sprawy z tego, że igra z ogniem?

- Włóż coś na siebie - odezwał się chrapliwie. - Na litość boską...

Rozejrzał się po pokoju, szukając czegoś, czegokolwiek, w czym wyglądałaby mniej pociągająco. Na łóżku leżał szlafrok. Sięgnął po niego i podał jej.

- Proszę! Okryj się.

Zignorowała jego wyciągniętą rękę. Stanęła przed nim - długonoga i smukła. Odwróciwszy się do niego plecami, poprosiła:

- Sam mnie okryj... jeśli moja nagość ci przeszkadza.

- Przeszkadza mi! - warknął.

Wysunęła do tyłu ramiona, a on nałożył jej szlafrok. Lecz nim zdążył cofnąć ręce, odwróciła się i wpadła w jego objęcia.

- Amy! Nie!

- Obejmij mnie.

- Przecież już cię obejmuję, na litość boską... - I rzeczywiście to robił, wbrew swojej woli. Jego dłonie same przesuwały się po śliskim jedwabiu szlafroka... z ramion na talię.

- Chcę, żebyś włożył ręce pod kimono. - Ujawszy jego dłonie, sama przycisnęła je do swej gołej skóry.

- Kimono? - zdziwił się, próbując zapanować nad swoim umysłem... i ciałem, które paliło go z pożądania.

- Brzmi o wiele bardziej seksownie niż na przykład „podomka”. Nie sądzisz? - Położyła mu ręce na ramionach.

- Hej, próbuję cię uwieść, ale ty mi to najwyraźniej utrudniasz.

- Nic z tego. - Odsunął się od niej. - Do licha, Amy...

- Jego głos, przesycony pragnieniem, mimo wszystko brzmiał stanowczo. - Nie po to tu przyjechalśmy. Nie mogę... nie mam zamiaru cię wykorzystać.

Popatrzyła na niego ironicznie.

- Pragniesz mnie - stwierdziła.

- Owszem. Pragnę cię... i pragnę się z tobą ożenić.
- Więc nie kupuj kota w worku - zakpiła.
- Nie drwij sobie - poprosił. - Nie rób tego, Amy.

Stając na palcach dotknęła ustami jego ust.

- Nadal mnie nie przekonałeś, że naprawdę mnie chcesz.

Wymagało to wielkiej siły woli, ale zdołał ją od siebie odsunąć; mruknął:

- Powiedziałaś, że mnie kochasz, Amy. Ale to nie jest miłość. Wykpiwasz to, co do ciebie czuję.

W jej oczach pojawił się nowy błysk.

- Co do mnie czujesz?

- Kocham cię i szanuję. Czy to ci nie wystarcza?

Przyciągnęła do siebie poły kimona otulając się szczelnie. Związała cienki pasek i odwróciła się do okna.

Wiedział, że jest głupcem odrzucając to, co mu oferowała. Żałował też, że był wobec niej tak brutalnie szczery. Przeszedł przez pokój i stanął za jej plecami; czuł zapach morza w jej włosach, delikatny aromat jej ulubionych perfum. Miała w sobie odwieczną żywotność oceanu i młodą świeżość poranka. Była jego dniem, jego nocą, słońcem i księżycem; wypełniała jego myśli i serce swoim śmiechem... i racjonalizmem.

Dotknął jej ramion; poczuł, jak się rozluźnia. Odchyliła głowę do tyłu muskając włosami jego palce. Przysunął się bliżej, a ona ujęła jego rękę, wsunęła pod cienki materiał i położyła na swojej piersi. Jej skóra wydawała się jeszcze gładsza niż jedwab kimona; pod jego dotykiem brodawka zmieniła się w twardą kuleczkę.

Pochyliwszy głowę, zaczął wodzić ustami po ciepłej skórze jej szyi, wokół ucha, a potem wolno odwrócił ją przodem do siebie zmiernając ku słodkim, zapraszającym wargom.

Na długie minuty połączyli się w błogiej ciszy pocałunku... która musiała zostać przerwana.

- I na tym koniec, Amy - szepnął. - Przynajmniej na dzisiaj.

- Nie - zaprotestowała. - To dopiero początek, Richardzie. Nie możemy się teraz wycofać.

Jakimś cudem znalazł w sobie siłę, żeby oderwać dłoń od jej piersi. Zadrżała. W uniesionej ku niemu twarzy, okolonej włosistymi kosmykami włosów, szare oczy pały niczym u tygrysyca pilnującej łupu.

- Dlaczego? - jęknęła zawiedziona. - Czemu mnie nie chcesz?

Ujął jej twarz w dłoń.

- Jak mam ci tłumaczyć? - rzekł miękko. - To byłoby zbyt ryzykowne. Moglibyśmy stworzyć nowe życie, kochanie.

- Dziecko? - Oczy jej się zaokrągliły.

Pokiwał głową twierdząco.

- Nie podejmę tego ryzyka, Amy. Nie mogę.

- Przyjechałeś tu ze mną i nie pomyślałeś o tym, żeby wziąć... coś ze sobą? - Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Do licha, nie! Nie miałem zamiaru...

- W college'u... tam w Stanach... mówili nam, żeby nigdy nie zdawać się na przypadek.

- Ja nie chodziłem do college'u - przypomniał jej z uśmiechem.

- A ja nigdy nie zdawałam się na przypadek. Zawsze nosiłam to w torebce, tak jak nam przykazali, ale nigdy nie miałam okazji go użyć.

- Amy... o czym ty mówisz?

- Nigdy go nie wyjęłam i nie wyrzuciłam, Richardzie. A moja torebka leży tam przy łóżku.

Leżała odwrócona do niego plecami, wtulona w jego nagość. Obejmował ją w pasie; jego dłoń spoczywała na jej nagim udzie. Tak powinno być zawsze, pomyślał sennie. Tak jest zawsze, kiedy ktoś kogoś kocha.

A on ją kochał.

Powoli docierało to do niej, kiedy tak leżała otoczona przytulnym ciepłem wielkiego podwójnego łóżka. Kochał ją.

Wolno przewróciła się na plecy, starając się zrobić to jak najostrożniej. Z pewnością spał - leżał tak cicho, odkąd ucichła burza namiętności, której dali się ponieść.

Nie spał. Półleżąc, wsparty na poduszce, przyglądał się jej z góry.

- Kochaj się ze mną znowu - zamruczała. - To naprawdę było wspaniałe, panie Boden.

- Nie - odmówił, ale na ustach i w kącikach oczu czaił się uśmiech. Pochylił się nad nią i musnął jej usta lekkim jak piórko pocałunkiem.

- Nie? - spytała. - Więc tobie się nie podobało? - Kpiący wyraz jej oczu świadczył niezbicie o tym, że zna odpowiedź.

Nagle spoważniał.

- To, co zrobiliśmy, było czyste i cudowne. Ale Amy, kochanie, powinnaś była mnie uprzedzić...

- Gdybym to zrobiła, nie tknąłbyś mnie przed ślubem. - Uniosła rękę i pogładziła go delikatnie po twarzy. - W końcu to nic wielkiego.

- Dziewictwo to nic wielkiego?

- Te dzieciaki, z którymi chodziłam do college'u, zjadłyby mnie żywcem, gdyby wiedziały, że jestem taka niedoświadczona. Trzeba było udawać, żeby myśleli, że jestem taka sama jak reszta. Dlatego nosiłam ze sobą te gumki.

- Nabrałaś mnie.

- Ale było niezłe, co? - Uśmiechała się zachęcająco.

- Było wspaniale. Masz na to moje słowo.

- No więc! Kochajmy się jeszcze raz!

- Najpierw pomówmy o ślubie.

- Jak długo to trwa tu, w Anglii? - spytała rzeczowo.

- Z zachowaniem przyzwoitości... czy bez?

- Bez. Chcę być twoją żoną. Podoba mi się to, co ze mną robisz.

Westchnął bezsilnie.

- Przestań - poprosił. - Na litość boską, nie utrudniaj mi tego dodatkowo.

- Przestraszyłam się tego, że nigdy nie mówisz o miłości.

- I dlatego zmieniłaś się w stosunku do mnie? Dlaczego nagle staliśmy się dla siebie obcy?

- To było tuż przed telefonem od Lizzie - powiedziała, czując nieprzepartą potrzebę wyjaśnienia wszelkich nieporozumień. - Rozmawialiśmy o Wydale i zdawało mi się, że chcesz mi powiedzieć, że między nami wszystko skończone.

- Naprawdę uwierzyłaś, że cię nie chcę? - Usiadł wyprostowany, odepchnął od siebie poduszkę. - Amy! Jak mogłaś tak pomyśleć?

- Ale przecież powiedziałaś...

- Martwiłem się o ciebie, kiedy wczoraj wieczorem poszłaś na spotkanie z Jane Weaver. Wiedziałem, że nie powinienem, ale miałem ci za złe, że poszłaś sama. Dziś rano żałowałem swojego zachowania. Chciałem cię przeprosić, wytłumaczyć ci, że nie mam zamiaru trzymać cię pod kloszem. Nie chcę zrobić z ciebie posłusznej żony, która musi we wszystkim słuchać męża. Amy, kochanie, kocham cię taką, jaka jesteś, nie pragnę cię zmieniać. Czy to rozumiesz?

- Więc nie zamierzałeś powiedzieć, że mnie nie chcesz?

- Do diabła! Pewnie, że nie! - Spojrzał jej w oczy. - Amy! Zostań taka, jaka jesteś. Walcz ze mną. Kłóć się ze mną. Ale, na litość boską, nigdy mnie nie opuszczaj.

- Nie mam zamiaru cię opuszczać. - Przytuliła się do niego z całych sił. - Ale musimy wstać.

- Dlaczego? Dokąd mamy iść?

Wychyliła się w stronę stolika przy łóżku sięgając po podróży budzik.

- Jest wpół do drugiej. Obiecałam Lizzie, że zadzwonię do wuja Gifa, pamiętasz?



- Mówisz, jakbym ci się naprawdę dała we znaki.
- Wolałbym być teraz z tobą w domu i snuć ślubne plany, niż włączyć się po rozmokłych kapuścianych polach.
- Dojeżdżamy do rozwidlenia zaznaczonego na mapie.
- Tak, skarbie. Wiem.

Halfpenny End okazało się wąską dróżką na pierwszy rzut oka prowadzącą donikąd. Jednakże po przejechaniu pół mili między rzędami wschodzącej kapusty Amy dostrzegła samotną farmę.

- Wydaje mi się, że znaleźliśmy tego twojego człowieka
- rzekł Richard zatrzymując pełznącego wolno land-rovera.
- To tutaj. - Wskazał na zabudowania, które z daleka wydawały się opuszczone i wtopione w otaczające je pola; monotonii krajobrazu nie przerywało nawet pojedyncze drzewo.

- Cóż za ponure miejsce. - Amy aż się wstrząsnęła.
- Dzięki Bogu, że nie przyjechałam tu sama.
- Do tego jeszcze ta ulewa i ołowiane niebo, co?
- Mam nadzieję, że jest w domu.

Richard ruszył samochodem po śladach kolein, stanowiących najwyraźniej jedyną drogę do farmy.

- W oknach nie widać światła.
- Psiakość! Co za zapyziała okolica.

Dzięki napędowi na cztery koła jazda po nierównym terenie nie przedstawiała trudności; wkrótce znaleźli się przed domem, który z bliska wyglądał jeszcze bardziej przygnębiająco niż z oddali. Niektóre z okien na piętrze były porozbijane. W przybudówce, niedbałe doklejonej do głównego budynku drzwi wisiały na jednym zawiasie. Zabudowania, uformowane w kształt połowy prostokąta, otaczały placyk zastygłego błota. Nigdzie nie było śladów życia.

- Podejdę do drzwi. - Odwróciwszy się do Richarda, dodała:
- Nie wejdę do środka. Obiecuję.
- Pójdę z tobą.



Ten jeden, jedyny raz nie sprzeciwiała się.

Wyskoczyła z samochodu podciągając pod brodę kołnierz przeciwdeszczowej kurtki i ruszyła biegiem w stronę domu. Nie było żadnego ogródka, jedynie morze błota i chwastów. Dotarwszy do ścieżki zaznaczonej potłuczonymi kamiennymi płytami, zatrzymała się, by poczekać na Richarda.

- O co chodzi? - zdziwił się, widząc że nie rusza się z miejsca.

- Spójrz. - Wyciągnęła rękę. - Krzak róży obok drzwi. Na całym tym pustkowiu mały, niepozorny krzak róży.

- Nie ma szans przetrwać. Nie pośród tych wszystkich chwastów.

Z wahaniem podeszła do krzewu. Z nagej gałązki zwisała krótka tasiemka. Przykucnąwszy, wzięła ją do ręki. Był na niej niewyraźny rysunek białej róży, ale nazwa gatunku zupełnie się rozmyła. Nie wiadomo, czemu po plecach Amy przebiegł zimny dreszcz. Poderwała się na równe nogi i podbiegła do drzwi pokrytych płatami odłóżającej farby.

Załomotała głośno.

- Hej! Jeśli nawet ten facet tam jest, to go tak przestraszysz, że ucieknie. - Richard stanął obok niej.

- Mam to gdzieś. Nie podoba mi się tu. Chcę tylko z nim pogadać i wynosić się stąd.

- Tu nikogo nie ma, Amy.

Jeszcze raz, coraz bardziej zdenerwowana, zastukała w drzwi.

- Co on knuje? Dlaczego nie chce ze mną porozmawiać?  
- Waliła w drzwi zaciśniętą pięścią.

Postali chwilę w ciszy, pod dachem mizernego ganku, który nie dawał prawie żadnej osłony przed deszczem. Zaczynało się ściemniać; wokół panowała głęboka cisza.

Nagle rozległ się sygnał telefonu Richarda. Amy aż podskoczyła.

- Co się dzieje?... - Patrzyła na Richarda szeroko otwartymi oczyma. Żałowała, że tak się upierała, żeby tu przyjechać.

- Już dobrze. - Wyjął telefon z tylnej kieszeni. Dzwoniła Lizzie Abercrombie. Richard słuchał ze zmartwioną miną.

- Co się stało? - spytała szeptem Amy.

Uciszył ją gestem.

- Słabo cię słyszę, Lizzie. Jesteśmy na pustkowiu...

W telefonie zatrzeszczało, ale po chwili słowa Lizzie rozległy się głośno i wyraźnie.

- Gif... atak serca...

- O, nie!

- Wracamy do domu, Lizzie - mówił Richard. - Rób to, co kazał lekarz. Będziemy w domu przed północą.

Amy patrzyła, jak chowa telefon.

- Wuj Gif... on chyba nie...

- Gif miał atak serca. - Richard wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do land-rovera. - Duncan Ward umarł godzinę temu. Twój wuj był przy nim. Lizzie mówi, że jest załamany. Jego serce nie wytrzymało takiego ciosu.

- Och, Richardzie... A ja dopiero co z nim rozmawiałam. Mówiłam mu o ślubie i w ogóle...

- Daj spokój, kochanie. Wsiadaj. - Przytrzymał otwarte drzwi czekając, aż się usadowi, a potem okrążył samochód, żeby usiąść za kierownicą.

- Poczekaj chwilę - zawołała, nim ruszył. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Sięgnęła do torebki.

Trzymając samochód na jałowym biegu przyglądał się, jak pospiesznie zapisuje coś na odwrocie koperty wygrzebanej z torebki.

- Dobra myśl - pochwalił. - Zostawiając Rogerowi Claybourne'owi wiadomość, będziesz mieć pewność, że ją otrzyma, gdy wreszcie wróci do domu. Nie będzie mógł jej zignorować.

Wyskoczyła z samochodu, podbiegła do drzwi i wepchnęła kopertę do środka przez szparę na listy. Miała świadomość, że chwilowo nie może zrobić nic więcej.

Gdy wrócili do domu, zajęła się pakowaniem i uprzątnieniem

zawartości kuchennych szafek i lodówki; chwilowo zapomniała o Rogerze Claybournie.

- Nie możemy zostawić nic, co by się mogło zepsuć - wyjaśniła, kiedy Richard wszedł do kuchni po zapakowaniu ich rzeczy do land-rovera. - A co z kluczami?

- Właśnie rozmawiałem przez telefon z właścicielem i wyjaśniłem mu, dlaczego musimy wyjechać. Powiedział, że jego siostra mieszka pod dziewiątką... kilka numerów stąd. Mogę u niej zostawić klucze.

- Chcę wrócić do Wydaleń, Richardzie - szepnęła, chora z niepokoju.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Wiem, Amy. - Spojrzał na zegarek. - Jest prawie szósta. Powinniśmy być w domu przed dziesiątą. Lizzie nie zostanie na noc sama w domu, jeśli wszystko pójdzie jak trzeba.

Kilka następnych dni upłynęło jak w transie. Trzeba było zorganizować pogrzeb Duncana Warda, odwiedzać Gifa w szpitalu. Atak serca okazał się niezbyt ciężki, lecz Amy stwierdziła, że wuj znacznie się postarzał od czasu, gdy ostatni raz go widziała. Stanowczo domagał się wypisania ze szpitala miejskiego w Hatton, więc w końcu lekarze uznali, że może istotnie lepiej będzie zabrać go do domu.

Amy pojechała z Johnem Grahamem po wuja. Kiedy zjechali z głównej szosy i mijali dom Duncana Warda, wuj

stracił opanowanie i zaczął szlochać. Amy czuła, że i jej wilgotnieją oczy. Była w rozterce, nie umiała sobie poradzić z zaistniałą sytuacją. Nieśmiało położyła dłoń na rękawie wujowego płaszcza, mówiąc cicho:

- Wujku, bardzo ci współczuję.

- Był moim przyjacielem - odrzekł na to, wycierając twarz chustką.

Wiedząc, co łączyło Gifa z Duncanem, Amy nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów pocieszenia. Ukrywał przed nią szczegóły swego związku, a ona nie chciała w takim momencie wprawiać go w zakłopotanie, dając mu do zrozumienia, iż zna prawdę. Zawsze istniała jakaś niewidzialna bariera pomiędzy nią i wujem, ale dopiero po śmierci Duncana stało się jasne, dlaczego niegdyś odesłano ją z Wydale. Teraz lepiej go rozumiała, zastanawiała się przy tym, czy Kate i Marty orientowali się w sytuacji, kiedy ją adoptowali.

Gif uparł się, że weźmie udział w kremacji Duncana. Poszli z nim wszyscy - Amy i Richard, Lizzie i John Graham. Według słów Gifa, stanowili dla Duncana jedyną rodzinę, jaką posiadał.

Jakiś tydzień po pogrzebie Amy doszła do wniosku, że wszystko wraca do normy i zaczęła okazywać zainteresowanie planami Richarda dotyczącymi ślubu w sierpniu. Żadne z nich nie chciało długo czekać. Wydale Hall na gwałt wymagało remontu, a czas płynął, z każdym dniem odciskając swe piętno na wiekowej budowli. Stojąc pod portretem Barbary Weldon w głównym holu, w ostrym wiosennym świetle wpadającym przez okna, Amy wszędzie wokół dostrzegała ślady zniszczenia - spękania na posadzce, szpary we framugach okiennych, zbutwiałe krokwie na dachu.

- Zaniedbałem ten dom.

Odwrociła się słysząc za sobą głos wuja.

- Myślę, że to się stało niepostrzeżenie. Nie zawsze zauważamy, co się wokół nas dzieje.

- Łagodnie powiedziane, moje dziecko. - Uśmiechnął się do niej z przymusem. - Ale prawda jest taka, że zbyt mało dbałem o Wydalę w przeszłości, a teraz ono mi odpłaca.

- Richard dopilnuje, żeby wszystko zostało zrobione jak trzeba. - Spojrzała na portret nad kominkiem; miała ochotę zapytać wuja o Barbarę, lecz bała się budzić dawne wspomnienia, które mogłyby go zdenerwować.

- Ona zrobiła to, co należało. - Słowa zabrzmiały gwałtownie i dosadnie. - Wyniosła się w korzystnym momencie.

- Ciekawa jestem, co się z nią stało - powiedziała Amy łagodnie.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Byłem zadowolony, że się jej pozbyłem.

- Więc rozwiodłeś się z nią? - Amy odwróciła głowę i popatrzyła na przygarbionego starego człowieka stojącego obok niej.

Przytaknął skinieniem.

- Na podstawie porzucenia. Nie miała prawa tak odejść. Zrobiła ze mnie głupca.

Zaskoczyła ją gorycz brzmiaça w jego głosie, a jeszcze bardziej oskarżenie pod adresem Barbary. W jego słowach nie dało się wyczuć cierpienia; nic też nie wskazywało na to, że żona, opuszczając go, złamała mu serce. Jakby jej nigdy nie kochał. Amy zastanawiała się, w jakim momencie Duncan wkroczył w jego życie. Bo przecież Gif Weldon nie poślubiłby Barbary, gdyby w tym samym czasie był związany z jakimś mężczyzną...

- Może ten portret nie powinien tu wisieć? Wciąż ci o niej przypominać? - zasugerowała.

- Portret zostanie tu, gdzie jest. - Popatrzył na obraz ciężkim wzrokiem, jakby chciał go jeszcze mocniej przytwierdzić do ściany, a potem odwrócił się z powrotem do Amy.

- Amy, nie musisz wychodzić za Richarda Bodena. Może się myliłem popychając cię w jego ramiona.

Te słowa podziały na nią jak lodowaty prysznic, w pierwszym momencie wzbudzając gniew. Czy on naprawdę myśli, że może nią manipulować według swego widzimisie? Czy jest aż tak gruboskórny, że przypuszcza, iż chce wyjść za Richarda dla jego pieniędzy? Opanowała złość i oznajmiła spokojnie:

- Chcę wyjść za Richarda. Kocham go.

- Więc nie robisz tego tylko dla Wydale? - Patrzył na nią chłodno, jakby z oddali.

- Nie. Zupełnie nie. Przyznaję jednak, że z początku...

W wyblakłych oczach zapaliła się słaba isierka.

- W morzu jest wiele ryb.

- Ale ty, wujku, chciałeś dla mnie złotej rybki - odparowała bez namysłu. - A tych nie ma zbyt wiele, prawda?

Poruszył rękami kryjąc zakłopotanie.

- Nie wiem, kochanie, o co ci chodzi. Ustaliłaś już datę ślubu... a ja, cóż, nie wiem, czy powinnaś...

Zaśmiała się szorstko.

- Chcesz, żebym się wycofała? Żebym zawiodła Richarda? Myślałam, że jesteś jego przyjacielem.

- Amy! Źle mnie zrozumiałaś. Mam na myśli tylko to, że może lepiej by ci było z kimś bliższym ci wiekiem. Z kimś młodszym.

- Richard jest starszy ode mnie o trzynaście lat. Do licha, nie jest starcem.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem... - Wolno porząsała głową, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała.

- Wujku, powiedziałam ci, że kocham Richarda. - Wyciągnęła do niego rękę. - Uwierz mi - poprosiła. - Wiem, co robię, nie wychodzę za Richarda tylko dlatego, że może pomóc Wydale. Nie mogłabym poślubić kogoś, na kim by mi nie zależało, a na Richardzie mi zależy. Data naszego ślubu jest ustalona, Kate i Marty przyjeżdżają z Ameryki... i cieszą

się z mojego wyboru, choć nie znają Richarda osobiście. Kate napisała mi w ostatnim liście, że tyle jej o nim opowiedziałam, że czuje się jakby go już znała.

- W porządku, moje dziecko. Dobrze - rzekł ze zniecierpliwieniem, i ruszył w stronę korytarza prowadzącego do gabinetu przy kuchni. Nagle zawahał się, przystanął i zwrócił się do niej:

- Amy, proszę cię, odłóż ten ślub na jakiś czas. Zrób to dla mnie. Proszę cię, moja droga.

- Nie! - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Amy... nie sądzę, żeby to było właściwe.

Wyprostowana jak struna, patrząc mu w oczy, powiedziała:

- To twój problem, wuju. Ja nie odwołam ślubu.

- W takim razie nie wezmę ani centa z jego cholernych pieniędzy! - Stary człowiek rzucił jej gniewne spojrzenie, odwrócił się na pięcie i szybko odszedł do swojego gabinetu.

W chłodny, słoneczny dzień w Londynie Catherine Blake znalazła zaciszne miejsce w St James's Park, gdzie mała Kim mogła karmić kaczki. Catherine podążała krok w krok za córeczką tuż przy brzegu stawu, od czasu do czasu spoglądając ponad rozległym trawnikiem w stronę Mail. Spóźniał się, ale była do tego przyzwyczajona.

Dla Marka Powella czas nie miał żadnego znaczenia. Jeśli akurat był zaangażowany w sesję zdjęciową, nic innego się nie liczyło, a w końcu umówili się na to spotkanie w środku zeszłego tygodnia, kiedy do niej zadzwonił. Uznała, że mógł zapomnieć i specjalnie się tym nie przejmowała. Zresztą postanowiła się nie angażować, gdyż niepokoiła ją różnica wieku pomiędzy nią a Markiem - on miał dwadzieścia dwa lata, a ona o cztery więcej. W dodatku miała córkę. Była dla swego dziecka jednocześnie matką i ojcem, i całkiem jej to odpowiadało.



Jednakże musiała przyznać, że Mark Powell wywarł na niej wrażenie. Od tamtego wieczoru, gdy pojawił się u niej ze zdjęciami Wydale Hall, widziała się z nim kilka razy - zwykle w obecności Kim, ale raz jej siostra zgodziła się zostać z małą i poszli z Markiem do teatru. Polubiła go. Potrafił być miłym kompanem. Umiał rozmawiać i okazywał zainteresowanie jej pracą.

Usłyszała, jak Big Ben wybija dwunastą. Pewnie już nie przyjdzie; mówił, że spotkają się jakiś kwadrans po jedenastej.

Kim odwróciła się od wody, wyciągając rączki po więcej okruchów dla kaczek.

- Jeszcze, mamusiu.

- Już nic nie ma, kochanie. - Nachyliła się nad małą, wzięła ją na ręce i umieściła w wózku.

- Nie zostawiłyście dla mnie ani trochę chleba, żebym mógł rzucić kaczkom?

Nie spodziewała się już dziś usłyszeć tego głosu. Podniosła wzrok.

- Właśnie miałyśmy iść do domu.

- Och, proszę, nie. Znasz mnie, kochana Kit... zupełnie nie mam poczucia czasu.

- Nie jestem twoją „kochaną Kit”! I nie traktuj mnie jak swojej własności.

- Czy to coś pomoże, jeśli powiem, że mi przykro?

Lubiła to soczyste szkockie brzmienie w jego głosie, ale tego dnia postanowiła, że nie podda się jego urokowi.

- Możesz sobie darować te uwodzicielskie pomruki - uprzedziła. - Umiesz być czarujący, jeśli zechcesz, ale na mnie to nie działa.

- Ale mam wolne całe dzisiejsze popołudnie.

- Niestety, ja nie. - Usadziła córeczkę w wózku, okryła jej nogi kocykiem i dla bezpieczeństwa przypięła małą szelkami.

- Kim jest głodna. Ja zresztą też - dodała.

- Są miejsca, gdzie dostawiają wysokie krzesła dla dzieci - kusił.

- Kim jest zmarznęta.

- A Kit-Kat jest w złym humorze - stwierdził ze śmiechem.

- Nie nazywaj mnie tak. - Zacisnęła gniewnie usta. - Już ci mówiłam: nie chcę, by mnie znano pod jakimkolwiek innym imieniem niż Catherine.

- Przecież on cię nazywał Kitty. Sama mi mówiłaś.

Wzdrygnęła się.

- Kip nazywał mnie Kitty, bo mnie kochał. Nazywał mnie Kitty, bo to pasowało do Kipa. Kip i Kitty! Kip i Catherine nie brzmiało już tak dobrze... a przynajmniej on tak twierdził.

- Zaśmiała się cicho na wspomnienie tych słów, po czym patrząc na Marka powiedziała: - A teraz jest Kim i Kitty... i nie ma miejsca w moim życiu na żadnego mężczyznę. Zrozumiano?

Zsunął z ramienia ciężką torbę ze sprzętem fotograficznym, opuszczył ją na trawę i wyciągnął rękę w geście pojednania.

- Wybacz mi. Chociaż, prawdę mówiąc, sam nie wiem, czym cię tak zdenerwowałem.

- Spóźniłeś się - przypomniała mu. - Trzy razy pod rząd się spóźniłeś i jestem już trochę zmęczona tym ciągłym wyczekiwaniem na ciebie.

- Moja praca...

- Ja też pracuję - weszła mu w słowo. - I cenię sobie ten jeden wolny dzień w tygodniu.

- Nie byłaś przypadkiem w Derbyshire?

- Czemu o to pytasz? - Patrzyła na niego ze zdumieniem.

Wzruszył ramionami.

- Bo nie było cię w domu w ostatni weekend, kiedy do ciebie dzwoniłem.

- Pojechałam odwiedzić ciotkę na wybrzeżu. I nie miało to nic wspólnego z twoją osobą.

- Myślę, że mógłbym tam wrócić. Do Derbyshire. Co myślisz o jeszcze jednym weekendzie w Hawkwood Arms?

- Dlaczego?

Roześmiał się z pewnym zażenowaniem.

- Bez powodu. Jestem po prostu ciekaw, nic więcej.

- Dlaczego miałabym chcieć znowu tam pojechać?

- Przez tę dziewczynę. Tę dziewczynę, która cię szuka przez ogłoszenia w całym Lincolnshire i Norfolk.

- Domyślam się, o co jej chodzi. Chce znaleźć dziecko Kipa, jestem pewna. To oni ją wysłali, rodzice Kipa z Ameryki, żeby mnie odnalazła. Nie mogę ryzykować, że się dowiedzą o wnuczce. Mogą próbować odebrać mi Kim.

Zmarszczył czoło.

- Nie mają prawa nawet wiedzieć o Kim?

- Nie mają żadnych praw - warknęła. - Więc trzymaj buzię na kłódkę, Mark. Nie chcę żadnych kłopotów.

- Robiła wrażenie miłego dzieciaka... ta Weldon.

- Owszem. Tylko, że wcale nie jest „dzieciakiem”. Słyszałam, że za dwa miesiące wychodzi za mąż. Wysłałam staremu panu Weldonowi kilka odbitek artykułu i zadzwoniłam, żeby go o tym zawiadomić. Odebrała jego gospodyni, a wiesz, jaka jest gadatliwa. Powiedziała mi wszystko o tym ślubie. Pan Weldon miał poważne problemy z sercem, ale już wyzdrowiał.

- Problemy z sercem? - W oczach Marka odbił się nagły niepokój.

- Tak. Słuchaj, Mark, naprawdę muszę już iść. O trzeciej mam umówioną wizytę u fryzjera.

- Więc nie zdołam cię namówić, żebyś pojechała do Derbyshire w przyszły weekend?

Odmownie potrząsnęła głową.

- Nie. Za nic w świecie. Nie będę ryzykować. Poza tym, Mark...

- Tak? - Schylał się właśnie po torbę; podniósł wzrok słysząc ton napięcia w jej głosie.

- Nie wspominaj o mnie, gdybyś spotkał tę dziewczynę.

Obiecaj mi. Tamtego wieczoru powiedziałam ci prawdę, bo ci ufałam.

- Zapomniałem o wszystkim. Nie pisnę ani słowa o twojej przeszłości. Ale kiedy cię znowu zobaczę?

- Znasz mój numer. Zadzwoń!

Mark Powell patrzył, jak się oddala przez trawnik, pomiędzy drzewami, pchając przed sobą wózek z dzieckiem. Potem wolno wyciągnął z kieszeni list i przyglądał się pomiętej kartce dziwiąc się, dlaczego jej nie powiedział, że stary Weldon do niego napisał. List został wysłany z Hawkwood Arms; nie musiał ponownie go czytać, by przypomnieć sobie całą treść.

„To sprawa nie cierpiąca zwłoki”, pisał Gifford Weldon.

Mimo to Mark uważał, że może nie zwracać uwagi na ton ponaglenia. Co dobrego mogło wyniknąć z rozgrzebywania przeszłości po tych wszystkich latach? Ale z drugiej strony, czy nie tego właśnie pragnął? Czy nie dlatego przede wszystkim wybrał się do Wydale? Żeby znaleźć Weldona i kazać mu zapłacić za to, czego się dopuścił w przeszłości... wobec niego i wobec jego matki?

Na myśl o matce, żyjącej spokojnie w Szkocji w swoim niewielkim domu i zabezpieczonej finansowo na resztę życia, przyszło mu do głowy, że może nadszedł czas, żeby zapomnieć o przeszłości i wybaczyć. Męczyła go jednak ciekawość. List Gifa Weldon a coś w nim poruszył. Bądź co bądź, ten człowiek był jego ojcem.

Rozmawiając przed chwilą z Catherine spytał ją, czy Weldonowie w Ameryce nie mają prawa wiedzieć o wnuczce. Czyż zatem nie był hipokrytą, skoro sam trzymał w tajemnicy przed Gifem Weldonem fakt, iż ma syna?

Weldon najwyraźniej coś podejrzewał. A Mark wiedział, że w gruncie rzeczy nie ma wyboru - musi do niego pojechać... niezależnie od tego, co mogło wyniknąć z ich spotkania.

Lizzie Abercrombie! Znowu się dąszasz. Co ci jest, na litość boską?

Nie zastawszy rankiem Lizzie w kuchni, Amy obeszła cały dom w poszukiwaniu gospodyni i w końcu znalazła ją w oranżerii.

- Nic mi nie jest! - Lizzie skrywała przed nią twarz, zawzięcie dziobiąc pogrzebaczem w palenisku.

- No to porozmawiaj ze mną. - Amy była już zniecierpliwiona.

- Przecież z tobą rozmawiam.

- A, tak! Kiedy zawołałam: „Dzień dobry, Lizzie”, to rzeczywiście mi odpowiedziałaś. Ale gdy próbowałam cię zagadywać, jak się miewasz i czy nie uważasz, że mamy cudowne słońce jak na kwiecień, tylko coś odburknęłaś patrząc spode łba. Co ja takiego zrobiłam? Na litość boską, powiedz mi.

- Przestań mówić „na litość boską”. Powtarzałam ci to chyba ze sto razy. Gif Weldon nie lubi, kiedy ktoś tak mówi.

- Wuja Gifa tu nie ma. Wygląda na to, że od rana zapadł się pod ziemię. Czy wy dwoje znów powiedzieliście sobie parę słów do słuchu? Dlatego jesteś taka ponura?

Lizzie cisnęła pogrzbacz prosto w ogień i odwróciła się do Amy chwytając się pod boki.

- Słów! Cóż, możesz to nazwać słowami, jeśli chcesz być oględna. Ja powiedziałam mu parę słów. Ale z jego strony padły same obelgi.

- Obelgi! - Amy poważnie się zaniepokoiła. - Och, niemożliwe, Lizzie. - Podeszła do gospodyni. - Powiedz mi, proszę. Jeśli wuj Gif był dla ciebie nieuprzejmy...

- Nieuprzejmy! Ha! - Lizzie znów chciała się odwrócić, lecz Amy ją powstrzymała, kładąc jej stanowczo rękę na ramieniu.

- Lizzie. Powiedz mi. Wiem, że on bywa trudny we współżyciu. Prawdę mówiąc, ciągle się z nim spieram. Najpierw zaplanował dla mnie przyszłość u boku Richarda, a teraz chce, żebym odwołała ślub.

- Co takiego? - Lizzie patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Tak, Lizzie. Więc powiedz mi, co się tu właściwie dzieje? Bo nagle jakoś nic nie mogę zrozumieć.

- A co dopiero ja mam powiedzieć? Dziś rano, prosto w oczy powiedział mi, że jestem tylko starą zrzedzającą babą. Co więcej, powiedział, że nie powinnam wtykać nosa w jego sprawy, bo jestem tylko służącą, a służących, jak powiedział, łatwo można zastąpić.

- Lizzie! To niemożliwe!
- Owszem, panno Amy. Tak właśnie powiedział. - Lizzie sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła olbrzymią białą chustkę. Głośno wydmuchała nos, a potem otarła łzę w kąciку oka.
- To chyba od tego dymu. - Próbowwała się uśmiechnąć, lecz wypadło to żałośnie mało przekonująco.
- Chodź, usiądźmy sobie na ławce w ogrodzie. Utnijmy sobie pogawędkę.
- Pogawędki nic tu nie pomogą. - Lizzie znów się nadeła, ale posłusznie ruszyła za Amy.
- Usiadły naprzeciw siebie, na dwóch końcach półkolistej ławki.
- Lizzie, dlaczego wuj Gif był dla ciebie taki niemiły?
- dociekała Amy. - Od czego się zaczęło?
- Miał się z kimś spotkać dziś rano. - Lizzie pociągnęła nosem. - Wspominał ci o tym?
- Nie. O nikim mi nie wspominał - odparła Amy.
- To ten młody łobuz z kamerą. Ten, który ciągle latał nad domem helikopterem. - Lizzie pokiwała głową, widząc niedowierzanie w oczach Amy. - Tak, to prawda. A wiesz, co o nim myślę? Ostatnim razem, jak tu przyjechał z tą miłą Catherine Blake, zachowywał się niegrzecznie. Nie pamiętasz, jak się tu szarogęsił, taki przemądrzały i pewny siebie? Widziałam z okna na górze - rozglądał się, jakby był u siebie. Pomyślałam, że może być włamywaczem... robiącym nadanie. Tak to się nazywa, co?
- Amy stłumiła uśmiech.
- Nadającym robotę, chyba to miałaś na myśli. Ale nie sądzę, żeby był bandytą albo kimś w tym rodzaju.
- Ale wyglądał jak obdartus ten cały Mark Powell.
- Miał na sobie markowe ciuchy - sprostowała Amy.
- Chociaż przynaję, że ta marynarka w czerwonej kratę była okropna.
- On cały jest okropny - stwierdziła Lizzie z taką miną, że nie było wątpliwości, co myśli o Marku Powellu.

- Po co tu przyjechał? Czy wuj Gif coś mówił? I skąd te wszystkie tajemnice? Przecież nie ma powodu nic przede mną ukrywać?

- Ten człowiek nie liczy się z niczym i z nikim. - Lizzie prychnęła. - Gif najwyraźniej odziedziczył wady swego zmarłego przyjaciela Duncana Warda. Duncan zawsze był sprytnym, złośliwym diablem. Zawsze musiał we wszystkim postawić na swoim.

- Byli do siebie podobni. Wuj Gif też zawsze chciał mieć ostatnie słowo... i też bywał dziwny.

- Byli siebie warci. Tyle mogę powiedzieć... - Lizzie urwała gwałtownie, uświadamiając sobie, że mogłaby powiedzieć za dużo.

- W porządku, Lizzie. Richard powiedział mi o wuju Gifie i Duncanie. Żałuję tylko, że od początku nie znałam prawdy.

- Nie chciałam, żebyś się kiedykolwiek dowiedziała. Nie wiedziałam, jak to przyjmiesz.

- Z początku byłam zaszokowana, ale przecież miłość nie wybiera, Lizzie. Po prostu zdarza się. Nie cierpię, kiedy ktoś ukrywa prawdę... wpychając ją pod dywan, jak śmieci.

Lizzie pokiwała siwą głową.

- Nigdy nie zrozumiem tych dwóch, Duncana i Gif a... do końca życia.

- Już po wszystkim - przypomniała łagodnie Amy. - Spróbuj być bardziej wyrozumiała. Wujowi z pewnością bardzo brakuje Duncana. Chyba powinniśmy być zadowoleni, że znów interesuje się czymkolwiek... nawet jeśli obie nie znosimy Marka Powella.

- Nie musisz mi tego powtarzać, moja droga.

- Może wuj Gif chce mieć więcej zdjęć domu. Musi być jakieś proste wytłumaczenie dzisiejszego przyjazdu Marka Powella. Słuchaj, o której ma przyjechać? Może powinnam się z nim spotkać.

- Och, on właściwie nie tu przyjeżdża... w każdym razie



nie od razu. Gif mówi, że Powell zatrzyma się w Hawkwood Arms. Powiedział, że nie będą tu jeść lunchu, że John Graham zabierze go do Hawkwood samochodem i zjedzą gdzieś w Derbyshire. Właśnie wtedy mnie poniosło i powiedziałam mu, żeby sobie za wiele nie wyobrażał, jeśli spodziewa się, że potem, jak wróca, z niczego przyrządzę dla nich posiłek.

- I wtedy wuj Gif powiedział...

- Że jestem starą zrzedą i tak dalej, i żebym uważała na to, co robię, bo jestem tylko służącą... najniższą z niskich, jak powiedział.

- Och, Lizzie... - Amy przysunęła się do gospodyni i ujęła ją za rękę. - Lizzie, on ostatnio z byle powodu traci panowanie nad sobą. Postaraj się nie zwracać na to uwagi.

- Łatwo ci mówić. Niedługo się stąd wyrwiesz. Wyjdiesz za Richarda Bodena i zamieszkaż w Hatton-in-the-Dale. I co się wtedy stanie ze mną?

- Wuj Gif nadal cię będzie potrzebował - zapewniła ją Amy. - Nie pokazuj po sobie, że wyprowadził cię z równowagi. Dobrze?

- Skoro tak mówisz... - Lizzie zdobyła się wreszcie na uśmiech, wstały i razem poszły do domu.

W głównym hallu w Wydale Gif Weldon włożył płaszcz i rękawiczki, i podniósł wzrok na portret Barbary.

- On jest twoim synem, a jakże! Któż mógłby nie rozpoznać go po tych oczach - zadrwił i targany nienawiścią pospiesznie ruszył do wyjścia. Nim dotarł do drzwi, jeszcze raz się odwrócił, by spojrzeć na portret. - Muszę się przekonać, czy jest w nim coś także i ze mnie! - Zacisnął dłoń w pięść i gdyby nie racjonalne podejście do życia, zapewne pogroziłby nią postaci na ścianie.

John Graham zawiózł ich - Gifa Weldona i młodego

fotografa - do zajazdu na wrzosowiskach nad Blackthorn Pass, gdzie zjedli lunch, spędzili parę godzin na rozmowie, a potem wrócili do Wydale Hall.

Amy szykowała się na dziedzińcu do rowerowej wyprawy, kiedy czarny samochód zjechał pod dom. Mark Powell widział, jak się zawahała zatrzymując rower, w chwili gdy John Graham wysiadł zza kierownicy i obszedł samochód, by otworzyć tylne drzwi przed Gifem Weldonem. Mark sam otworzył drzwi po swej stronie i wysiadł. Zirytowało go, że Weldon każe sobie we wszystkim usługiwać. Z pewnością mimo wieku był w stanie sam otworzyć drzwi!

Podnosząc rękę w geście powitania, Mark zawołał do Amy:

- Cześć!

Zauważywszy go, skinęła lekko głową.

- Miło mi znów pana widzieć, panie Powell.

Przemierzył dziedziniec i podszedł do niej.

- Chyba nie ucieka pani przede mną? Akurat kiedy przyjechałem?

- Nie wiedziałam, że pan tu wróci. - Jej twarz zdradzała napięcie. - Lizzie mówiła mi, że pojechał pan z wujem Gifem gdzieś na lunch.

- Chciałbym z panią porozmawiać, nim wrócę do Londynu.

- Sądzę, że będę na miejscu.

- Jedzie pani na wycieczkę? - Żałował, że nie może jej towarzyszyć... gdziekolwiek. Stary człowiek nudził go śmiertelnie cały ranek.

- Tylko na przejażdżkę. Powiedziałam Richardowi, że chętnie obejrzę jego kamieniołom.

- O! To się nazywa poświęcenie. - W jego słowach nie było złośliwości; nie chciał jej do siebie zrazić. Wiedział, dlaczego został wezwany do Wydale. Był pewien, że Gif

Weldon coś podejrzewa. Tego ranka nawiązał kilka razy do swej byłej żony... oraz do Amy i jej dziedzictwa.

- To żadne poświęcenie. Jestem ciekawa. - Uśmiechnęła się z przymusem i wsiadła na rower.

Mark Powell przywołał na pomoc cały swój urok osobisty. Wiedział, że jego największym walorem jest głos... no i zniewalające ciemne oczy też mogły okazać się użyteczne.

- Naprawdę muszę się z panią spotkać. Na odpowiednim gruncie, jeśli pani wie, co mam na myśli. Ostatnio, kiedy tu byłem, nie poszło nam najlepiej, prawda?

Popatrzyła na niego, jakby chciała odczytać jego najgłębiej skrywane intencje, co wprowadziło go w pewne zakłopotanie.

- Panie Powell - oznajmiła nie zwracając uwagi na błagalny wyraz jego oczu - nie sądzę, żebyśmy mieli sobie coś więcej do powiedzenia.

Jeszcze nie spotkał tak bezpośredniej i szczerzej dziewczyny. Zrobiło mu się nieswojo na myśl o niecznych zamiarach, jakie go przywiodły w to miejsce. Nagle przestał się sobie podobać.

Myślał szybko. Było jasne, że zalotnymi spojrzeniami i błagalnym tonem nic u niej nie wskóra.

- Dobrze. Nie znosimy się nawzajem. Muszę to przyznać. Ale domyślam się, że jesteśmy do siebie podobni pod wieloma względami.

- Nie sądzę - odparła lodowato.

Ruszyła, nim zdążył powiedzieć coś więcej; usłyszał natomiast za sobą cienki głos Gifa Weldona:

- Panie Powell. Myślę, że powinniśmy wejść do środka.

Obrócił się na pięcie i dołączył do starego człowieka.

- Po co wziął pan ze sobą aparat? - spytał Weldon, kiedy weszli do głównego hallu.

- Chyba z przyzwyczajenia. - Mark wzruszył ramionami.

- Rzadko ruszam się gdzieś bez niego.

- Chodźmy do mojego gabinetu. Później zadzwonię na Lizzie Abercrombie i każę jej przynieść herbatę.

Mark znowu poczuł złość, tym razem na sposób, w jaki Weldon traktował służbę.

- Ja dziękuję. Będę musiał wrócić do zajazdu i spakować rzeczy. - Poszedł jednak za gospodarzem i zajął wskazane miejsce przy oknie w niewielkim, trochę mrocznym gabinecie, z widokiem na różaną rabatę w ogrodzie. - Byłby z tego ładny obraz... - Mark podziwiał przez chwilę piękne witrażowe szybki, a potem zwrócił się do Weldona usadowionego za biurkiem: - W lecie, gdy róże kwitną... - Wstał, przeszedł po pokoju, potem znów stanął przy oknie. - Wie pan, o co mi chodzi? - Ułożył palce w ramkę kadrując okno. - Zarys kwitnących róż ujętych w ramę grubych kamiennych ścian i witraży, z ciemności w jasność... wspaniały temat na zdjęcie, nie sądzi pan?

Weldon, rozparty w fotelu, uśmiechnął się pod nosem.

- Obawiam się, że w moim wieku trudno w czymkolwiek dostrzegać piękno - stwierdził. - Ale masz artystyczny talent, mój chłopcze. Te zimowe zdjęcia Hall, które zrobiłeś, były bardzo udane.

Mark wiedział, że określenie „bardzo udane” jest zbyt powściągliwe. Zdjęcia były doskonałe. Mimo zimowej martwoty dostrzegł w starych kamieniach mistycyzm i piękno, które chwyciły go za serce. Pokochał ten stary dom od pierwszego wejrzenia... czyli z nieba nad Wydaleń. Jednak dopiero z ziemi odkrył, że ten dom ma duszę... i ludzi, którzy go kochają. I wówczas zaczął wątpić w sens swoich planów.

Nie mógł się skupić w tym małym, surowym pomieszczeniu. Wolałby być tam w ogrodzie, przymierzać się do różnych ujęć, ustawiać obiektyw, regulować ostrość, utrwać na kliszy świeżą zieleń budzących się do życia liści, ostre igiełki kolców, przytulone do gałązek zalażki różanych pączków.

- Usiądź. Chcę z tobą pomówić - Weldon przywołał go do porządku nieco poirytowanym głosem.

Mark wrócił na obity zieloną skórą fotel przy oknie.

- Ogarnia mnie entuzjazm, kiedy widzę coś godnego uwagi  
- wyjaśnił.

- Uważasz, że moje róże są godne uwagi? - zdziwił się Weldon.

- Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, widzę coś nowego... coś, co chciałbym ze sobą zabrać. - Mark bezradnie rozłożył dłonie. - Cóż mogę poradzić na to, że Wydałę wydaje mi się takie ujmujące.

Gif Weldon z zamyśleniem przyglądał się dłonom fotografa.

- Masz ręce artysty - rzekł, pokazując mu własne dłonie.

- Masz takie ręce, jakie ja kiedyś miałem... zanim przez artretyzm stały się powykręcane i bezużyteczne.

- Był pan chirurgiem. Pewnie trudno było panu zakończyć taką karierę.

- Skąd wiesz, że byłem chirurgiem? - Weldon poderwał głowę. - Nigdy ci o tym nie mówiłem.

Mark wiedział, że minął czas udawania. Przez cały ranek bawili się w słowną ciuciubabkę. Stary Weldon klucząc i kołując wypytywał go o pochodzenie, a Mark rewanżował mu się przy każdej okazji rozpytyując go o Amy. Gif Weldon unikał tematu własnej przeszłości, najwidoczniej zainteresowany przede wszystkim młodym fotografem.

- Matka mówiła mi o panu - oznajmił Mark, doszedłszy do wniosku, że nadszedł czas na odpalenie bomby.

Stary człowiek z trudem chwycił oddech.

- Każdy stąd mógł ci powiedzieć - mruknął, opuszczając ręce na blat biurka przed sobą. - Pewnie Amy ci powiedziała, kiedy byłeś tu ostatnio. Albo ta reporterka... chociaż uważałem na to, co jej mówię.

- Matka mi powiedziała - powtórzył Mark wolno i z naciskiem. - Moja matka była pańską żoną, panie Weldon. Nie ma co dłużej owijać w bawełnę. W głębi duszy dobrze pan wie, dlaczego pan mnie tu wezwał.

- A jednak wciąż nazywasz mnie panem Weldonem, a nie...

- Niech pan nie oczekuje, że kiedykolwiek nazwę pana ojcem! - burknął Mark. - To by była hipokryzja. Ojciec to ktoś, kto się troszczy o swoje dzieci. Ojciec to ktoś, kogo syn może naśladować i podziwiać.

Gif Weldon jakby się zapadł w swym wielkim fotelu.

- A ty nie możesz?

- Nie mogę pana szanować. Nie mogę szanować kogoś, kto skazał moją matkę na życie, jakie wiodła po tym, gdy pan się z nią rozwiódł.

- Nie wiedziałem o tobie. Nie wiedziałem, że była w ciąży opuszczając Wydalę - ledwie słyszalnie rzekł Weldon.

Mark odezwał się dopiero po chwili. Z trudem przyszło mu wyduszenie z siebie następnych słów:

- Dlaczego matka pana opuściła? Co jej pan zrobił, że była aż tak zgorzkniała, że nie powiedziała mi o panu, dopóki nie dorosłem na tyle, by rozpocząć własne życie?

Weldon pokręcił wolno głową.

- Nie... nie mogę ci powiedzieć...

Powell poderwał się na nogi.

- Musi mi pan powiedzieć - zażądał. Podeszedł do biurka.  
- Jak mam zrozumieć, dlaczego pan nas odrzucił, skoro nie wiem, co się stało?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. - Gif Weldon zamknął oczy odchylając głowę na oparcie fotela.

Mark wałnął pięścią w blat biurka.

- Niech pan mi powie! Muszę wiedzieć!

Na ustach starego człowieka zaigrał słaby uśmiezek.

- Nie. Wiedz tylko, że teraz jestem przekonany, że jesteś moim synem.

Mark pchnął biurko.

- Co chcesz przez to powiedzieć, stary diable? - Stał sztywno wyprostowany wbijając w Weldoną rozogniony wzrok.

Weldon otworzył oczy.

- Będę musiał porozmawiać z Barbarą, ale nie chcę jej widzieć ani się z nią spotykać.

- A ona nie chce widzieć ciebie. Jestem o tym przekonany.

- Mark pokiwał głową. - Czy wiesz, jakie życie miała z Derekiem Powellem, tym facetem, za którego wyszła, gdy została sama z dzieckiem, ze mną, i miała mnie sama wychowywać w latach siedemdziesiątych? To nie było łatwe dwadzieścia kilka lat temu! Społeczeństwo nie było wówczas takie tolerancyjne jak obecnie.

- Sama dokonała wyboru. Mogła zostać w Wydale.

- O, nie. - Głos mu się załamał. - Coś ją tu przestraszyło, coś, z czym nie mogła sobie poradzić. Wolała życie z pijakiem, który ją bił i wydławił jej pieniądze, dopóki nie umarł, niż życie z tobą tutaj. - Zmrużył oczy. - Dowiem się - obiecał. - Poruszę niebo i ziemię, żeby odkryć, co jej zrobiłeś... jakim potworem się okazałeś.

Weldon westchnął.

- Nie byłem potworem, ale jeśli chcesz wiedzieć, co się stało, będziesz musiał ją o to zapytać. Ja z pewnością ci nie powiem. Ale lepiej, żebyś nie wiedział, co zaszło pomiędzy mną i Barbarą. Daję ci słowo.

Mark wbił ręce w kieszenie dzinsów i odwrócił się, zniechęcony.

- Dwoje głupców - mruknął. - Tak zaczynam myśleć o was obojgu. - Spojrzał znów na człowieka, o którym już wiedział na pewno, że jest jego ojcem. - Kłótnia? Jakaś niewinna sprzeczka, która poszła za daleko? Jakieś głupie nieporozumienie, z którego żadne z was nie chciało się wycofać? Bo jeśli o to chodziło...

- Nie! - Weldon wstał ciężko. - Nie! - powtórzył. - To nie było takie proste. Ale nie zgadzam się, byś mnie o to wypytywał. To było coś, czego nie da się naprawić, uwierz mi i zapomnij. - Chwiejąc się lekko, zaciskał dłonie na krawędzi biurka; podniósł zszarzałą twarz i spojrzał synowi w oczy.

- Tylko jedna rzecz wymaga tu wyjaśnienia... i jest to przyszłość Wydaleń. Wiesz, oczywiście, że sporządziłem testament zapisując wszystko Amy?

Mark głośno przełknął ślinę. Niełatwo było mówić na ten temat.

- Tak, wiem.

- Po tych wszystkich latach nie mogę jej tak po prostu powiedzieć, że nic nie dostanie.

- Zdaję sobie z tego sprawę... - Mark głęboko wciągnął powietrze.

- Ale jestem to winien twojej matce... i tobie, więc muszę uporządkować tę sprawę. - Mark chciał mu przerwać, ale stary człowiek powstrzymał go unosząc rękę. - Pozwól mi skończyć. Przyjechałeś tu nie bez powodu. To nie był przypadek, że tamtego dnia zjawiłeś się tu z Catherine Blake, prawda?

- Owszem - przyznał Mark. - Latałem nad Wydaleń helikopterem od dłuższego czasu. Sam wiesz.

Weldon potwierdził ruchem głowy.

- To był jedyny sposób. Musiałem się przekonać na własne oczy, o co toczy się gra.

- Więc wśliznąłeś się tylnymi drzwiami, z pomocą Catherine Blake. Czy ona wie?

- O czym?

- Że jesteś moim synem. Zwierzyłeś się jej? Chwaliłeś się?

- Z głosu Weldona przebijała niecierpliwość.

- Catherine nie ma pojęcia o prawdziwych powodach mojego zainteresowania Wydaleń.

- Bóg jeden wie dlaczego, ale ci wierzę. - Weldon westchnął i wyszedł zza biurka. - Będę cię musiał poprosić, żebyś już sobie poszedł. - Potrząsając siwą głową zbliżył się do drzwi. - Chcę w samotności przemyśleć następny krok. Rozumiesz?

Mark nie zrozumiał.



- Teraz już nic nie możesz zrobić - zauważył. - Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Nie możesz wydziedziczyć Amy, zwłaszcza że wychodzi za tego osiłka z kamieniołomu, żeby zdobyć pieniądze na odrestaurowanie posiadłości.

- Ty masz pieniądze! - Weldon ściągnął usta w chytrym uśmiešku. - Sam mógłbyś przywrócić to miejsce do świetności.

Bezduśzność Gifa Weldona wobec Amy zrobiła na Marku fatalne wrażenie. Poczuł, że ogarnia go złość.

- Nie możesz kazać ludziom, by robili to czy tamto ( - wybuchnął. - Ludzie mają coś takiego jak uczucia. Amy \$ przyjechała aż z Ameryki, żeby się tobą opiekować. Nie możesz jej traktować jak jeszcze jednej służącej.

- Wydalę Hall jest moją własnością i mogę nią rozporządzać, jak zechcę - przypomniał chłodno. - Jeśli mi się spodoba zmienić testament, to go zmienię.

- O, nie... nie zgodziłbym się na to...

- Nie masz wyboru, mój chłopcze. Nie obchodzi mnie, co tam sobie myślisz. Jako mój syn powinieneś odziedziczyć Wydalę.

- A co z Amy? - Mark nie ustępował.

- Skoro tak dbasz o los Amy, czemu nie zrobisz tego, co zrobiliby każdy prawdziwy mężczyzna w tej sytuacji?

Mark wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

- Nie wiem, do czego zmierzasz.

- Rozwiązanie jest proste. Ożeń się z tą dziewczyną. W ten sposób oboje będziecie mieli Wydalę.

Amy wracała zadowolona z wycieczki do kamieniołomu w Hatton-in-the-Dale. Richard oprowadził ją po pokładach wapienia, poznała większość pracujących tam robotników. Zrobiło jej się ciepło na sercu, gdy usłyszała ton dumy w jego głosie, kiedy przedstawiał ją jako „dziewczynę, która wkrótce będzie jego żoną”. Kiedy już znaleźli się w baraku służącym za biuro, ze śmiechem odrzuciła jego propozycję, że za pół godziny odwiezie ją land-roverem do Wydąłę.

- Teraz, kiedy mam własne kółka, mogę tam być za dwadzieścia minut.

- Zrobiłem sobie niedźwiedzią przysługę dając ci ten rower  
- mruknął z udawaną złością. - Amy, przyjadę do ciebie później. Jak tylko zamknę kamieniołom na noc.

- Dobrze. Powiem Lizzie, żeby przygotowała coś dobrego do herbaty.

- Przy tobie nie zwracam uwagi na jedzenie. - Pochylił się i pocałował ją w czoło.

Pedałowała wolno szosą prowadzącą do Wydale; mijając niewielki domek Duncana Warda, otoczony ogródkiem, w którym właśnie budziły się do życia kępy łubinu i drobne białe kwiatki na skalnej rabatce, zastanawiała się, jaki los czeka to miejsce. Wuj Gif nie wspominał nic o ponownym wynajęciu tego domu, ale może było zbyt wcześnie, by oczekiwać od niego tego rodzaju decyzji. Tak czy owak, pomyślała, gdyby udało się znaleźć dzierżawcę albo sprzedać nieruchomość, dochód mógłby zasilić nieco sumę, jaką Richard zamierzał wyłożyć na Wydale.

Szpalery drzew wzdłuż krętej drogi łączyły się w górze gałęziami; miała nad głową zielony baldachim, przez który przedzierały się promienie wiosennego słońca. Wdychając czyste świeże powietrze Amy starała się zapomnieć o tym, jaki zły był wuj Gif, kiedy parę dni wcześniej znów bezskutecznie próbował ją nakłonić do odwołania ślubu z Richardem.

Ostanio nie mogła go zrozumieć, ale starała się usprawiedliwiać jego trudne do zniesienia nastroje. Zdawała sobie sprawę, że śmierć Duncana Warda musiała być dla niego ciężkim ciosem. Może czuł się opuszczony i samotny... i bał się, że i ona wkrótce go opuści wychodząc za Richarda. Ale w Wydale była przecież Lizzie troszcząca się o niego z oddaniem, a także John Graham, który woził go wszędzie samochodem. A i ona nie odchodziła przecież na drugi koniec świata; Hatton-in-the-Dale leżało zaledwie dziesięć minut samochodem od Wydale.

Dziesięć minut jazdy samochodem! Wielkie nieba, Richard gotów ją dogonić, jeśli będzie pedałowac w takim tempie. Jej powrót z kamieniołomu trwał wyjątkowo długo, ale po drodze było tyle ciekawych rzeczy - zieleniące się żywopłoty, kosy wyśpiewujące na gałęziach, owce pasące się na stromych zboczach. Kamera wideo, teraz zamknięta w skórzanej torbie na bagażniku, była w ruchu przez prawie całe popołudnie. Trzeba będzie w nocy naładować baterie. Będzie też musiała umówić się z Richardem i przyjechać do jego domu, by przegrać film na kasetę, którą wysłał Kate i Marty'emu do Ameryki.

Dojechawszy do mostu nad Eston, Amy spojrzała na kępę drzew oddzielającą od drogi starą kaplicę. Kilka tygodni temu Richard przysłał tu robotników, żeby zajęli się odbudową; budowla wyglądała coraz lepiej. Amy uznała, że zdąży szybko rzucić okiem na to, jak przebiegają prace, nim wdrapie się z rowerem na stromy podjazd do Wydale Hall. Pozostawiła rower oparty o drzewo po drugiej stronie mostu, żeby Richard go zauważył przejeżdżając land-roverem, i pobiegła przez trawiastą skarpe do kaplicy.

W środku nie było nikogo. Wiedziała, że robotnicy pracują tu głównie w weekendy, kiedy Richard ma czas doglądać robót. Gotowe były na razie tylko zewnętrzne ściany, ale wywieziono cały gruz i śmieci; budynek nabierał schludnego, przyjemnego dla oka wyglądu. Większość ścian zrekonstruowano przy użyciu odczyszczzonego oryginalnego kamienia, tak że został zachowany sakralny charakter miejsca, z łukowatymi otworami w ścianach gotowymi na wstawienie witrażowych okien.

Ostrożnie omijała pudła z ceramicznymi płytkami, paczki dachówek, długie ociosane belki i kilka sztuk ciężkich dębowych drzwi zabezpieczonych plastikową folią. Spojrzała w górę na potężne dębowe krokwie, które przetrwały pożar; od góry przykrywała je papa zabezpieczająca przed deszczem.

Mroczne wnętrze zniecała przeciął promień światła od strony wejścia. Amy odwróciła się mrużąc oczy.

- Kto tam?! - krzyknęła.

Dobiegł ją szmer z odległego rogu kaplicy, gdzie niegdyś stał ołtarz, a teraz znajdowały się organy w początkowej fazie renowacji.

- Amy? To pani?

Och, do diabła! Tego głosu nie można było nie rozpoznać, nawet jeśli się go słyszało tylko raz. Miękki szkocki akcent mógł należeć tylko do Marka Powella.

- Pan Powell? Mark? Co pan tam robi? - Ruszyła do miejsca skąd, jak jej się wydawało, dochodził głos, lecz nagle zatrzymał ją widok nóg wystających z otworu w podeście organów, nóg odzianych w czarne płócienne nogawki i wysokie skórzane buty.

Przecisnął się przez dziurę znajdującą się jakieś sześć lub siedem stóp nad ziemią i zeskoczył wprost przed nią. Na szyi na skórzanym pasku miał zawieszony aparat, który zakołysał się i uderzył go w pierś przy lądowaniu.

- A czemuż to nie korzystamy ze schodów? - zdziwiła się, zdając sobie sprawę, że jej pytanie brzmi dziwacznie... ale nie spodziewała się akurat jego tu spotkać.

- Schody wyglądają może solidnie, ale jeszcze ich nie zamocowano. Stoją oparte, lecz nic ich nie trzyma. Dlatego wolałem przejść przez tę dziurę. Wszędzie to samo - rozgrzebane i nie dokończone. Trzeba uważać, gdzie się stąpa i czego się dotyka. Ci robotnicy wymagają lepszego dozoru moim zdaniem...

- Nikt pana nie pyta o zdanie, panie Powell - ucięła szorstko. - Skoro pan się upiera wtykać nos w nie swoje sprawy... nie będzie pan się mógł uskarżać, jeśli na tym ucierpi...

- Nie chciałbym, żeby ktokolwiek ucierpiał. Dlatego też panią ostrzegam.

- Czy wuj Gif pozwolił panu tu przyjść?
  - Zasugerował, że mógłbym się rozejrzeć po okolicy i zrobić parę zdjęć, nim wieczorem wyjadę do Londynu.
  - A więc pan wyjeżdża? Już wkrótce? - Nawet nie starała się ukryć radości.
  - Nie mogę powiedzieć, żeby mi to pochlebiało, że pani się tak cieszy z mojego wyjazdu - stwierdził, otrzepując kurz ze swetra i spodni. Sprawdził, czy aparat nie został uszkodzony.
  - A czemu miałyby mnie to obchodzić? - Wzruszyła ramionami.
  - No właśnie, czemu?
  - Zakończył pan interesy z moim wujem?
  - iv Przyglądał się jej, pochylając na bok ciemną głowę.
  - Niestety... nie.
  - Doprawdy?
  - Amy! Nie jest mi łatwo...
  - Nie musi mi pan mówić, po co przyjechał - rzuciła niedbale. - Jeśli wuj Gif pragnie utrzymywać swoje małe sekrety, nie mam nic przeciwko temu.
  - Trudno to nazwać „małym sekretem”!
  - Proszę posłuchać... jestem spóźniona. Muszę iść. - Nie miała ochoty na dalszą rozmowę, bo choć była ciekawa, dlaczego wuj Gif interesuje się Powellem, równocześnie czuła, że może lepiej by było nie usłyszeć odpowiedzi.
- Zastanawiała się, czy Mark nie jest aby przewidziany na następcę Duncana. Ta myśl wzbudzała u niej dziwny ucisk w żołądku, który uparcie tłumaczyła sobie głodem. Nie chciała, żeby okazał się czymś innym. Powtarzała sobie, że nie jest upoważniona do wydawania sądów. Ludzie mieli prawo do wchodzenia w związki według własnych upodobań. Zawsze odnosiła się tolerancyjnie do homoseksualizmu jako takiego, jednak teraz, kiedy sprawa dotyczyła bliskiego jej człowieka, okazało się, że to nieprawda.

Próbowała odejść, ale dogonił ją, chwycił za ramię i od-

wrócił do siebie. Nagle poczuła intensywny zapach wyschniętego drewna wypełniający kaplicę od czasu, gdy usunięto z niej wilgotne gruzy.

- Hej, o co chodzi? - spytał, zaciskając palce na jej ramieniu. - Dlaczego pani przede mną ucieka?

- Nie uciekam. - Próbowała strząsnąć jego dłoń. - Proszę mnie puścić.

Natychmiast cofnął rękę.

- Amy - rzekł pojednawczo. - Naprawdę muszę z panią porozmawiać. Powinna pani o czymś wiedzieć. - Przeczesał palcami gęste ciemne włosy. - Mój Boże, jakie to trudne. Nie wiem, jak to pani powiedzieć, ale...

- Niech się pan nie fatyguje - przerwała mu. - To całkiem jasne. Domyślałam się, że chce mi pan powiedzieć, iż lada dzień wprowadza się do domu Duncana Warda.

- Duncana Warda? A kimże do diabła jest Duncan Ward?  
- Był wyraźnie zбитy z tropu.

- Och, niech pan da spokój. Proszę nie udawać, że pan nie wie.

- Nigdy nie słyszałem o tym człowieku - zapewnił potrząsając głową ze szczerym zdumieniem.

- Zaskakuje mnie pan. - Odwróciła się na pięcie i ruszyła biegiem. Czuła, że musi się uwolnić od jego towarzystwa. Nie była w stanie znieść prawdy.

Znów ją dogonił, znów chwycił za ramię i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Co pani jest, do diabła? - spytał cicho.

- Mnie? - Zaczęła się śmiać, ale ten śmiech brzmiał mało przekonująco nawet w jej własnych uszach.

- Niech mnie pani wysłucha - poprosił. - Niech pani mnie posłucha przez dwie minuty.

Opuściła ją cała wojowniczość.

- Dobrze - poddała się. - Słucham. Ale proszę nie oczekiwać, że zrozumiem. Może jestem ograniczona, ale...

- Pani wuj jest moim ojcem - oznajmił.

Otworzyła usta, ale nie była w stanie nic powiedzieć. Wpatrywała się w niego z osłupieniem.

- Przykro mi. - Puścił ją. - Wiedziałem, że nie pójdzie łatwo. Ale nie to jest najgorsze.

Nie mogła od niego uciec, bo nogi zdawały się wrośnięte w podłogę. Słyszała, jak mówi dalej:

- Ten stary diabeł chce, żebym się z panią ożenił. Wyobraża pani sobie? Boi się pani powiedzieć, że to ja jestem jego spadkobiercą. Nie chce pani skrzywdzić. Wymyślił więc, że najlepszym wyjściem z tej pożałowania godnej sytuacji jest pożenić nas, byśmy wspólnie odziedziczyli Wydale.

Stała jak wmurowana, słysząc jego słowa i zarazem nie wierząc, że naprawdę zostały wypowiedziane. Tak bardzo się różniły od tego, co spodziewała się usłyszeć.

- Niech pani coś powie. Na litość boską, niechże pani coś powie.

- Jak? - wydukała wreszcie. - Jak może być pana ojcem? Przecież nie mógł współżyć z kobietą?

- Z kobietą? - Na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia. - Co pani, do licha, chce przez to powiedzieć?

- Wuj Gif! I Duncan Ward... - wydusiła z trudem. - Oni byli... - urwała, żałując, że w ogóle się odzywała, jednak wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyła nawet pomyśleć.

- Cholera! Nie! - Zamknął oczy odchylając głowę do tyłu. - Nie! Nie! - powtarzał ze zgrozą.

- Mark, proszę, niech się pan uspokoi. Jeśli pan pomyśli logicznie...

- Logicznie! - Nagle otworzył oczy pochylając się nad nią. Był śmiertelnie blady. - On jest moim ojcem - wycedził przez zęby. - Na miłość boską... a pani mi mówi, że jest gejem, tak?

Pokiwała głową w milczeniu.

Po chwili grobowej ciszy, rzekł cicho:

- A wcześniej myślała pani... naprawdę pani myślała, że ja mógłbym być...



Znów przytaknęła.

- Ty suko! Ty cholerna suko!

- Mark... nie! - Podniosła ręce, żeby go odepchnąć, ale było za późno.

- Ja ci pokażę - wysyczał. - Pokażę ci, że nie jestem tym, za kogo mnie uważałaś. - Chwycił ją za ramiona, przyciągnął do siebie i zgniótł jej usta w brutalnym pocałunku.

Broniła się, kopała i wykręcała z jego objęć, krzyczała, żeby ją puścić, ale okazał się nadspodziewanie silny.

A potem nagle usłyszała hałas przywodzący na myśl głos szarżującego byka i Mark Powell puścił ją, odrzucony pod ścianę niczym szmaciana lalka.

Amy cofnęła się, padając na stos belek, które pod jej ciężarem rozsypały się po podłodze. Kiedy doszła do siebie, ujrzła Richarda i Marka szepionych ze sobą; cięższy Richard miał przewagę nad szczuplejszym, drobniejszym przeciwnikiem.

Krzyknęła, by przestali, ale nie mogli lub nie chcieli jej usłyszeć, więc wydostała się spomiędzy belek i rzuciła się, próbując ich rozdzielać.

Mark Powell stracił równowagę i cofał się chwiejnie. Richard złapał ją za ramię i ustawił pod ścianą nakazując surowo, by tam pozostała.

- Nie ruszaj się, dopóki nie powiem...

Nie dokończył, bo Mark zaszedł go od tyłu, przylgnął do jego pleców, a gdy Richard się odwrócił, uderzył go prawym sierpowym w brodę.

Richard upadł na podłogę. Amy zdała sobie sprawę, że do tego momentu Richard nie wymierzył przeciwnikowi ani jednego ciosu. Jednak kiedy Mark znowu zaatakował, Richard poderwał się na nogi i nadział go na swą zaciśniętą pięść.

Mark jak długi rozciągnął się na ziemi. Richard podniósł go chwytną za sweter. Żaden z nich nie miał na sobie płaszcza czy marynarki, więc nic nie krępowało im swobody ruchów.

Amy stała bezradnie pod ścianą; odgłosy zaciętej walki odbijały się echem po całej kaplicy. Podniósłszy wzrok, zobaczyła, że w obszernej niszy obok miejsca, gdzie kiedyś miał stanać ołtarz, wysoko nad ziemią umieszczono Archanioła Gabriela. Wciągnięcie tam rzeźby musiało być jednym z ostatnich dokonań robotników, sądząc po drabinie podpierającej alabastrową figurę archanioła.

Jęknęła widząc, że walczący toczą się po podłodze zbliżając się niebezpiecznie do podstawy drabiny. Rzuciła się naprzód wołając:

- Ostrożnie, drabina...

Ale obydwaj mężczyźni byli głusi na jej wołanie; każdy z nich skupiony był bez reszty na unicestwieniu rywala. Rozejrzała się za czymkolwiek, co pozwoliłoby jej ich rozdzielić. Chwilowo znaleźli się poza zasięgiem drabiny. Odwrócona do nich plecami dostrzegła pod ścianą szczotkę, chwyciła ją i tak uzbrojona wróciła na pole walki. Zastanawiała się, jak zrobić użytek ze szczotki, by zakończyć pojedynek...

Mark trafił Richarda następnym prawym sierpowym. Richard ocierając zakrwawiony nos zachwiał się, zrobił krok do tyłu... i wszedł prosto na drabinę.

Rozległ się stuk. Szczyt drabiny uderzył w Gabriela. Anioł zaczął się kołysać. Drabina zsunęła się po ścianie i z łoskotem upadła na podłogę. Richard spojrział w górę. Gabriel przechylił się wolno. Amy krzyknęła. Mark Powell rzucił się naprzód, chcąc odepchnąć rywala na bok, lecz Richard okazał się na to za ciężki. Amy widziała, jak figura archanioła rozbija się na głowie człowieka, którego miała zamiar poślubić.

Amy siedziała przy głowie Richarda usiłując swoim żakiem zatamować krew wypływającą z głębokiej rany. Mark Powell podtrzymawał ramię Richarda, z którego wystawał wbity aż do kości ostry jak sztylet odłamek alabastru. Oboje

równocześnie usłyszeli wycie karetki i spojrzeli na siebie ponad ciałem nieprzytomnego Richarda;

- Nie ruszaj się - powiedziała Amy. - Znajdą nas. Dałam im dokładne wskazówki.

- Dzięki Bogu, że jego telefon działał. - Mark był błąd jak kreda i zakrwawiony na twarzy. Zaczynały mu wychodzić sińce, a kostki palców miał odarte do krwi.

Dosłownie po paru sekundach pojawiła się obsługa karetki i przejęła opiekę nad rannym.

- Co się stało? - spytała sanitariuszka.

Amy patrząc na Marka wyjaśniła:

- Kaplica jest w remoncie. Drabina była niewłaściwie ustawiona, przesunęła się i strąciła z góry figurę anioła. - Skierowała wzrok na szczyt pustej teraz niszy.

- Biliśmy się - powiedział cicho Mark. - To była moja wina.

- Traci dużo krwi. - Człowiek pochylony nad Richardem spozrzał znacząco na sanitariuszkę.

- Przekażę przez radio wiadomość. Uprzedzę, że będziemy potrzebowali krwi.

- Ma 0 Rh plus. - Amy wsunęła rękę do kieszeni Richarda i wyjęła niewielką plaketkę. - Zawsze to nosi przy sobie. Ma tu wypisaną swoją grupę krwi.

Kobieta szybko sprawdziła.

- Karta honorowego krwiodawcy.

- Skąd wiedziałaś, że ma to przy sobie? - spytał Mark zduszonym głosem.

- Mam zostać jego żoną. Nie pamiętasz? - Rzuciła mu wymowne spojrzenie. - Wiem o nim wszystko, co powinnam wiedzieć. Kocham go.

Mark klęczał skulony obok Richarda. Kiedy Amy popatrzyła na niego z wyrzutem, wstał chwiejnie i potykając się odszedł w głąb kaplicy.

- Może powinna pani pójść za nim? - Kobieta w zielonym

fartuchu uśmiechnęła się do niej ciepło. - Tutaj na razie już nic nie może pani pomóc. Ale niech pani będzie zaraz gotowa, żeby z nami pojechać.

- On wyzdrowieje? - Amy błagalnym wzrokiem domagała się rozwiania swych obaw.

- Otrzyma najlepsze możliwe leczenie. No i byliśmy na miejscu dość szybko.

- Ale jego głowa... - Amy przełknęła łyżę cisnące się do gardła.

- Proszę się nie zamartwiać. - Kobieta dotknęła jej ręki.

Amy wiedziała, że nic więcej nie może pomóc, więc poszła do Marka. Stał pod ścianą opierając głowę na zgiętym ramieniu.

- Richard nie chciałby, żebyś mówił o bójce - odezwała się głosem pozbawionym wszelkiego wyrazu. - Tobie to też może zaszkodzić.

Wolno podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Chcesz powiedzieć, że może mi to zaszkodzić, jeśli on umrze, tak?

- Nie mów tak. - Łzy popłynęły jej po policzkach niepo- hamowanym strumieniem, ale nagle uświadomiła sobie, że nie znajduje w sercu nienawiści do Marka Powella. Przypomniała sobie, że widząc spadającą figurę, próbował ratować Richarda.

- Przykro mi... Boże, to brzmi tak trywialnie. - Głos mu się załamał, podbródek zaczął drżeć.

Położyła mu dłoń na ramieniu. Wyglądał w tym momencie tak samo staro i bezradnie jak wuj Gif po śmierci Duncana. W tej chwili Amy nie miała wątpliwości, iż ma przed sobą syna Gifa Weldona. Kiedy spadła maska wyniosłości, podobieństwo było uderzające.

- Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez Richarda - szepnęła. - Och, Mark... co ja zrobię?

W szpitalnej poczekalni stanowili żałosną grupę - Amy, Lizzie Abercrombie, John Graham i Mark. Czekali na wiadomość o stanie Richarda i dla Amy każda sekunda była wiecznością. Nie płakała. Siedziała, a Lizzie trzymała ją za rękę. Mężczyźni usiłowali rozmawiać, ale ilekroć w korytarzu rozlegały się kroki, zapadała między nimi dźwięcząca cisza.

Mark Powell nie mógł usiedzieć spokojnie, bezustannie krążył tam i z powrotem do okna. W końcu John Graham zaproponował, żeby razem wyszli na zewnątrz i pospacerowali

wokół szpitala. Był chłodny wiosenny wieczór i mimo że zbliżała się dwudziesta, nadal było jasno.

- Dobry pomysł - podchwyciła Lizzie spoglądając z przyganą na Marka. Kiedy wyszli, odezwała się do Amy: - Nie mam pojęcia, czego on tu szuka, ten fotograf. Gdyby nie on...

- Przestań, Lizzie. Nie obwiniaj Marka. Wydaje mi się, że w jakiś dziwny sposób ich obu bawiła ta bójka... dopóki nie spadł Gabriel. Mark próbował odepchnąć Richarda z drogi, ale... - Głos jej się załamał; uwolniła dłoń z ręki Lizzie, sięgnęła po chusteczkę i głośno wytarła nos.

- Cholerna figura! A tak się przy niej napracowałam!

Amy ku swemu przerażeniu stwierdziła, że uśmiecha się przez łzy. Jakie to podobne do Lizzie, pomyślała; tak usilnie próbuje znaleźć wytłumaczenie tego, co się stało, że zdolna jest uwierzyć, iż Gabriel sam skoczył na Richarda mszcząc się za jakąś urazę.

- Gabriel pewnie chciał im przeszkodzić, kiedy się o mnie bili - wyjąkała Amy przez łzy.

Lizzie przez chwilę przyglądała jej się bez słowa. Amy po raz kolejny głośno wytarła nos.

- Widzę, że naprawdę ci na nim zależy.

- Miałaś co do tego wątpliwości? - Amy nie spuściła wzroku pod uważnym spojrzeniem Lizzie.

- Myślałam, że może po prostu zgadzasz się na plany staruszka. Jakkolwiek było, nie ma innego sposobu na uratowanie Wydaleń. Pieniądze Richarda są potrzebne... i to bardzo.

- Może tak było na początku. Wiem, że żartowałam sobie z tobą na ten temat, kiedy się dowiedziałam o zwariowanych planach Richarda i wuja Gifa.

- Owszem, panno Amy, żartowałam sobie. - Lizzie pokiwała kędzierzawą siwą głową. - Nigdy mi nie przyszło do głowy, że możesz naprawdę chcieć wyjść za niego. Ale potem to przyszło jakoś samo z siebie... ta twoja przyjaźń z Richardem

Bodenem. Nie zraziłaś się do niego od pierwszego wejrzenia, jak by pewnie zrobiły inne dziewczęta w tej sytuacji. Cóż... tak czy inaczej, to było głupie ze strony Gifa, sądzić, że zdoła cię nakłonić do zawarcia małżeństwa z rozsądku. W dzisiejszych czasach...

- Wydaje mi się, że zakochałam się w Richardzie od pierwszej chwili, kiedy go spotkałam... w tym małym pokoiku na tyłach kaplicy. Och, Lizzie, on jest najmiłym, najcudowniejszym człowiekiem, jakiego znam... - Wybuchnęła płaczem podrywając się na nogi. - Lizzie, nie mogę znieść tego czekania. Muszę się dowiedzieć, co się dzieje.

Podbiegła do drzwi, pchnęła je na oścież i puściła się na oślep korytarzem. Dostrzegła przed sobą plamę bieli niemal dopiero w chwili, gdy na nią wpadła i czyjeś ramiona powstrzymały ją w miejscu. Rozpoznała lekarza, który pierwszy badał Richarda w izbie przyjęć.

- Richard... gdzie on jest? - spytała połykając łzy. - Czekamy tu od kilku godzin i nikt nam nic nie mówi.

- Ma się dobrze. Ale wróćmy do poczekalni, to powiem pani wszystko, co wiem.

- Próbuje mnie pan oszukać. Wcale nie ma się dobrze, tak? - Zabębniła pięściami po ramieniu lekarza. - Mówi mi pan byle co, żebym się tylko uspokoiła, tak?

Lizzie odezwała się za jej plecami:

- Doktorze! Na litość boską, niech jej pan pozwoli go zobaczyć. Ona tu szaleje z niepokoju.

- Dobrze! Proszę za mną. Uprzedzam, że jest oszołomiony, nie pamięta, co zaszło, ale to minie z czasem. Będziemy jednak musieli zatrzymać go na dzień lub dwa.

- Jest przytomny? - Amy poczuła, że poczekalnia zaczyna jej wirować przed oczyma.

Lizzie przytrzymała ją mocno.

- Uważaj! Co się z tobą dzieje?

Amy dotknęła ręką czoła.

- Nic mi nie jest, Lizzie. Ostatnio parę razy zdarzyły mi się takie zawroty głowy. To pewnie z nadmiaru wrażeń.

Lizzie przyjęła wyjaśnienie ze zmarszczonym czołem, ale Amy nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Zobaczę go. - Patrzyła z niedowierzaniem na lekarza.

- Naprawdę mogę go zobaczyć? Nie żartował pan?

- Nie, nie żartowałem. - Zawrócił tam, skąd przyszedł.

- Proszę pójść ze mną. Pokażę pani, że nie żartuję.

Lizzie towarzyszyła im do końca korytarza.

- Nie ma trwałych obrażeń - mówił po drodze lekarz.

- Przestraszyła nas trochę żyła w ramieniu pana Bodena, omal nie została rozerwana. Musieliśmy wykonać natychmiastową operację, dlatego trwało to tak długo. Jest osłabiony utratą krwi, ale dostaje, co trzeba. Jutro będzie w znacznie lepszym stanie. Całe szczęście, że jest zdrowym, silnym mężczyzną.

- Wrócę do poczekalni i tam na ciebie zaczekam - oznajmiła Lizzie. - Ty idź go zobaczyć, to może się uspokoisz i będziesz w stanie się wyspać, skarbie. John Graham zawiezie nas do Wydałę. Bóg jeden wie, co Gif Weldon sobie tam wyobraża... skoro nie ma nas tak długo.

Kiedy zegar wybił dziesiątą, Gif Weldon był mocno niezadowolony. Nie widział powodu, żeby wszyscy w pośpiechu jechali do szpitala tylko dlatego, że Richard miał pecha i wpadł na drabinę. Tak przynajmniej przedstawiła mu sprawę Lizzie, ale znając jej skłonność do robienia wideł z igły, nie przypuszczał, by Richardowi dolegało coś więcej niż guz na głowie, choćby oni wszyscy wyobrażali sobie nie wiadomo co.

Kiedy wrócili do domu, czekał na nich w rześście oświetlonym hallu. Był głodny... i zły.

- Czy wy wiecie, która jest godzina? - Wskazał znacząco na zegar dziadka. John Graham, jak zauważył, miał tyle



rozsądku, żeby mu się nie pokazywać na oczy; odstawił samochód do garażu. Gif obiecał sobie jednak, że i kierowca nie uniknie reprimendy; miał zamiar nazajutrz powiedzieć mu kilka słów do słuchu.

- Idź do łóżka, dziecko - zwróciła się Lizzie do Amy. - Ja sobie z nim poradzę. Przywykłam do jego humorów.

Słowa gospodyni tylko podsyciły jego złość.

- Niech zostanie! - ryknął, oskarżycielskim gestem wskazując na Amy. - A ty lepiej sobie przygotuj jakieś wytłumaczenie! - grzmiał. - Nie jadłem nic ani nie piłem, od kiedy wyjechałem z tym fotografem dziś rano... i to nie jest w porządku! To nie jest w porządku!

Lizzie z westchnieniem zdjęła płaszcz, przewiesiła go przez ramię i ruszyła w stronę kuchni.

- Przyniosę panu kanapkę i kakao.

- Mężczyzna potrzebuje posiłku! Odpowiedniego posiłku!

- Ale pan go nie dostanie - spokojnie oświadczyła Lizzie.

- Będzie pan musiał zadowolić się kanapką albo niczym. Nie rąz mi się zdarzyło nic nie jeść przez cały dzień.

Amy podeszła do wuja.

- Wujku, Richard miał poważny wypadek - próbowała go ułagodzić.

- Dostał w głowę? Też mi wypadek. Gdzieście byli wszyscy? Tego bym się chciał dowiedzieć.

- Byliśmy w szpitalu.

- Ha! - Odepchnął ją z drogi; potknęła się i omal nie upadła.

- Oj, dosyć tego! - Lizzie wkroczyła pomiędzy nich grożąc Weldonowi palcem. - Niech pan zostawi dziewczynę w spokoju. Ma za sobą ciężkie chwile.

Ale Gif Weldon spędził długie godziny na samotnych rozmyśleniach, ponieważ wszyscy domownicy, łącznie z Amy, porzucili go bez zastanowienia.

- To zmowa! - krzyczał. - Wymyśliliście ten pretekst, żeby się gdzieś zabawić.

- Wujku, nie widziałeś karetki? - zdziwiła się Amy.
- Nic nie widziałem. Nic!
- I nie słyszałeś syreny?

Widział, że Amy jest bliska płaczu, ale wcale go to nie wzruszało. Niedługo wszyscy mieli gorzko płakać, bo nie zamierzał puszczać im płazem takiego traktowania. Pozwalali sobie na zbyt wiele wypytyując go w taki sposób. Ostatecznie to był jego dom i nie mieli prawa go wypytywać. Nie mieli też prawa wyjechać pozostawiając go samego.

- Mogłem potrzebować samochodu - zrzędził. - I co bym wówczas zrobił? Miałbym się uganiać po okolicy za Johnem Grahamem? Uganiać się za człowiekiem, który wałęsał się gdzieś z wami dwiema. I to dla zabawy.

- Wujku, och, wujku! Jak możesz tak myśleć?

Policzki Amy były mokre od łez. Gif Weldon pomyślał cierpko, że ma, na co zasłużyła. Zwrócił się do Lizzie, która podeszła do dziewczyny i wzięła ją w ramiona:

- To mną się powinnaś zająć! - krzyknął, stukając się palcem w piersi. - Mną, kobieto. Jesteś tu służącą, pamiętasz o tym? Masz spełniać moje polecenia. Lepiej o tym nie zapominaj.

- Stary człowieku - prychnęła Lizzie, łagodnie popychając Amy ku schodom - zejdź mi z drogi.

- Jesteś zwolniona! - wrzasnął. - Wynoś się z mojego domu, Lizzie Abercrombie!

- Z przyjemnością! - odpowiedziała Lizzie również podnosząc głos. - Niech mi pan da pięć minut na spakowanie rzeczy.

W sypialni Lizzie usadziła Amy na łóżku, po czym podeszła do drzwi i zamknęła je na zasuwę.

- To na wszelki wypadek... żeby ten stary niedźwiedź trzymał się z daleka. Mam go serdecznie dosyć. Powiadam ci,

Amy, mam po dziurki w nosie jego humorów, więc jak tylko wyjdiesz za mąż, zacznę szukać nowej posady.

Pobladła Amy patrzyła, jak Lizzie zamyka drzwi.

- Lizzie... jeszcze go takim nie widziałam.

- Mówiłam ci, jak się zachowywał kilka dni temu. - Lizzie pokiwała głową dla zaakcentowania swych słów. - Robi się coraz gorszy. Teraz zaczyna się czepiać ciebie, a na to nie pozwolę. Przez lata przywykłam do jego drobnych dziwactw, ale ty nie masz powodu pozwalać mu na takie traktowanie.

- Może powinniśmy byli powiedzieć mu prawdę o bójce Richarda z Markiem w kaplicy.

- Nie. To by go jeszcze bardziej rozgniewało. Zwłaszcza teraz, gdy tak zabiega o względy Marka Powella.

- Lizzie... usiądź. Chcę ci powiedzieć, czego się dziś dowiedziałam od Marka. Nie chcę, żebyś to usłyszała od kogoś innego... bo to byłoby dla ciebie zbyt wielkim wstrząsem.

Lizzie przysiadła naprzeciw niej na krawędzi łóżka.

- Tak? No to mów. Nic, co usłyszę w tym domu, już mną nie wstrząśnie, zapewniam cię.

- Sądzę, że jednak się mylisz. Mark Powell jest synem wuja Gifa.

Nie zdążyła nawet przekazać Lizzie wszystkiego, co wiedziała, kiedy rozległo się walenie w drzwi sypialni.

- Amy! Amy!

- Och, nie! To znowu wuj Gif. - Amy niespodziewanie ogarnęła fała słabości. Tylko tego jej brakowało. Miała pod dostatkiem wrażeń jak na jeden dzień; czuła, że z następnymi już sobie nie poradzi. Zaczynały ją niepokoić te zawroty głowy i momenty dziwnej ociężałości.

- Proszę odejść! - zawołała Lizzie.

- Chcę coś powiedzieć mojej chrześnicy. Kobieto, czy



muszę mieć na to twoje pozwolenie? - Ponownie załomotał do drzwi.

Amy podniosła się z łóżka i poszła otworzyć.

- Nie wpuszczaj go - ostrzegła ją Lizzie. - On znów zacznie swoje.

- Pewnie i tak będzie się ciskał przez całą noc. - Amy z ciężkim westchnieniem odblokowała zasuwę. Otworzyła drzwi i spytała:

- O co chodzi, wujku?

- Zapomniałem ci wcześniej przekazać - mruknął trochę skrępowany. - Był telefon. Chyba około siódmej.

- Kate i Marty? - odpowiedziała.

- Nie! - Przez chwilę patrzył na nią zaskoczony, a potem dodał: - Jakiś mężczyzna. Jakiś Robert.

- Nie znam nikogo o tym imieniu - powiedziała spokojnie.

- Zapisałem nazwisko. - Pogrzebawszy w kieszeni, wyjął zmięty świstek. - Nazwisko i numer telefonu, żebyś odzwoniła. Sztywny facet. Powiedział, że więcej nie zadzwoni. Że jeśli chcesz z nim rozmawiać, musisz sama zadzwonić. - Wręczył jej karteczkę, a potem szybko się odwrócił i odszedł korytarzem; słyszała jego ciężkie kroki na schodach.

Zamknęła drzwi i spojrzała na wymięty papier. Idąc w stronę Lizzie rozprostowała go w palcach. W jasnym świetle lampki nad łóżka odczytała nazwisko „Roger Claybourne”, pod spodem zaś numer telefonu. Pokój znów zawirował, a głowa zrobiła się dziwnie ciężka.

Dzwonienie w uszach przybrało nieznośnie wysoki ton i nagle wszystko przesłoniła ciemność.

**P**anno Amy... gdybym cię tak dobrze nie znała... - Lizzie coś podejrzewała, nie było co do tego wątpliwości.

- Nie przejmuj się tak, Lizzie. Jestem po prostu zmęczona.
- Obiecay mi, że pójdziesz do lekarza... to może przestanę się martwić.
- Widziałam dziś aż za wielu lekarzy. - Amy zdołała się uśmiechnąć.
- Nie zbywaj mnie żartami, moja droga. Za wiele bierzesz na siebie, od kiedy tu jesteś. Do tego jeszcze ten nieznośny staruch...

- Nic mi nie jest. - Amy pragnęła zostać wreszcie sama.  
- Słuchaj, Lizzie, jeśli te zawroty głowy nie ustąpią do końca tygodnia, obiecuję, że pójde się zbadać. Dobrze?

- Co jest napisane na tym świstku? Czy ktoś cię niepokoi?

- Nie. - Amy uświadomiła sobie, że wciąż zaciska w dłoni kartkę z nazwiskiem i telefonem Rogera Claybourne'a. - To ktoś, kogo szukałam w Lincolnshire, kiedy pojechalśmy tam z Richardem. Zostawiłam mu wiadomość, żeby się ze mną skontaktował, i właśnie to zrobił.

- Cóż! Mam nadzieję, że nie przyjdzie ci do głowy znowu tam jechać. Richard Boden przez dłuższy czas nie będzie mógł sobie pozwolić na dalsze podróże.

- Ani mi się śni ciągnąć tam znowu Richarda - zapewniła Amy. - Na litość boską, Lizzie, za kogo ty mnie bierzesz? Za kompletną idiotkę?

- No cóż! - Lizzie przyjrzała się jej surowo. - Myślę, że dobry sen przywróci ci trochę koloru na policzki, więc cię już zostawię... jeśli jesteś pewna, że wszystko w porządku.

- Lizzie! Przecież będziesz w sąsiednim pokoju. Zawsze mogą zastukać w ścianę, jeśli znów się tak śmiesznie poczuję.

- Nie było nic śmiesznego w tym, jak nagle zemdlałaś - obruszyła się Lizzie.

- To nie było prawdziwe omdlenie. Zaraz się pozbierałam, kiedy tylko posadziłaś mnie na krześle i pochyliłaś mi głowę na dół. Proszę cię, Lizzie, nie trzęś się tak nade mną. Nic mi nie jest, naprawdę. Obiecuję, że cię wezwę, jeśli choć troszkę gorzej się poczuję.

- Pójde zrobić ci filiżankę dobrej herbaty. To ci uspokoi nerwy.

Na myśl o herbacie żołądek podszedł Amy do gardła.

- Nie, dziękuję. - Zmusiła się do uśmiechu. - Muszę się położyć. - Zakryła usta dłonią udając ziewnięcie.

Lizzie pokręciła głową.

- No dobrze. - Ruszyła wreszcie do drzwi, ale w progu

obejrzała się jeszcze podnosząc ostrzegawczo palec. - Ale obiecaj mi...

- Obiecuję!

W końcu Amy została sama. Kiedy już była pewna, że Lizzie jest w swoim pokoju, ostrożnie wstała z łóżka. Całe to zamieszanie wokół niej było niepotrzebne, zaczęła bowiem już podejrzewać, że to nie choroba jest przyczyną nagłych dolegliwości... Wręcz przeciwnie!

Podeszła do biurka i dotknęła alabastrowych podpórek do książek; Richard wyrzeźbił je dla niej, kiedy przyjechała do Wydale. Uśmiechnęła się do anielskich twarzy pięknie wymodelowanych w gładkim jak marmur materiale. Między podpórkami stały jedynie trzy tomy - jej dziennik, tomik poezji od Richarda i słownik. Tego wieczoru nie zastanawiała się nad wyborem. Wzięła do ręki dziennik, rozłożyła go na biurku i zaczęła odliczać dni dzielące ją od pobytu z Richardem w Norfolk.

Gdy skończyła, uśmiechnęła się promiennie.

- Richardzie - mruknęła pod nosem - kiedy wrócisz do domu, będzie cię czekała wyjątkowa niespodzianka.

Następnego ranka przed wyjściem z domu musiała zadzwonić pod numer, który poprzedniego wieczoru przekazał jej wuj Gif. Ku jej zdumieniu męski głos odezwał się już po drugim sygnale:

- Tu Roger Claybourne. Czym mogę służyć?

Tak przywykła, że pod tym numerem nikt nie odpowiadał, że przez moment brakło jej słów. Szybko jednak odzyskała mowę i wyjaśniła, kim jest i o co jej chodzi.

- Podczas naszej poprzedniej rozmowy byłem dla pani trochę nieuprzejmy, panno Weldon. Przepraszam, że kazałem pani iść do diabła. Miałem mnóstwo spraw na głowie - tłumaczył się. - Byłem tuż przed pójściem do szpitala, gdzie

przebywałem aż do tej pory. To dlatego nie zastała pani nikogo na farmie.

- Naprawdę pilnie muszę z panem porozmawiać, panie Claybourne.

- Będzie pani musiała przyjechać do Lincolnshire. O pewnych rzeczach nie można mówić na odległość.

- Och... miałam nadzieję, że może będzie mi pan mógł powiedzieć wszystko przez telefon. Lincolnshire jest za daleko, bym mogła tak zaraz przyjechać...

W głowie jej szumiało od nadmiaru spraw, jakie miała tego dnia do załatwienia; najpierw musiała się spotkać z kierownikiem w kamieniołomie Richarda, potem zabrać z domu Richarda kilka rzeczy, które mogły mu być potrzebne w szpitalu. Później chciała spędzić trochę czasu z Lizzie, doszła bowiem do wniosku, że gospodyni coraz trudniej jest porozumieć się z wujem. Musiała jakoś rozładować sytuację, bo gdyby Lizzie dotrzymała groźby i porzuciła pracę, Wydałę niechybnie pograżyłoby się w chaosie. Nie spodziewała się, że Roger Claybourne zaproponuje spotkanie w Lincolnshire. Miała nadzieję, że krótka rozmowa telefoniczna z tym człowiekiem rzuci nieco światła na tajemnicę Kitty.

- Nie mógłby mi pan po prostu wyjawić nazwiska dziewczyny, z którą był pan zaręczony? - spytała ostrożnie.

- Mogę z panią porozmawiać tutaj albo nigdzie, panno Weldon. Niech pani wybiera. - mówił rzeczowym, nie znoszącym sprzeciwu tonem; wiedziała, że jeśli go rozzłości, może i tym razem rzuci słuchawką.

- Przyjadę - postanowiła. - Kiedy mógłby się pan ze mną spotkać?

Bez chwili wahania odparł:

- Jutro. Będę na panią czekał. Niech pani przyjedzie sama. Nie będę z panią rozmawiał, jeśli pani kogoś ze sobą przywiezie. Rozumie pani?

Trochę zaniepokojona wymaganiami, próbowała się z nim układać.



- Jutro to trochę za wcześnie.
- Jutro albo wcale. Nie mam czasu się targować. Tak czy nie, panno Weldon? Muszę od razu znać odpowiedź.
- Do...brze...
- Pięć sekund. Tak czy nie? Pięć... cztery... trzy...
- Tak! Przyjadę.
- Będę tu cały dzień. Będę na panią czekał. Do zobaczenia, panno Weldon. - Połączenie zostało przerwane.

Jadąc do Hatton-in-the-Dale próbowała wyrzucić z pamięci straszne wydarzenia poprzedniego dnia, ale trudno było nie wracać myślą do Richarda, zawsze tak silnego i pełnego życia, leżącego bezradnie, bez przytomności, na podłodze kaplicy.

Ucieszyła się, gdy wreszcie dotarła do kamieniołomu; udała się od razu do baraczkę zwanego przez Richarda pieśczośliwie biurem, żeby powiedzieć kierownikowi, George'owi Shipstone'owi, co się stało.

George, do którego Richard miał pełne zaufanie, był drobnym mężczyzną o nieprzeniknionym wyrazie twarzy, w wieku zbliżonym do emerytalnego. Zapewnił Amy, że pod nieobecność właściciela zajmie się wszystkim należycie.

- Panno Weldon, proszę przekazać szefowi pozdrowienia ode mnie i od chłopców.

Szczęśliwa, że pomyślnie załatwiła sprawę, Amy usiadła znowu za kierownicą land-rovera; nim zamknęła drzwi, zawołała:

- Przekażę na pewno, panie Shipstone.

Poprzedniego wieczoru w szpitalu uzmysłowiła sobie, że Richard będzie potrzebował pewnych rzeczy z domu, takich jak piżama, maszynka do golenia czy szczoteczka do zębów, więc z kamieniołomu wyjechała w dolinę i po kilku minutach zatrzymała samochód przed domem z szarej cegły. Spojrzaw-

szy na zegarek, stwierdziła, że do dziesiątej pozostało zaledwie dziesięć minut. Weszła po schodach i stanęła przed drzwiami.

Dziwnie się czuła otwierając drzwi kluczami Richarda. Była w tym domu już kilka razy, ale zawsze jako gość, chociaż Richard powtarzał jej wielokrotnie, by czuła się jak u siebie. Wyglądało na to, że teraz musi się właśnie tak poczuć. Tym razem nie przyszła tu przegrywać kaset wideo, co często jej się zdarzało w ciągu ostatnich miesięcy.

Sprawdziła, czy wszystko jest w porządku w pokojach na dole - w jadalni po prawej stronie, w niewielkiej garderobie i wreszcie w salonie po drugiej stronie hallu, naprzeciw jadalni. Był to duży, wygodny pokój, z dużymi wykuszowymi oknami, wychodzącymi na spokojną uliczkę, i miękkimi zasłonami z zielonego aksamitu, sięgającymi od sufitu do podłogi. Najbardziej lubiła w domu Richarda właśnie ten pokój. Stojąc w progu uśmiechnęła się lekko na widok kaset ustawionych przez nią rzędkiem na półce wysokiego wiktoriańskiego kominka.

Spytała kiedyś Richarda, czy może je tu zostawić, bo skoro w Wydaleń nie da się ich odtwarzać, nie ma też sensu, by je z sobą zabierała. W tych niewielkich pudełkach mieściły się jej pierwsze wrażenia z Anglii. Kierując się nagłym impulsem wsunęła jedną z kaset do magnetowidu. Wiedziała, który kawałek filmu chce zobaczyć i po krótkiej chwili na ekranie telewizora ukazał się Blackthorn Edge.

Usiadła na podwiniętych nogach przed telewizorem, na grubym wełnianym dywanie, którego pastelowe kolory tak lubiła. Salon umeblowany był oszczędnie, ale z gustem, głównie bardzo starymi, masywnymi sprzętami. Przypomniała sobie, jak siedziała tu z Richardem w chłodne zimowe wieczory, a płonący wysoko węgiel w kominku uzupełniał ciepło bijące z kaloryferów rozmieszczonych w całym domu, równocześnie dodając temu miejscu przytulności.

Wpatrywała się w ekran, na którym ukazały się strome

zbocza Blackthorn Valley, sfilmowane tamtego dnia, kiedy wyruszyli w podróż do Norfolk. Potem było zbliżenie małego kamiennego mostu na samym dnie doliny; surowe piękno tego zakątka dosłownie zaparło jej dech w piersi. Jeszcze raz obejrzała wyboistą drogę wijącą się nad przepaścią, aż do niewielkiego placyku, na którym urządzili sobie postój.

Przez kilka sekund kamera skupiła się na Richardzie, który stał opierając się o kamienny murek. Odwrócił głowę w jej stronę i powiedział ze śmiechem:

- Mam nadzieję, że ten fragment zostanie wycięty.

Nie była w stanie tego zrobić - umyślnie wyrzucić go z ujęcia.

A teraz, kiedy patrzyła na jakże drogą jej twarz i słyszała jego głos, coś ścisnęło ją w gardle. Przygryzła mocno dolną wargę, bezskutecznie próbując zapomnieć o tym, co tak łatwo mogło się zdarzyć wczoraj w kaplicy. Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach - Richard mógł zginąć! A gdyby to się zdarzyło, ten film byłby wszystkim, co by jej pozostało. Te parę minut filmu, na którym śmieje się do niej i mówi: „Mam nadzieję, że ten fragment zostanie wycięty”... i jeszcze kilka ujęć na plaży w Norfolk...

Łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugała, ganiać się w duchu za mazgajstwo. Jednak nie potrafiła otrząsnąć się z lęku; tak niewiele brakowało, by straciła Richarda na zawsze. Wyłączyła magnetowid pilotem, który ścisnęła w dłoni tak mocno, że aż bolało. Cicho wyszła z pokoju, zmuszając się do poniesienia smutnych rozmyślań.

Na górze w jego sypialni, wyjmując z szuflad rzeczy, które miała zawieźć do szpitala, niemal fizycznie czuła jego niedawną obecność, a kiedy otworzyła drzwi do łazienki, uderzył ją zapach jego wody po goleniu. Szybko zebrała potrzebne rzeczy, cały czas myśląc o nim z tęsknotą.

Zbiegła lekko po schodach i zajrzała do kuchni. Panował w niej chłód; słońce nie docierało tu tak jak do reszty domu.

Okna tego pomieszczenia oraz sąsiadującego z nim gabinetu wychodziły na ogród na tyłach domu. Zobaczyła ciężkie od kwiatów jabłonie tworzące mały sadek w odległym końcu i żółte plamki pierwiosnków na trawniku.

Ogarnęła ją nieprzeparta tęsknota, by mieć Richarda przy sobie. Czuła się tu na swoim miejscu. Nigdy wcześniej nie doznała takiego uczucia spokoju, jak w tym domu. Gdzieś w pobliżu rozległo się bicie zegara. Zerknęła na zegarek.

- Wpół do jedenastej - mruknęła do siebie. Powiedziano jej wprawdzie, że może go odwiedzać o każdej porze, ale po jedenastej zaczynał się obchód lekarski. Uśmiechnęła się do siebie, zabrała rzeczy, po które przyjechała, i ruszyła do wyjścia.

Poza tym, że był trochę bledszy, Richard wyglądał tak jak zwykle, kiedy przywitała go niewinnym uściskiem i pocałunkiem w opustoszałej świetlicy szpitalnej.

- Jeśli poleżę tu dłużej, będę musiał poprosić o separatkę - rzekł ponuro; siedział na fotelu, obok którego stał stelaż z kroplówką podłączoną do jego ramienia. - Nie mogę cię nawet porządnie pocałować.

- To przez te szyby. Człowiek się czuje jak złota rybka w akwarium. Żadnej prywatności.

- Do tego temperatura odpowiednia dla tropikalnej rybki - dodał ze śmiechem nie puszczając jej ręki. Miał na sobie własne ubranie - buty, skarpetki i spodnie - ale zamiast koszuli szpitalną górę od piżamy. - Nie masz pojęcia, jak głupio się czuję w tym stroju. Gdybym wstał, zobaczyłabyś na plecach napis: „Służba Zdrowia Derbyshire”, ale moją koszulę podobno podarł na strzępy Archanioł Gabriel.

Przysiadła obok niego na niskim stoliku. Ostrożnie dotknęła blizny na jego czole, z której wystawały ostre końcówki szwów.

- Twoja biedna głowa - westchnęła.
- Mam też takie hafty na sercu. - Skrzywił się. - Gabriel dał mi się wczoraj we znaki.
- Gabriel wspomagany gorliwie przez Marka Powella - sprostowała łagodnie.
- Chyba nie powiedziałaś temu nieszczęśnikowi, że to jego wina? Bo przecież wcale nie była. - Oczy przygasły mu nagłym smutkiem. - Przysięgałem sobie, że już nigdy nikogo nie uderzę, ale kiedy zobaczyłem, jak próbuje cię pocałować... Amy, ogarnęło mnie szaleństwo. Widziałem, jak go odpychasz, kopiesz, jak krzyczysz... i straciłem panowanie nad sobą.
- On nie robił mi krzywdy - powiedziała cicho. - Ale to długa historia, Richardzie.
- Więc usiądź i mi opowiedz - poprosił. - Bo widzę po twojej minie, że coś cię martwi.

Przysunęła sobie krzesło, usiadła i powiedziała mu wszystko, co sama wiedziała: że Mark Powell jest synem Gifa Weldona i że Gif chciałby ją wydać za Marka, by mogli odziedziczyć Wydałę na spółkę.

- I dlatego próbował cię zgwałcić?

Pochyliła się z uśmiechem, ujmując Richarda za rękę.

- Mark nie próbował mnie zgwałcić. Na nieszczęście, źle zrozumiałam to, co mi próbował powiedzieć. Myślałam, że Mark miał zająć miejsce Duncana Warda. Rozumiesz już, dlaczego Mark się wściekł, kiedy się dowiedział, za kogo go uważam?

Richard wydał z siebie przeciągły gwizd.

- No jasne. Ale i tak nie miał prawa cię tknąć. Nie moge znieść myśli, że jakiś inny mężczyzna mógłby cię dotykać.

- Wyjechał. Wrócił do Szkocji. Powiedział, że musi spojrzeć w oczy swojej matce, która przez te wszystkie lata nie chciała mu nic powiedzieć o jego prawdziwym ojcu. Zdradziła tylko jego nazwisko.

Po minie Richarda widać było, że zaczyna wszystko rozumieć.

- Powiedziałas mi kiedyś, że jego twarz wydaje ci się znajoma, pamiętasz? Teraz wiem dlaczego. Przez portret Barbary Weldon wiszący w Hallu w Wydale. Jest bardzo podobny do matki, zwłaszcza oczy. Barbara pewnie nie wiedziała, jak powiedzieć chłopcu, że jego ojciec jest gejem.

Amy przytaknęła.

- Doszłam do tego samego wniosku. Swoją drogą, Bóg jeden wie, jak Barbara zaszła w ciążę, skoro związek wujka Gifa z Duncanem Wardem sięgał czasów sprzed małżeństwa z Barbarą.

- Tego się nigdy nie dowiemy. Nawet jeśli Gif był gejem od początku świata, musiała też istnieć jakaś więź pomiędzy nim a Barbarą... bo inaczej by się z nią nie ożenił.

- Myślałam o tym. - Amy puściła dłoń Richarda i poprawiła się na krześle.

- I co wymyśliłaś? - zainteresował się.

- Cóż, sam wiesz, jak wuj Gif dba o pozory. Wszystko musi być na swoim miejscu. Wydaje mi się, że w młodości bardzo się troszczył o swoją karierę. Sądzę, że gdyby w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych padło na niego podejrzenie o utrzymywanie związku z innym mężczyzną, jego reputacja ległaby w gruzach. Straciłby dobre imię i zaufanie. Mogłoby go to nawet doprowadzić do ruiny finansowej.

- Chcesz powiedzieć, że żona zapewniała mu szacunek?

- Właśnie.

- Ale jaka kobieta by się zgodziła na takie małżeństwo?

- Może Barbara nic nie wiedziała, dopóki nie było za późno?

- Może masz rację - powiedział Richard w zamyśleniu.

- Czuję, że mam. Widocznie Barbarze udało się jakoś dostać to, czego pragnęła - dziecko - i kiedy już wiedziała, że jest w ciąży, opuściła wujka Gifa.

- I wyszła za kogoś innego, kiedy się z nią rozwiódł.

- Obawiam się, że jej drugie małżeństwo też nie było

szczęśliwe - powiedziała Amy ze smutkiem. - Z tego, co mówił Mark, ojczym nie był dobry ani dla niego, ani dla matki.

- Ciekawe, czy mamy się spodziewać jeszcze jakichś reperkusji z bujnej przeszłości twojego wuja? - głośno zastanawiał się Richard.

- Do licha! Mam nadzieję, że nie. - Amy roześmiała się.

- Więc nie ma więcej sekretów? - spytał zaglądając jej w oczy.

- Żadnych, którymi byś się musiał w tej chwili martwić - odpowiedziała trochę za szybko.

Zmarszczył brwi.

- Co to ma znaczyć, Amy? Ukrywasz jeszcze coś przede mną? Masz jakiś kłopot?

- Zaraz, zaraz. Lekarz powiedział, że mam cię podnieść na duchu, a nie zadrećzać kłopotami.

- Nie odpowiedziałś mi.

Myślała gorączkowo nad odpowiedzią, wiedząc, że zaprzeczenie tylko podsyci w nim podejrzenia.

- Oczywiście, że zawsze są jakieś kłopoty. Na przykład różne drobne problemy związane z naszym ślubem.

- Jakiego rodzaju problemy?

- To, czy będzie ładna pogoda - rzuciła z lekkim zniecierpliwieniem. - Czy Kate i Marty zdołają przyjechać z Ameryki... bo bardzo bym chciała w dniu ślubu mieć przy sobie Marty'ego.

- I to ma być problem?

Pomyślała, że niewinne kłamstwo nie powinno zrobić wiele szkody. No i przede wszystkim usmierzy obawy Richarda. Po wyjściu od niego ze szpitala miała zamiar pojechać prosto do Lincolnshire, a nie mogła mu o tym powiedzieć. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem - zarezerwowała już sobie nocleg w hotelu, a zaraz z rana miała się spotkać z Rogerem Claybourne'em - będzie mogła zjawić się u Richarda w szpitalu późnym popołudniem następnego dnia, tak że niczego się nie domyśli.

- Marty ma bardzo odpowiedzialną pracę. Może mieć trudności... tak szybko zorganizować sobie wyjazd. O to się najbardziej niepokoję.

- Amy! Kochana, kochana Amy! - Wyciągnął do niej rękę. Chodź tu i daj mi się pocałować. Nie powinnaś się tak przejmować tym ślubem. Do licha, jeśli Marty nie będzie mógł przyjechać w tym czasie, po prostu przesuniemy trochę termin. To żaden problem!

Podniosła się z krzesła, podeszła do niego i objęła go czule, choć ostrożnie, by nie urazić chorego ramienia.

- Kocham cię - szepnęła. - Richardzie, kocham cię bardzo, bardzo mocno.

Lizzie Abercrombie wpatrywała się w nią z ustami otwartymi z przerażenia.

- Co chcesz zrobić?

- Jadę do Lincolnshire. To przecież niedaleko, na litość boską.

- To ponad sto mil, dziewczyno. Postradałaś zmysły? A co na to Richard?

- Nic nie wie i się nie dowie. - Postawiwszy torbę podróżną na podłodze u stóp schodów, Amy pokornie słuchała gniewnych uwag gospodyni, nie dając po sobie poznać, jak bardzo sama jest zdenerwowana.

Kościste ramiona Lizzie podjechały w górę, kiedy starym zwyczajem wzięła się pod boki i powiedziała:

\* Nie pozwolę ci nigdzie jechać. Jesteś szalona, dziewczyno. Po prostu szalona. Chęć odnalezienia dziecka Kipa Weldona odbiera ci rozum. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Posłuchaj, Lizzie - odparła spokojnie Amy. - Kate i Marty przyjeżdżają ze Stanów na mój ślub. Czuję się zobowiązana dostarczyć im jakichś wiadomości o Kitty. Ten człowiek, ten Roger Claybourne, zna jej prawdziwe imię



i nazwisko. Był z nią kiedyś zaręczony. Nie rozumiesz? Muszę z nim porozmawiać.

- Ach, tak! Skoro chcesz z nim tylko porozmawiać, to czemu nie porozmawiasz przez telefon?

- On się nie zgadza. Powiedział, że muszę do niego przyjechać... więc zrozum, Lizzie, muszę tam jechać. Obiecałam Kate, że odnajdę Kitty, a tylko w ten sposób mogę to zrobić. Do diabła, myślisz, że mi łatwo? Mam wyjść za Richarda i nie wracać do Stanów. Wyjeżdżając z Bostonu obiecałam Kate, że wrócę. Nawet mi się nie śniło, że tu zostanę. Mogę przynajmniej spróbować skontaktować ją z Kitty... i z dzieckiem, jeżeli jest jakieś dziecko, wnuczek lub wnuczka Kate i Marty'ego.

- Nie podoba mi się cała ta sprawa. Jest w niej coś podejznanego! Dlaczego nie chciała z tobą rozmawiać przez telefon? Czemu musisz jechać tak daleko?

Amy z westchnieniem podeszła do Lizzie i chwyciwszy ją za chude ramiona, potrząsnęła mocno,

- Lizzie Abercrombie, zadajesz zbyt wiele pytań, na które nie znam odpowiedzi. Wiem tylko tyle, że muszę się spotkać z Rogerem Claybourne'em. Zarezerwowałam sobie pokój w Lynn. To miejscowość leżąca najbliżej farmy Claybourne'a w Halfpenny End. Jutro się z nim zobaczę, z samego rana. W ten sposób będę mogła wrócić około drugiej po południu i Richard nie dowie się o niczym.

- Ale ja wiem. I bardzo mnie to martwi! Może mogłabym z tobą pojechać...

- Nie. Ten Claybourne powiedział, że mam być sama.

- Okropność! - Lizzie aż się wzdygnęła.

- Spotkam się z nim w dzień. I mam ze sobą telefon komórkowy Richarda. - Wypuściwszy z objęć gospodynię, poklepała się po tylnej kieszeni dzinsów.

- Co mam powiedzieć twojemu wujowi?

- On nawet nie zauważy, że mnie nie ma. Nie ma potrzeby nikomu nic mówić.

- A jeśli Richard zadzwoni ze szpitala?

- Lizzie! Zdań się na swoją wyobraźnię. - Amy czuła coraz większe zniecierpliwienie. Drażniło ją to wypytywanie; i bez tego bała się spotkania z Rogerem Clayboume'em, a Lizzie jeszcze pogarszała sprawę dokładając swoje obawy.

- To znaczy, że mam go okłamać.

- Nie. Niezupełnie. Słuchaj... im szybciej wyjadę, tym wcześniej wrócę. - Spojrzała znacząco na zegarek. Jest już prawie wpół do czwartej.

- Zadzwoń do mnie, jak już będziesz na miejscu. - Kanciasta postać gospodyni wyrażała jeden wielki niepokój.

Amy uśmiechnęła się skruszona, niezadowolona, że musi być taka szorstka. Miała świadomość, że przez Lizzie przemawia wyłącznie troska o jej bezpieczeństwo.

- Oczywiście, że zaraz zadzwonię - obiecała. - I wrócę, nim się spostrzeżesz, że mnie nie ma.

Mark Powell odłożył słuchawkę telefonu matki i siedział wpatrując się niewidzącym wzrokiem przed siebie, dopóki nie poczuł na ramieniu dłoni matki.

- Czy z tym człowiekiem wszystko w porządku, synu?

Pokiwał głową.

- Tak, rozmawiałem z gospodynią z Wydale. Nie ma wątpliwości, że obwinia mnie o to, co się stało. Byłem głupi, mamó. Nie powinienem się z nim bić...

- Jeśli ktoś tu ponosi winę, to ja. - Barbara Powell, dawniej Weldon, westchnęła ciężko i kulejąc podeszła do okna swego małego bungalowu.

Mark podniósł się ociężale.

- Nie mów tak. Oczywiście, że nie ponosisz winy. Nie wiedziałas, że będę szukał mojego prawdziwego ojca.

Odwrociła się do syna.

- Nie można cię winić za to, że chciałeś się dowiedzieć... Żadne z nas nie ma zbyt miłych wspomnień po Dereku Powellu.

- To prawda, mamó. Nie zasłużyłaś na takie życie, jakie ci zgotował.

- Ale powinnam zdawać sobie sprawę z tego, że kiedyś będziesz chciał wiedzieć więcej o Gifie Weldonie. - Uniosła ręce w geście bezradności. - Jednak było mi wstyd rozmawiać z tobą na ten temat. Rozumiesz to, prawda, Mark?

- Tak, mamó. Teraz rozumiem. Nikt nie miałby ochoty się przyznać, że został nabrany przez takiego nickszemnika, jak tobie się zdarzyło.

- Nie! To nie było tak. - Potrząsnęła głową. - Sama zachowałam się jak dziwka, synu. Tak bardzo pragnęłam dziecka. I czułam się oszukana. Teraz znasz prawdę. Przeze mnie ucierpieli inni ludzie...

- Nie ludzie, mamó. Jeden człowiek. - Uderzył się dłonią w czoło. - Diabli wiedzą, co mnie napadło. Ale kiedy ta dziewczyna...

- Amy Weldon?

Przytaknęła kiwając głową.

- Kiedy dała mi do zrozumienia, że uważa mnie za następcę jego kochanka... - Mark głośno przełknął ślinę. - Mamó! Nabrałem wstrętu do wszystkiego w Wydale. Przestało mi na czymkolwiek zależeć, choć kiedy byłem tam po raz pierwszy, postanowiłem odzyskać wszystko dla ciebie... dom i pieniądze starego. Tyle że, jak odkryłem, niewiele jest do wzięcia. Amy wychodzi za tego Bodena, ponieważ on może przywrócić starą posiadłość do dawnej świetności. Mamó, nie mogę tego ścierpieć... tego, jak Gif Weldon nimi wszystkimi manipuluje.

- Mną też manipulował, Mark. Nie zapominaj o tym.  
- Nie zapominam. Nigdy nie zapomnę... i nie wybaczę.  
- Myślę, że powinienes. Z tego, co mówisz, odniosłam wrażenie, że ta Amy Weldon to miła dziewczyna. Myślę, że ona by tego chciała. Musiała przeżyć nie mniejszy wstrząs niż ty, kiedy się dowiedziała prawdy o swoim wuju... i o tobie jako jego synu - powiedziała z naciskiem.

- Możliwe.

- Więc czym się martwisz?

- Czymś, co powiedziała ta cholerna gospodyni. Że Amy wybiera się do Lincolnshire.

- Na wakacje? - Barbara Weldon wolno podeszła do stołu i usiadła krzywiąc się z bólu.

- Mamo... znowu artretyzm daje ci się we znaki?

- Nie bardziej niż zwykle. - Zmusiła się do uśmiechu.

- Nastawisz wodę, skarbie?

Udał się do kuchni, by spełnić prośbę matki; wrócił z dwoma niebieskimi kubkami od serwisu i dzbanuszką mleka. Stawiając wszystko na stole, rzekł:

- Wsypałem do dzbanka dwie łyżeczki herbaty, czy to wystarczy?

- Tak, doskonale. Woda powinna się szybko zagotować.

- To nie chciwość kazała mi odnaleźć Gifa Weldona. Wiesz o tym, prawda? - odezwał się patrząc matce w oczy.

- Ależ tak, wiem. - Spojrzała na syna ze zrozumieniem.

Przykucnął u jej stóp i wziął ją za rękę.

- Wydalę według prawa należy do mnie. Do mnie i do ciebie. Właściwie bardziej do ciebie niż do mnie.

Zaśmiała się cicho.

- Nie daję ci to spokoju, co? A cóż ja bym zrobiła z tą ruiną?

- Sprzedałabyś ją - rzekł bez namysłu. - Tylko do tego się nadaje. Należy ci się od niego jakieś odszkodowanie.

- Nie, chłopcze. - Pokręciła głową. - Gif Weldon nic mi

nie jest winien. Rzucił mi koło ratunkowe, kiedy moi rodzice umarli i zostałam bez środków do życia, więc nie mogę go tak całkiem nienawidzić. Żałuję tylko, że nie był ze mną szczerzy. Pojechałabym z nim do Wydaleń, choć nie jako jego żona. Potrzebował gospodyni, ale czuł się zobowiązany zaproponować mi małżeństwo. Mark, on tak naprawdę nie jest złym człowiekiem.

- Jest samolubnym tyranem. Ożenił się z tobą, bo uznał, że posiadanie żony zapewni mu szacunek.

- Ale musi być w nim coś dobrego. Nikt nie jest tak do końca zły.

- Wykorzystuje ludzi...

- Tylko tyle? - zakpiła. - Czyż o każdym z nas nie można powiedzieć, że kiedyś kogoś wykorzystał?

Zamyślił się na chwilę, po czym podniósł się mówiąc:

- Mamo, muszę zadzwonić.

- Śmiało, synu. I tak ty płacisz wszystkie rachunki. Nie musisz mnie pytać o pozwolenie.

- Muszę zadzwonić do Londynu. Do Catherine.

- Ciepło się wyrażasz o tej dziewczynie. Przywieź ją kiedyś tu do mnie. - Barbara Weldon usłyszała gwizd czajnika dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia; wstała ociężale.

- Mamo... ja mogę to zrobić...

Uciszyła go niecierpliwym machnięciem ręki.

- Zostań tu i zadzwoń do Catherine - poleciła. - Z powodzeniem sama mogę zrobić herbatę.

Catherine Blake była szczerze zaniepokojona.

- Amy Weldon nie mogła pojechać do Rogera Claybourne'a. Powiedz mi, Mark, co dokładnie powiedziała ci pani Abercrombie?

- Zadzwoniłem, żeby porozmawiać z Amy, żeby ją spytać

jak się czuje jej narzeczony. Gospodyni powiedziała, że Amy wyjechała dziś po południu do Lincolnshire... Sama.

- To może nic nie znaczyć. Przecież nie może nic wiedzieć na temat mnie i Rogera?

- To po co by tam jechała? Catherine, już dość zaszkodziłem tej dziewczynie. Nie chcę myśleć, że pakuje się w kłopoty, a z tego, co mi mówiłaś na temat Rogera Claybourne'a, może właśnie być na najlepszej drodze do tego.

- On jest zły. - Mówiąc te słowa, Catherine czuła zimny dreszcz na plecach. - Próbował mnie zabić.

- Może Amy Weldon nie będzie go o ciebie wypytywać.

- Mówisz tak, a myślisz coś dokładnie przeciwnego, prawda? Właśnie dlatego do mnie zadzwoniłeś, czyż nie mam racji?

- Do diabła! Sam nie wiem. Chyba i tak nic nie możemy zrobić? Ona jest taka uparta. Jak sobie coś umyśli, nic nie jest w stanie jej powstrzymać.

- Ale co powinniśmy zrobić? - spytała Catherine.

- Moglibyśmy za nią pojechać.

- Miejsze rozum, Mark. Ty jesteś w Szkocji, ja w Londynie. A Amy Weldon pewnie w tej chwili jest w połowie drogi do Lincolnshire.

- Nie możemy siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż ją pobije tak jak kiedyś ciebie.

- Pobił mnie, ponieważ zerwałam nasze zaręczyny. Nie ma żadnego powodu robić krzywdy Amy - zauważyła rzeczowym tonem Catherine.

- No jasne, masz rację. Może nie powinniśmy nic robić.

- Tak. Tak chyba będzie najlepiej - powiedziała Catherine, choć jej umysł pracował gorączkowo. Wiedziała z doświadczenia, do czego zdolny jest Roger Claybourne. Właśnie dlatego wyprowadziła się z jego okolic. Och, potrafił być czarujący, oczywiście. Ale cały jego urok był jedynie grą.

Mark Powell odezwał się znowu:

- Powiem ci, co zrobię, Catherine. Jutro znów zadzwonię do tej gospodyni w Wydale. Powiedziała, że oczekuje powrotu Amy wczesnym popołudniem. Jeśli zastanę Amy w domu, to będzie oznaczało, że nie ma powodów do niepokoju. A jeśli nie...

- No właśnie - przerwała mu Catherine. - Jeśli jej nie będzie, to zaczniemy się martwić.

Po zakończeniu rozmowy z Markiem przez chwilę siedziała nieruchomo obserwując Kim bawiącą się na dywanie klockami. To, co powiedziała Markowi, miało go uspokoić i zatrzymać w Szkocji. Ale sama w głębi duszy wiedziała, że nie może czekać bezczynnie.

Amy Weldon rozgłosiła wszem i wobec, że poszukuje kontaktu z Kitty. A Kitty dotąd ignorowała jej odezwy. Teraz jednak Catherine poczuła, że musi wkroczyć do akcji... i to niezwłocznie. Miała świadomość, że jeśli tego nie zrobi, Amy może się znaleźć w poważnym niebezpieczeństwie. Już kiedyś samo wspomnienie imienia Kipa Weldona wystarczyło, by obudzić demony w umyśle Rogera Claybourne'a.

Słyszając chrobot klucza w zamku, Catherine poderwała się nerwowo. Wróciła siostra. Nie było czasu do stracenia. Sue zawsze była gotowa zająć się dzieckiem!

Dzień wspaniale nadawał się na podróż; Amy przypomniwała sobie, że podczas jej poprzedniego pobytu w Lincolnshire łało jak z cebra przez całą drogę. Zapadał zmierzch; słońce wisało nad horyzontem za jej plecami. Żywopłoty okryte bujnym majowym kwieciem wyglądały jak przysypane śniegiem; w powietrzu unosił się intensywny, słodki zapach. Pomyślała sobie, że byłoby miło wyjść za Richarda już teraz i pojechać z nim na miodowy miesiąc do jakiegoś ukrytego przed światem miejsca.

Do sierpnia nie było jednak daleko, a Kate i Marty, jeśli



mieli być obecni na ślubie, musieli mieć dosyć czasu na przybycie zza Atlantyku. Zresztą, powtarzała sobie, warto było poczekać, bo w ten sposób i ona miała więcej czasu na poszukiwania Kitty. A wiedziała, że jest na właściwym tropie. Kitty była kiedyś dziewczyną Rogera Claybourne'a, jego narzeczoną. A Roger Claubourne z jakiegoś nieznanego powodu zmienił zdanie i zgodził się z nią porozmawiać. Amy poczuła przyjemne ożywienie. Za dwa lub trzy dni Richard miał wyjść ze szpitala. Doszła do wniosku, że wreszcie wszystko zaczyna pomyślnie się układać.

Dotarła do hotelu około wpół do ósmej, niezwłocznie zadzwoniła do Lizzie, by jej powiedzieć, że dojechała szczęśliwie, a o dziewiątej była już w łóżku.

Nazajutrz czekał ją dzień pełen wrażeń.

W Wydaleń znów zadzwonił telefon, akurat w chwili, gdy Lizzie szła już do swojej sypialni.

Zawróciła przez hall, mrucząc pod nosem:

- Któż to może być o takiej porze? - Kiedy podnosiła słuchawkę, zegar dziadka wybił dziesiątą.

- Dobry wieczór, Lizzie. Mógłbym rozmawiać z Amy?

Lizzie poczuła, że nogi się pod nią uginają.

- Richard Boden?

- Oczywiście. Nie poznaje mnie pani po głosie?

- Nie ma jej tu. - Lizzie zganiła się w duchu za nieprzemyślaną odpowiedź. Będzie chciał wiedzieć, gdzie jest Amy. Dlaczego powiedziała, że jej nie ma? Czemu nie powiedziała, że dziewczyna już śpi?

- Nie ma jej?

Odchrząknęła, by zyskać na czasie, nim wymyśli jakąś odpowiedź, która nie do końca byłaby kłamstwem.

- Niestety, nie ma. Ma pan pecha. A jak pan się czuje, Richardzie? Mam nadzieję, że lepiej. Bardzo pana tam męczą?

- Niech pani mnie nie zagaduje, Lizzie. Co się dzieje?  
Gdzie jest Amy?

- Hmm... nie ma jej w domu!

- Nie ma jej w domu?

- Właśnie.

- A mogę spytać, gdzie jest?

- Hmm... w jakimś hotelu. Pewnie teraz je kolację.

- Sama?

- Tego nie wiem. - Lizzie uśmiechnęła się do słuchawki.

Udało jej się wybrnąć bez okłamywania Richarda.

Usłyszała westchnienie po drugiej stronie.

- Cóż, to chyba będę musiał zostawić dla niej wiadomość.

- Tak, to chyba najlepszy pomysł. - Lizzie zaczęła na powrót normalnie oddychać.

- Czy mogłaby jej pani przekazać, że jutro mnie wypuszczają i chciałbym, żeby po mnie przyjechała? Mają tu straszne zamieszanie z powodu jakiegoś wypadku i potrzebują wolnego łóżka. A ponieważ ze mną mniej więcej wszystko jest w porządku, postanowili się mnie pozbyć.

- Wypisują pana ze szpitala? - Lizzie jęknęła, bliska omdlenia.

- O dziesiątej rano. Nie mogę się doczekać powrotu do domu. Przekaze jej pani wiadomość, dobrze, Lizzie?

- Ach, taak, oczywiście! Przekażę... nie ma problemu.

- Dziękuję, Lizzie. - Z tonu jego głosu przebijało lekkie zaniepokojenie. - Jest pani pewna, że u Amy wszystko w porządku? Jest trochę późno.

- Jestem pewna, że wszystko jest w porządku. - Lizzie była bliska paniki. Pragnęła tylko tego, by się rozłączył i by mogła zadzwonić do Amy i przekazać jej wiadomość, która w innych okolicznościach bardzo by ją ucieszyła.

Kiedy wreszcie odłożył słuchawkę, stała przez chwilę wsłuchując się w tykanie starego zegara. Potem westchnąwszy głęboko, zaczęła wybierać numer telefonu komórkowego Richarda.

Amy poderwała się obudzona sygnałem telefonu. Na wpół przytomna, siedząc na łóżku sięgnęła do nocnego stolika; serce jej biło jak oszalałe. Nikt nie dzwoniłby do niej z Wydaleń z tej porze, gdyby to nie było coś pilnego.

- Richard, Richard... Błagam, niech to nie będzie zła wiadomość dotycząca Richarda - powtarzała obracając telefon w drżących palcach, żeby go przyłożyć do ucha właściwą stroną.

- Lizzie! - wykrzyknęła, słysząc dobrze znajomy głos.

- Posłuchaj, moja droga. On wraca jutro do domu. Właśnie do mnie dzwonił i musiałam skłamać... tak, skłamać, z twojego powodu. Co, do licha, miałam mu powiedzieć? Pytam cię, czy zrobiłabyś to samo dla mnie? Ciekawa jestem? Teraz wszyscy jesteśmy w kłopotach. A wszystko przez to, że umyśliłaś sobie jechać nie wiadomo dokąd i po co. Słuchasz mnie? Bo powinnaś. Możesz zaraz tu wrócić i sama się wytłumaczyć, dziewczyno, bo ja z pewnością nie będę tam jutro o dziesiątej rano. Masz na mnie nie liczyć. Nie liczyć!!! Rozumiesz?

- Lizzie! O czym ty mówisz?

- O Richardzie Bodenie, o nikim innym, tylko o nim. Wiedziałam, że nic dobrego nie będzie z tego twojego wyjazdu. Znasz ten cytat: „Splątana nasza pajęczka siatka u bramy kłamstw i intryg światka”? Mam dość kręactw. Wracaj tu zaraz, to wszystko, co mam ci do powiedzenia, dziewczyno.

- Nie mogę, Lizzie... nie teraz, kiedy jestem tak bliska poznania prawdy o Kitty.

- Nie możesz! - wrzasnęła Lizzie do słuchawki.

- Uspokój się. Powiedz mi, dlaczego Richarda wcześniej wypisują ze szpitala?

- Był jakiś wypadek. Potrzebują łóżek.

- Dobrze. A teraz spokojnie mnie posłuchaj. - Amy myślała szybko nad wyjściem z sytuacji. - Poślij Johna Grahama, żeby odebrał Richarda ze szpitala.

- A co mam powiedzieć Richardowi? Może zechciałybyś mi podpowiedzieć?

- Sama zadzwonię do niego do domu. Jak mówiłaś, o której go mają wypisać?

- O dziesiątej! - Ton odpowiedzi był bardziej niż oschły. Amy wyobraziła sobie rękę Lizzie wspartą na biodrze i wystający kościsty łokieć.

- Słuchaj... zadzwoniłabym do Richarda od razu, ale jest za późno. Ale nie martw się, Lizzie. Zadzwonię do niego do domu jutro rano dokładnie o wpół do jedenastej. Obiecuję. Poproś tylko Johna Grahama, żeby go dowiózł do domu na tę godzinę. Nie będziesz musiała niczego wyjaśniać, daję słowo.

- Za to ciebie czeka mnóstwo wyjaśniania, moja panno! - ostrzegła Lizzie.

- Zaryzykuję. - Amy uśmiechnęła się w ciemności. - Richard zrozumie. Nie będzie zły.

- Będzie wściekły. Gdyby wiedział, gdzie teraz jesteś, szalałby z niepokoju... tak jak ja.

- Jestem już dużą dziewczynką, Lizzie. Sama przyleciałam z Atlantyku. Zapomniałaś?

- Nie chcę już nic więcej słyszeć. Idę do łóżka. A ty... wracaj do domu, jak możesz najprędzej. Zrozumiano?

- Tak, Lizzie - odpowiedziała posłusznie Amy, dodając na koniec: - Dobranoc!

Telefon zamilkł; Amy odłożyła go z powrotem na nocny stolik przy łóżku, uśmiechając się do siebie. Richard wracał do domu. Za niespełna dwadzieścia cztery godziny miała go mieć tylko dla siebie. Wszystko zaczynało się układać tak jak powinno. Szczelnie otuliła się kołdrą i ziewnęła. Miała za sobą męczący dzień. Ale jutrzejszy dzień będzie wyjątkowo udany... była o tym głęboko przekonana!

Jadąc powoli wąską dróżką pomiędzy zagonami kapusty, Amy pomyślała, że Halfpenny End nie wygląda aż tak źle, jak w strugach deszczu podczas jej poprzedniej wizyty. Jednakże dom i tym razem sprawiał wrażenie opuszczonego; nie widać było żadnego śladu życia - choćby smużki dymu nad którymś z wysokich kominów.

Skręciła w wąską ścieżkę prowadzącą do domu i zaparkowała przed frontowym wejściem. Wysiadając zza kierownicy zauważyła, że mały krzew róży został schludnie przycięty, a jego najbliższe otoczenie oczyszczone z chwastów. Nadal

wyglądał dość marnie, jakby rozpaczliwie walczył o przetrwanie na tym skrawku twardej ziemi tuż przy fundamentach domu.

Stała przez chwilę, z zadumą przyglądając się roślinie. Poprawiła torebkę na ramieniu. Zamglone słońce unosiło się na wschodzie, dokładnie zza domu. Było wcześnie, przed dziewiątą; miała nadzieję, że Roger Claybourne już wstał. Przyszło jej do głowy, że powinna była do niego zadzwonić, zwłaszcza iż uprzedzał, że jest chory. Mówił też jednak, że będzie w domu przez cały dzień... będzie na nią czekał.

Zadrżała, kiedy owiał ją zimny podmuch od strony otwartego, nie kończącego się pola, aż po horyzont porośniętego kapustą. Zastanawiała się, jak można żyć na takim pustkowiu, mając za towarzystwo wyłącznie kapuściane głowy. Odwróciwszy się, spojrzała w stronę, skąd przybyła. Patrząc ponad polem w odległości mniej więcej mili dostrzegła pojedynczy samochód jadący jedyną uczęszczaną drogą w tym rejonie, która prowadziła z West Norfolk do Lincolnshire.

Wiatr stawał się coraz bardziej dokuczliwy; poczuła, że odkryte ramiona sztywnieją jej z zimna. Kiedy opuszczała hotel w Lynn był ciepły, pogodny ranek, więc nałożyła tylko obcisłą koszulkę z krótkimi rękawami i dżinsy, a grubszy sweter schowała do torby. Miała nadzieję, że w domu będzie cieplej. Odetchnąwszy głęboko, weszła po schodkach na skrzypiący ganek. Zapukała mocno w pokryte obłazającą farbą drzwi; po dłuższej chwili w głębi domu rozległy się powolne, szurające kroki. Nasłuchiwała wstrzymując oddech; bardzo pragnęła spotkać się z Rogerem Claybourne'em i rozwikłać w końcu tajemnicę Kitty. Drzwi uchyliły się na parę cali, ktoś wyrzał przez szparę, a gdy wreszcie stanęły otworem, Amy doznała szoku na widok człowieka, którego miała przed sobą. Nie spodziewała się, że może być tak schorowany.

Niechlujna brązowa koszula wisiała na nim, jakby była o kilka rozmiarów za duża. Na koszulę włożył równie luźny

rozpinany szary sweter. Spod workowatych spodni wystawały brudne filcowe kapcie. Był wysoki, lecz przygarbiony, a jego szare oczy pozbawione były życia. Pomyślała, że przynajmniej nie kłamał, mówiąc, że spędził jakiś czas w szpitalu. Może nawet nadal powinien tam przebywać.

- Pan Claybourne? - odezwała się pierwsza. - Jestem Amy Weldon. Mam nadzieję, że nie przyjechałam zbyt wcześnie.

Owinał się szczelnie wełnianym swetrem i odparł jękliwie:

- Nie, nie. Nie jest pani za wcześnie. Wstaję codziennie o szóstej. To chyba nawyk z czasów, kiedy byłem aktywny i dawałem sobie radę z tym wszystkim... - Zatoczył ręką półkole wskazując na kapuściane zagony. - Sam. Ale proszę wejść do środka. Nie mogę stać na zimnie.

Otworzył szerzej drzwi; zauważyła, że cały się trzęsie. Nie sądziła, by taka słaba, niedołączna osoba mogła jej wyrządzić jakąkolwiek krzywdę, więc weszła do domu i podążyła za nim wąskim, zakurzonym korytarzem. Minawszy dwoje lub troje przygnębiająco brudnych drzwi, dotarli do kuchni na samym końcu.

Pomieszczenie było mocno przegrzane. Ciepło rozchodziło się od elektrycznego grzejnika stojącego na kafłowym kuchennym piecu. Włączone były wszystkie trzy spirale. Odór skisłego mleka, starego tłuszczu i stęchlizny dosłownie zatrzymał ją w progu.

Przez ostatnie dni zdążyła się przyzwyczać do częstych ataków nudności. Kilkakrotnie nawet zapach herbaty, którą Lizzie parzyła na śniadanie, spowodował, że zawracała z drogi. Uciekała wówczas na górę po schodach, żeby w swojej sypialni dojść do siebie; brała kilka głębokich oddechów przy otwartym oknie, nim mogła ponownie zejść do kuchni. Wiele słyszała o porannych mdłościach podczas ciąży, ale nigdy by nie uwierzyła, że są aż tak uciążliwe. Ostatnio nie mogła nawet patrzeć na swoje ulubione potrawy, więc trudno się dziwić, że na widok kuchni Rogera Claybourne'a omal nie zemdląta.

Żołądek podszedł jej do gardła. Gospodarz jednak wydawał się nie zauważać jej niepewnej miny; wskazał jej krzesło tuż przy piecu. Potrząsnęła głową zatrzymując się przy drzwiach, miejscu najbardziej oddalonym od źródła nieznośnego gorąca i nieapetycznych resztek jedzenia walających się na ceracie. Zapewne oderwała go od śniadania, bo na stole stał talerz z kawałkiem tłustego bekonu i jajkiem sadzonym. Nad kuchenką gazową przy oknie unosiła się jeszcze smużka dymu, a poczerwiała patelnia mówiła sama za siebie.

- Usiądę tutaj, jeśli pan pozwoli. Nie jestem przyzwyczajona do takiego gorąca.

- Gorąca? - Skrzywił się jak od nagłego bólu. - Mnie się wcale nie wydaje, żeby tu było gorąco. Nie mogę się doczekać lata. To ogrzewanie kosztuje majątek.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie chcę panu zabierać zbyt wiele czasu, panie Claybourne...

Przerwał jej niecierpliwie:

- Chyba nie chce pani uciekać, ledwie przyjechała, co? Myślałem, że zależy pani na długiej rozmowie. Dlatego przecież zgodziła się pani przyjechać taki kawał drogi?

Przytaknęła trochę niepewnie.

- Właściwie muszę wrócić możliwie szybko. Mój narzeczony miał wypadek, rozumie pan, i...

- Dlaczego interesuje panią Kitty? - Powłócząc nogami podszedł bliżej i wpatrywał się w nią, zaciskając szary sweter  
•» wokół wychudłego ciała.

Pomyślała, że w trudnych sytuacjach najlepiej sprawdza się szczerłość.

- Była przyjaciółką mojego brata - zaczęła. - Przysyłała listy do domu do Ameryki, w których o niej pisał, ale znaliśmy ją tylko z imienia Kitty.

- Jakież to wzruszające - zadrwił.

- Panie Claybourne... był pan tam tamtej nocy, kiedy zginął Kip Weldon, prawda? - Przyjrzała mu się i nagle



zrobiło jej się go żal. Niełatwo było sypać sól na czyjeś rany, choćby stare. Pamiętała, że kiedyś bardzo mu zależało na Kitty, a teraz miała rozgrzebywać przeszłość, budząc w nim wspomnienia doznanych przykrości.

Zmrużył oczy.

- Usłyszałem w lokalnych wiadomościach, że wojskowy pojazd wpadł do rzeki. Wziętem ciągnik i pojechałem zobaczyć, czy mogę w czymś pomóc, ale kiedy przybyłem na miejsce, było już za późno. Wydobyli wszystkie ciała oprócz jednego. Nawet mi się nie śniło, że to właśnie jego brakowało.

- Skąd miałby pan wiedzieć? - spytała cicho.

- Mógłbym ją odzyskać, gdyby nie on. Kitty myślała, że nie wiem, co się dzieje, ale ja nie jestem głupi.

Oczy płonące dziko w pobladłej twarzy nadawały mu nieco upiorny wygląd. Amy pomyślała, że kiedyś musiał być całkiem przystojnym mężczyzną, z mocno zarysowaną szczęką, wysokim czołem i szeroko rozstawionymi oczyma. Teraz ciemne włosy były przerzedzone i niechlujne, ale jeśli rzeczy, które miał na sobie, kiedyś na niego pasowały, musiał mieć budowę ciała podobną do Richarda - szerokie ramiona, wąskie biodra, silnie umięśnione ramiona i nogi.

Westchnął przeciągle, po czym podszedł do komody stojącej w odległym kącie, której wcześniej nie zauważyła. Na wierzchu stała oprawiona w ramkę wyblakła czarno-biała fotografia pary starszych ludzi - kobiety i mężczyzny. Gdy się nieco przesunął, dostrzegła leżący przed fotografią sztuczny kwiat - białą różę. Natychmiast skojarzyła plastikowy kwiat z różanym krzewem rosnącym przed drzwiami wejściowymi do domu. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

Wysunawszy szufladę, wyciągnął z niej zniszczony album ze zdjęciami i przyniósł go do stołu. Odsuwając resztki śniadania, otworzył album i zaczął w nim czegoś szukać. Amy widziała zdjęcia od góry, więc trudno jej było cokolwiek na nich rozpoznać.

- O, mam! - Wysunął jedno zdjęcie z mocujących je w narożnikach kartonowych trójkątów. Podał je Amy. - To ja pięć lat temu. Wyglądałem zupełnie inaczej niż teraz.

Wzięła od niego zdjęcie i obejrzała je z uwagą.

Tak jak sobie wyobrażała, był kiedyś przystojnym mężczyzną... można powiedzieć, że nawet urodziwym. Kolorowa fotografia przedstawiała go stojącego na plaży w samych kąpielówkach. Zdrowe opalone ciało mogło budzić zazdrość. Oczy miał roześmiane, lecz był w nich również wyraz wyniosłości. Tak. Był przystojniakiem... i wiedział o tym.

- Ładne - stwierdziła, oddając mu zdjęcie.

- Zrobiła je Kitty - wyjaśnił. - W czasach, kiedy byliśmy razem. Zanim on wkroczył na scenę.

- On? - spytała, dobrze wiedząc, kogo ma na myśli.

- Kip Weldon! Człowiek, który zniszczył mi życie.

- Przykro mi, że pan ucierpiał. - Nie zabrzmiało to zbyt mądrze, ale dostrzegła w jego oczach ból i przypomniała sobie własne cierpienie, gdy dowiedziała się o zaginięciu Kipa. Wiedziała, co to znaczy kogoś stracić.

Przyglądał jej się przez chwilę, nim rzekł:

- Przykro mi, że "był pani bratem. Sprawia pani wrażenie osoby zbyt miłej, żeby mieć z nim coś wspólnego.

- On także był miły - zapewniła, czując się w obowiązku bronić Kipa, który nie mógł bronić się sam.

- Zniszczył mi życie. Ale chyba to już pani mówiłem, prawda? - Wrócił do stołu, umieścił zdjęcie na powrót w albumie i odłożył go do szuflady.

- Ma pan może zdjęcie Kitty? - spytała z nadzieją, podnosząc się z krzesła. Bez zastanowienia wyciągnęła rękę i położyła ją na albumie. - Czy mogłabym rzucić okiem? - Spojrzała mu błagalnie w oczy. - Ja... bardzo lubię oglądać stare fotografie - dokończyła niepewnie.

- Nie ma jej tu. - Strząsnął jej dłoń z albumu i odłożył go na miejsce. Zasuważąc szufladę natrafił wzrokiem na czarno-

-białe zdjęcie na blacie komody. - To jest stare zdjęcie - rzekł, podając jej ramkę. - To moja matka i ojciec przed śmiercią.

- Jest pan bardzo podobny do ojca - stwierdziła.

Odebrał jej zdjęcie potrząsając głową.

- Przeciwnie. W niczym nie jestem do niego podobny.

- Miałam na myśli wygląd. - Przechyliła na bok głowę próbując odczytać wyraz jego twarzy, kiedy patrzył na zdjęcie, ale jej się nie udało.

Wziął do ręki plastikową białą różę i otrzepawszy ją z kurzu, stwierdził:

- Był przedsiębiorcą pogrzebowym. Miał bzika na punkcie białych róż.

- Ach, tak! - Amy miała wrażenie, że po kręgosłupie pociekła jej lodowata woda. Nie miała ochoty pytać, dlaczego ojciec Rogera Claybourne'a miał bzika na punkcie białych róż.

Ale i tak miała się dowiedzieć. Kiedy się znów do niej odwrócił, miał w oczach jakiś diabelski błysk.

- To było moje zadanie - powiedział.

- Pana... zadanie? - spytała słabym głosem.

- Położyć białą różę na piersi zmarłego w trumnie, kiedy zjawiali się pogrążeni w żałobie krewni, żeby oddać mu ostatni hołd.

Żołądek Amy dał o sobie znać gwałtownym podskokiem.

Claybourne sprawiał wrażenie ubawionego reakcją, jaka uwidoczniła się na jej twarzy.

- Musiałem mieć nie więcej niż jakieś pięć lub sześć lat, kiedy zacząłem pomagać tacie w domu pogrzebowym - opowiadał. - Wtedy złożono na mnie odpowiedzialność za numer z białą różą.

Usiadła. Próbował ją zaszokować, to było oczywiste. Żadne słowa nie przychodziły jej do głowy; milczała. - Mieliśmy tylko jedną białą różę, właśnie tę. Spoczywała na setkach piersi, na sercach, które przestały bić.

- Czy Kitty wiedziała o tej róży? - odważyła się zapytać.

Roześmiał się hałaśliwie.

- Lubiłem się z nią drażnić używając tej róży. Kiedyś wsunąłem jej ją we włosy... w jej piękne, jedwabiste brązowe włosy.

Starając się w miarę możliwości panować nad głosem, Amy powiedziała:

- Nieładnie robić takie rzeczy komuś, kogo się kocha.

- Oni zrobili mi nieładną rzecz... zmuszając dziecko w takim wieku do codziennego oglądania trupów.

Amy zaczynała żałować, że przyjechała w to miejsce.

- Czy wyjawi mi pan nazwisko Kitty? - spytała ostro. - Bo jeśli nie, to nie zostanę tu ani minuty dłużej. - Podniosła się i stała naprzeciw niego.

Bawił się sztucznym kwiatem jeszcze przez moment, a potem odrzucił go na blat komody.

- To się stało zwyczajem - mówił dalej - umieszczanie róży przy zwłokach. Ale mama i tata zostali spaleni, więc została po nich tylko ta fotografia... zamiast grobu.

- Powinien pan spalić tę różę. Przez nią męczą pana te okropne wspomnienia.

- I tak tylko one mi pozostały. Okropne wspomnienia.

- Usiadł przy elektrycznym grzejniku. Patrząc na Amy z drugiego końca kuchni, dodał: - Nic więcej już nie mam. Tylko wspomnienia.

- Przykro mi. - Stała sztywno przy drzwiach obserwując go z ukosa. Nie ufała mu ani trochę. Wiedziała, że jeszcze nie skończył. Miał przed sobą wdzięcznego słuchacza i zamierzał to wykorzystać. Zaczynała się trochę bać.

- Zostało mi zaledwie kilka miesięcy życia - oświadczył.

Kuchnia nagle zawirowała jej w oczach.

- Boże! - jęknęła, opadając z powrotem na krzesło. Uniosła dłonie do czoła; torebka zjechała jej z ramienia i upadła na podłogę. Kiedy wreszcie odzyskała ostrość widzenia, zauważyła, że Claybourne badawczo jej się przypatruje.

- Dobrze się pani czuje?

Przytaknęła.

- W porządku. Zaskoczył mnie pan.

- Mam raka. Dlatego mnie tu nie było, kiedy pani przyjechała poprzednim razem. - Mówił z beznamiętną rzeczowością, co dawało niesamowity efekt, zważywszy na rodzaj przekazanej wiadomości. Miała wrażenie, że przyjął chorobę jak coś naturalnego. Niemal się nią szczycił, jakby to było coś, co mu się należało.

- Przykro mi... - Ciepło bijące od piecyka stawało się nie do wytrzymania. Czuła oszołomienie i mdłości. Pragnęła wydostać się z tego domu. Niczego się nie dowiedziała... a w dodatku tkwiła w tej dziurze sam na sam z psychopata.

- Wątroba i płuca - powiedział, jakby prowadzili zwykłą towarzyską rozmowę. - Powiedzieli, że za dużo piłem i paliłem i teraz za to płacę.

- Przykro mi... naprawdę mi przykro - powtórzyła cicho.

- Nic to pani nie obchodzi - mruknął. - Więc proszę nie udawać.

- Może powinniśmy porozmawiać o czymś innym?

- O Kitty? - spytał nagle rozbawiony.

- Owszem. W końcu po to tu przyjechałam.

- I co pani zrobi, jak już pozna jej nazwisko?

- Chciałabym się z nią spotkać.

- Po co?

- Bo chciałabym poznać dziewczynę, z którą mój brat miał zamiar się ożenić - wyjaśniła.

- Wie pani, że kiedyś o mało jej nie zabiłem - bardziej stwierdził, niż spytał.

W mgnieniu oka przypomniała sobie, jak Jane Weaver jej opowiadała, że Roger Claybourne zaatakował Kitty i omal nie wylądował za to w więzieniu. Przymknęła oczy przeklinając się w duchu, że nie miała dość rozumu, by przejrzeć w ar-

chiwum lokalne gazety. Nic prostszego, a mogło jej to oszczędzić osobistego spotkania z Claybourne'em.

Przypomniała sobie jednak, że miała wówczas w głowie zupełnie co innego. Richard wyratował z morza te dzieci, a potem... Nie czas teraz o tym myśleć, przywołała się do porządku, czując rumieniec wypełzający na policzki. Zresztą, tuż potem zadzwoniła Lizzie z wiadomością, że wuj Gif miał atak serca. Nic dziwnego, że całkiem zapomniała o tej drobnej wzmiance uczynionej przez Jane Weaver, która mogła jej oszczędzić tak wielu kłopotów.

Powiedziała sobie, że jeszcze nie jest za późno. Może odwiedzić miejscową bibliotekę... choćby dzisiaj, przed powrotem do domu, jeśli się pospieszy. Roger Claybourne bawił się z nią w kotka i myszkę. Nie wiadomo, czy w ogóle miał zamiar podać jej nazwisko Kitty. Sięgnąwszy po torebkę, poderwała się z krzesła... i znów wszystko zawirowało jej w oczach.

- Muszę już iść - odezwała się. - Przepraszam, że zabrałam panu czas, panie Claybourne, ale nie mogę zostać dłużej.

- Nie! - Rzucił się ku niej, nim zdążyła się zorientować, co się dzieje. Stanął pomiędzy nią a drzwiami do korytarza, który prowadził do wyjścia. Były jednak inne drzwi, z kuchni wprost na zewnątrz; pobiegła w tamtą stronę i chwyciła za klamkę.

Usłyszała cichy śmiech za plecami.

- Są zamknięte.

Odwróciła się gwałtownie.

- Proszę otworzyć - zażądała. - Nie może mnie pan tu trzymać wbrew mojej woli.

- Nie byłaby pani pierwsza - stwierdził spokojnie. - Kitty wie, jak to jest.

Oparła się o drzwi, nagle niewiarygodnie osłabiona, przeklinając się tym razem za podjęcie takiej wyprawy w okresie porannych mdłości.

~ Nie wiem, do czego pan zmierza - zaczęła - ale radzę otworzyć te drzwi, panie Claybourne.

- Ostatnia zamknięta tu osoba nigdy nie odzyskała świadomości - mówił jadownicie miękkim slosem. - Szkoda. Chciałem, żeby cierpiał.

- On? - Słabość mąciła jej umysł.

- Właściwie może się pani dowiedzieć. To był Kip Weldon. Znalazłem go tamtej nocy... leżał z twarzą zanurzoną w rzece, dwie mile od miejsca, gdzie wpadli. Przyciągnąłem go do brzegu gałęzią. Przywiozłem tutaj.

- Kipa? - Serce jej zamarło. - Kipa? Tutaj? - Wpatrywała się w niego przerażona.

Wolno pokiwał głową, a potem zaczął się śmiać, z początku cicho, potem coraz głośniej i głośniej, aż zmartwiła z przerażenia. Na moment ożyła w niej nadzieja, ale zaraz rozum podpowiedział, że Kipa tu nie ma. Gdyby był na górze, byłoby coś słychać... zwłaszcza gdyby Kip usłyszał jej głos. Oczywiście, były przybudówki wokół domu, ale natychmiast porzuciła myśl o tych ruderach bez okien, z drzwiami wiszącymi na wyrwanych zawiasach.

Potem przypomniała sobie, co Roger Claybourne powiedział: „Ostatnia zamknięta tu osoba nigdy nie odzyskała świadomości...” i pomyślała o krzaku białej róży posadzonym przy drzwiach wejściowych, na wpół martwej, żalostnej roślinie, rozpaczliwie walczącej o przetrwanie.

- Kip... - Załkała; nie chciała już wiedzieć, co naprawdę wydarzyło się w tym domu przed dwoma laty, i żałowała, że naraziła własne życie przyjeżdżając w to miejsce.

- Nie ma sensu go wzywać - powiedział Roger Claybourne odsuwając się od drzwi, najwyraźniej pewny, że już nie będzie próbowała uciekać. - Kip nie żyje.

- Zamordował go pan! - krzyknęła.

- Nie był tego wart. Ledwie tliło się w nim życie. Wystarczyło tylko zaczekać.

Szlochała bezradnie; nie znajdując koło siebie krzesła, usiadła na podłodze, z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Z początku się bałem, że to odkryją - dochodził do niej spokojny głos. - Ale teraz to już nie ma znaczenia. Rozumie pani, nie poniosę konsekwencji, bo już mnie tu nie będzie. Umrę, zanim zdążą postawić mnie przed sądem. Co nie znaczy, że w ogóle będzie jakiś sąd. Mówię pani, ja tylko czekałem, aż on umrze, i umarł... parę godzin po tym, jak go tu przywiozłem.

- Ty potworze... - Załkała.

Podszedł do pieca, usiadł odwrócony do niej plecami.

- Chciała się pani dowiedzieć nazwiska Kitty.

- Mogę się dowiedzieć bez pańskiej pomocy. - Podniosła głowę. Patrząc na jego plecy widziała, jak kołysze się wolno w przód i w tył.

- Mogę pani oszczędzić zachodu. Kitty nie było jej prawdziwym imieniem... lubiła tylko być tak nazywana. Naprawdę miała na imię Catherine. Catherine Blake! Jest pani teraz zadowolona, panno Amy Weldon?



Catherine Blake z miną zdradzającą determinację skręciła w stronę Peterborough, przedarła się przez miasto w porannej godzinie szczytu, by wreszcie obrać kierunek na Spalding. Dobrze znała drogę, ponieważ spędziła w tych stronach większość życia, nim je opuściła przed dwoma laty.

Mieszkała, by tu pewnie nadal, gdyby nie Roger Claybourne i jego obsesja na jej punkcie. Po tym, jak ją zaatakował, zrozumiała, że nigdy nie będzie bezpieczna w jego zasięgu. Po urodzeniu Kim przeprowadziła się więc do Londynu ze

swoją siostrą, i Sue znalazła dla niej pracę w czasopiśmie „Diary”.

Jednakże ta płaska, żyzna okolica na zawsze miała pozostać dla niej domem. Cieszyła się, że wciąż ma ciotkę Mary i kuzynów, do których może od czasu do czasu przyjeżdżać, choćby po to, by Kim wiedziała, że ma jakieś korzenie - krewnych, którzy ją darzą uczuciem. Teraz Londyn był ich domem - jej i Kim, a także Sue, ale Catherine kochała otwarte przestrzenie Lincolnshire. Wiedziała, że jej tęsknota za miejscem urodzenia jest zupełnie naturalna, lecz miała przy tym świadomość, że dopóki mieszka tu Roger Claybourne, ona nie może tu wrócić, choćby nie wiem jak bardzo tego pragnęła.

Minęła drogowskaz na Halfpenny End, ale niepotrzebne jej były wskazówki. Znała to miejsce aż za dobrze. Kręta wąska droga do farmy nie przedstawiała dla niej niespodzianek; po jednej stronie znajdował się głęboki rów odwadniający, po drugiej pole kapusty. Ujrawszy dom, stwierdziła, że nic się nie zmienił od czasu, kiedy widziała go ostatnim razem. Drewno wymagało malowania, a fragmenty murowane nie były naprawiane od lat. Zaparkowała obok jedyne go pojazdu stojącego przed domem.

- No, no! - mruknęła do siebie. - Ładne autko, sama chętnie bym usiadła za kierownicą. - Pomyślała, że Roger musi niezłe wychodzić na tej swojej kapuście; nawet nie przyszło jej do głowy, że land-rover może należeć do kogoś innego.

Specjalnie wyruszyła bardzo wcześnie, żeby dojechać do Halfpenny End przed Amy. Spojrzała na zegarek. Było tuż po dziesiątej. Zastanawiała się, jak długo przyjdzie jej czekać, jako że za nic w świecie nie wysiadłaby z samochodu przed pojawieniem się tamtej dziewczyny. Nie miała zamiaru dawać Rogerowi Claybourne'owi okazji, żeby znów mógł ją pobić.

Siedziała i czekała, rozglądając się wokół siebie. Dom popadał w ruinę, w całym obejściu panowała aura upadku i zniszczenia. Nagłe doznała wrażenia, że coś się zmieniło. Ale co? Obróciła się na siedzeniu i marszcząc czoło przyjrzała się dokładniej przybudówkom. Stały tam gdzie zawsze, więc to w samym domu musiała zajść jakaś zmiana. Popatrzyła na drzwi i prowadzący do nich zmurszały ganek. Przeniosła wzrok na dach i kominy, potem na okna, obserwując uważnie każde po kolei, następnie znów na drzwi, na zejście do piwnicy...

Wstrzymała oddech. Drewniane drzwi! Zniknęły! Zawsze tam były, tuż nad ziemią, pod oknem z lewej strony. Przyjrzała się uważnie cegłom. Nie były nowe. Zaprawa pomiędzy cegłami była jednak w tym miejscu jaśniejsza. Zamurował starą piwnicę używając do tego starych cegieł, żeby nie było widać. Zastanawiała się, po co to zrobił. Piwnicy używano do przechowywania węgla i drewna na opał. Można się tam było dostać jedynie przez te drewniane drzwi... choć kiedyś, dawniej, istniały też drugie, zabite później deskami, od strony spiżarni...

I wtedy dostrzegła niepozorny różany krzew.

- Nie! - wyrwało jej się bezwiednie. - Była pewna, że róża jest biała, choć na krzewie nie było jeszcze ani jednego pąka. Roger nienawidził kwiatów. Nie było mowy, żeby posadził kwiaty przed drzwiami swego domu, chyba że... O Boże, nie. Nie ta dziewczyna. Nie Amy Weldon.

Strach ścisnął ją za gardło. Z daleka nie była w stanie ocenić, czy ziemia jest świeżo skopana, czy nie... a nie miała odwagi wysiąść z samochodu, by się przekonać. Włączyła silnik, zawróciła i ruszyła pełnym gazem. Gdzieś w pobliżu musiała być budka telefoniczna... choć nie przypominała sobie, by minęła jakąś po drodze. Tym razem Roger posunął się za daleko. Skoro w grę wchodziło morderstwo, nie mogła nie reagować.

Żałowała, że pozwoliła mu uniknąć kary za pobicie, że nie zgodziła się świadczyć przeciwko niemu. Bała się jednak jego gniewu i jego pogródźek. Sprawa została umorzona.

Pędziła, jakby gonił ją sam diabeł, rozglądając się za automatem telefonicznym, z którego mogłaby wezwać policję. W pośpiechu wjechała na główną drogę, nie upewniwszy się, że jest wolna. Słyszając pisk opon, ścisnęła kierownicę równocześnie wciskając do oporu pedał hamulca; samochód zatańczył po jezdni.

Pojazd, z którym o mało się nie zderzyła, był duży i biały. Zatrzymał się w połowie trawiastego nasypu biegnącego wzdłuż drogi, wrywwszy w nim głęboką bruzdę. Catherine zaciągnęła ręczny hamulec, wysiadła z samochodu i pobiegła w kierunku drugiego auta. Wysiadały już z niego dwie umundurowane postacie - mężczyzna i kobieta. Dopiero wówczas spostrzegła, że auto ma z boku wymalowany czerwony pas i policyjnego koguta na dachu.

Amy przestała płakać, kiedy przyniósł filiżankę herbaty i podał jej siadając przed nią na podłodze.

- Proszę wypić - polecił. - Przeżyła pani ciężki wstrząs.

- Nie może mnie pan tu trzymać - powiedziała ignorując wyciągniętą rękę.

- Nie mam zamiaru pani tu trzymać. Może pani odejść, kiedy tylko pani zechce.

- Nawet zaraz?

- Owszem, jeśli pani tego chce.

- Zdaje pan sobie sprawę, że pójde prosto na policję?

Pokiwał głową uśmiechając się półgębkiem.

- Będę zadowolony, kiedy wszystko wyjdzie na jaw. Będę miał przynajmniej czyste sumienie.

- Gdzie on jest? - spytała przez ściśnięte gardło. - Gdzie jest Kip?

- Wie pani, gdzie on jest. Nie potrzebuje mnie pani o to pytać, prawda?

- Pochował go pan? Pod tym różanym krzewem? - Opadły z niej wszelkie emocje. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu odczuła ulgę, poznawszy prawdę o tym, co się stało z Kipem. Przez cały czas w jej podświadomości tliła się nadzieja, że Kap odnajdzie się cały i zdrowy. Nie była w stanie rozstać się z nim na dobre, dopóki nie wiedziała na pewno, że nie żyje.

Cłaybourne pokręcił głową.

- Niezupełnie. Jest w piwnicy za krzewem. Posadziłem tę cholerną różę najbliżej, jak mogłem.

- On umarł? Naprawdę umarł? Nie zabił go pan?

- Mówiłem pani. Gdy go znalazłem, leżał z głową w wodzie. Wyciągnąłem na brzeg. Z początku myślałem, że jest martwy. Potem wyczułem słaby puls. Chyba byłem szalony, przywożąc go tu traktorem. Zaraz po wniesieniu go do domu przekonałem się, że już nie można mu pomóc.

- Skąd pan to wiedział? - krzyknęła. - Może by go uratowano, gdyby pan go zawiózł do szpitala,

- Znam się dobrze na pierwszej pomocy. Próbowałem go reanimować... zrobiłem mu nawet sztuczne oddychanie usta-usta. Rozumie pani, chciałem, żeby żył. Nie wiem, co miałem zamiar z nim zrobić, ale nie mogłem znieść myśli, że on ją miał, a ja spędzę resztę życia bez niej.

- Jest pan szalony - stwierdziła.

Wzruszył ramionami ponownie podsuwając jej filiżankę.

- Może pani sobie myśleć, co chce. A ja mogę tylko powiedzieć, że nie jestem mordercą.

- Pobił pan swoją dziewczynę - rzuciła oskarżycielsko.

- To prawda. Catherine była moją jedyną słabością. Od dnia, gdy mi powiedziała, że za mnie nie wyjdzie, nie mogłem znaleźć żadnego sensu życia.

Nagle przypomniała sobie o Richardzie i spojrzała na zegarek. Było wpół do jedenastej.

- Muszę zadzwonić - powiedziała, sięgając do tylnej kieszeni. - Ma pan coś przeciwko temu?

Skrzywił się kręcąc głową przecząco.

- Niech pani wezwie gliny. Nie będę stawiał oporu.

- To nie na policję chcę zadzwonić, tylko do człowieka, którego zamierzam poślubić. On nie wie, że tu jestem.

- Będę na górze - rzekł, stawiając przed nią na podłodze filizankę. Podniósł się i wyszedł z kuchni.

Wykopali różany krzew i odrzucili go na bok. Następnie usunęli ziemię i zburzyli mur wstawiony w miejsce dawnych drzwi. W całym domu słychać było odgłosy pracy ekipy wezwanej pospiesznie przez policjantów. Byli też w spiżarni, próbując dostać się do piwnicy od tamtej strony. Przed domem roiło się od samochodów. Cały teren ogrodzono palikami z rozciągniętą na nich taśmą.

Roger Claybourne gdzieś w głębi domu rozmawiał z policjantami. Amy i Catherine siedziały w land-roverze czekając i obserwując, co się wokół nich dzieje.

Kiedy zakryte nosze ukazały się w drzwiach, Catherine ukryła twarz w dłoniach. Amy wysiadła z samochodu i na drżących nogach podeszła do ludzi niosących Kipa. Zbierając w sobie wszystkie siły zmusiła się do zadania pytania:

- Chcecie, żebym go zidentyfikowała?

Starszy stopniem z policjantów rzekł łagodnie:

- To nie będzie konieczne, panno Weldon. Przeleżał tam dwa lata. Będziemy musieli sprawdzić rejestr dentystyczny, żeby się upewnić, ale nie wydaje mi się, żeby były jakiegokolwiek wątpliwości. Znaleźliśmy przy nim plakietkę identyfikacyjną... i wojskowe dokumenty.

Amy całkowicie odzyskała spokój.

- Rozumiem. A co się stanie z Rogerem Claybourne'em?

- To zależy - powiedział oficer z wahaniem. - Po sekcji będziemy wiedzieć, czy są dowody świadczące o tym, że Keith Weldon został zamordowany, czy też umarł z przyczyn naturalnych. Osobiście sędzę, że raczej to drugie.

- Jakie to dziwne słyszeć, że ktoś nazywa go Keith - powiedziała. - Nienawidził tego imienia. Zawsze był znany jako Kip. - Zabrano ciało umieszczając je w nie oznakowanej policyjnej karetkce. - Czy możemy wejść do domu? - upewniła się. - Catherine jest w szoku. Cała się trzęsie.

- Myślała, że widzi ducha, kiedy pani wyszła z tego domu... To panią spodziewaliśmy się znaleźć w tej piwnicy. Byliśmy przekonani, że ten młody człowiek utonął dwa lata temu.

- Pójdę po nią. W kuchni jest przyjemnie i ciepło. Spędziłam tam ostatnie półtorej godziny rozmawiając z Rogerem Claybourne'm.

- Nie próbował wyrządzić pani krzywdy?

Zdobyła się na uśmiech.

- Nie. Dlaczego miałyby to robić?

Objęła Catherine i wprowadziła ją do domu, choć prawdę mówiąc sama potrzebowała wsparcia.

- To szaleństwo siedzieć tu na zewnątrz, ale policja chce, żebyśmy się jeszcze nie oddalały.

- Jak mam mu spojrzeć w twarz? - szlochała Catherine.

- Między nami naprawdę wszystko się skończyło... na długo przed tym, nim poznałam Kipa.

- Może nie będziemy musiały się z nim spotkać. Prawdopodobnie trzymają go w którymś z pokoi.

- Mówiłaś, że jest chory. - Catherine przystanęła niepewnie w połowie długiego korytarza.

- On umiera, Catherine. Ma raka.

- Płaci za to, co zrobił Kipowi. - W głosie Catherine nie było litości.

- Powiedział mi, że nie zabił Kipa i chyba mu wierzę  
- stwierdziła spokojnie Amy.

Drzwi się otwarły i Amy dostrzegła pochyloną sylwetkę Rogera Claybourne'a przy kuchennym stole. Nie podniósł wzroku. Catherine cofnęła się, mówiąc cicho:

- Boże! Chyba zwymiotuję.

Amy wprowadziła ją po schodach na górę do łazienki.

- Poczekam na ciebie pod drzwiami - obiecała, choć sama czuła się okropnie. Znow dały o sobie znać poranne nudności. Pociemniało jej w oczach, ale Catherine zdażyła już zniknąć w łazience, więc nie miała nawet kogo się chwycić.

Pchnęła najbliższe drzwi. W pokoju znajdowało się łóżko; usiadła na nim i opuściła nisko głowę, czekając, aż minie zamroczenie. Odzyskawszy przytomność umysłu, rozejrzała się wokół i jej oczy z wolna wypełniły się łzami. Była w sypialni Rogera Claybourne'a.

Catherine szukając jej otworzyła szerzej drzwi i weszła do pokoju mówiąc:

- Myślałam, że zeszłaś na dół.

Amy nie odzywając się ani słowem wskazała na przeciwległą ścianę. Nad komodą i po obu jej stronach, niczym wota w świątyni, wisały niezliczone fotografie Catherine. Wokół małej elektrycznej lampki ustawione były ramki - srebrne, z brązu, drewniane, w kształcie serca. Podobne wisały na ścianie. Catherine stała jak wmurowana.

- Nocami pewnie włączał lampę i leżał patrząc na ciebie przez te wszystkie lata - odezwała się Amy.

Catherine zadrżała od szloch, odwróciła się i wyszła z pokoju, a potem zeszła schodami na dół.

Amy podążyła za nią do kuchni. Roger Claybourne stał pomiędzy dwoma policjantami, którzy lada moment mieli go wyprowadzić. Sprawiał wrażenie cierpiącego, ale się nie skarżył.



Catherine zbliżyła się do niego; Amy widząc to przycisnęła dłoń do ust przekonana, że dziewczyna zamierza go uderzyć. Nie zrobiła tego jednak. Patrząc mu w oczy spytała:

- Zabiłeś go? Chcę znać prawdę.
- Nie. Nie zabiłem go - odpowiedział bardzo cicho.
- Przekonają się, że go nie zabiłem, kiedy zrobią sekcję.

Catherine wyciągnęła ku niemu ramiona. Obaj policjanci odsunęli się, choć nadal nie spuszczaali go z oczu.

Kiedy Amy wychodziła z kuchni, Catherine i Roger Claybourne stali przytuleni mocno do siebie.

**R**ichard był zły, jak jeszcze nigdy dotąd.

- Nie powinnaś była jechać tam sama - natarł na nią, kiedy zjawiała się w jego domu; cały dzień przesiedział w salonie czekając na nią.

Była szóstą po południu i Amy padała z nóg ze zmęczenia. Miała zły dzień i nie czuła się na siłach prowadzić samochodu z powrotem do Drebyshire, po tym, co się zdarzyło w domu Rogera Claybourne'a. Wiedząc jednak, że Richard będzie się niepokoił, wmusiła w siebie mnóstwo słodkiej herbaty, żeby przemóc zmęczenie, i zdołała pokonać całą trasę w nieco ponad trzy godziny.

- Ładnie mnie witasz - obruszyła się. - Myślałam o tobie przez całą drogę, a ty zaczynasz na mnie krzyczeć, ledwie stanęłam w drzwiach.

- Ale nie pomyślałaś o mnie, zanim się wybrałaś na tę niedorzeczną wyprawę, prawda? Nie przyszło ci do głowy, że będę umierał z niepokoju, jeśli się nie zjawisz rano w szpitalu?

Wyciągnęła do niego ręce nie ruszając się od progu.

- Richardzie, nie wiedziałam, że wcześniej cię wypiszą. Czego ode mnie oczekiwałeś? Że zabiorę się stamtąd zaraz po przyjeździe i natychmiast wrócę?

- Oczywiście, że nie. Ale wiedziałas, że Roger Claybourne dał się poznać jako agresywny osobnik. Nie powinnaś była spotykać się z nim sam na sam.

- Richardzie, nie był agresywny wobec mnie. To chory człowiek, śmiertelnie chory. A w ogóle, to przestaniesz wreszcie na mnie krzyczeć, żebym ci mogła opowiedzieć, co dziś zaszło?

- Domyślam się, że szukałaś wiatru w polu - mruknął wciąż nadasany. - Niewiele mi powiedziałaś dzwoniąc dziś rano. Tylko tyle, że zobaczymy się później. Co, do licha, miałem sobie myśleć, Amy? Pędzisz gdzieś sama...

- Richard! Przystań już! - Podbiegła do niego, uklękła przy jego fotelu i objęła go w pasie. Położyła mu głowę na piersi i wyznała łamiącym się głosem:

- Richardzie, to było okropne... to, co się dziś stało. Znaleźli ciało Kipa. Na litość boską, nie krzycz już na mnie.

Przytulił ją mocno, a jego zły nastrój rozpułynał się jak śnieg w słońcu.

- Amy... Amy, kochana - szepnął. - Co ty mówisz?

Smutnym, lecz spokojnym tonem opowiedziała mu o wydarzeniach w domu Claybourne'a. Nie okazywała rozpacz. Łzy nie mogły już nikomu pomóc. Kiedy skończyła, po raz pierwszy od lat czuła się uwolniona od ducha Kipa Weldona.

Richard gładził ją czule po włosach.

- Amy... wybaczysz mi? - odezwał się cicho. - Nie pozwoliłem ci nawet wyjaśnić...

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Wiedziałam, że będziesz wściekły jak cholera - przyznała.  
- Spodziewałam się najgorszego... i słusznie.  
- Gdybym wiedział...

Odsunęła się od niego w obawie, że swoim ciężarem uciska jego chore ramię, ale natychmiast przygarnął ją z powrotem i tkliwie pocałował w usta.

- Pójdę zrobić coś do picia - zaproponowała. - Pewnie cały dzień nic nie jadłeś.

- Lizzie Abercrombie jest w kuchni - powiedział. - Zadręcza mnie swoją troskliwością i ciągle mówi o tym małym domku po drugiej stronie ulicy, który jest wystawiony na sprzedaż. Kiedy zobaczyłem podjeżdżającego land-rovera, wysłałem ją, żeby zaparzyła dzbanek swojej sławnej herbaty.

- O, nie! - jęknęła Amy. - Tylko nie herbata. Od rana wypitał tego świństwa chyba z wiadro... Z drugiej strony, skoro byłam w stanie pić ją rano, to chyba nie zaszkodzi mi i o tej porze.

Przyjrzał się jej podejrzliwie.

- A to niby co ma znaczyć? - spytał.

Uświadomiwszy sobie, co powiedziała, Amy położyła dłoń na ustach.

- Nic - powiedziała szybko. - Sama nie wiem, co plotę.

- Lizzie mi mówiła, że przez ostatni tydzień nie czułaś się najlepiej.

- Uhm... - Spuściła wzrok, nie mając odwagi na niego spojrzeć.

- Amy... ty chyba nie jesteś?...

Zdobyła się na odwagę.

- Nie będę cię okłamywać. Tak, jestem w ciąży. I od razu ci powiem, że nie wiem, jak to się stało... mam na myśli to, że użyliśmy zabezpieczenia. Ale żaden środek nie jest stu-

procentowo pewny, prawda? - Nagle onieśmielona przeniosła wzrok na dywan; była na siebie zła, że zdradziła mu tę wiadomość w niewłaściwy sposób i w niewłaściwym czasie. Nie tak zamierzała mu to powiedzieć. Czekwała z tym na odpowiedni moment. Tylko skąd można wiedzieć, który moment jest najodpowiedniejszy?

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Pewnie będziesz się tym zamartwiał, co? Richardzie, za nic na świecie nie chciałabym, żebyś był na mnie o to zły. Znam twoje zdanie na temat posiadania dzieci... a ty znasz moje.

Zaczął się cicho śmiać.

- Nawet najlepsze plany... i tak dalej, i tak dalej. Może czasem lepiej zdać się na los, co?

- Czy w ten sposób chcesz mi powiedzieć, że nie masz nic przeciwko temu? - Przyglądała mu się z głową przechyloną na ramię.

- Nie bardzo mnie zachwyca myśl, że przez dziewięć miesięcy będziesz pęcznieć jak balon, a potem męczyć się godzinami przy porodzie - przyznał poważnie. - Ale co się stało, to się nie odstanie. To niczyja wina. Oboje jesteśmy za to odpowiedzialni. - Pogłaskała ją po głowie. - Pamiętasz, jak nam było razem? - spytał miękko.

- Och, Richardzie. - Przywarła do niego szepcząc: - Myślałam, że oszaleję... nie wiedząc, jak ci o tym powiedzieć. Bałam się, że jesteś tak bardzo przeciwny posiadaniu dzieci, że każesz mi poddać się aborcji.

Dostrzegła ból w jego oczach.

- Prześladuje mnie myśl, że przypadkowo zabiłem człowieka. Myślisz, że mógłbym z rozmysłem odebrać życie własnemu dziecku? - Ścisnął ją za ramiona, patrząc jej głęboko w oczy. - Amy, nigdy się nie bój mi zaufać. Przecież jestem człowiekiem, na litość boską. Jedno jest pewne, kochanie: nawet jeśli dziesięć razy popełnimy tę samą pomyłkę, nigdy nie każę ci pozbyć się dziecka.

Ogarnięta fałą uczucia wyswobodziła się z uścisku i sięgnawszy do kieszeni dzinsów, wydobyla chusteczkę, by otrzeć łzy wzruszenia. Kiedy już doszła do siebie, powiedziała:

- Byłeś taki pewny, że nie powinniśmy mieć dzieci, a teraz od razu zmieniłeś zdanie.

- Boję się - przyznał. - Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś zaznam miłości. Prowadziłem samotne życie, odkąd odeszła Grace, ale wcale mi ono nie odpowiadało. Pragnąłem cię od chwili, gdy cię po raz pierwszy zobaczyłem...

- W kaplicy w Wydale? - oczy zaokrągliły jej się z niedowierzania.

Uśmiech powoli rozjaśnił mu twarz.

- Już wtedy. Nigdy wcześniej nie znałem nikogo takiego jak ty, ale natychmiast, cię zapragnąłem. A kiedy požądanie zmieniło się w miłość, nie potrafiłem nawet myśleć o tym, że mógłbym cię stracić. Pamiętałem, jak świat się dla mnie skończył po śmierci Grace i byłem pewien, że mogę temu zapobiec jedynie nie dopuszczając, byś zaszła w ciążę.

- Przecież mogłabym zginąć na przykład pod kołanu autobusu.

- Gdyby mi to przyszło do głowy, zapewne rozpętałbym kampanię na rzecz zakazu wypuszczania autobusów na drogi w całym kraju - stwierdził ze śmiechem. - Rozumiem, o co ci chodzi. Nie mogę cię chronić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zresztą wcale bym tego nie chciał. Byłem w błędzie uważając, że Grace wychodząc za mnie stała się częścią mnie samego. Wiem, że ty byś mi na to nie pozwoliła.

- Więc miałam rację jadąc do Lincolnshire bez ciebie... To chciałeś powiedzieć? - spytała trochę zaczepnie.

- Nie powinienem był krzyknąć na ciebie, kiedy wróciłaś - odparł poważnie. - To twoje życie, Amy. Nawet po pięćdziesięciu latach małżeństwa będę chciał cię chronić przed wszelkim niebezpieczeństwem... ale będę się pilnował, żeby tego nie okazywać.

- Będziesz świetnym ojcem, Richardzie, jeśli zachowasz takie samo podejście do dzieci.

- Pozwól mi najpierw oswoić się z tą myślą. Na razie jestem zaskoczony tym, że w ogóle będę ojcem.

Spojrzała w stronę kuchni.

- Mogę powiedzieć Lizzie?

- Lizzie nie stanowi problemu. - Podniósł się z fotela i objął ją ramieniem. - Co innego Gif Weldon. Jak mu mamy przekazać tę nowinę?

- Nie musimy - odparła zdecydowanie. - Pobieramy się w sierpniu. Pozostały zaledwie trzy miesiące... a to naprawdę nie jest sprawa wuja Gifa, czy jestem w ciąży czy nie. Stracił do tego prawo przed wielu laty, kiedy mnie odesłał do Kate i Marty'ego.

- Nadal cierpisz z powodu tego odrzucenia, prawda?

- spytał miękko, przytulając ją do siebie.

- Tak myślisz? - zastanowiła się.

Przytaknęła.

- Dopilnuję, żebyś już nigdy nie czuła się odrzucona - obiecał.

Podziękowała mu za te słowa czułym pocałunkiem.

- Przywiozłam ze sobą to różane drzewko. Masz coś przeciwko temu, bym je posadziła w kącie ogrodu?

- Różane drzewko?

- Ten mały krzaczek, który rósł przy drzwiach domu Rogera Claybourne'a. Policja wyrwała wszystko z ziemi, kiedy próbowała się dostać do piwnicy.

- I zrobiło ci się żal tej róży! - domyślił się.

- Słuchaj... wiem, że jestem szalona, ale musiałam to zrobić - potwierdziła nieco zażenowana.

- Nie jesteś szalona. Jeśli chcesz, możesz przydzielić temu krzakowi honorowe miejsce na środku trawnika.

- Nie. To nieśmiała mała różyczka. Nie ma nawet pączków.

- Przy twoim samozaparciu wkrótce będzie ich miała pod dostatkiem - zapewnił ze śmiechem.

- Więc się zgadzasz?
- Nie mogę być zazdrosny o różany krzew, kochanie.
- Ale to była róża Kipa.
- Kip nie żyje - przypomniał jej łagodnie. - I chyba wiem, co ci chodzi po głowie.
- To ostatnia odsłona - powiedziała, wiedząc, że to prawda.
- Ostatnie wspomnienie miłości, która tak naprawdę nie istniała. Nigdy nie czułam do Kipa tego, co czuję do ciebie. Nawet go nie poznałam jako mężczyzny. A dziś poczułam w głębi serca litość dla Rogera Claybourne'a. W każdym razie rozumiałam, że on naprawdę kochał Catherine, więc kiedy Kip wkroczył na scenę, jego świat zaczął się walić. Myślę, że Catherine też to rozumiała. Została z nim, a potem mu towarzyszyła, kiedy policja go zabrała.

Richard wziął ją za rękę.

- Chodź. Pójdziemy do kuchni zobaczyć, co robi Lizzie, dobrze? A potem, jak już coś zjemy, poszukamy w ogrodzie odpowiedniego miejsca dla róży Kipa Weldona.

Amy codziennie jeździła na rowerze do Hatton-in-the-Dale, żeby pielęgnować różę. Krzew wkrótce puścił korzenie, a przed końcem czerwca, zdrowy i silny, okrył się błyszczącymi liśćmi. Dla Kate i Marty'ego w Ameryce był to smutny okres. Sekcja wykazała, że Kip zmarł na skutek hipotermii wywołanej przebywaniem przez dwie godziny w lodowatej wodzie. Roger Claybourne nie mógł nic zrobić, żeby go uratować. Szczątki Kipa zostały odesłane do Ameryki, gdzie czekał je godziwy pogrzeb. Amy i Richard polecili na kilka dni do Bostonu, zabierając ze sobą zdjęcia małej Kimberley Blake.

Ustalono, że Catherine przyjedzie na ślub Amy z Richardem w sierpniu wraz ze swoją małą córeczką, która w ten sposób będzie miała okazję poznać swoich amerykańskich dziadków. Po powrocie Amy i Richarda do domu, Kate regularnie do



nich dzwoniła i opowiadała o niespodziankach, jakie ma zamiar sprawić małej Kim.

Catherine napisała do Amy list, w którym doniosła jej, że przeprowadza się z córką z powrotem do Lincolnshire, by móc doglądać Rogera w ostatnich miesiącach życia. Pisała, że nigdy go nie pokocha, ale w końcu zrozumiała motywy jego postępowania.

W lipcu zrobiło się gorąco i parno; od tygodni brakowało deszczu. Amy wciąż regularnie pedałowiała do domu Richarda, czasami rano, czasami po południu. Wiedziała, że Richard niechętnie patrzy na jej rowerowe wyczyny teraz, kiedy była prawie w piątym miesiącu ciąży, ale niczego jej nie zabraniał.

Dotrzymał słowa. Nigdy nie stawiał jej żadnego ultimatum. Przyjął do wiadomości, że sama decyduje o swoich poczynaniach. Za tę wyrozumiałość kochała go jeszcze bardziej, ponieważ jednak nie chciała narażać dziecka na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, sama uznała, że musi wkrótce zaprzestać swych rowerowych eskapad. Poza tym czuła się całkiem dobrze, zwłaszcza że przestały ją męczyć poranne nudności.

Postanowiła, że dzisiejsza wyprawa na rowerze do Hatton-in-the-Dale będzie ostatnia. Do ślubu pozostał zaledwie tydzień. Wiedziała, że różany krzew jest bezpieczny.

W ogrodzie było gorąco. Wróciła do kuchni, cieniejszej i chłodnej, i usiadła przy otwartych drzwiach na wyłożonym poduszką bujanym fotelu, który przed dwoma tygodniami wypatrzyli z Richardem na targu staroci. Popijając schłodzony sok pomarańczowy patrzyła na ogród tonący w kwiatkach. Wieczorem Richard miał ją zabrać do Hatton, do nowo otwartego Centrum Sztuki, na amatorskie przedstawienie, o którym przychylnie pisały miejscowe gazety. Cieszyła się na ten wyjazd; czuła że jej życie w końcu zaczyna się dobrze układać.

Musiała się widocznie zdrzemnąć, odstawiwszy pustą szklankę na podłogę obok fotela, bo ocknęła się słysząc

mocne pukanie do drzwi. Wstała i przeszła korytarzem, żeby otworzyć. Pukanie powtarzało się natarczywie.

- Słyszę - krzyknęła. - Już idę. Proszę chwilę poczekać.

John Graham zdarł z głowy szoferską czapkę i wytarł sobie nią czoło.

- Dzięki Bogu, że panią zastałem - westchnął z wyraźną ulgą.

- Zdrzemnęłam się w bujanym fotelu. - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Lizzie pana po mnie przysłała? Wcale jej o to nie prosiłam. Miałam zamiar wrócić jak zwykle na rowerze.

- Czy mógłbym wejść, panno Weldon?

- Oczywiście! - Otworzyła szerzej drzwi. - Dokuczają panu ten upał? Niech pan wejdzie i napije się soku pomarańczowego dla ochłody.

Wszedł za nią do kuchni.

- Proszę usiąść. - Machnęła ręką w stronę fotela i podeszła do lodówki.

- Nie, panienko. To pani niech usiądzie. Pani Abercrombie kazała mi dopilnować, żeby pani usiadła.

Odwróciła się gwałtownie.

- Złe wiadomości? - spytała nienaturalnie wysokim tonem.

- O co chodzi? Boże! Wygląda pan okropnie! Co się stało?

- Proszę usiąść. Bardzo proszę, panno Weldon.

- Niech mi pan powie! - krzyknęła. - Czy mój wuj miał kolejny atak serca? Lizzie zachorowała?

- Nie. Nie. Nic z tych rzeczy... - Uniósł obie ręce, jakby chciał się osłonić przed jej pytaniami. - Proszę, niechże pani wreszcie usiądzie.

- Niech pan mówi! - krzyczała, tracąc panowanie nad nerwami. - Chodzi o Richarda, tak? Coś mu się stało? - Była bliska szaleństwa. - Zdarzył się wypadek w kamieniołomie i nikt nie ma odwagi mi powiedzieć?

- Nie! Nie!

John Graham potrząsając głową bezskutecznie próbował ją przekrzyknąć.

- Nich mi pan powie! Zniosę wszystko. Proszę powiedzieć...
- Chodzi o dom, panno Weldon.
- O dom? - Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.
- O dom? - powtórzyła i zaraz potem zaczęła się śmiać. - Co to wszystko ma znaczyć? Czy to jakiś kawał?
- Wali się, panno Weldon. - John Graham nerwowo obracał w palcach czapkę, jak człowiek bezradnie szukający wyjścia z sytuacji.
- Wali się? - powtórzyła niczym echo.
- Zaczęło się od zachodniej wieży. Po prostu się rozsypała. Był łomot jak... jakiego dotąd w życiu nie słyszałem, a potem całe wzgórze zadrżało i fundamenty wieży osunęły się do rzeki, pociągając za sobą całe zachodnie skrzydło... razem z zimowym ogrodem.

Kiedy wyjechali zza ostatniego zakrętu na obsadzonej drzewami drodze do Wydale Hall, Amy najpierw zobaczyła land-rovera Richarda, który stał na trawiastym brzegu rzeki niedaleko mostu. John Graham zaparkował tuż obok.

Amy przerażona patrzyła na przeciwległy brzeg, gdzie rozegrał się prawdziwy koszmar. Całe zachodnie skrzydło Wydale runęło; zwały kamieni i gruzu potoczyły się po zboczu zostawiając za sobą szeroki pas zdartej ziemi, która wyglądała, jakby ją ktoś przeorał wielkim pługiem. Od

północnej i południowej strony widać było odkryte, popękane fundamenty domu, a dziedziniec przypominał tort, z którego ktoś starannie odkroił połowę.

John Graham nie mógł dojść do siebie. Siedział za kierownicą i kręcił głową; nie próbował nawet wysiąść z samochodu.

- Straszne - mruzczał do siebie. - Straszne.

Amy dostrzegła, jak Richard odłącza się od grupy ludzi w żółtych kaskach na drugim brzegu rzeki i biegnie w jej stronę przez most. Wysiadła z samochodu i pobiegła mu naprzeciw.

Przytulił ją do siebie, kiedy się spotkali przy land-roverze, a potem oboje patrzyli na miejsce zniszczenia, gdzie ludzie w żółtych kaskach ostrożnie torowali sobie drogę w stronę domu.

Ogród zimowy zsunął się po zboczu; właściwie w niczym nie przypominał już ogrodu. Ozdobny trawnik okalający niegdyś górny taras zwiślał teraz z urwiska strzępami darni; z poszarpanej krawędzi sypały się wciąż grudki ziemi i drobne kamienie. Amy przeczuwała, że wcześniej czy później kolejne tony ziemi runą w dół.

Na rzece, w miejscu zwężenia, szczątki zniszczonego ogrodu uformowały tamę; woda torowała sobie drogę przeciskając się pomiędzy kamieniami i wyrwanymi drzewami. Amy modliła się w duchu, żeby nie spadł deszcz, dopóki teren nie zostanie uprzątnięty, gdyż w przeciwnym razie nisko położone pola w sercu doliny mogłyby zostać zalane przez wezbraną rzekę.

- Gdzie jest Lizzie? I wujek Gif? - Spojrzała pytająco na Richarda, tłumiąc w sobie poczucie winy, że podczas drogi do Wydaleń nie spytała Johna Grahama o ich losy.

- Oboje są bezpieczni - zapewnił i uściśnął jej ramię, próbując dodać jej otuchy. - John Graham zabrał ich do starego domku Duncana Warda.

- Nic im się nie stało? - W jej głosie nadal czaił się niepokój.

- Nie. Nic im nie jest.

- Kim są ci ludzie? Ci w żółtych kaskach, z którymi rozmawiałeś?

- Są z finny budowlanej. Zadzwoniłem po nich, kiedy Lizzie mi powiedziała, co się stało.

Rozejrzawszy się dokładniej, Amy zauważyła niewielką białą ciężarówkę zaparkowaną po drugiej stronie mostu, niedaleko kaplicy.

- Czy reszta domu też może się zawalić? - spytała, choć dobrze wiedziała, jaką otrzyma odpowiedź.

Richard potwierdził jej obawy. Miał pobladłą, napiętą twarz.

- Dzięki Bogu, że cię tam nie było, kiedy to się stało - powiedział. - Wiem, jak lubiłaś ogród zimowy i gdybyś tam była... Boże! Nie mogę nawet znieść tej myśli. - Przygarnął ją do siebie jeszcze mocniej.

- Hej! Nic mi nie jest - przypomniała mu.

Uśmiechnął się czule.

- To dlaczego głos ci drży?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo nad ich głowami rozległ się niespodziewany hałas. Zadarłszy głowę, Amy próbowała coś dojrzeć w ostrych promieniach lipcowego słońca. Wstrzymując oddech z oburzenia, mruknęła:

- O,] nie! Znowu on! Mark Powell!

- Nie mógł o niczym wiedzieć. - Richard zmarszczył brwi.  
- To się stało zaledwie dwie godziny temu. Nie miał skąd się dowiedzieć.

Amy widziała, jak helikopter nagle obniża lot nad Wydale.

- Nie wiedział - stwierdziła z przekonaniem. - Nie pytaj mnie, skąd to wiem, ale jestem pewna, że Mark Powell przeżył właśnie, tam w górze, największe zaskoczenie w swoim życiu.

Patrzyli, jak helikopter zawraca i oddala się znad miejsca katastrofy.

- Chyba masz rację - powiedział Richard. - Myślę też, że Mark Powell wkrótce do nas dołączy.

Jego przepowiednia się sprawdziła. Dwie godziny później Mark pojawił się w domku Duncana Warda stojącym przy krętej drodze do Wydale.

- Widziałem dym unoszący się z komina i domyśliłem się, że wszyscy tu jesteście - powiedział, gdy Lizzie otworzyła mu drzwi.

W niewielkim saloniku było już pełno - zgromadzili się tam Gif Weldon, Lizzie, John Graham, Amy i Richard. Amy uznała za całkiem naturalne, że skoro Mark widział katastrofę ze swego punktu obserwacyjnego w chmurach, zechce się dowiedzieć, co się wydarzyło. Lizzie częstowała wszystkich herbatą.

Przyjechała policja i odgrodziła cały teren Wydale od głównej drogi, ponieważ wielu ludzi widocznie usłyszało w lokalnych wiadomościach o upadku starego domostwa i przed domkiem Duncana Warda zdążyła się już zebrać spora gromadka gapiów.

- Widzę, że wrócił pan z aparatem - zauważyła kąśliwie Amy na widok Marka.

- Nie przypuszczałem, że trafię na coś takiego - bronił się.  
- Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy spojrzałem w dół i zobaczyłem tę ruinę. Co się stało?

- Konstruktorzy przypuszczają, że to z powodu wyjątkowo obfitych deszczów, jakie spadły w grudniu. Rozmiękczyły ziemię docierając w głąb, aż do warstw gliny pod domem. Część muru otaczającego ogród zimowy zawaliła się już wcześniej tego roku i Richard bardzo się tym martwił, ale nie śniło nam się, że może się zdarzyć coś takiego.

- Ciężka sprawa. - Mark był szczerze przejęty. - I kosztowna. Zwłaszcza jeśli będzie trzeba rozebrać resztę domu.

Nie odezwała się spoglądając przez pokój w stronę Richarda, który rozmawiał z Johnem Grahamem. Zwróciła uwagę, że Mark nawet nie spytał, czy ktoś ucierpiał, kiedy ranęło zachodnie skrzydło. Postanowiła mimo to mu powiedzieć.

- Nikt nie ucierpiał. Przynajmniej za to powinniśmy być wdzięczni losowi.

Poczerwieniał na twarzy.

- Ach! Rozumiem, że przede wszystkim o to powinienem był spytać. Dziękuję, że mi pani przypomniała.

Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

- Powinien pan zrewidować swoją skalę wartości, panie Powell. - Odwróciła się do niego plecami.

- Proszę nie odchodzić.

Czując jego dłoń na ramieniu, obejrzała się zdumiona.

- Nie mam panu nic do powiedzenia - oświadczyła sucho.

- Nigdy nie będziemy tak samo patrzeć na pewne sprawy.

- Niech pani posłucha... przykro mi, że od razu o tym nie pomyślałem, ale zobaczyłem was tu wszystkich... całych i zdrowych. Gdyby ktoś został ranny, byłoby więcej zamieszania. Przyjąłem więc za pewnik...

- W porządku. - Wzruszyła ramionami. - Ale niech mnie pan nie zatrzymuje. Wujek Gif jest roztrzęsiony. Poproszę Lizzie, żeby go namówiła na położenie się do łóżka.

- On jest moim ojcem - powiedział cicho Mark Powell.

- Może ja powinienem to zrobić.

Strząsnęła z ramienia jego dłoń.

- Dobrze - zgodziła się. - Niech pan to zrobi. Widzę, że bardzo pan chce szybko zająć swoje miejsce, więc niech pan nie zwleka.

- Zostało jeszcze małe co nieco do odziedziczenia przez któreś z nas - przypomniał odsłaniając zęby w uśmiechu.

- Tak pan sądzi?

- Cóż, wygląda na to, że do domu trzeba będzie sporo dołożyć.

W pokoju nagle zapadła cisza. Oczy wszystkich zebranych zwróciły się Na Marka Powella.

- To nie moja wina... to, co się stało - odezwał się cicho.

Richard ruszył w jego stronę.



- To chyba nie czas ani miejsce, żeby rozmawiać o czymkolwiek dziedzictwie - zauważył sucho.

- Zostaw go, Richardzie - wtrącił się Gif Weldon. - Chłopak jest młody. Nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi.

Amy była zła, że wuj bierze stronę Marka, tylko ona bowiem Richard i Gif Weldon znali prawdę. Po wstępnej ekspertyzie geologicznej przeprowadzonej dwa tygodnie wcześniej Wydalę wraz przynależnymi ziemiami wyceniono na grubo ponad dwa miliony funtów. Sądziła, że Mark również mógł znać sumę, choćby od samego Gifa Weldon. Może właśnie dlatego Mark wrócił do Wydalę - żeby się upewnić, że ojciec jest gotowy zaakceptować go jako swego syna.

Amy z niesmakiem oddaliła się od Marka i wuja Gifa; wyszła z pokoju.

Richard znalazł ją w starym angielskim ogrodzie Duncana Warda; oglądała z zachwytem kwitnącą różaną rabatę. Kwiaty pachniały odurzająco. Podeszedł z tyłu, położył jej ręce na ramionach.

- Richard! - Oparła się o niego. Nagle poczuła się bezpieczna, Wydalę przestało ją obchodzić. Uświadomiła sobie, że ten dom przez całe lata przynosił jej tylko smutek. Lękała się tylko jednego... choć w głębi serca wiedziała, że jej lęk nie ma uzasadnienia.

- Amy - szepnął z twarzą ukrytą w jej włosach.

Odwróciła się do niego wolno. Patrzył na nią nie zdejmując dłoni z jej ramion.

- Richardzie... dostałeś dziewczynę, ale zdajesz już sobie sprawę z tego, że nie dostaniesz Wydalę, prawda? Wujek Gif musi sporządzić nowy testament, zostawiając wszystko Markowi, skoro już wie, że on jest jego synem.

- Myślisz, że to ma dla mnie jakieś znaczenie? - Nie odrywał oczu od jej twarzy.

- Włożyłeś już w Wydalę mnóstwo pieniędzy.

Wzruszył ramionami.

- Raz się wygrywa, raz przegrywa.  
- Ale miałeś mnie dostać razem z domem...  
- Amy, tylko ty tak na to patrzyłaś. Ja nigdy. - Uśmiechnął się; wokół jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki, które tak lubiła.

- Więc nadal mnie chcesz? - spytała poważnie.  
- Kocham cię - powiedział po prostu. - A poza tym, kto by chciał taki wielki dom?

Słyszac dyskretne kaszlnięcie, wyrzała zza Richarda, który także odwrócił głowę.

- Podśluhałem zupełnie niechcący.

Gif Weldon miał twarz ściagniętą i poszarzałą. Amy pomyślała, że wygląda na stuletniego starca.

- Nie mogę złamać danego słowa. - Zatrzymał się przy nich spoglądając znacząco na Richarda. - Zawarliśmy dżentelmeńską umowę.

- Niczego nie zawieraliśmy - uprzejmie, lecz stanowczo przerwał mu Richard. - Małżeństwa z rozsądku dawno wyszły z mody.

- Tak czy inaczej, wzięłaś ją razem z domem jako zabezpieczenie, mój chłopcze.

Amy wpatrywała się w wuja z otwartymi ustami, nie wierząc własnym uszom. Już miała wybuchnąć śmiechem, kiedy do niej dotarło, że wuj mówi zupełnie poważnie.

Richard przycisnął ją mocniej do siebie.

- Chcę tylko Amy. Gif, zwalniam cię z wszelkich zobowiązań, jeżeli uważasz, że masz jakieś wobec mnie.

- Ja też tak uważam - dodała Amy i uśmiechnęła się szeroko.

Ale Gif Weldon odpowiedział im twardym spojrzeniem.

- Umowa pozostaje umową - obruszył się. - I nie mogę unieważnić testamentu, w którym wszystko zostawiłem Amy.

- Nie chcę ani domu, ani ziemi, ani w ogóle niczego...  
- zaczęła.

- Nie mogę złamać obietnicy. A Wydalę zawsze było przeznaczone dla ciebie, Amy - rzekł szorstko Gif, po czym odwrócił się i nieco chwiejnym krokiem ruszył z powrotem do domu.

- To czyste szaleństwo - powiedziała Amy patrząc na Richarda. - Ma syna. A ja jestem dla niego nikim.

- Jego czas nieubłaganie dobiega końca - westchnął Richard - a sumienie nie pozwoli mu tak tego zostawić.

- Będzie się musiał jakoś dogadać ze swoim sumieniem - stwierdziła trzeźwo Amy. - Nie może zostawić Wydalę mnie, skoro ma prawowitego syna.

- Ty naprawdę nie dbasz o to, że możesz wszystko stracić? - rzekł z niedowierzaniem. - Naprawdę ci nie przeszkadza, że będziesz musiała zamieszkać w moim domu?

- Podoba mi się twój dom - odpowiedziała beztrąsko. - Przynajmniej mogę tam oglądać moje filmy wideo. Jest pan doskonale wyposażony w sprzęt elektroniczny, panie Boden.

Lizzie i Gif zostali w domku Duncana; Amy odjechała do Hatton-in-the-Dale z Richardem. Nikt nie spytał ani nie okazał zainteresowania tym, gdzie się zatrzyma Mark Powell. Wszyscy z góry założyli, że zamieszka w Hawkwood Arms.

Następnego dnia Lizzie wsiadła do autobusu i przyjechała odwiedzić Amy.

- Aha! - przypomniała sobie, kiedy siedziały w chłodnej kuchni popijając kawę, a przez otwarte drzwi dobiegał z ogrodu świergot ptaków. - Kazałam tym ludziom z brygady budowlanej przynieść z domu kilka osobistych rzeczy... Pomyślałam, że na tych będzie ci szczególnie zależało. - Sięgnęła do swej przepastnej torby na kółkach i wyjęła podstawki do książek wyrzeźbione przez Richarda, dziennik Amy oraz tomik poezji - prezent od Richarda. - Nic się nie bój. Nie zajrzałam do dziennika.

Oczy Amy zaiskrzyły się wesołością.

- Lizzie! Znam cię na tyle dobrze, żeby ci ufać bez zastrzeżeń we wszystkim. Poza tym nie mam tajemnic... a gdybym miała, nie pisałabym o nich.

- Nikomu nie można ufać! A już najmniej przebiegłym staruchom takim jak Gif Weldon.

Amy oparła się wygodnie w bujanym fotelu.

- A cóż on znowu wymyślił?

- Wczoraj wieczorem popędził do Hawkwood - prychnęła Lizzie ze złością. - Żeby się spotkać z tym Markiem Powellem.

- To normalne, Lizzie. Wuj Gif musi się czuć trochę dziwnie, dowiedziawszy się u schyłku życia, że jest ojcem.

- Ciągłe mu powtarzam, że nie można cofnąć czasu. Mark Powell potrzebował ojca, kiedy był młody... nie teraz, gdy jest dorosły i może z powodzeniem sam o siebie zadbać. Jedyne, co dobrze świadczy o tym chłopaku, to to, że ma rozsądniejsze podejście do pieniędzy niż miał kiedykolwiek jego ojciec. Na przykład ma ten helikopter, prawda? No i motocykl, za jaki oddałabym duszę, kiedy byłam w jego wieku.

- Lizzie! - Amy wybuchnęła śmiechem. - Czy to jeden z twoich pilnie strzeżonych sekretów? Pociąg do motocykli?

Lizzie skrzywiła się.

- Wielu chłopców miało motocykle, kiedy byłam młoda w latach pięćdziesiątych. A ja? Nie było mi łatwo zdobyć chłopaka, przy mojej twarzy i figurze... Więc zamiast tego zapragnęłam motocykla. Motocykle nie zwracały uwagi na mój wygląd... i można było na nich polegać bardziej niż na chłystkach z tłustymi włosami, odzianych w obcisłe spodnie.

- Miałaś kiedyś motocykl?

- Nigdy! Miałam tyle samo szans na maszynę Ariel Roadster wtedy, co teraz na ten mały domek naprzeciw waszego. Twój Richard śmiał się ze mnie, kiedy się nim zachwycałam ostatnim razem, kiedy tu byłam. Mówił ci o tym?

Przytaknęła, dodając:

- Lizzie, będziesz musiała gdzieś mieszkać, kiedy zabraknie już wujka Gifa.

- Właśnie! Mówiłam o Gifie Weldonie, nim zesłam na temat moich młodzieńczych marzeń. Nie ufam ani jemu, ani temu jego wścibskiemu synalkowi... jeśli jest synem Gifa.

- Nie sądzę, żeby były co do tego jakieś wątpliwości - stwierdziła poważnie Amy.

Lizzie milczała przez chwilę, a potem zaczęła:

- Coś jest nie tak ze staruszkiem...

- Nie tak? - zaniepokojona Amy wychyliła się z fotela.

- Lizzie... chyba nie chcesz powiedzieć, że jest chory?

- Ależ nie, nic podobnego. Tylko coś dziwnego dzieje się z jego umysłem, jeśli już chcesz wiedzieć. Mówi różne rzeczy.

- Jakie? - zdziwiła się Amy.

- Cały czas mamrocze o tym, że zawiódł swoją rodzinę. A kiedy mijałam jego sypialnię zeszłej nocy, usłyszałam, jak w kółko powtarza twoje imię. Myślę, że coś mu się śniło i mówił przez sen. Brzmiało to tak, jakby cierpiało.

- Może powinnaś go nakłonić do wizyty u lekarza.

Lizzie westchnęła podnosząc wzrok na sufit.

- Może to nic takiego. Może przez to, że mieszkamy w tym małym domku, zauważam więcej niż zwykle. W Wydałę mieliśmy sypialnie w przeciwnych krańcach wielkiego domu, kochanie. Może on zawsze mówił przez sen. Nie wiem! Może nawiedza go duch Duncana Warda... Ta rudera i mnie przyprawia o dreszcze.

- Och, Lizzie... nie wiem, co powiedzieć. Możesz się tu przenieść. Richard przyjmie cię z otwartymi ramionami, bo ja nie potrafię nawet porządnie ugotować jajka...

- Co by się wówczas stało z tym starym człowiekiem? Nie poradzi sobie sam, a z pewnością nie opuści Wydałę ani tej małej chałupki.

- Ale nie musisz tam spędzać nocy. Potrzebujesz się wyspać. Może Richard zabierałby cię stamtąd co wieczór?

Wujek Gif nie potrzebuje niańczenia przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Kto wie, czy nie skorzystam z twojej propozycji... zwłaszcza jeśli on nie przestanie gadać po nocach. Powiadam ci, Amy, to mnie wykańcza... a przecież minął dopiero jeden dzień.

Amy szczerze martwiła się o Lizzie... a także o wuja Gifa. Wydalę stanowiło sens ich życia przez tak długi czas. Po wyjściu Lizzie przez dłuższy czas zastanawiała się, czy zawalenie się domu tak szybko po śmierci Duncana nie było dla wuja ciosem zbyt wielkim, by mógł się z niego otrząsnąć.

Słuchaj... Głupio mi o to prosić niecały tydzień przed twoim ślubem, ale czy mogłabyś tu przyjechać? Gif Weldon do reszty zwariował.

- Lizzie! O czym ty mówisz?

- Och, nie denerwuj się tak od razu. Po prostu zrobił się niemożliwy. A teraz jeszcze zmusił Johna Grahama, żeby poszedł do Hall i wyprowadził ze stajni tego starego grata.

- Jakiego grata? Nie wiedziałam, że w Wydaleń jest jeszcze jakieś inne auto poza tym, którym zwykle jeździ John Graham.

Lizzie westchnęła ciężko do słuchawki.

- Nie pamiętasz tego małego zielonego wozu, którym dawniej jeździł Gif? Wiesz, tego z odkrytym dachem?

Amy wybuchnęła śmiechem.

- Niemożliwe, żeby go nadal trzymał. Byłam dwunastoletnim dzieckiem, kiedy po raz pierwszy zabrał mnie nim na przejażdżkę po Derbyshire i już wtedy to był staroć.

- Przechowywał go przez te wszystkie lata w nie używanej stajni na tyłach domu. Ale wracając do sprawy... twój wuj dostał kręćka, bo znowu chce usiąść za kierownicą. Aż do dziś rano nie miałam pojęcia, że przez cały ostatni tydzień zmuszał Johna Grahama do oliwienia, czyszczenia i polerowania tego auta. John twierdzi, że ono wciąż jest w dobrym stanie i nie ma przeciwwskazań, by znowu wyjechało na drogę. Tylko że ja nie mam zaufania do Gifa. Nie prowadził od lat. Więc może być tu przyjechała i przemówiła mu do rozumu?

- Oczywiście, Lizzie! Poproszę Richarda, żeby mnie podrzucił dziś po południu. Odkąd tu mieszkam, zaczął wpadać do domu na lunch. Nie chce się wierzyć, ale chyba mu zaczyna smakować moje gotowanie! Prawdę mówiąc, potrafię już zrobić całkiem niezły omlet.

- Dzięki Bogu, że ktoś wreszcie bierze poważnie moje słowa. - Amy usłyszała wyraźną ulgę w głosie gospodyni.  
^ - Ten Mark Powell był tu znowu dziś rano, ale tylko się śmiał mówiąc, że to dobrze, że Gif znowu czymś się interesuje.

- Cóż, Lizzie, może to rzeczywiście dobrze.

- Ależ skąd! Nie takimi rzeczami! - Lizzie pozostała nieugięta. - Gdyby się zajął malowaniem akwarel albo czymś równie bezpiecznym, nie miałabym nic przeciwko temu, ale prowadzenie samochodu? Nie! Nie będę patrzeć na to spokojnie, zwłaszcza że chodzi o kogoś, kto niedawno przeżył ciężki stres. Powiadam ci uczciwie, Gif potrafi w jednej minucie być w świetnym nastroju, a już w następnej w głębokiej depresji. To nie jest normalne. I do tego kategorycznie odmawia pójścia do lekarza...



- Porozmawiam z nim - obiecała Amy. - Dziś po południu przyjadę i zobaczę, co się da zrobić w tej sprawie.

- Świetnie! Aha, jest tu jeszcze trochę twoich rzeczy zabranych z Wydale - ubrań i innych drobiazgów. Udało im się w końcu podeprzeć sufit w kuchni i dostać się do schowka, gdzie trzymałaś swoją zimową kurtkę i buty.

Amy uśmiechnęła się do słuchawki.

- Lizzie, nie sądzę, żebym w sierpniu potrzebowała zimowej kurtki.

Około drugiej po południu Richard zajechał land-roverem przed domek Duncana Warda. Obiecał Amy, że zabierze ją stąd o wpół do szóstej, po zakończeniu pracy w kamieniołomie. Aż zagwizdał cicho, zobaczywszy niewielkie dwuosobowe auto stojące przy bramie.

- Do licha! Nieźle cacko! Nie przypuszczałem, że Gif ma coś takiego.

- Ja też nie, dopóki dziś rano Lizzie nie powiedziała mi, że wujek przez te wszystkie lata trzymał go w stajni. - Uśmiechając się do swoich wspomnień, dodała: - Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Wydale, zabierał mnie nim na przejażdżki po całym Derbyshire. Pamiętam, że kupił mi śliczny mały aparat fotograficzny, żebym mogła robić zdjęcia. Wydaje mi się, że to było strasznie dawno temu.

- Chciałbym przyjrzeć się bliżej, kiedy po ciebie przyjadę.

- Może teraz wejdiesz przywitać się z Lizzie i wujkiem Gifem?

Pokręcił odmownie głową.

- Przykro mi, ale nie mogę. Dziś rano podczas strzelania w kamieniołomie odkryliśmy żyłę alabastru, która wygląda bardzo obiecująco. To w dzisiejszych czasach rzadkość, więc chcemy zacząć kopać ręcznie, żeby go nie uszkodzić.

- George Simpson nie może tego sam dopilnować? - zdziwiła się.

Roześmiał się, zmierzwił jej włosy.

- Nie powinnaś mnie namawiać do wagarów - rzucił zaczepnie. - Tak czy owak, chcę tam być, żeby osobiście nadzorować wydobywanie. Pewnie też będzie trzeba ręcznie go załadować, jeśli uda nam się wydobyć całość w jednym kawałku... po to wiozę te liny, które leżą z tyłu land-rovera.

- Bądź ostrożny - poprosiła. - Nie wolno ci się narażać. Nigdy nie wybaczę Gabrielowi, że spadł ci na głowę. - Wzdrygnęła się. - Prawdę mówiąc, czasami na samą myśl o alabastrze czuję dreszcze na plecach.

- Nie martw się - uspokoił ją. - Gabriel nauczył mnie paru cennych rzeczy: po pierwsze, nie wdawać się w bójki, a po drugie, trzymać się z dala od alabastrowych aniołów, które wyskakują z kościelnych okien.

Rozpogodziła się nieco, pocałowała go w policzek i wysiadła z samochodu.

- Uważaj na siebie - zawołała machając mu na pożegnanie.

Tuż po odjeździe Richarda z domku wyszła Lizzie; stanęła przy bramie z rękami wspartymi na biodrach i wystającymi na zewnątrz łokciami, tak jak zawsze, gdy była czymś bardzo przejęta.

- Cześć, Lizzie - powitała ją Amy.

Gospodyni patrzyła z dezaprobatą na małe zielone auto.

- Rozkoszna zabaweczka - mruknęła ze złością.

- Ależ, Lizzie... ten wóz naprawdę jest śliczny. - Amy przejechała dłonią po lśniącym zielonym lakierze, podziwiając błyszczące chromem lampy i zderzak. Pomyślała, że auto musiało być dobrze zabezpieczone na czas wieloletniego postoju w stajni, bo nawet siedzenia z kremowej skóry nie uległy zniszczeniu i wyglądały jak nowe.

- To dzięki Johnowi Grahamaowi wygląda tak dobrze - przyznała niechętnie Lizzie. - Twierdzi też, że pędzi jak burza!

- Gdzie jest wujek Gif?
- W środku. - Lizzie kiwnęła głową w stronę domu. - Tym razem dopisuje mu humor. Ale z nim nigdy nic nie wiadomo. Nigdy nie można przewidzieć, co wymyśli... albo co knuje.
- Lizzie! Chyba zaczynasz przesadzać...
- Nie, nie przesadzam - upierała się Lizzie. - Jest dziwny. Możesz sobie mówić, co chcesz... ale ostatnio zrobił się dziwny. Choćby wczoraj: - nagle kazał Johnowi wieźć się do Hatton. Musiał tam jechać natychmiast, jakby mu diabeł siedział na ogonie. - Lizzie wzruszyła ramionami i zdjęła dłonie od bioder. - Wrócił po paru godzinach, zadowolony z siebie i bardzo tajemniczy, i nie chciał powiedzieć, gdzie był. John Graham twierdzi, że nawet jemu tego nie powiedział. Kazał mu się zatrzymać w centrum, tam go zostawić i przyjechać po niego później.
- Może poszedł po zakupy.
- Nie miał żadnego pakunku, kiedy wrócił.
- Cóż, to może odwiedził jakiegoś starego znajomego.
- Gif Weldon nie ma żadnych znajomych - oznajmiła Lizzie z przekonaniem, a po chwili dodała cicho; - On coś knuje. Ja to wiem. Dziś rano szwendał się po domu i podśpiewywał pod nosem. Podśpiewywał tak cały czas, aż mi to zaczęło działać na nerwy. A kiedy go spytałam, czemu mu tak wesoło, odpowiedział z tajemniczą miną, że wkrótce się dowiem.
- Skoro śpiewał, to znaczy, że jest szczęśliwy - powiedziała Amy, otwierając bramę i wchodząc do ogrodu. - Na twoim miejscu wcale bym się tym nie martwiła.
- A ja się martwię. Znowu miałam ten sen... o tobie i o nim. Staliście na przeciwległych brzegach rzeki. I o tym małym moście... i tym cholernym aniele.
- Och, Lizzie, nie możesz się tym tak przejmować. To tylko sen.
- Zbyt mało czasu zostało do twojego ślubu, żebym się

mogła tym nie przejmować. Amy, jestem przerażona. Boję się, że zdarzy się coś, co ci zepsuje ten dzień. Albo nawet...

- dodała ponuro - w ogóle uniemożliwi ci wyjście za męża.

Mimo słonecznej pogody Amy poczuła chłód na plecach.

- Lizzie, nie mów takich rzeczy.

- Och, jestem zręczliwą staruchą! Nie zwracaj na mnie uwagi. - Położyła jej dłoń na ramieniu, próbując ją pocieszyć.

- Ale naprawdę martwię się o ciebie, nic na to nie poradzę. Tego roku wszystko układało się nie tak jak trzeba. I nie mogę się pozbyć przeczucia, że najgorsze jeszcze przed nami.

Amy wzięła gospodynię za rękę i pociągnęła ją za sobą w stronę małego domku Duncana Warda.

- To wpływ tego miejsca - powiedziała. - Jestem pewna, że to to, Lizzie. Pewnie cały czas myślisz o tym, że wujek Gif i Duncan Ward bywali tu razem.

Lizzie wyjęła z kieszeni fartucha chusteczkę i głośno wytarła nos.

- Może masz rację - przyznała. - Nienawidzę tego miejsca.

- A ten domek po drugiej stronie ulicy, naprzeciw domu Richarda?

- Amy, to marzenie ściętej głowy. - Lizzie miała zaczerwienione oczy. - Tom Abercrombie zostawił mi wprawdzie przyzwoite zabezpieczenie finansowe, ale nie aż takie. Nie mogłabym sobie pozwolić na kupienie tego domu za cenę, jakiej żądają.

- Lizzie, chciałabym, żebyś była blisko, jak wyjdę za męża. Poza tym będę potrzebowała przyjaznej duszy, kiedy urodzi się dziecko.

Lizzie zwróciła się do niej ze łzami w oczach.

- Panienko Amy... zrobiłabym dla ciebie wszystko. Wiesz o tym. I niczego nie pragnę bardziej niż tego małego domku, gdzie mogłabym być blisko ciebie...

- Rozmawialiśmy o tym z Richardem. Chętnie kupiłby dla ciebie ten dom.

- Nie, dziewczyno. - Lizzie potrząsnęła głową. - Nie chcę być dla nikogo ciężarem.

- Nie byłabyś.

- Owszem, byłabym. - Z oczu Lizzie znikły łzy; zastąpił je wyraz uporów. - Nie chcę litości. Nie zniósłabym tego.

Doszły do drzwi. Amy stanęła na wprost gospodyni.

- Lizzie... wujek Gif już wkrótce będzie potrzebował więcej uwagi, niż ty możesz mu zapewnić.

Lizzie opuściła wzrok ku ziemi i mruknęła:

- Tak, wiem. Posuwa się... i to szybko. Dostrzegam to niemal codziennie. Robi się coraz bardziej roztargniony i złośliwy.

Z głębi domu dobiegł poirytowany głos:

- Lizzie Abercrombie, gdzie wsadziłaś moje rękawiczki samochodowe?

Wymieniły znaczące spojrzenia.

- Rękawiczki samochodowe? - Amy zdusiła śmiech. - Czy ja dobrze słyszę, Lizzie?

Gospodyni pokiwała głową.

- Dziś rano pytał mnie, o której godzinie Duncan Ward wróci ze spaceru.

Weszły do domu. Amy zauważyła na stole swoją zimową kurtkę, starannie poskładaną, a na niej żółty szalik. Pod stołem równie starannie ustawione były jej wysokie buty.

- Twoje rzeczy - odezwała się Lizzie. - Wynieśli z Hall już prawie wszystko.

Twarz Gifa Weldona rozpromieniła się na widok Amy.

- Witaj, moja droga. Jakże miło cię widzieć.

- Dzień dobry, wujku.

- Widziałaś auto? - Oczy błyszczały mu z podniecenia.

- Oczywiście, że widziałam - zapewniła z uśmiechem.

- Przypomniało mi czasy, gdy byłam o wiele młodsza niż teraz.

- Pamiętam tamto lato. Wiedziałem, że będziesz u mnie tylko pół roku i chciałem ci podarować coś, dzięki czemu

wspominałabyś Anglię. Dlatego zabrałem cię do wszystkich najpiękniejszych miejsc w Derbyshire.

- Ja też to pamiętam - powiedziała uśmiechając się ciepło do wuja.

Od czasu powrotu do Anglii jeszcze go nie widziała tak ożywionego.

- Pamiętam przeszłość znacznie lepiej niż teraźniejszość.

- Skrzywił się lekko. - Wiesz, że gdyby nie poranna gazeta, nie wiedziałbym nawet, jaki mamy dzień tygodnia?

- Och, wujku, mnie się zdarza to samo. Roztargnienie wcale nie jest przywilejem podeszłego wieku.

- Chodź obejrzeć samochód. - Zabrał ze stołu jej żółty szalik. - Weź go. Na wrzosowiskach może być zimno.

- Nigdzie nie jedziemy - powiedziała łagodnie. - Poza tym mamy sierpień, wujku. W sierpniu nie nosi się szalika... nawet na wrzosowiskach w Derbyshire.

Wyszła za nim przed dom trzymając szalik w dłoni. Sprawiał wrażenie, jakby się nie mógł doczekać pokazania jej swego skarbu.

- Przygotuję herbatę, więc nie siedźcie tam długo - zawołała za nimi Lizzie. - Wróćcie, jak usłyszycie gwizd czajnika.

Amy uśmiechnęła się do gospodyni.

- Idź z nim. Będzie szczęśliwy, jeśli okażesz zainteresowanie - mruknęła Lizzie. - Nawet ja musiałam dziś rano odsiedzieć w środku dziesięć minut, kiedy mi prezentował wszystkie urządzenia.

Gif Weldon otworzył przed Amy drzwi od strony pasażera i zachęcił:

- Usiądź, Amy. Zobacz, wszystko jest dokładnie takie samo jak kiedyś. Nic nie zardzewiało.

Posłusznie wśliznęła się na wyściełane skórą siedzenie. Zatrzasnął drzwi, obszedł samochód dookoła i usiadł za kierownicą.

- Zegar wskazuje niewłaściwy czas - powiedział spoglądając z bliska na tablicę rozdzielczą.

- Nie sądzę, żeby można było mieć mu to za złe - próbowała go rozweselić.

Włożył kluczyk do stacyjki.

- Może jeśli zapalę silnik...

- Wujku, wydaje mi się, że zegar raczej wymaga naprawy. John Graham pewnie będzie wiedział, co z tym zrobić.

- Odchyliła się do tyłu przymykając oczy; słońce ogrzewało jej twarz, lekki wiatr muskał włosy.

- Lubiłaś jeździć na przejażdżki tym autem.

- Uhm. Chyba tak. - Uśmiechnęła się do niego otwierając oczy. Siedział bokiem, z jedną ręką na oparciu siedzenia, z wyrazem bezgranicznej tęsknoty na twarzy.

- Nigdy nie chciałem cię odsyłać - powiedział cicho. - Ale Duncan powiedział, że tak trzeba.

Odezwało się w niej głęboko skrywane poczucie krzywdy.

- Nigdy nie brałaś pod uwagę możliwości sprzeciwienia się woli Duncana?

Potrząsała głową.

- Amy, On miał rację. Byłaś dzieckiem, a ja nie miałem pojęcia o wychowywaniu dzieci.

- Lizzie by się mną zajęła - powiedziała szorstko.

- Przecież było ci dobrze tam, w Ameryce?

Musiała się uśmiechnąć.

- Było mi cudownie. Kate i Marty kochają mnie, jakbym była ich własnym dzieckiem.

- Sama więc widzisz. Duncan miał rację.

- Chyba tak.

- To Duncan namówił mnie do sporządzenia testamentu, w którym zapisałem wszystko tobie. Powiedział, że to wynagrodzi odesłanie cię do Ameryki. Czy rzeczywiście, Amy?

- Patrzył na nią pytająco.

- Żałuję, że nie wiedziałam o tym wszystkim dawno temu.

To boli, kiedy jest się oddalonym nie wiedząc, czym się na to zasłużyło.

Pokiwał wolno głową.

- Nigdy o tym nie myślałem w taki sposób.

- Teraz to nie ma znaczenia, wujku. - Kiedy na niego spojrzała, gorycz gdzieś się ulotniła. - Z czasem wszystko jakoś się układa... a dla mnie z pewnością dobrze się ułożyło.

- Hmm. - Skierował wzrok przed siebie. - Denerwuje mnie ten cholerny zegar - powiedział, równocześnie przekręcając kluczyk w stacyjce.

Pochyliła się do deski rozdzielczej. Obie wskazówki zegara ustawione były na szóstce.

- Myślę, że mechanizm jest zepsuty.

Wcisnął gaz, ale zegar nadal wskazywał szóstą trzydzieści.

- Do diabła! - Uderzył w tablicę zaciśniętą pięścią. - Nie cierpię rzeczy, które nie działają tak jak trzeba. - Popatrzył na nią z szerokim uśmiechem, znów wcisnął pedał gazu, a potem, nim się spostrzegła, puścił sprzęgło i samochód ruszył z miejsca.

- Hej! - Szarpnęło nią do przodu tak, że omal nie uderzyła głową w szybę. - Hej! - krzyknęła jeszcze raz. - Wcisnij hamulec. Stój! Nie możemy wyjechać na drogę, nie masz opłaconego podatku.

- Bzdura. - Śmiał się, najwyraźniej rozbawiony podmuchem powietrza bijącego mu w twarz znad niskiej szyby. - Oczywiście, że jest opłacony - zawołał. - Dałem Duncanowi czek, który zawiózł na pocztę w Holborn.

- Holborn! - Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Wyjechał na główną drogę nawet się nie oglądając, czy jest wolna.

- To Londyn, moja droga. Gdzież indziej miałbym opłacać podatek za mój samochód? Mieszkam w Bedford, dopóki Duncan nie wprowadzi się do swojego nowego mieszkania.

- Wujku! - krzyczała coraz głośniejszym głosem. Samochód nabierał prędkości; wkrótce jechali sześćdziesiąt mil na godzinę wąską wiejską drogą. - Wujku! Zatrzymaj samochód! Chcę wysiąść.



Spojrzał na nią półprzytomnie i spytał:

- A kim ty, do diabła, jesteś?

- Jestem Amy! Wujku, jesteś chory. Nie wiesz, co robisz...

- Amy?... - Przyjrzał jej się uważniej. - Amy? Ach, tak.

Musiało mi się śnić. Przez chwilę myślałem, że wyjeżdżamy z Russel Square.

- Jesteśmy w Derbyshire - łkała, kurczowo trzymając się drzwi. Jechał tak szybko, że nie miała odwagi choćby na tyle puścić klamkę, żeby móc zapiąć pasy. Myślała gorączkowo próbując sobie przypomnieć, czy na ich trasie znajduje się sygnalizacja świetlna, gdzie musiałyby stanąć lub choćby zwolnić. Zmierzali w stronę Hatton. Musiał się tam zatrzymać. Będzie musiał się zatrzymać, jeśli trafią na czerwone światło.

Nie zatrzymał się. Przejechał, nawet nie zwalniając, wszystkie trzy skrzyżowania, nie zważając na trąbienie innych kierowców i gniewne wymachiwanie pieszych.

Amy siedziała bez ruchu wstrzymując oddech z przerażenia.

Kiedy wyjechali z Hatton w kierunku wrzosowisk, potwierdziły się jej najgorsze obawy.

Wiózł ją na otoczoną złą sławą przełęcz Blackthorn Pass.

Lizzie patrzyła z przerażeniem, jak mały zielony samochód wyjeżdża na główną drogę; wstrzymała oddech, zorientowawszy się, że nie zamierza się zatrzymać.

W pierwszym odruchu chciała wybiec z domu i z całych sił krzyknąć na Gifa Weldon, ale natychmiast zdała sobie sprawę, że jej nie usłyszy przez hałas silnika i szum bijącego mu w twarz powietrza.

Odczekała tylko tyle, by zobaczyć, w którą stronę skręcił - w prawo na Hatton, czy w lewo na Hawkwood. Gdy tylko skręcili w prawo, Lizzie nie marnowała czasu. Prze-

biegła z salonu do wąskiego hallu i chwyciła za słuchawkę telefonu.

Richard musiał być o tej porze w kamieniołomie, a Amy na szczęście wpisała numery jego telefonu komórkowego oraz telefonów w biurze i w domu do książki adresowej, którą zawsze trzymali obok aparatu telefonicznego w Wydaleń. Lizzie pobłogosławiła w duchu żółte kaski, jak nazywała budowlańców, za to, że wraz z zimowymi rzeczami Amy dostarczyli jej z Hall również książkę adresową.

Richard odebrał po pierwszym sygnale i Lizzie szybko powiedziała mu, co się stało.

- W którą stronę pojechali?
- Do Hatton. Richardzie, niech pan za nimi jedzie! Bóg jeden wie, co strzeliło staremu do głowy.
- Lizzie, proszę zadzwonić na policję.
- Tak, miałam zaraz to zrobić - zapewniła.
- Ruszam za nimi. Nie mogli ujechać daleko.
- Nie... - Zaszlochała do słuchawki, ale on już się rozłączył.

Amy zagryzała usta mrugając oczyma, które zaczynały piec i łzawić od wiatru. Gif Weldon zerkał na nią od czasu do czasu. Widząc, że się trzęsie, zawołał:

- Owiń sobie szyję szalikiem. Włosy przestaną ci wpadać do oczu.

- Wujku, zwolnij. Proszę cię, zwolnij - błagała.

Ku jej zaskoczeniu posłuchał, ograniczając prędkość z sześćdziesięciu do około pięćdziesięciu mil na godzinę.

- Tak wystarczy?
- Lepsze byłoby czterdzieści. Te drogi są wąskie.
- Piękny mamy dzień, co, Amy?

Owinęła szyję szalikiem. Miała nadzieję, że Lizzie udało się skontaktować z Richardem. Kiedy narzeczony zobaczy jej szalik, nawet z dużej odległości, będzie wiedział, że nic jej się

nie stało. Chociaż był sierpień, przy takiej jeździe musiała zmarznąć. W przyptywie czarnego humoru pomyślała o zimowej kurtce leżącej na stole w domu Duncana Warda i zaśmiała się gorzko żałując, że nie zabrała jej ze sobą.

- Coś cię ubawiło, moja droga?

- Tak!

- Powiesz mi, co takiego?

- Właśnie żałowałam, że nie zabrałam zimowej kurtki.

- Jest ci zimno?

- Śmiertelnie. - Natychmiast pożałowała, że użyła tego słowa. Znała tę drogę. Pamiętała, jak jechała nią poprzednio z Richardem. Po paru minutach zobaczyła drogę wijącą się po stromym zboczu i Blackthorn Ridge. Pomyślała, że przy tej szybkości nie mają szans zmieścić się w ostrych zakrętach. Zrobiło jej się niedobrze.

- Kiedyś uwielbiałaś Blackthorn Pass - odezwał się, rzucając jej przelotne spojrzenie. - Byłaś wtedy małą dziewczynką.

- Ale nie mam dziś przy sobie aparatu. Może moglibyśmy po niego wrócić?

Wpatrując się w wuja błagalnie, dostrzegła przewrotny uśmiezek na jego ustach.

- Niezły pomysł - stwierdził chłodno. - Ale nie przejdzie, Amy.

Serce jej zamarło. Zrozumiała, że wszystko zaplanował, całą tę szaleńczą wyprawę na Blackthorn Pass. Udało mu się przejechać przez Hatton bez zatrzymania, więc był spokojny. Dlatego zwolnił. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego to zrobił - po co zwiabił ją do samochodu i uprowadził.

- Po co jedziemy na Blackthorn Pass? - spytała takim tonem, jakby ją to w gruncie rzeczy niewiele obchodziło.

- To tak samo dobre miejsce jak każde inne - powiedział.

W tej chwili wyjechali z zakrętu i ujrzeli przed sobą przełęcz.

- Tak samo dobre do czego? - pytała dalej z udawaną wesołością. - Czyżbyśmy jechali na piknik?

- W dawnych czasach jęździliśmy na pikniki, prawda, Amy?

- Owszem. - Udało jej się uśmiechnąć.

- Musiałem coś zrobić, żeby ci to wynagrodzić... odesłanie cię do Marty'ego i tej jego żony.

- Przywiozłeś mnie tu dzisiaj, żeby mi wynagrodzić odesłanie do Ameryki?

- Nie. Nie to miałem na myśli. Chodziło mi o to, że musiałem sporządzić testament, zostawić ci wszystko, co posiadam.

- Nie musiałeś...

- Duncan powiedział, że muszę.

- Poczciwy stary przyjaciel - powiedziała, żałując w duchu, że Duncan nie trzymał gęby na kłódkę. Gdyby nie jego rada, nigdy nie znalazłaby się w takiej sytuacji.

Widać było, że Gif cały czas myśli o tej nieszczęsnej decyzji w rozporządzeniu majątkiem. Zwrócił się do niej ponownie:

- Nie wiedziałem wtedy o Marku. Nikt by mnie nie zmusił do postąpienia wbrew własnej woli, gdybym wiedział o istnieniu Marka.

- Nadal możesz zapisać wszystko Markowi. Jeśli teraz zawrócisz, możemy pojechać do Hatton i znaleźć jakiegoś prawnika...

- Już to zrobiłem - przerwał jej, znowu zwiększając szybkość. - Zrobiłem to wczoraj.

- Więc w czym problem? - zdziwiła się.

- Nie mogę żyć z tym, co zrobiłem... i nie mogłem się zdobyć na to, żeby ci powiedzieć...

Serce jej podskoczyło gwałtownie.

- O czym mi powiedzieć? - spytała ledwie słyszalnym głosem.

Wspinali się krętą drogą; za oknem po jej stronie droga kończyła się urwiskiem. Zastanawiała się, czy byłoby możliwe otwarcie drzwi i wyskoczenie z samochodu, ale przy szybkości, z jaką jechali, nie miała odwagi zaryzykować. Gdyby chodziło tylko o nią... Ale musiała przecież myśleć także o dziecku. Nie mogła ryzykować, że stoczy się do doliny. Wiedziała, że ma małe szanse na przeżycie takiego skoku.

- Wczoraj zmieniłem testament - odezwał się znowu po chwili. Samochód zjechał nieco w lewo zahaczając kołami o pas trawy nad przepaścią. Krzyknęła, rzuciła się na kierownicę i wyprowadziła auto z powrotem na drogę.

Robił wrażenie wstrząśniętego, był bardzo blady.

- Nie miałem zamiaru ci mówić - rzekł ochryple. - Nie sądziłem, że będę miał dość odwagi, by powiedzieć ci, że zostawiłem wszystko Markowi... poza drobną sumką dla Lizzie, ma się rozumieć.

- Skoro nie miałeś zamiaru mi mówić, to po co mnie tu przywiozłeś?

- Żeby cię zabrać ze sobą, Tak będzie łatwiej.

- Zabrać mnie...

- Na tamtą stronę - dokończył z powagą. - W parę sekund będzie po wszystkim, moja droga Amy.

- Nie - szepnęła przerażona. - Wujku, nie. Nie ma takiej potrzeby.

Samochód znów zwolnił przed wyjątkowo ostrym zakrętem.

- Jest. Zawiodłem wszystkich: ciebie - podtrzymując twoje nadzieje, że któregoś dnia odziedziczysz Wydale...

- To nie ma znaczenia! - Łzy zalewały jej twarz. - Wujku, Wydale nic dla mnie nie znaczy. Mam Richarda i tylko jego pragnę.

Nie słuchał jej. Mówił dalej bezbarwnym głosem:

- A Richard... jego też zawiodłem. Wyciągałem od niego pieniądze na remont Wydale, a ty byłaś moją przynętą.

- Richard nie dba o pieniądze, które wyłożył na ratowanie

tego domu. - Odwrócona do niego krzyczała, chcąc go zmusić, by wysłuchał i zrozumiał.

- No i wreszcie zawiodłem Lizzie Abercrombie - ciągnął.  
- Troszczyła się o mnie, zносиła moje humory i chandry przez całe lata. Ją zawiodłem chyba najbardziej, bo Lizzie trwała przy mnie, kiedy inni odeszli posyłając mnie do diabła.

Wjeżdżali w najostrejszy zakręt na całej trasie. Amy miała nadzieję, że żaden pojazd nie wyskoczy z przeciwnej strony, bo nadal jechali zbyt szybko jak na tego rodzaju drogę. Obejrawszy się, dostrzegła z tyłu nadjeżdżający szybko terenowy samochód. Był zbyt daleko, by mogła rozpoznać, czy to land-rover Richarda, a za zakrętem straciła go z oczu. Sam fakt podniósł ją jednak na duchu; postanowiła zagadywać Gifa Weldona, jak długo się da.

Kiedy jednak dotarli do ostatniej prostej wiodącej niemal pionowo do punktu widokowego, gdzie zatrzymali się z Richardem podczas wyprawy do Norfolk, zobaczyła na samej górze, w odległości około mili, błyskające niebiesko światła dwóch aut policyjnych zmierzających w ich stronę.

- Lizzie Abercrombie! - mruknął ze złością Gif Weldon.  
- Mogłem się spodziewać, że zrobi coś takiego. Dlaczego ta kobieta nie może pilnować swojego nosa?

Ku swemu przerażeniu Amy zobaczyła, że wuj z całej siły wciska pedał gazu.

- Wujku! - krzyknęła dziko. - Nie rób tego! Zabijesz nie tylko mnie, zabijesz moje dziecko... dziecko Richarda!

- Dziecko? - Spojrzał na nią z niedowierzaniem, ale zwolnił trochę nacisk stopy na pedał; samochód natychmiast nieco zwolnił.

Oniemiała z rozpaczy Amy pokiwała głową. Twarz miała moką od łez.

- Nie zabijaj mojego dziecka - błagała krztusząc się od szloch. - Proszę, wujku... nie zabijaj mojego dziecka.

Zahamował gwałtownie.

- Wysiadaj! - rozkazał. - Wynoś się, dziewczyno!

Nie sprzeciwiała się. Drżącą ręką szarpnęła za klamkę i znalazła się na wąskim pasie trawy nad brzegiem przepaści; tuż za nią ziemia opadała ostro co najmniej dwieście stóp w dół. Usłyszała pisk opon, gdy samochód wystrzelił do przodu. Zobaczyła, że Gif kieruje się w stronę trawiastej krawędzi oddalonej o piętnaście jaidów od miejsca, gdzie ją wysadził.

Nie zwracając uwagi na odgłos zbliżającego się od tyłu pojazdu, zaczęła biec za małym zielonym samochodem, który pędził na osłep podskakując na wybojach.

- Wujku, nieee!... - zawołała z całych sił. Ale było już za późno.

Koła się obracały, ale nie miały już pod sobą gruntu; samochód runął w przepaść. Oślepią łzami Amy wyciągnęła w górę ramiona, czując, jak ziemia usuwa jej się spod nóg. Zdażyła jeszcze usłyszeć gdzieś za sobą rozpaczliwy krzyk:

- Amy!...

Przez sekundę lub dwie spadała bezwładnie, a potem uderzyła o ziemię i zaczęła się toczyć; w oczach migały jej pomniejszone fragmenty otaczającego świata, jakby miniaturowe filmowe klatki: maleńka rzeczka, mostek, zielony sportowy samochód wirujący w powietrzu...

Chwytała się trawy, ale zostawała jej w palcach; próbowała dosięgnąć krzewów rzadko porastających zbocze. Ostre ciernie janowca bezlitośnie drapały jej ramiona i wbijały się w dłonie. A potem miała przed oczyma już tylko przesuwającą się szybko gołą skalną ścianę, dopóki nie poczuła zapierającego dech wstrząsu przestała spadać.

Odzyskawszy oddech, rozejrzała się ostrożnie, próbując odkryć, co ją zatrzymało; stwierdziła, że wpadła na karłowate, mizerne drzewko, wyrastające ze szczeliny w ciemnej skale. Była to żałosna, rachityczna roślina, wydzielająca mocny zapach czarnego bzu. Amy wiedziała, że długo jej nie utrzyma.



A w dole, na dnie doliny, kiedy się ostrożnie obejrzała, dostrzegła szczątki małego zielonego samochodu rozrzucone przy kamiennym mostku. Z jakiegoś powodu przypomniał jej się sen Lizzie, ten o Gifie Weldonie stojącym po jednej stronie mostu, podczas gdy ona pozostawała po drugiej.

Przełożyła nogę przez drzewko, jednym ramieniem obejmując skałę, z palcami wczepionymi w głębokie pęknięcie, drugą ręką próbowała wymacać najmocniejszą gałąź, której mogłaby się chwycić. Starła się nie patrzeć w dół; dotykała policzkiem powierzchni skały, czując jej chłodną gładkość.

Wiedziała, że gdyby choć przez chwilę pozwoliła sobie na rozważanie beznadziejności swego położenia, mogła równie dobrze zwolnić uchwyt i poddać się wyrokowi losu. Nie wolno jej było tego zrobić. Zmusiła się do myślenia o Richardzie i o rozpacz, w jakiej by się pogrążył, gdyby zginęła. Zamknawszy oczy, wyobrażała sobie, że spaceruje z nim po plaży, że czuje jego objęcia i ciepło pocałunków w małym domku w Norfolk. Miała świadomość, że zdążyła przynajmniej zaznać głębokiej, spełnionej miłości...

I wtedy usłyszała głos dobiegający gdzieś z góry, głos wołający jej imię.

- Amy!...

Próbowała odpowiedzieć na wołanie, ale gdy tylko zaczerpnęła tchu, by wyrzyczeć imię Richarda, drzewko zaskrzyphiało i poczuła drgnięcie płytko osadzonych korzeni. Nie odezwała się tłumiąc w sobie wsberający szloch; odważyła się jedynie unieść nieco głowę, próbując dostrzec Richarda gdzieś tam wysoko nad sobą.

Nie było to jednak możliwe. Szeroki nawis skalny zasłaniał jej widok; wiedziała, że przez ten nawis jej także nikt z góry nie widzi.

Usłyszała rozdzierający płacz; domyśliła się, że to Richard, który musiał widzieć rozbity samochód Gifa w dolinie i obawiał się najgorszego.

Spróbowała jeszcze raz do niego zawołać, ale żółty wełniany szalik, który miała owinięty wokół szyi, tłumiał jej głos. Znowu dobiegł ją rozpaczliwy szloch.

- Amy!...

- Richardzie... - szepnęła; drzewko niepokojąco zaskrzypiało. Gdzieś z daleka słyszała wycie policyjnych syren, a potem dołączył do nich jeszcze jeden odgłos, odbijający się echem po dolinie... odgłos, który dobrze знаła, odkąd mały helikopter Marka zaczął krążyć nad Wydaleń.

Helikopter przesuwiał się wolno nad doliną wzdłuż przecinającej ją rzeki. Patrzyła, jak unosi się nad kamiennym mostkiem, a potem mija wrak samochodu i zbliża się w jej stronę. Wiedziała, że próba jakiegokolwiek ruchu może jeszcze bardziej naruszyć wątłe korzenie drzewka. Mogła jedynie trwać w miejscu z nadzieją, że pilot dostrzeże jaskrawą żółtą plamę szlika, którego końce powiewały teraz na wietrze wzbudzonymi obrotami śmigła. Uświadomiła sobie z przerażeniem, że ten wiatr może ją zdmuchnąć ze skały.

Zimny pomuch powietrza zaszczypał ją w oczy zmuszając do odwrócenia głowy. Rozwiane włosy oblepiały jej twarz, liście bzu szeleściły łaskocząc ją w rękę. Nagle znów zapanowała cisza; helikopter się oddalił. Poruszyła głową na tyle, by zobaczyć, jak unosi się w stronę drogi na szczycie. Ze sposobu, w jaki ją ominął, wywnioskowała, że została zauważona.

Usłyszała w górze niespokojny głos Richarda, który coś krzyczał, ale nie potrafiła rozróżnić słów. Wtem znów pojawił się helikopter, ale tym razem zawisł wysoko w górze, tak że nawet najłżejszy podmuch nie nadweręzał drzewka. Amy domyśliła się, że wisząc w powietrzu w jednym punkcie, pilot wskazuje Richardowi miejsce jej uwięzienia.

Policyjne syreny zabrzmiały jakby nieco bliżej, ale wiedziała, że policja nie jest wyposażona w sprzęt konieczny do tego rodzaju akcji ratunkowych i może upłynąć sporo czasu,

nim sprowadzą odpowiednią ekipę na Blackthorn Pass. Starą się omijać wzrokiem rozpościerającą się w dole przepaść, a kiedy ogarniała ją fala lęku, broniła się przed nią zamykając oczy. Ręce jej zeszytywniały od kurczowego trzymania się skały i gałęzi. Po chwili coś zaszurało nad jej głową; Amy aż krzyknęła, kiedy tuż obok niej pojawiła się lina.

Nie odważyła się po nią sięgnąć. Lina znajdowała się co najmniej trzy stopy od niej; zwisała kołysząc się wolno. Miała przed oczyma szansę na ratunek, ale wychylenie się, by ją złapać, mogło się skończyć tragicznie.

Stała więc sztywno wczepiona w drzewko, czując coraz większy chłód w całym ciele i wzbierające nudności w żołądku. A potem rozległ się kolejny odgłos, tuż nad nią, w miejscu, gdzie kamienny nawis przesłaniał jej widok na drogę; ostrożnie przechylając głowę zobaczyła podeszwy butów, białe od wapiennego pyłu zalegającego w wycięciach protektorów, szukające po omacku jakiegoś oparcia.

- Richard... - westchnęła z wdzięcznością. - Richard...

- Trzymaj się - rzucił schrypniętym głosem, odpychając się od skały, żeby podtrzymująca go lina nie tarła o powierzchnię kamienia. Zaraz potem wisiął koło niej, chwycił linę, która została spuszczonej jako pierwsza, owiązał nią Amy pod pachami zaciskając dokładnie węzeł... a wszystko to stało się w ciągu niespełna minuty. Przeciągnął końce jej liny przez tę, na której wisiął, i jeszcze raz mocno związał.

Dopiero wtedy się do niej odezwał, a w miejsce wcześniejszego napięcia w jego oczach pojawił się uśmiech.

- Jeśli teraz spadniemy... - Spojrzał w dół, na dno doliny.  
- ...to spadniemy razem.

Objął ją mocno ramieniem i odciągnął od drzewka.

- Jak wrócimy tam na górę? - spytała trzęsącym się głosem.

Syrena rozległa się dokładnie nad nimi; trzymająca ich lina nagle zaczęła się niepokojąco huścić.

- W porządku? - zawołał ktoś z góry.

- Wyciągajcie nas! - odkrzyknął Richard.

Manewrował ciałem tak, żeby przyjmować na siebie wszystkie uderzenia o skałę; dosłownie owinał ją sobą. Unosili się niezmiernie powoli.

Wydawało się, że minęły całe godziny, choć nie mogło upłynąć więcej niż parę minut, nim czyjeś ręce pomogły im się wydostać ponad krawędź przepaści. Podtrzymywana przez Richarda stanęła na drżących nogach, czekając, aż policjanci rozplączą liny.

- Powinniśmy cię zawieźć do lekarza - powiedział z troską Richard.

- Nic mi nie jest. - Oparła się o niego. - Nic mi nie jest, Richardzie - powtórzyła zduszonym szeptem.

- Szczęście, że pan miał land-rovera - zwrócił się do Richarda jeden z policjantów. - Ale nie powinien pan być tam schodzić. Sprowadzilibyśmy ekipę ratownictwa górskiego...

- Byłoby za późno - wtrąciła się Amy. - Trzymałam się takiego małego drzewka. Ale... co z wujkiem Gifem? - dokończyła szeptem.

- Nikt by nie przetrzymał takiego upadku... zwłaszcza taki kruchy stary człowiek jak Gif Weldon - rzekł łagodnie Richard.

Kiedy już zostawiono ich samych i szli do samochodu, podniosła rękę do twarzy ukochanego. Próbowwała zetrzeć ślady łez, ale potem postanowiła je scałować. Przywarła do Richarda, drżąc na wspomnienie strasznych przeżyć.

Posadził ją w land-roverze i stał jeszcze chwilę w otwartych drzwiach, obejmując ją mocno, jakby się bał ją puścić.

- Nie pogardzaj mną za to, że płakałem jak dziecko myśląc, że cię straciłem - poprosił cicho.

- Tylko prawdziwy mężczyzna potrafi płakać - odpowiedziała równie cicho. - I tylko prawdziwa miłość może go do tego zmusić.

Lizzie Abercrombie wygładziła fałd przy dekolcie zielonej jedwabnej sukni Amy i starannie przypięła mały bukietek kwiatów.

- No już. Doskonale. Zawsze uwielbiałam polne fiołki.
- Wydały mi się odpowiednie, kiedy je wczoraj zobaczyłam pod ścianą kaplicy w Wydale - powiedziała Amy. - Richard oczywiście uznał, że jestem szalona.
- Richard nadał uważa, że jesteś szalona - zabrzmiał donośny głos w progu sypialni Amy.

Odwróciła się na pięcie i przebiegła do niego po grubym dywanie, nadstawiając twarz do pocałunku.

- Pan młody nie powinien oglądać panny młodej, dopóki się nie znajdą w kościele - zrzędziła Lizzie. - Że też tego nie wiecie.

- Pojedziemy tym samym samochodem - przypomniała jej Amy. - Trudno, żeby Richard miał cały czas zamknięte oczy, prawda?

- Nno tak... rzeczywiście.

- A poza tym przecież sam mi pomagałeś wybierać sukienkę - zwróciła się do Richarda.

- Jest śliczna - pochwalił z przekonaniem.

Lizzie westchnęła z rezygnacją.

- Tobie ona się podoba we wszystkim... nawet w żółtym wełnianym szaliku - dodała znacząco.

- Ma pani rację, Lizzie - przyznał Richard ze śmiechem i zwrócił się do Amy: - Na dole czeka ktoś z propozycją dla ciebie.

- Z propozycją? - Spojrzała na niego pytająco. - W dzień mojego ślubu?

- Chyba będę się musiał do tego przyzwyczaić... że ciągle jesteś osobą pożądaną - powiedział, wznosząc oczy ku niebu.

- Wygląda na to, że wszystko kręci się wokół ciebie, moja droga.

- Kto to jest?

- Hmm, Catherine i Kim odjechały właśnie pierwszym samochodem z Martym i Kate, która spędziła ostatnie pół godziny zachwycając się swoją małą wnuczką. A że Lizzie jest tu z nami, pozwolę ci samej zgadnąć, kto jeszcze dołączył do naszego ślubnego kółka.

- Mark! - jęknęła. - To musi być Mark.

- Przynajmniej nie muszę być zazdrosny o człowieka, którego witasz z takim entuzjazmem - oświadczył Richard wesoło.

- Czego on chce?

- Zejdź na dół i sama się dowiedz.

- Richardzie! Nie chcę. Chcę wyjść za mąż.
- Mamy dwadzieścia minut do przyjazdu samochodu.
- To wystarczy, żebym zdążyła pójść do mojego nowego domu i wzięła miarę na firanki! - zakrzyknęła triumfalnie Lizzie.
- Och, Lizzie! - Amy zgięła się ze śmiechu. - Nie możesz poczekać? Ci ludzie jeszcze się nie wyprowadzili!
- Rzucając jej pełne urazy spojrzenie, Lizzie oznajmiła:
  - Powiedzieli, że mogą wpadać, kiedy zechcę. A poza tym w ciągu dwóch tygodni już ich nie będzie... Zwłaszcza że mają we mnie wypłacalnego kupca.
  - Dzięki Gifowi Weldonowi - przypomniał cicho Richard. Lizzie sięgnęła po chusteczkę do nosa.
  - Właśnie. Kto by pomyślał, że staruszek zostawi mi pięćdziesiąt tysięcy funtów? Część z tych pieniędzy odziedziczył po tym ladaco Duncanie Wardzie.
  - Powiedział mi, że zostawił ci „drobną sumkę” - odezwała się Amy.
  - Skromnie powiedziane. - Lizzie chlipnęła, mnąc w dłoni chusteczkę. - Dla mnie to cała fortuna.
  - Żadnych łez dzisiaj! - zarządził stanowczo Richard, a Lizzie uśmiechnęła się i wepchnęła chusteczkę do kieszeni odświętnego szarego kostiumu.
  - Zejdź ze mną do Marka, Richardzie - poprosiła Amy.
  - Nie. - Pokręcił głową przybierając nagle poważną minę.
- On chce się widzieć z tobą.
  - A nie wiesz po co? - spytała unosząc brwi.
  - Zdradził mi, co zamierza ci zaproponować. Chyba oczekiwał mojego poparcia, ale mu powiedziałem, że sama podejmujesz decyzje.
  - To brzmi bardzo tajemniczo. Nie możesz mi nic powiedzieć?
  - Nie. Nie będę się wtrącał w twoje życie, kochanie.
  - Nie będzie się pan wtrącał? - Lizzie parsknęła. - I ma pan zamiar być jej mężem? Coś podobnego!

Richard miał dla Lizzie wiele cierpliwości.

- Zawarłem z samym sobą taki układ - wyjaśnił. - Amy wie, o co mi chodzi. Od dzisiaj będzie nie tylko panią Richardową Boden, lecz nadal pozostanie Amy - dziewczyną z własną wolą i prawem decydowania o swoim życiu. Będziemy mężem i żoną, ale też nadal zostaniemy odrębnymi jednostkami, a nasze upodobania nie zawsze będą jednakowe.

Wyciągnął rękę do Amy, a ona podała mu dłoń, mówiąc:

- Przyjmuję warunki umowy, Richardzie.

- No dobrze! - Lizzie wyglądała na nieco zaskoczoną, ale szybko się otrząsnęła. - Nie powinnam się chyba dziwić... W końcu panna Amy wniosła do Wydaleń powiew świeżego powietrza. Nie ma co kryć - zmieniła wiele z moich wcześniejszych przekonań.

Amy uścisnęła rękę Richarda.

- Pójdę zobaczyć się z Markiem. Ale przyjdź mnie wybawić za pięć minut, zgoda?

Mark Powell zjawił się wyposażony w aparat fotograficzny.

- O, nie! - z daleka już zaprotestowała Amy, idąc do niego przez trawnik. - Wierzyć mi się nie chce. Nawet na ślub nie możesz przyjść bez tego cholernego aparatu?

- Chyba nie oczekujesz, że będę płacił za te przesłodzone fotki, które ci robi zawodowy fotograf od ślubów? - zdziwił się, obdarzając ją jakże rzadkim u niego uśmiechem.

- A czego ty oczekujesz? - spytała z przesadną uprzejmością. - Myślisz, że obleję pierwszego družbę szmpanem albo zrobię coś w tym stylu?

- Zaraz, zaraz! Ja jestem tym facetem, który uratował ci życie, nie pamiętasz?

- Omal mnie nie zdmuchnąłeś ze skały tym śmigłem - roześmiała się spoglądając na niego łagodniej. - Nie miałam jeszcze okazji ci podziękować...



- Och, do diabła z tym. Nie rozczulaj się nade mną - rzekł z udawaną szorstkością. - Jeśli mamy się nienawidzić, to nienawidźmy się z całego serca. Mamy udawać, że wszystko gra, choć pozbawiłem cię paru milionów funtów? - Znow odślonił zęby w uśmiechu.

- Wszystko, czego pragnę, mam tutaj - powiedziała, spokojnie rozglądając się po ogrodzie.

- Ale nie masz Wydale.

- Do licha! A cóż ono jest teraz warte?

- Można je uratować. Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać. Mam tam teraz ekipę rzeczoznawców. To będzie kosztowało majątek, ale już się zdecydowałem.

- Jesteś szalony.

- Możliwe, ale posłuchaj... usiądźmy pod tą jabłonią na parę minut. - Podeszedł do ławki, którą Richard wyciosał kiedyś własnoręcznie z pnia zwalonego dębu, usiadł i czekał, aż ona do niego dołączy.

Podeszła wolno do ławki i usiadła zwrócona do niego bokiem.

- Pospiesz się - poprosiła. - Za jakieś piętnaście minut mam naprawdę pilną sprawę do załatwienia.

- Jesteś na wskroś nowoczesną panną młodą. Żadna ze znanych mi kobiet nie wybrałaby tego zadziwiającego odcienia zieleni na suknię ślubną.

- Nie chciałam wyglądać jak ozdoba chionkowa, a poza tym nie znoszę długich sukien. Miałam w życiu tylko jedną... zaplątałam się w nią i rozbiłam sobie nos.

- Nie interesuje mnie twój nos - przerwał zniecierpliwiony.

- Interesuje mnie twój umysł. Twój rozum. Twoje wybitne umiejętności.

- Moje co?

- Twoje umiejętności w posługiwaniu się kamerą.

- Hej! Nie mam żadnych specjalnych umiejętności w posługiwaniu się kamerą.

- Lizzie dała mi film wideo, który zostawiłaś w Wydale. Masz talent.

- Do czego, Powell? - spytała zerkając na zegarek.

- Mam zamiar zamienić Wydale w muzeum i lokalny ośrodek kultury - oznajmił. - Kiedy dom zostanie odbudowany, przekażę go nowemu Centrum Sztuki, które ma siedzibę w Hatton. I chcę, żebyś nim zarządzała.

Podniosła rękę.

- Chwileczkę... nie tak szybko.

- Mam niecałe pięć minut, żeby cię namówić do włączenia się w tę sprawę, więc muszę działać szybko.

- Co miałabym robić? - zainteresowała się.

- Po prostu tam być. Chcę założyć galerię fotografii i zdjęć filmowych. Tu miałabyś wiele do powiedzenia - jesteś dobra w kompozycji i w filmowaniu na wideo. Chcę przyciągnąć ludzi do Wydale, a to oznacza, że potrzebne byłyby jakieś atrakcyjne materiały filmowe, żeby ruszyć z całym przedsięwzięciem. - Wbrew początkowej niechęci, Amy poczuła żywe zaciekawienie. - Przyłączysz się do mnie? Próbowałem dziś rano wysondować Richarda, ale nie chciał mi nic powiedzieć, dopóki z tobą nie porozmawiam.

- Chcesz namówić do współpracy Richarda czy mnie? - spytała ostro.

- Oczywiście że ciebie.

- Richard zna się dobrze na alabastrze, wiesz? Masz jakieś plany co do starej kaplicy?

- Jeszcze o tym nie myślałem - przyznał z namysłem.

- A masz jakiś pomysł?

- Miliony. - Podniosła się z ławki i dodała ze śmiechem:

- Całe miliony, Mark.

- Więc przyłączysz się do mnie?

- Na tyle, żeby mnie to zbytnio nie odrywało od domu, męża i rodziny.

- Rodziny?

Uśmiechnęła się tajemniczo i odeszła w stronę domu. W drzwiach spotkała się z Richardem.

- Oboje wyglądacie na zadowolonych - stwierdził.

- Richardzie... zgadzam się. Masz coś przeciwko temu?

- Wiesz, że nie musisz mnie pytać - przypomniał, ale jego uśmiech świadczył o tym, że postąpiła właściwie, pytając, co on o tym myśli.

- No to jadę na ślub - rzekł Mark. - Do zobaczenia w kościele. Mam podwieźć Lizzie, więc będę się zbierał.

Kiedy już zostali sami, Richard powiedział:

- Muszę ci coś pokazać.

- Co takiego? Mamy dość czasu, Richardzie? - spytała zaskoczona.

- To zajmie tylko chwilę. - Ruszył w stronę najdalszego kąta ogrodu; po kilku krokach obejrzał się i kiwnął ręką, żeby się pospieszyła. - No chodź, guzdrało. Samochód zaraz tu będzie.

Podbiegła do niego przez trawnik i wzięła go pod ramię.

- Jak stateczna małżeńska para - stwierdził pochylając się i pocałował ją w czoło.

- Co?

- Chodzenie pod rękę.

- Mark by to nazwał przesłodzoną scenką.

Richard zatrzymał się przy jednej z rabat, kucnął i pociągnął ją za rękę, by też przykucnęła.

- Ta róża...

Wstrzymała oddech.

- Zakwitła. Richardzie, ona naprawdę ma kwiat na gałązce.

- Róża Kipa Weldon. - Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Wiedziałem, że się ucieszysz... ale, jak powiedziałem już Lizzie parę minut temu, żadnych łez. Nie dzisiaj.

Przez kilka sekund patrzyła na pojedynczy biały kwiat.

- Lizzie wspomniała kiedyś - powiedziała cicho - że to czas pożera kamienie Wydałę i że czasami najlepiej zostawić pewne rzeczy ich własnemu biegowi.

- Lizzie zwykle ma rację.

Odwrócili się plecami do małego różanego krzewu i wrócili do domu. Lizzie z Markiem Powellem zdążali właśnie do wyjścia; Lizzie odwróciła się słysząc za sobą ich kroki.

- Już wyruszamy! - zawołała radośnie. - Doprawdy nie mogę się doczekać.

Mark schylił się, podniósł coś z podłogi i wręczył Lizzie.

- Musi pani to włożyć - oznajmił.

Amy bezwiednie podniosła ręce do ust.

- No nie!

Lizzie skarciła ją surowym spojrzeniem.

- Co z tobą, moja panno? - spytała ostro. Stanęła przed lustrem, wcisnęła jaskrawoniebieski kask na sztywne siwe loki i sprawnie, jakby wykonywała codziennie powtarzaną czynność, zapięła sprzączkę pod brodą.

- Chyba nie jedziesz na mój ślub na...

Lizzie odpowiedziała jej promiennym uśmiechem.

- Pan Powell był uprzejmy zaoferować mi podwiezienie - wyjaśniła. - A skoro nie mam maszyny Ariel Roadster z lat pięćdziesiątych, o jakiej zawsze marzyłam, sądzę, że jego Harley Davidson z powodzeniem wystarczy!